



Nina Majewska-Brown

WAKACJE





Nina Majewska-Brown

WAKACJE



Dla Kuby i Filipa

Wszystkie osoby i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób i wydarzeń jest przypadkowe.

Niewiarygodne, ile może ważyć walizka. Jeszcze bardziej niesamowite jest to, jak niewiele rzeczy potrzeba, by przetrwać dwa tygodnie wakacji z dziećmi i mężem. Ze spuchniętych ciuchami szaf wystarczy wybrać kilka sztuk odzieży... Więc po co nakupowałam ich aż tyle? Po powrocie muszę koniecznie zrobić porządk i zastosować metodę dziesięcioelementowej szafy Madame Chic. Podejrzewam, że jak zwykle będę miała problem z pozbyciem się ciuchów, które wylądują na zapleczu garderoby i strychu, czekając na abstrakcyjny czas, gdy zgubię kilka kilogramów, co pozwoliłoby mi do nich wrócić.

Cholerne walizy są tak ciężkie, że staszczenie ich z pierwszego piętra domu przerasta moje możliwości. Oczywiście jadąc z dziećmi, znowu nie takimi małymi (Klara właśnie skończyła osiem lat, a Jachu siedemnaście), trzeba zabrać w zasadzie wszystko w przysłowiowej pigułce: kilka kłamek (bo trzeba będzie suszyć stroje kąpielowe), leki (bo znając nasze szczęście, kogoś coś uczuli albo przewieje), rzeczy na słońce, na deszcz, kosmetyki (z filtrem i bez), książki,

gry (bo może być nudno albo nie daj Boże padać). Klara naturalnie nie może jechać bez swoich zabawek (czytaj: iPoda, pierwszych kosmetyków, stada różnych spinek i innego tałatajstwa). Wczoraj stoczyłyśmy bój, gdy nagle się okazało, że w walizce, w bliżej nieokreślonych okolicznościach, znalazły się: różowa koronkowa sukienka z tafty (na wypadek sylwestra w środku lipca albo innego balu) i kilka innych fantazyjnych ulubionych fatalaszków, w które od kilku tygodni moje dziecko ledwie się mieści.

W nocy poprzedzającej wyjazd budziłam się chyba z pięć razy i biegałam po paszporty i ubezpieczenie, które zostawiłam w szufladzie biurka, ulubioną maskotkę małej, bez której nie zasypia, itp. Po kilku takich kursach wstałam na dobre cała spięta i nerwowa. Kurde, jak ja uwielbiam wakacje! Najpierw panika, czy zabrałam wszystkim wszystko, a po powrocie agonia przy pralce i desce do prasowania.

I jeszcze ta obsesja, że może nam się w czasie wyjazdu przydarzyć coś złego, wypadek samochodowy, awaria samolotu czy inna śmierć. I to, co mnie najbardziej zajmuje na okoliczność takiego nieszczęścia, to... porządek w domu. Gdy ktoś wejdzie do mieszkania, kiedy nas już nie będzie, żeby nie przeżył szoku i niesmaku. Tak więc na kilka dni przed wyjazdem sprzątam i tak wysprzątam szafy, szuflady i półki, porządkuję pokoje dzieci i dokumenty, składam pranie

i odchwaszczam ogród. Nie mówiąc o pracy. Mam swoją knajpkę, muszę więc ją zatowarować, setny raz powtórzyć personelowi, co robić na wypadek jakiejś kontroli, awarii czy innego dopustu bożego. Od czasu, gdy mam firmę, wakacje są zawsze ze stresem na zapleczu pod tytułem „co się dzieje w restauracji”.

Obiecałam sobie, że w tym roku będzie inaczej. Będziemy siedzieć w knajpkach i beztrosko sączyć ostatni łyk wina, nigdzie nie będziemy się spieszyć, nie będę biegać po sklepach w poszukiwaniu kolejnych ciuchów i stanę się boginią spokoju i wyciszenia.

O 21.00 mamy samolot do Barcelony. Wymarzone miejsce mojego męża na spędzenie wakacji. Dwa tygodnie zwiedzania i opalania. Na szczęście jedziemy bez gromady znajomych i rodziny. Nie będzie trzeba paradować przed nimi w stroju kąpielowym na plaży, dostosowywać się do rytmu i nastroju ich dzieci... Mamy z Bartkiem tak strasznie mało czasu dla siebie, że myśl o wakacjach prawie sam na sam jest ekscytująco przyjemna.

O 19.00 podjeżdża wyściełana przetartą skórą z baranicy taksówka, obwieszona choinkami w różnych aromatach i rocznikach. Otyły kierowca, z tłustymi włosami ułożonymi grzebieniem w równe rzędkie przypominające pole szparagów przed sezonem, zamiera, gdy dostrzega nasze bagaże. Dwie ogromne walizki i dwie podręczne, nieświadome znalezienia się

w centrum uwagi, dumnie wypinają opasłe brzuchy.

Mimo że zamawiając transport na lotnisko, uprzedzaliśmy o niestandardowym wymiarze bagażu i prosiliśmy o podstawienie odpowiedniego samochodu, najwidoczniej mamy kłopot. Volkswagen jest co prawda i duży, i kombi, ale w bagażniku ma jeszcze większą butlę na gaz. Kierowca uprzejmie nas uprzedza, że przy tak dużym bagażu dolicza ekstrastawkę za dodatkową eksploatację samochodu (sic!), i zaczyna rytualny taniec z walizami, usiłując wcisnąć je do bagażnika w pionie, w poziomie, na i obok siebie. Oczywiście bez powodzenia... A czas płynie spokojnie i jakoś nie chce ominąć naszej czwórki. Po kuriozalnej propozycji, by jedną z waliz położyć na siedzeniu i na niej usiąść albo jechać z nią na kolanach... poddajemy się.

Wkurzeni ładujemy się do mojego samochodu i docieramy na lotniskowy parking w lekkim stresie, czy zdążymy się odprawić. Oczywiście moja bogini spokoju i radości idzie na daleki spacer, a jej miejsce zajmuje demon!

Na lotnisku jak zwykle ścisk i panika w oczach podróżnych. Każdy nerwowo poszukuje informacji na temat bramki, lotu, część osób podróżujących tanimi liniami na siłę upycha torby w testowych stojakach, sprawdzając, czy spełniają wymogi bagażu podręcznego, rodzice wrzeszczą na podekscytowane dzieci. Każdy chce być pierwszy! Urządzamy wyścigi, rozpychając się

łokciami nawet po komunijny opłatek w kościele, a co dopiero tutaj. O dziwo, ledwo powłóczące nogami starsze panie nabierają entuzjazmu i nowych sił, by zdążyć pod ołtarz przed sąsiadką. Zupełnie jakby ksiądz miał limitowaną liczbę hostii w kielichu. A może ma?

Uwielbiam przechodzenie przez bramki bezpieczeństwa i kretynów, którzy podejrzewają, że w grubych na trzy milimetry klapkach przenoszę ładunek wybuchowy, podczas gdy ostatnio przegapili maleńki gaz łzawiący upchnięty przez Jacha w kieszeni kurtki wrzuconej na dno plecaka.

Tym razem jest inaczej. Tradycyjnie trzeba zdjąć buty, wyłożyć cały sprzęt elektroniczny itd., gdy nagle funkcjonariusz stwierdza, że mam zapakowane w plecaku jakieś butelki z płynami, które nie spełniają standardów. W duchu śmieję się w głos: oczywiście, że nic nie mam. Świadoma, co wolno, a czego nie, spakowałam wszystkie kosmetyki do bagażu głównego, a resztę w przezroczyste minibuteleczki i transparentną kosmetyczkę. Ale gdy każe mi otworzyć boczną kieszeń, śmiech zamiera mi na ustach, a lekka panika spina kręgosłup. Urzędnik z całą powagą sytuacji i lekką nonszalancją spogląda na mnie jak na idiotkę i kolejno wyjmuje z trudem zdobyte miniatury szamponu, odżywki i maski do włosów. Gwałtownie przestaję myśleć o nim „kretyn”, bo już wiem, że spędzę wakacje z fryzurą à la Tina Turner. Moje spleątane loki nie

poddają się żadnym innym kosmetykom! Stojąca obok Klara lekko blednie i cichutko mówi:

– Przepraszam.

– Klaro, przecież prosiłam, żebyś schowała to do dużej walizki!

– No tak, ale ona była tak daleko, mamusiu. Przepraszam, nie chciałam!

I co zrobić? Chciałoby się wrzeszczeć, ale ludzie patrzą. W głębi ducha robi mi się żal małej i moich włosów, więc idę wypić kieliszek czerwonego wytrawnego wina. Po alkoholu lepiej znosi się lot. Kiedyś tak myślałam, dziś już to wiem.

Sączę trunek i przyglądam się współtowarzyszom podróży. Dziwne zgromadzenie. Urlopowicze mieszają się z tymi, którzy wyruszają albo wracają do Barcelony zawodowo. Polskiego turystę rozpoznaję na odległość. Co prawda już tylko część, nadal niestety znakomita, zasuwa na wakacje w wygodnych sandałach na rzepy i skarpetach, ale i tak łatwo nas rozpoznać. Męskie sandały w niewielkim stopniu zostały wyparte przez wygodne mokasyny, tylko dlaczego, na miłość boską, noszone ze skarpetami do pół łydki? Nieustająco elektryzuje mnie widok kobiety w zbyt luźnych albo zbyt małych szpilkach, z których wysuwają się na posadzkę zdziwione palce, przypominające stado węszących na niskim wietrze ogarów mocno trzymanyh na przykrótkiej smyczy.

Kontemplację przerywa mi siedząca obok rodzina. Matka nieustannie pokrzykuje na około czteroletnie bliźniaczki, które swą ruchliwością sprawiają wrażenie, że jest ich co najmniej czwórka.

– Kasia, siadaj! Marysia, nie bij siostry! Kasia, nie lej sokiem po sukience! Przestańcie się kłócić!

Urocze. Jacy jesteśmy nieskrępowani i swobodni, wszędzie czujemy się jak w domu... Spoglądam na Klarę, która od piętnastu minut z wypiekami na twarzy usiłuje ułożyć w jednym rzędzie pięć kolorowych kulek na mojej komórcie. Janek, wyluzowany, ze słuchawkami na uszach słucha muzyki i dyskretnie, ledwie zauważalnym ruchem warg przesyła mi całusa. Bartek z przymkniętymi powiekami i wyciągniętymi przed siebie nogami wygląda, jakby drzemał. Zawsze podziwiam jego spokój i możliwość zaśnięcia w każdych okolicznościach.

Zamykam oczy i delektuję się myślą o najbliższych dwóch tygodniach. Mamy za sobą bardzo ciężki, skomplikowany zawodowo czas i trudno nam było zbierać pieniądze na ten wyjazd. Tym bardziej postanawiam docenić każdą chwilę i wyssać z każdego dnia, ile tylko się da. Postanawiam, że ani dzieci, ani Bartek nie będą mnie wkurzać, nie dam się sprowokować drobiazgom. Ommm!

Wreszcie wpuszczają nas do samolotu. Klaustrofobiczne cholerstwo, w którym mam się czuć

komfortowo. Nienawidzę latania. Nie żebym się bała, no, może trochę, ale to tylko wtedy, gdy lecę sama, bo zamartwiam się, co będzie z Klarą i facetami, jak mnie zabraknie (gdy lecimy razem, to razem spadniemy i w zasadzie nie ma się czym przejmować), ale świadomość, że przez najbliższe godziny muszę siedzieć z ciasno upchniętymi nogami, jest mało optymistyczna. Nudziarstwo i niewygodność, przez które trudno mi przebrnąć nawet z dobrą książką.

Gdy samolot podrywa się do lotu, zasycha mi w gardle, w uszach czuję nieprzyjemne napięcie, a siedząca obok Klara zaczyna marudzić. Uwielbiam chwilę, gdy nabieramy prędkości, i ten lekki dreszcz niepewności i nadziei hazardzisty, że się uda. Głos przekory szepcze z tyłu głowy, że może jednak nie. To tak jak bać się burzy, siedząc w wygodnym fotelu bezpiecznie ukrytym w domu.

Zamawiamy z Bartem buteleczkę wina i snujemy plany, co musimy, co powinniśmy i co możemy zobaczyć w Barcelonie. Odprężam się na tyle, że jestem zaskoczona, jak szybko mija lot.

Znieczuleni trunkami usiłujemy wykulać się z walizkami z sali przylotów, lawirując w tłumie. Dzieci człapią za nami i po chwili grzecznie stoimy w kolejce do taksówki. Nasze miłe *Hola!* nie robi wrażenia na kierowcy, który jeszcze nie wie, że to jedyne słowo, które jesteśmy w stanie wydukać w jego ojczystym

języku. Nasz angielski jest dla niego równie abstrakcyjny jak dla nas hiszpański. Porozumiewamy się jak mucha z parapetem, stukając palcem w ulotkę, i dajemy się zawieźć za jedyne trzydzieści osiem euro do dzielnicy gotyckiej, na La Ramblę 108.

W taksówce czuję się nieswojo. Nie dość, że samochód nie liczy dwudziestu lat, to brak w nim dziwnych odświeżaczy powietrza, kierowca zaś nie jest zaskoczony wielkością naszych walizek, które bez najmniejszego problemu mieszczą się w bagażniku. Nie śmierdzi papierosami, a wysiadając, nie muszę odklejać się od tapicerki.

Tłum ludzi na najruchliwszej ulicy miasta wskazuje, że jesteśmy na miejscu, i to w szczycie sezonu. Przechodnie patrzą na nas i nasze walizy z wyższością zaawansowanego turysty, który już wie, co gdzie jest, i niejedno wino w okolicznej knajpce wypił. Poza tobołami niewątpliwie zdradza nas, nowo przybyłych, biel wystających z krótkich spodenek nóg, groteskowo odcinająca się na tle opalonych ciał.

Jest już noc i naprawdę czuję się zmęczona. W hotelu, a w zasadzie w apartamencie (jak ekskluzywnie brzmi, i to tylko za sprawą mikrokuchni połączonej z salonem), czeka na nas agentka, bynajmniej nie po to, by pokazać, jak działa klimatyzator i inne gadżety, ale zainkasować opłatę za pobyt. Młode latynoskie stworzenie odziane w lateksową minisukienkę,

z wyraźnie odcisniętymi zbyt małymi stringami i obcisłym stanikiem bezlitośnie pomnażającym wałeczki na korpusie, bardziej przypomina dobrze wysmażoną i powiazaną sznurkiem roladę niż erotycznie atrakcyjnego wampa. Pewna swych walorów błyszczącym różowym paznokciem zakreśla na umowie kółka, wpatrując się intensywnie w oczy mojego małżonka. *Hello!* Ja też tu jestem! Bartek dla odmiany jest tak przejęty, że musi prowadzić konwersację w języku nadal mu nieco obcym, iż nie dostrzega wysiłków panny. Zazwyczaj, mimo że po angielsku mówię słabiej niż on, jestem wypychana, by uzyskać wszelkie informacje telefoniczne i pogadać z kelnerami itd. Przez chwilę bawię się oglądaną sceną. Wreszcie postanawiam włączyć się do akcji i zwrócić na siebie uwagę. Strzelam siarczystego focha, że mieszkanie jest małe, na zdjęciach wyglądało inaczej i po kuchni też spodziewałam się czegoś innego. Panna, wyrwana z romansowego transu, żegna się pospiesznie, zostawiając na stole dwa komplety kluczy. Pytam Bartka, czy widział, w co to stworzenie się przyoblekło i jak mu się przyglądało, ale mój zagubiony małżonek robi wielkie oczy i pyta, o co mi chodzi.

Jesteśmy tak zmęczeni pakowaniem i składaniem rzeczy przed wyjazdem, że padamy jak ćmy pod żarówką, i sama nie wiem, czy przytłumione odgłosy imprezy są mglistym wspomnieniem pobytu w hali odlotów czy rzeczywistością...

Poranek. Uwielbiam poranki! Zwłaszcza te cudowne chwile, gdy wszyscy jeszcze śpią, w domu panuje niczym niezmacona cisza, przerywana jedynie pomrukiwaniem kotów. Zaparzam filiżankę czarnej kawy, biorę z pudełeczka ukrytego w szafce przed Klarą kostkę czekolady i wychodzę na mikrobalkon. Pod stopami roztacza się widok na najstarszą ulicę miasta, która o tej porze jest jeszcze cicha i spokojna. Turyści, ukołysani zabawą i alkoholem, śpią w hotelowych łóżkach, na ulicach liczni dostawcy i nieliczni sprzątacze zaczynają pracę, z rzadka się pozdrawiając. Rozkładają krzesła i parasole, a miasto – pozbawione porozwieszanych wszędzie tandetnych pamiątek – nabiera szyku.

Powoli sączę kawę i delectuję się chwilą. Pachnie szczęściem i spokojem. Oby nigdy nic nie mąciło takich poranków! Na moim ulubionym czytniku, który zabieram ze sobą wszędzie, w każdej możliwej torebce, przebiegam wzrokiem rozdział *Katedry w Barcelonie*, z nikłą nadzieją, że może Bartek się obudzi i skoczemy sami na porannego croissanta do pobliskiej kafejki. Niezdecydowana, czy powinnam go zrywać, ciągnę za

róg pościeli.

Po chwili siedzimy na placu przy kościele Santa Maria del Pi i jemy pierwsze wspólne śniadanie w Barcelonie. Miasto nadal śpi, nasze dzieci też. O jedenastej usiłujemy je zwlec z łóżek, by zacząć wakacje. Dzień pierwszy: Rekonesans. No i się zaczęło – każdy chce iść w inną stronę. Dla Jacha liczy się stadion i w zasadzie tylko dla niego tu przyjechał, mała ciągnie nas do oceanarium, Bartek nie ma pomysłu co i gdzie, ale z pewnością nie to co dzieci, a ja najchętniej przesiedziałabym ten dzień przy cawie w jakiejś knajpce na placu, obserwując ludzi.

W ramach kompromisu wybieramy się na spacer po dzielnicy gotyckiej i od razu udaje nam się zgubić Bartka, który jak zwykle nas wyprzedza i biegnie sobie tylko wiadomym torem. Klarę najbardziej interesuje sklep ze zwierzakami, a Janek znika w każdej budzie z piłkarskimi akcesoriami. Włokąc się noga za nogą, docieramy do placu przy katedrze i opadamy na schody.

Katedra o tej porze jest zamknięta, ale i tak przed nią barwny tłum nawołuje się w różnych językach. Oczywiście moje uszy poraża wrzask tlenionej blondynki z soczystym czarnym odrostem: „Gdzie idziesz! Czy ty, kurwa, nigdy nie możesz się zająć dziećmi! Ja też mam wakacje! Dowiedz się, kurwa, jak iść do portu! No zapytaj kogoś! Podobno znasz angielski!”. Nie wiem, czy

język ojczysty odnajduję w gwarze ulicy jak świnia trufle w lesie, czy rzeczywiście jesteśmy tak głośni. A może to moja obsesja, by nie zwracać się do siebie zbyt głośno i za wszelką cenę kreować wizerunek Polaka turysty na światowym poziomie. Matka Polka na wakacjach zazwyczaj nerwowo szarpie dzieciaki, bo mają iść prosto, tak jak ona chce, wrzeszczy na męża, że ona też ma prawo wypocząć, nieustannie odbywa rytualny taniec z kremami z filtrem i czapkami z daszkiem w tle, a gdy wreszcie opada na leżak, sący byle jakiego drinka i z politowaniem punktuje inne matki oraz ich latorośle, przerywając obserwację na uwagi w stylu: nie syp mi tu piaskiem, siadaj w cieniu, nie chodź na zjeżdżalnię, no, rusz się i idź z bratem na karuzelę.

Jeszcze gorzej jest w średniej klasy, ale za to all inclusive (lub jak mawia moja fryzjerka: all exclusive) hotelach, gdzie – skoro jedziemy za te dwa tysiące na tydzień – to wymagamy i krzywimy się... bo odcień obrusa w restauracji nie taki (w domu jemy przy ławie, a o obrusie nie ma mowy), jedzenie takie sobie (w domu nie gotujemy, przecież dzieci jedzą obiady w szkole), nie do takich drinków nawykliśmy (w domu tylko piwko), a poza tym czujemy się jak państwo na włościach i wrzeszczymy, radujemy się na całe gardło, niech cały świat (lokalnie: hotel) wie, że wypoczywamy. Schylam głowę i mam nadzieję, że dzieci nie zagadają do nas po polsku i nikt nas o nic nie zapyta.

Spoglądałam spod oka na Bartka, który na bank nie zauważa rozwrzeszczanej pani. Takie niuanse dla niego nie istnieją. Zastanawiam się, jak to możliwe, że codzienne obowiązki potrafią nas od siebie aż tak oddalić, budując mur, przez który nie widać, a co gorsza – nie słyszać drugiej osoby. Patrzę na jego długie do ramion, coraz bardziej siwe, choć zaskakująco gęste włosy, ogorzałą twarz przecina coraz bardziej misterna płatanina zmarszczek, a na nosie od jakiegoś czasu pojawiły się okulary w rogowej oprawce. Bartek mimo upływu lat zachował młodzieńczy styl, który w artystyczny sposób wyróżnia go z grona rówieśników i sprawia, że nieustannie sporo młodych dziewczyn się za nim ogląda. Dzieje się to – jak się śmieję, chcąc go wkurzyć – nawet bez konieczności odwoływania się do jego największego atrybutu... czyli nowego czerwonego sportowego samochodu.

Mam wrażenie, że Bartek na wakacjach jest trochę zagubiony. Normalnie pracuje ponad zdrowy rozsądek i własne siły, co sprawia, że kariera i firma są dla niego największym wyzwaniem, a my stanowimy do niego nieśmiały dodatek, który w jego życiu pojawił się stosunkowo późno, bo w wieku niemal czterdziestu lat. Taki mały mezaliansik i katastrofa dla naszych rodzin: jego rodziców, bo dziewczucha (czyli ja) nie wiadomo skąd i co to za jedna, rodzice mają tylko tytuły doktorskie, bez ambicji profesorskich, bez hektarów i fabryki; dla moich, bo gość piętnaście lat starszy, szczęśliwie nie

rozwodnik, za to prawie rówieśnik taty. Na miejscu rodziców bym się martwiła, gdyby był o dziesięć lat młodszy...

To normalne, że Bartek wraca do domu z pracy i w zupełnym oderwaniu od kontekstu domowych obowiązków oświadcza, że nazajutrz wyjeżdża na trzy dni na targi do Monachium albo Bolonii. Tak jakby nas nie było. Liczą się tylko jego praca albo nagły pomysł poszerzenia prowadzonej działalności o coś, co trzeba osobiście zobaczyć i zweryfikować na drugim końcu Europy. Przez pewien czas podejrzewałam go nawet o romans. Ponieważ sama nie do końca byłam w stanie to sprawdzić, wynajęłam detektywa, który notabene okazał się kolegą z równoległej klasy w podstawówce. Moje podejrzania nabrały rumieńców w chwili, gdy cichaczem, kiedy Bartek już zasnął, zaczęłam przeglądać jego pocztę na prywatnym i firmowym komputerze, komórkę, teczkę, którą zabierał do pracy. Skrzynki z wiadomościami przychodzącymi i wychodzącymi, kosz i pliki robocze zawsze były wyczyszczone. To budziło większy niepokój niż znalezienie jakiejś dwuznacznej wiadomości. Brakowało pretekstu do awantury, która mogłaby uchylić rąbka tajemnicy. Stąd pomysł na wynajęcie detektywa, który mimo znajomości i tak zainkasował niewyobrażalne pieniądze, a w zamian dostarczył kilka bezwartościowych zdjęć i banalnych, zgoła zawodowych i powszechnie znanych informacji na temat mojego małżonka. Takie wyniki śledztwa co

prawda mnie uspokoiły, ale sprawiły również, że miałam wyrzuty sumienia i czułam się potwornie. Zupełnie jakbym to ja go zdradziła.

Z czasem uznałam, że mój partner po prostu taki jest, i uświadomiłam sobie, że poza sporadycznymi, biwakowo-wakacyjnymi momentami w naszym życiu muszę radzić sobie absolutnie sama. Pomijam aspekt finansowy, bo tu zawsze mogę na Bartka liczyć. Zaspokaja wszelkie niekończące się moje i dzieci potrzeby oraz fanaberie, pod warunkiem że je wymyślimy. Jedyna jego przez nikogo nieinspirowana niespodzianka to wielki rasowy nowofundland, który po dziesięciu latach bycia z nami zmarł dwa miesiące temu. Po krótkiej euforycznej radości, zwłaszcza dzieci, zwierzak stał się zmorą mojego życia i jeszcze jednym WIELKIM obowiązkiem. Zasrał nam nie tylko życie i ogródek, ale również ograniczył wyjazdy i wyeliminował zabawy sylwestrowe (fajerwerki wywoływały u niego gwałtowne napady paniki). Nie pomagały żadne ludzkie, psie ani ziołowe leki, na Bobka nic nie działało. Kulminacyjna okazała się noc przełomu lat 2013 i 2014, podczas której skutecznie wyleczył nas z wszelkich balów i określił, z kim należy się w domu liczyć najbardziej.

Uśpionego relanium pozostawiliśmy go pod opieką ciotki Jagody na podłodze w korytarzu i wymknęliśmy się na szampana do sąsiadów. Jakież było nasze

zadowolenie, gdy po powrocie zastaliśmy godzinę na tym samym dywaniku w tej samej pozycji. Odetchnęliśmy z ulgą. Ciotka Jagoda najwyraźniej podebrała psu relanium, bo spała snem sprawiedliwego w pokoju gościnnym, lekko pochrapując. Klara, wykończona zabawą z małymi sąsiadkami, padła na kanapie w salonie. Zapadła błoga cisza. Jachu na imprezie, dom uśpiony. Otworzyliśmy dobrze schłodzoną butelkę naszego ulubionego proseco i wtuleni w siebie wygodnie zalegliśmy na kanapie. Bartek odpalił na ekranie telewizora zdjęcia z minionego roku: z wakacji, urodzin, imprez ze znajomymi, pierwszych dni Klary w szkole... daliśmy się ponieść wspomnieniom.

Niespodziewanie dotarł do nas opar smrodku, który w salonie był nieśmiałym, choć wrednym obłoczkiem, ale gdy zaczęliśmy niespokojnie lokalizować jego źródło, sprawdzając między innymi podeszwy butów i rury w korytarzu, zmienił się w koszmarne fetor, który na poziomie sypialni osiągnął rozmiary tsunami. Zresztą sypialnia wyglądała jak po przejściu trąby powietrznej. Nasze cudowne, superwygodne łóżko, z dopiero co kupionymi zdrowotnymi materacami, było wywrócone do góry nogami. Porwana pościel, w materacach powygryzane dziury, z których wystawały żalosne resztki gąbki, stłuczone lampki nocne.... a na środku tego nieszczęścia wielka brązowa rzadka psia kupa tonąca w kałuży moczu.

Pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam. To było gorsze od włamania. Kategorycznie odmówiłam sprzątaniam. Jak się okazało, na całe trzy minuty, bo Bartek nie był w stanie sam wyrzucić z domu tego pobjowiska. Na śmietniku wylądowało wszystko z wyjątkiem ramy łóżka, a my cudownie zapowiadającą się pierwszą noc 2014 roku spędziliśmy ściśnięci w łóżku nieobecnego syna. Podobno jaki pierwszy dzień, taki cały rok. Już się boję.

Pies już nigdy nie wszedł na piętro domu, schody zostały zabarykadowane specjalną drabinką, a ja solennie poprzysięgłam i oznajmiłam wszystkim, że absolutnie nie zgadzam się na żadne zwierzaki w domu, od rybek poczynając, na kotach kończąc!

Niespodziewany deszcz przerywa moje rozmyślenia. Plac gwałtownie pustoszeje, a my dołączamy do umykających w panice turystów. Do wątlej mżawki dołączają gwałtowne wyładowania atmosferyczne, robi się ciemno, a niebo rozjaśniają chaotyczne błyskawice. Mamy wrażenie, że burza przetacza się dosłownie nad nami. Docieramy do hotelu przemoczeni do nitki.

Celowo, po wnikliwej analizie planu miasta, zarezerwowaliśmy hotel vis-à-vis najbardziej apetycznego i niezwykłego miejsca Barcelony – targowiska La Boqueria. Jego historia sięga ponoć trzynastego wieku i już nie mogę się doczekać, kiedy

pokażę je Bartkowi i dzieciakom. Teraz wykorzystuję chwilę zmęczenia rodziny i biegnę na rynek po coś do jedzenia. Myślę o aromacie smażonych z cebulą pomidorów i skwierczących kawałków langusty czy kalmarów na patelni. Czuję zapach czosnku i zanurzam się w zacienionych alejkach placu. Zewsząd kuszą kolorowe, świeżo wyciśnięte soki, sałatki owocowe i soczyste warzywa. W zasadzie wszystko, co można wyhodować, upolować i wykroić z jakiegokolwiek zwierza czy owocu, znajduje się tu w stanie świeżym i czystym. Lawiruję w tłumie robiących zdjęcia turystów, dla których największą atrakcją są oczywiście stragany z owocami morza. Ryby nie wywołują takich emocji jak pełzające kraby i homary, oddychające ostrygi, krewetki w różnych kolorach i rozmiarach. Aż trudno uwierzyć, że wszystko to, co morze wyrzuca na brzeg i czego strzępami bawią się nasze dzieci, można zjeść.

Upajam się smakiem skropionych sokiem z cytryny ostryg i z ironią obserwuję obrzydzenie rodziny Rosjan, którzy od dłuższego czasu przyglądają się procesowi przygotowywania i konsumpcji. Po krótkim namyśle decyduję się na zakup kilograma szarych krewetek w rozmiarze czternaście. Upieczone na oleju lnianym z dodatkiem ostrej papryczki habanero smakują wybornie. Maczamy w sosie świeżą bagietkę i mam wrażenie, że ten posiłek jest podsumowaniem najlepszych doznań dnia. Kubki smakowe wariują ze

szczęścia, a rozum krzyczy: Sjesta! Zapadamy w popołudniowy letarg, przerywany niemal nieodczuwalnym drzeniem murów wprawionych w delikatne wibracje jeżdżącym pod budynkiem metrem.

Po godzinie ten sam rozum każe nam wstać i wyruszyć na wędrowkę po mieście. Wychodzę z założenia, że mamy tak mało czasu, że należy nacieszyć się i wyssać soki z każdej chwili. Tyle mamy, ile doświadczymy. Wspomnień nikt nam nie ukradnie. Gnana poczuciem przemijania i świadomością, że dzień zaraz się skończy, zaciągam wszystkich ponownie na plac przed katedrą. Jakaś paranoja. Nadal od czasu do czasu pada albo leje. Akurat w chwili, gdy dochodzimy do kościoła, coraz mocniej. Zmoknięty tłum przed drzwiami świątyni niecierpliwie czeka na godzinę siedemnastą, aż podwoje się otworzą. Księża, skrupulatni jak Żydzi w kantorze, nie zważają na paskudną aurę i moknących wiernych; czekają, aż dzwon wybije pięciokrotnie.

Wreszcie wchodzimy do środka. W pełni ulegam urokowi miejsca. Nie przeszkadza mi nawet marudzenie Klary, z tradycyjnym pytaniem: Długo jeszcze? Nie sądziłam, że coś może mnie aż tak zachwycić. Surowość kamiennych ścian i posadzki zestawiona z bogactwem kapiących złotem kaplic, detalem każdej niszy w murze robi piorunujące wrażenie. Obchodzimy powoli świątynię i z Jachem obiecujemy sobie, że każdego dnia

wrócimy tu chociaż na chwilę...

Gdy dochodzimy do patio, Klarę ogarnia ekscytacja: myśli, że weszliśmy do minizoo. Trzynaście białych gęsi robi taki harmider, że aż ciarki mnie przechodzą i czuję się jak czterdzieści lat temu na podwórku mojej babci. Jedyna różnica jest taka, że te ptaszyska są białe, a tamte, babcine, były szare. Do dzisiaj pamiętam, jak wyciągając w nieskończoność długie szyje – z naszej dziecięcej perspektywy metra trzydziestu – z sykiem goniły nas po podwórzu i boleśnie szczypały. Bardziej bałam się tylko białego koguta Franka, który zniecka potrafił wskoczyć na głowę i dziobiąc, wyrывał włosy. Gęsi świętej Eulalii są zamknięte za płotem, więc poza bólem uszu małej nic nie grozi. Zabawnie jest obserwować jej starania, by zwrócić na siebie uwagę ptaków, i jednoczesną panikę w oczach Jacha, który usiłuje jej nie zgubić w tłumie. Są tak zaaferowani tym, co jeszcze można tu zobaczyć, że nie bacząc na nic, biegną za równie podekscytowaną kobietą w czerwonej sukience, po czym odbijając się od sadzawki, zahaczają o posąg smoka i... trafiają do śmierdzącej toalety. Mają tak skonfundowane miny, że nie mogą przestać się śmiać. Nie wiem, czym są bardziej zdziwieni: swoją naiwnością czy tym, że przy kościele jest WC.

Upojeni wolnością, przemoczeni i zmęczeni wracamy wreszcie do hotelu. Po drodze mijamy dziesiątki sklepów i dwa centra handlowe na placu de

Catalunya. Tak bardzo miałabym ochotę do nich zajrzeć, ale walczę z zakupoholizmem i szczęśliwie przezwyciężam pokusę. Kątem oka dostrzegam, że Bartek przygląda mi się z lekkim oszołomieniem, ale udaję, że nie widzę.

Wakacje zaplanowałam również mojej wątrobie i postanowiłam zasnąć bez pastylki. Zazwyczaj padam chwilę po przyłożeniu głowy do poduszki. Dramat zaczyna się jakieś dwie, trzy godziny później, kiedy to budzę się w poczuciu zwycięstwa i euforii, że dotrwałam do rana, a gdy spoglądam na zegarek, niestety spotyka mnie gorzkie rozczarowanie. Zwykle od pierwszej w nocy zaczynam toczyć regularną dwu-, trzy-, a nawet czterogodziną walkę ze sobą. Usiłuję się wyciszyć, czytać, nie myśleć, napić się wody, pochodzić po domu, a połknięta w chwili przebudzenia pastylka oczywiście nie działa. Może leki nasenne działają tylko o określonych porach? Zamiast snu nachodzą mnie najdziwniejsze myśli i zmartwienia. Przypominam sobie, co miałam, mam i muszę zrobić, podrywam się na myśl, że dzieci czegoś nie sprawdziły, zapisuję na kartce plan na dzień, na tydzień, sprawy do załatwienia. Wsłuchuję się w posapywanie albo nie daj Boże pochrapywanie Bartka na poduszce obok i dostaję szału. Nie śpię do piątej, szóstej, a najczęściej wstaję godzinę po zaśnięciu. Jestem wykończona i mam wrażenie, że wory pod

oczami ważą po pół kilograma każdy. Spokojnemu snowi nie sprzyjają nocne popłakiwania czy wołania Klary, choć najbardziej wytrąca mnie z równowagi szczekający od piątej trzydzieści kundel sąsiadów. Ponieważ nie chce im się wychodzić o poranku z psiakiem na spacer, wypuszczają go do ogrodu, gdzie po serii krótkich siknięć zaczyna ujadać na wszystko.

Odnoszę krótkotrwały sukces i około dwudziestej trzeciej padam. Zdziwiona łomotem i głośną muzyką budzę się po drugiej w nocy i mam wrażenie, że ktoś wyciągnął moje łóżko na środek parkietu w dyskotecę. Ekipa Francuzek zza ściany bawi się w najlepsze! Niestety zabawa nie ogranicza się tylko do apartamentu, bo równie intensywnie rozkręca się na tarasie nad naszymi głowami. Wszystko pulsuje, kakofonia dźwięków sprawia, że nie zasnę do rana. Bosko. Jeszcze nie wiem, że takie imprezy czekają nas przez najbliższe dwie noce!

Rano, to znaczy po jedenastej, usiłujemy zwlec się z łóżek. Panny za ścianą śpią, a my z nieukrywaną satysfakcją bynajmniej nie zachowujemy się cicho: trzaskają drzwi, dzieciaki głośno się kłócą o to, kto ma pierwszy wejść do łazienki, i takie tam. Mam nadzieję, że dziś to nie ja będę musiała schodzić do sklepiku po bagietkę...

Dzień drugi: plaża. W zasadzie jest niezbyt daleko, ale

i tak musimy zabrać sporo rzeczy, bo raczej nie będzie możliwości szybkiego powrotu do domu. Przypuszczam, że nie jest aż tak źle jak nad Bałtykiem, gdzie wszystko: od łopatk i wiaderka przez ręczniki i leżaki po parawany i parasole trzeba zabrać na własnych plecach. Gdy człowiek wreszcie dociera nad brzeg, okazuje się, że dziki tłum zajął już nieomal całą przestrzeń. Parawan ząbca się z parawanem, tak że prawie nie da się dotrzeć do wody, włącza nam się głęboki terytorializm i ogradzamy się kawałkiem materiału niczym płótem na wsi. Nasmarowani olejkami zasiadamy w pełnym słońcu na zapadających się leżakach i sączymy nasz czteropak. Dzieci zaczynają marudzić, że chcą frytki, gofry albo lody, więc wysyłamy współmałżonka do podejrzonej budy przy wejściu, by ustawił się w długiej kolejce. Mamy szczęście, jeśli zachce nam się jeść, a nie na przykład skorzystać z toalety. Jeśli mamy parcie na jedyneczkę, a woda jest w miarę ciepła i szczękając zębami, jesteśmy w stanie wejść do niej po pępek, po czym radośnie wymachując rękoma i delikatnie polewając się po przedramionach, udajemy, że zażywamy dwuminutowej kąpieli – luz. Morze przyjmie wszystko. Takie nasze małe polskie urynasium. Gorzej, gdy nadchodzi dwójeczka. Nerwowo się zastanawiamy, czy zostawić samopas dopiero co rozbite obozowisko, czy zwijać cały majdan i z dwójką dzieciaków biec do toalety, czy może opcja wydm jest bardziej przyjazna. Na wydmi może czyhać na nas niebezpieczeństwo

w postaci pozostałości po poprzednich desperatach, toaleta natomiast może znajdować się dwa wejścia na plażę dalej. Cudownie, gdy jest murowaną sikalnią z umywalkami, licznikiem wejść i babcią klozetową, gorzej, gdy napotykaemy niebieską budkę z zazwyczaj urwanym zamkiem u drzwi. Wtedy zaczyna się jazda: zero papieru, czyli nie ma jak zrobić gniazda, by usadzić dziecko, no i jak je utrzymać, dysponując tak małą przestrzenią, gdy pociecha waży z piętnaście kilogramów? O umyciu rąk nie ma mowy! Toczmy bój, tym bardziej nerwowo, że pod budą przebiera nogami już parę innych osób. W naszym wypadku zazwyczaj takie akcje kończą się szczęśliwie: smród jest tak odpychający, że dzieciakom odechciewa się wszystkiego i możemy wracać na kocyk.

W Barcelonie oczywiście ma być inaczej: są leżaki, parasole i toalety, więc bagaż też skromny. Zero wiaderek, parawanów, zabawki małe: iPady i czytniki nie zajmują dużo miejsca. Wyruszamy około południa. Bartkowi włącza się opcja samca alfa i zadowolony z siebie prowadzi nas na przystanek tuż obok hotelu. Po kilku minutach siedzimy wygodnie w systematycznie pustoszejącym autobusie i z niecierpliwością wyglądamy linię brzegową, wzdłuż której mieliśmy jechać. Po pięciu przystankach lekko pobladły małżonek oświadcza, że chyba jedziemy w przeciwnym kierunku, bo gdy wychodzi z hotelu, zawsze mu się wydaje, że morze powinno być z drugiej strony. Sic! Nie dość, że

wysiadamy na uliczce jednokierunkowej i sporo czasu zajmuje nam znalezienie przystanku w drugą stronę, to jeszcze robi się piekielnie gorąco. Niewielkie torby dziwnie zwiększyły objętość i ciężar. Wreszcie docieramy na przystanek i niecierpliwie czekamy na autobus.

– Mamo, pojedziemy metrem? Już mnie bolą nogi! – marudzi niezawodna w takich sytuacjach Klara.

– Nie, dziś na plażę zawiezie nas autobus, tylko musimy chwilę poczekać. Jedziemy tym z numerem 53.

– Chce mi się pić! – narzeka mała.

– Klara, przestań, też jesteśmy zmęczeni. Zaraz wsiadamy i za chwilę na plaży się napijesz.

– Mamo, zobacz tego faceta, jakie ma niesamowite dredy, wyglądają jak turban. Jakiś koszmar. Ciekawe, ile ważą i jak je myje. – Jachu wyhacza z tłumu gościa, który ma może z metr sześćdziesiąt wzrostu, ale dzięki dziwnemu kokonowi na głowie zyskuje dodatkowe pół metra. Jest tak rachityczny, że aż dziw, że jest w stanie udźwignąć taką burzę włosów.

Dekoncentruję się dosłownie na chwilę, a gdy znowu odwracam się do Klary, zamieram i zaczynam krzyczeć. Bartek patrzy na mnie jak na wariatkę i ze stoickim spokojem pyta, o co chodzi.

Jak to, kurwa, o co chodzi?! Autobus, który dopiero co podjechał, właśnie zamknął drzwi za naszą córką i zaczyna powoli ruszać z wysepki. Oczywiście

przyciągam spojrzenia ludzi, którzy mają mnie za wariatkę, i nikt się nie rusza poza Jaśkiem, który usiłuje biec za autobusem. Mała musiała pomyśleć, że to nasz numer, i nie oglądając się na nic, wsiadła. Jezu, co teraz? Na La Rambli zawsze jest pełno wolnych taksówek, które co prawda poruszają się powoli i w korku, ale przecież w takim samym korku jadą wszyscy.

Tu jesteśmy na bocznej ulicy i nie dość, że nie ma taksówki, to jeszcze wszyscy jadą stosunkowo szybko. Udaje nam się tylko dostrzec numer na tylnej szybie autobusu i mieć nadzieję, że mała nie spanikuje i nie zacznie płakać. Oby wysiadła na następnym przystanku. Tuż przed wyjazdem na wkładce buta permanentnym markerem zapisałam jej numer naszych komórek, tylko skoro nie zna języka, to jak się porozumie z innymi? Jasiek dalej biegnie, usiłując dojrzeć trasę autobusu. Bartek bezradnie się rozgląda, wreszcie macha na taksówkę, która miją nas, po dach załadowana ludźmi. Ja pierdolę, co robić?! Nie zastanawiając się, rzucam się na ulicę i próbuję zatrzymać jakiś samochód. W końcu zatrzymuje się lekko przestraszony facet w średnim wieku i gada do mnie po hiszpańsku. Plotę po angielsku coś w deseń: baby, bus, help i ładuję się na przednie siedzenie. Koleś chyba jest lekko oszołomiony, ale ja, przypięta pasem, nie dam się wyrzucić. Nie wiem, czy zrozumiał, o co mi chodzi, ale w końcu ruszamy i szczęśliwie jedziemy we właściwym kierunku. Zapomniałam o Bartku, ale mamy komórki, więc się

odnajdziemy.

Mijamy czerwonego i zasapanego Janka, a mi serce bije mocniej, jeśli to w ogóle możliwe, gdy dostrzegam tył autobusu zatrzymującego się na przystanku. Udaje mi się dotrzeć na przystanek w chwili, gdy autobus rusza. Wsiadło z niego sporo ludzi, ale Klary wśród nich nie dostrzegam. Musiała pojechać dalej! Jedziemy z Hiszpanem trasą linii 67 i na kolejnym przystanku zbliżamy się do pojazdu na tyle, że udaje mi się przyjrzeć wszystkim wysiadającym i jednocześnie przesiąść się z samochodu do autobusu. Biegnę przez środek i wszędzie szukam mojego dziecka. Małej nigdzie nie ma! Dopadam do kierowcy i pytam o małą dziewczynkę. Rzeczywiście wsiadała (wszyscy wsiadają z przodu), ale czy wysiadła, nie wie. Czy to możliwe, że mogłam ją przegapić? Chyba nikt jej nie porwał? Każę mu dzwonić na policję. Gość oczywiście nie rozumie, ale ktoś z pasażerów odzywa się za moimi plecami i zaczyna tłumaczyć. Młody, rudy i piegowaty chłopak głośno woła, że szukam małej dziewczynki. Czy ktoś ją widział? Jestem w takim stresie, że gdyby ktoś mnie zapytał, w co była ubrana, nie byłabym w stanie odpowiedzieć.

W końcu z tyłu słyszę okrzyki i zakwefiona para kobiet zaczyna intensywnie machać w naszą stronę. Przepycham się w kierunku ostatniego siedzenia i dopiero po chwili rejestruję to, co widzę. Zapłakana na podłodze kuli się moja córeczka. Bezgłośnie szlocha,

buzię ma całą zapuchniętą i jest nie biała, lecz zielona ze strachu. Jeszcze nigdy nie czułam takiej ulgi i radości! Biorę ją na ręce i świat przestaje istnieć. Płacę ogromnymi łzami, nie zważając na rozmazujący się po policzkach tusz do rzęs. Mam cały świat w ramionach.

Wysiadamy na pierwszym przystanku i jeszcze drżącymi, a w zasadzie trzęsącymi się rękoma wybieram numer Jaśka, a potem Bartka. Czekam na nich na plastikowym krzeselku pobliskiej knajpki, całkowicie wyzuta z sił. Faceci docierają po dość długiej chwili i choć usiłują zgrywać twardzieli, że niby przecież nic się nie stało i wiedzieli, że wszystko się dobrze skończy, tulą malutką, a jeszcze rozszerzone źrenice zdradzają ich prawdziwy stan.

Zamawiamy zimne soki i czekamy, aż wróci nam normalny puls i będziemy mogli porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Klara tak się najadła strachu, że nie odstępuje mnie na krok. Cały czas trzymam w dłoni jej małą, spoconą rączkę.

Po godzinie wreszcie docieramy na plażę i nie mamy ochoty absolutnie na nic. Leżymy w cieniu parasoli na twardych leżakach jak foki na kamieniach i obserwujemy ludzi. Spod przymkniętych powiek przyglądam się mojemu dorastającemu synowi, który tylko strzela oczami na wszystkie strony. Jedna trzecia kobiet opala się topless, prezentując mniejsze i większe biusty na

różnym poziomie obwiśnięcia. Zdziwiająco, że średnia wieku amatek pełnej opalenizny sięga pięćdziesiątki, na miejscu Jaśka nie miałabym wielce estetycznych doznań. Nawet zaczęłam się obawiać, by pod wpływem takich widoków nie zraził się do płci przeciwnej. Niespodziewanie synuś zawiesza czytanie i coraz niecierpliwiej wierci się na leżaku. Zastanawiam się, o co może chodzić, ale spojrzenie męża naprowadza mnie na obiekt ekscytacji panów. Właściwie: obiekty. Są ich cztery, młode i tak apetyczne, że sama nie mogę oderwać wzroku. Cholera, niektórym Bozia daje tak wiele, cichutko liczę na to, że może chociaż jakieś głupie te laski. No, przynajmniej wiem, że mam zdrowego i prawidłowo rozwijającego się syna.

Jan w tym roku zakochał się po raz pierwszy bardzo poważnie. Wcześniej przeżywał długotrwałe zauroczenia, które potrafiły trwać od zerówki do piątej klasy, ale teraz mam wrażenie, że to inny poziom emocji.

Dwa lata temu do klasy dołączyła w połowie roku Marta. W zasadzie pojawienie się nowej koleżanki nie odbiło się większym towarzyskim echem. Być może jej przeciętna uroda nie zrobiła na rówieśnikach piorunującego wrażenia. W zasadzie nawet bym nie zauważyła, że klasa się powiększyła, gdyby nie obecność na zebraniu antypatycznej matki, która nie tylko nikomu

nie mówiła ani nie odpowiadała dzień dobry, ale na domiar złego wszystkich omiatała nieprzychylnym wzrokiem. Musiało coś w tym być, skoro mój nic nierejestrujący mąż, wracając z któregoś ze szkolnych spotkań, zapytał, kim jest to wstrętne, przemądrzałe i wszechobecne babsko. Upływ czasu nie zmieniał jej nastawienia do nas ani naszego do niej. Nadal nikt nie wie, jak ma na imię, ale gdy ktoś pyta o tlenioną blondynkę z obciętymi na krótko włosami i w nieodłącznej dzinsowej miniówce, wszyscy wiedzą, o kim mowa. Ponieważ Bartek nie lubi moich negatywnych komentarzy i spostrzeżeń na temat innych, skorzystałam wtedy z okazji i powiedziałam:

– Wiesz, nigdy nie wiadomo, może się kiedyś okazać na przykład teściową twojego syna...

– Co ty pleciesz! – Oburzony i wyraźnie zbity z pantałyku Bartek usiłował zrozumieć, o co mi chodzi.

– Nic, nastaw się pozytywnie, przecież zawsze mi to powtarzasz. Wyobraź sobie, że to nasza rodzina i spędzasz z tą panią Wigilię w atmosferze rodzinnego szczęścia. Podejrzewam, że ma i męża, i inne dzieci, więc imaginuj sobie całą rodzinę.

Z satysfakcją zostawiłam mojego skonfundowanego męża i śmiejąc się, umknęłam do kuchni. Gdybym wtedy wiedziała, jak bliska jestem prawdy, z pewnością zachowałabym powagę, a trening z akceptacji i tolerancji zadała sobie.

Pomna własnych doświadczeń z teściami nie dalej jak parę miesięcy temu usiłowałam wytłumaczyć mojej najbliższej przyjaciółce, że nie powinna ingerować w związek dwudziestotrzyletniego syna. Jeśli jest szczęśliwy u boku Laury, to niech go wspiera, a krytykowanie jej niskiego wzrostu, złego gustu, niestosownego makijażu, niewielkiego zaangażowania w studia i złego prowadzenia, czyli tego wszystkiego, do czego potencjalna teściowa może się przyczepić, nic nie da. Paweł będzie tylko żył w coraz większym poczuciu krzywdy i podświadomie będzie usiłował jeszcze bardziej zbliżyć się do dziewczyny i nią zaopiekować. Byłam w szoku, gdy miesiąc później na urodzinach Magdy spotkałam się oko w oko z tą „wywłoką”. Nie dość, że dziewczyna studiuje na drugim roku prawa, to jest ładniutką filigranową blondynką z delikatnym makijażem i uroczym uśmiechem. Z zaangażowaniem przez cały wieczór pomagała Magdzie w kuchni, zmywając naczynia i donosząc potrawy na stół. Z wdziękiem odparła też złośliwą uwagę Waldka zmierzającą do usadzenia bab przy garach i ograniczenia im wszelkich praw.

Jedyne, do czego ja mogłabym się przyczepić, to jej niski wzrost i zamiłowanie do czarnych ubrań. Ale pamiętam moje uwielbienie dla tego koloru, gdy byłam w jej wieku, i wkurzające uwagi świętej pamięci babci, że wyglądam jak wrona i zobaczę, że jeszcze kiedyś pokocham błękity i czerwień, a im będę starsza, tym

mniej będę mieć ochotę na głupie powieści, bo oddam duszę historii i biografii. Spoglądając teraz na swój biały strój kąpielowy w różowe wisienki i zielonkawą sukienkę, nie wiem, co myśleć: że babcia miała absolutną rację czy że tak bardzo się posunęłam. Zresztą pewnie jedno i drugie.

Tydzień po pamiętnej kolacji u Magdy, siedząc w designerskiej knajpce w naszym ulubionym centrum handlowym, dzielę się z nią moimi spostrzeżeniami i nadal usiłuję przekonać ją do Laury, co wydaje się dość karkołomnym przedsięwzięciem. Obserwujemy mijających nas ludzi i nagle Madzia, wskazując na zgarbioną, zaniedbaną dziewczynę, ze źle tlenionymi czarno-żółtymi włosami, w nabijanej napami dżinsowej minisukienki i w koszmarnych białych butach z kowbojskim obcasem i zadartym noskiem, mówi:

– Idzie twoja synowa. Spróbuj ją zaakceptować, wstąpcie razem do kawiarni na deser.

Z perspektywy dnia dzisiejszego mam wrażenie, jakby to była klątwa czarownicy. Myślę o matce Marty i aż mną trzęsie.

Pod koniec maja Jasiek zapytał, czy może zaprosić do domu koleżankę.

– Nie miałybyś nic przeciwko temu, żeby odwiedziła mnie znajoma?

– Nie, oczywiście, że nie. A kto to? Koleżanka z klasy?

– Tak. – Małomówny Jasiek milknie jeszcze bardziej.
– Aha, Agata. No pewnie, zadzwonię do ciotki, to może uda nam się wypić kawę na tarasie.

– Nie, nie Agata.

– No to kto? – Czuję, że to raczej nie zwykła kumpelka, tylko ktoś szczególny, i aż zżera mnie ciekawość.

W pierwszej klasie liceum pojawiło się kilka nowych osób, w tym dość atrakcyjne dziewczyny, które zaledwie mgliście kojarzę ze szkolnego korytarza, więc tym bardziej mnie intryguje, która z nich do nas zawita.

– Ktoś nowy czy dawna znajoma? No, tylko nie mów, że to ktoś wyjątkowy... – Nieporadnie usiłuję wyciągnąć informacje z syna i zarazem rozluźnić atmosferę. Idzie mi coraz gorzej i czuję, że brnę.

– Umówiłem się z Martą.

– O, super, kojarzę ją, to ta wysoka brunetka, Bobrowska, tak?

– Nie, nie z tą Martą, z Martą Drozd, no wiesz, tą blondynką. Tylko nic nie mów Klarze i ojcu. Obiecujesz?

– Obiecuję – udaje mi się wykrztusić i ułożyć usta w nieśmiały, ale jakże optymistyczny uśmiech.

Kurde, to córka tej bezimiennej matki, wiecznie nadąsana i spoglądająca zza szkieł ciężkich okularów. Co on w niej widzi, nie wiem. Wiem natomiast, co ja widzę oczami wyobraźni: zastawiony pasztetami i sałatkami świąteczny stół, tonący w blasku niezliczonych świec,

oblegany przez naszą rodzinę, dziadków, ciotki i... tlenioną blondynę z jej dziećmi i starym. Ciekawe, czy ma galową wersję spódnicy dżinsowej?

– Mamo, mam, słyszysz, co mówię?

Budzę się z transu i udaję pełną akceptację dla pomysłu i gustu Jaśka.

– Tak, tak, to znaczy chyba nie. Zastanawiałam się, co wam ugotuję na obiad. – Nieudolnie maskuję panikę i usiłuję wybrnąć z sytuacji.

– No właśnie mówiłem, że Marta nie lubi surówek. Czy możesz upiec kurczaka? Byłoby super.

– Pewnie, upiekę kurczaka i zrobię szpinakową sałatę. Na kiedy ją zaprosiłeś?

– Na jutro. Muszę posprzątać pokój i pozbierać ciuchy. Mamo, powiedz Klarze, żeby do nas nie wchodziła z tymi głupimi petshopami, mam jej gumki i spinki wszędzie na podłodze.

Nie wierzę. Mój syn sam z siebie idzie sprzątać. Faktycznie jakiś czas temu zauważyłam większe zużycie mydła i czystej odzieży, ale nie kojarzyłam tego z panną.

– To może zaproszę Julkę i mała się z nią pobawi, a wy będziecie mieć spokój?

– Jesteś kochana, dzięki.

I już go nie ma.

Następnego dnia pod bramą szkoły na tylne siedzenie samochodu obok Julki i Klary ładuje się Marta. Grzecznie mówi dzień dobry, ale minę ma nieustająco

zaciętą i chyba niepewną. Zaczynam rytuał powitalny każdej matki pod szkołą:

– No cześć. I jak było? – Nie ma znaczenia, kogo pytam, odpowiedź jest zawsze taka sama.

– Dobrze.

– Byłeś pytany?

– Nie.

Ciekawe, że przez mniej więcej dwieście pięćdziesiąt dni roku szkolnego żaden nauczyciel o nic nie pyta żadnego z moich dzieci.

– A zjadłeś śniadanie? – brnę dalej.

– Tak.

Papka z na wpół zgniłych owoców na dnie plecaka i resztki chleba ubrane w futra pleśni z pewnością zostały podrzucone przez inne dzieci.

– I co? Smakowało?

– Tak.

– A z czym miałeś kanapki?

– Nie pamiętam.

I tak, radośnie konwersując, docieramy do domu. Maluchy z wibrującym wrzaskiem na wysokim c dopadają trampoliny w ogrodzie i wiem, że będę miała problem z zagonieniem ich i do jedzenia, i do lekcji, natomiast starszyzna niepewna, co ma robić, kręci się po domu. Zaganiam ich do nakrywania stołu i usiłuję nawiązać rozmowę z Martą. Idzie nam jak po grudzie, ale twardo staram się nie zrażać i wykazywać

nieskończone pokłady troski przetykanej optymizmem i dobrym nastrojem. W środku aż się trzęsę z wysiłku i zastanawiam, ile przetrwa ten „związek”.

Wreszcie podaję obiad i mogę lepiej przyjrzeć się młodej. Z pewnością nie jest posagową pięknoscią, a biorąc pod uwagę geny i to, co widzę przed sobą, nigdy nią nie będzie. Paskudne okulary zabijają resztki wdzięku i rodzącej się kobiecości. Z paniką obserwuję u Marty gesty i mimikę matki, a sporadyczne komentarze jednoznacznie wskazują na ich bliskie pokrewieństwo. Jasiek dla odmiany dwoi się i troi, by dogodzić koleżance, co rusz proponuje kolejne potrawy, a to kurczak, a to buraczki, i wreszcie pyta:

– I co, smakuje ci?

Czuję, jak moje ego zaczyna się puszyć i nadymać, gotowe przyjąć okrągły i miły komplement, gdy niespodziewanie słyszę:

– No, może być.

Jezu! Chce mi się wyć, nie nad potrawami czy nad sobą, ale z powodu gustu mojego syna! Gdybym mogła, zdzieliłabym go w łeb i kazała się rozejrzeć. W myślach tłukę głową o ścianę i przypominam sobie moje solenne przysięgi i obietnice, że nie będę wredną teściową. Dobrze pamiętam, czego sama doświadczyłam, i na tej podstawie nabieram pewności, jaka nie powinnam być. Zawsze się śmiałam, że spiszę sobie regulamin obejmujący zasady i największe potencjalne grzechy

teściowych, umieszczę na drzwiach lodówki i z pewnością nie będę TAKA! Liczę w myślach do dziesięciu i... nic. Liczę jeszcze raz i udaje mi się wykrztusić:

– O, to bardzo się cieszę. Jeśli masz ochotę na coś jeszcze, proszę, częstuj się.

Pamiętam moje zdziwienie, gdy dwa dni później spotkałam przypadkowo mamę Marty i nie dość, że usłyszałam powitanie, to jeszcze zostałam zagadnięta:

– Dzień dobry. Chciałam podziękować za ugoszczenie Martusi. Była zachwycona domem i pani kuchnią.

Lekki szok sparaliżował mi zwoje mózgowie i dopiero po długiej chwili byłam w stanie wydukać podziękowanie.

W miarę upływu tygodni mała i nieśmiała Marta zyskuje coraz więcej odwagi i energii i z przerażaniem obserwuję, jak potężny wpływ ma na moje dziecko, które niemal staje się jej niewolnikiem spełniającym wszelkie jej zachcianki. Nie powiem, młoda ma cholerną ambicję i sporo czasu spędza nad książkami. Jachu usiłuje jej dorównać i też ślęczy nad biurkiem, a wieczorami prosi nas o przepytanie, doprowadzając Bartka do szewskiej pasji, bo co rusz odrywa go od niekończących się i dla mnie meganudnych meczów tenisowych, które skrupulatnie są zatrzymywane na NC+ i skutecznie blokują możliwość oglądania czegokolwiek innego.

Znakomita większość sparringów nigdy nie została do końca obejrzana, ale za to trafiła do archiwum naszej nagrywarki, zajmując całą jej pamięć. Z braku dostępu do telewizji przerzucam się na czytanie książek, a sterta prasowania, którą zwykle pokonuję, oglądając idiotyczne talk show i durne seriale, rozrasta się do monstrualnej wielkości.

Myślałam, że Jaśka znudzą nauka i wyścigi z Martą, ale o dziwo nie odpuścił aż do końca roku szkolnego i tak się zaangażował, że jego wcześniejsze mrzonki o medycynie mają szansę stać się rzeczywistością.

Ogłuszona zmianą, jaka zaszła w moim synu, usypiam rodzicielską czujność i nie dostrzegam innych aspektów tej relacji. Tym większy przeżywam szok, gdy sądząc, że są jeszcze na korepetycjach, bez pukania wchodzę do pokoju syna. Oparci plecami o brzeg kanapy siedzą na podłodze i z niezwykłym zaangażowaniem i namiętnością oddają się praktycznej stronie zajęć z biologii, a w zasadzie z anatomii. Jestem w szoku i niezgrabnie usiłuję wycofać się z pokoju. Jasiek płonie najintensywniejszą purpurą i mam wrażenie, że się popłacze albo mnie uderzy, natomiast Marta poprawia bluzeczkę i jak gdyby nigdy nic mówi uprzejmie: Dzień dobry.

Z tym większym zainteresowaniem, sącząc zimną margaritę, nasmarowana kremem z filtrem faktor

trzydzieści, przyglądam się mojemu synowi dyskretnie obserwującemu panny na plaży. Jestem ciekawa, czy robi porównania z Martą i czy dostrzega inne możliwości poza nią. I tak odzywa się we mnie wredny głos teściowej.

Rozmyślenia przerywa dźwięk telefonu. Po porannej interwencji dotyczącej nocnych hałasów oddzwania nasza recepcjonistka z przeprosinami i zapewnieniami, że to się już nie powtórzy. Ponoć zwróciła uwagę naszym sąsiadkom, które obiecały zachowywać się ciszej, a dodatkowo uspokaja nas informacją, że Francuzki jutro wyjeżdżają, a do apartamentu wprowadza się para starszych ludzi, więc z pewnością będzie spokojniej. W ramach rekompensaty możemy ostatniego dnia pobytu zostać w pokoju nie, jak to było pierwotnie ustalone, do dziesiątej rano, lecz do dziewiętnastej, co jest fantastyczną propozycją, bo samolot mamy dopiero o dwudziestej trzydzieści i nie będziemy mieć problemu z przechowaniem bagaży.

Czuję, że pozornie niemrawe słońce całkiem mocno przypieka mi łydki, które bezskutecznie usiłuję schować w cieniu parasola. Mała grzebie w piachu łyżką do zupy zabraną z apartamentu i bezowocnie usiłuje zachęcić Jaśka do zabawy, układając wzorki z kamyczków i nielicznych połamanych muszelek. Młody przybiera strategiczną pozycję na leżaku i udając zainteresowanie budowlą Klary, przygląda się mocno rozneglizowanym

dziewczynom, które niespodziewanie podrywają się z koców i z piskiem biegną do wody. Niby tak sobie i z dobroci dla siostry wyjmuję z torby miękką piłeczkę i pyta, czy pójdą razem porzucać i poskakać przez fale. Muchomorek jest zachwycony i biegnie do morza. Jachu, prężąc się i nadymając na razie cherlawe, ale nieźle zapowiadające się ciało, nieustannie kontroluje, co u dziewczyn, i bawi się z siostrą. Zgrabnie manewruje, tak by piłka wpadła w grupę Hiszpanek, i po chwili z zaskoczeniem stwierdzam, że z nadzwyczajnym u niego zaangażowaniem oddaje się konwersacji, a nadęta mała wraca pod parasol i szarpie Bartka, by zastąpił brata.

Po kolejnych dwóch godzinach plażowania nie udaje nam się wrócić do hotelu, bo Jasiak błagalnym wzrokiem żębrze o jeszcze chwilę sam na sam z atrakcyjną brunetką, która dumnie wypina gołą pierś, świadoma wrażenia, jakie robi na moim synu miseczką C. Cholera, chyba już tęsknię za Martusią. Za wszelką cenę usiłuję zachować resztki nadziei na to, że będę zachwycona dziewczyną Jaśka, i pozbyć się obaw, że zostanę postawiona pod ścianą, zastanawiając się, która z nich jest mniejszym złem. Okazuje się, że gusta potomstwa stanowią ogromną zagadkę i zmuszają nas do odkrywania w sobie co rusz nowych pokładów tolerancji.

W końcu docieramy do hotelu. Zdumiewa mnie, jak bardzo wyczerpujące i męczące jest nicnierobienie,

leżenie na plaży i opalanie się. Mam wrażenie, że promienie słoneczne, zamiast naładować moje akumulatory i napełnić witaminą D, zabierają resztki energii, która ocalała po zimowych mrozach. Najchętniej nie ruszałabym się z domu (swoją drogą, jak łatwo przychodzi nam nazywanie miejsca, w którym śpimy, domem), ale dzieciaki znowu są głodne. Czasami wydaje mi się, że ich żołądki są dziurawe i przelatuje przez nie wszystko, co tylko położę na talerzu. Zabawne jest lekkie osłupienie Bartka, gdy w knajpkach Jasiek zamawia największe dania, a pochłaniając z apetytem ostatni kęs, zastanawia się już nad kolejną przekąską.

Na wieczór mamy z mężem chytry plan. Musimy tylko przekonać dzieciaki, że są zmęczone, co, biorąc pod uwagę ich stan, nie powinno stanowić najmniejszego problemu, i zachęcić je do pozostania w hotelu. Cichaczem kupiliśmy bilety na koncert flamenco w wykonaniu światowej sławy gitarzystki, który, żeby było jeszcze bardziej romantycznie, odbędzie się we wnętrzach starej kaplicy.

Odświeżeni prysznicem i schłodzeni klimatyzacją wychodzimy na nagrzone ulice. Gwałtownie oblepia nas gorące powietrze, przywierając ulicznym kurzem do nabalsamowanych ciał i sprawiając, że ledwo powłóczymy nogami. Głód jest jedynym bodźcem do poszukiwania lokalnej knajpki ukrytej przed turystami, a marudzenie Klary osiagające poziom „mamo,

weźmiesz mnie na ręce?!” jest nie do zniesienia. No i jak na złość na placu przed katedrą rozkłada się trio mimów, którzy rozdając różowe i błękitne baloniki, zachęcają dzieciaki do obejrzenia wieczornego pokazu.

Nasza córka zostaje wyróżniona z tłumu gapiących się dzieci, gdy ubrany w seledynową balową suknię à la Maria Antonina, z ogromnym pawim piórem w misternie upiętych włosach posąg niespodziewanie ożywa i wręcza małej pąsową różę. Klara jest tak oszołomiona i zachwycona, że z pewnością nie uda nam się opuścić wieczornego występu trupy. Róża staje się najważniejszą pamiątką i najpiękniejszą rzeczą, jaką Mrówka kiedykolwiek posiadała, a mnie przeszywa zimny dreszcz, gdy pomyślę, że do jutra kwiatek zwiędnie i po dzisiejszej euforii czeka nas dzień żałoby. Oddycham z ulgą, gdy okazuje się, że to nie (ledwie) żywa roślina, tylko sztuczna imitacja.

Nagle nie ma znaczenia, gdzie zjemy i co, byle tylko zdążyć na pokaz. Jasiek też jest jakoś dziwnie skupiony na sobie i mam poczucie, że wędruje w równoległym świecie.

– Jasiek! Uważaj, stopień! Co ty, chłopie, jesteś taki nieprzytomny? O czym myślisz? – Idiotycznie zadaję ponoć znienawidzone przez facetów pytanie. Ciekawe, dlaczego tak im ono przeszkadza? Czy stan zawieszenia jest kompletną pustką i bezmyślnością, czy też to jedna z tysięcy chwil w ciągu dnia, gdy myślą o seksie? Brrr...

Mam nadzieję, że umysł mojego syna nastawiony jest jednak na inną projekcję.

– A nic, tak tylko się zastanawiam.

– Nad czym?

– No... w zasadzie to umówiłem się z Angelą na wieczór.

– Słucham?

Cholera jasna. A co z moim koncertem? I gdzie on właściwie się umówił? Co to za dziewczyna? Przecież nic o niej nie wiem! Pozwolić czy nie? A jeśli coś mu się stanie? Może to jakaś podpucha? A jak się zgubi? Przecież to Barcelona! No chyba nie będzie jechał metrem? Gdzie jest Bartek? Dlaczego w takich chwilach jak zwykle go nie ma? Usiłuję uspokoić myśli, liczę do dziesięciu i jeszcze raz.

– Jak to, „umówiłeś się”? Chyba nie zamierzasz wychodzić wieczorem?

– No, normalnie. Umówiliśmy się na placu przed katedrą, Angela mieszka tu niedaleko.

Kurde, to jeszcze dochodzi niebezpieczeństwo, że może do niej pójdą i znikną mi z oczu. No nie. Przecież mój syn ma zaledwie siedemnaście lat, ona pewnie też, z pewnością mieszka z rodzicami... Myślę jedno, mówię drugie, lekko zmieniając istotę problemu.

– Jasiu, to fajnie, tylko że tata zrobił mi niespodziankę i zaprosił dzisiaj na wieczorny koncert gitarowy do kościoła. Ktoś musi posiedzieć z małą, no

i nie możesz sobie nigdzie iść w chwili, gdy mamy wyłączone komórki i jesteśmy poza zasięgiem.

– Mamo, proszę, naprawdę chciałbym się z nią zobaczyć. Przecież wiesz, że nigdy nigdzie nie wychodzę.

Robi tak autentycznie zrozpaczoną minę, że nie mam serca być asertywna, i ten stan mnie dezorientuje, bo co jak co, ale zawsze jestem bardzo konsekwentna. W panice przerzucam myśli, odkładam na bok i segreguję w nierówne kupki. Co robić?

– Masz do niej telefon?

– Nie.

– Może nie dała ci numeru, bo nie zamierza przychodzić na spotkanie?

– Raczej nie, mówiła, że wczoraj, gdy wracały brzegiem morza, wpadła jej do wody torba plażowa razem z telefonem, a jeszcze nie ma nowego.

Mam wrażenie, że marzenie o miłym wieczorze gna w niebyt jak wystraszona kuna przez trawnik w ogrodzie. A właściwie dlaczego nie?

– Jasiek, musimy iść na ten koncert, zapłaciliśmy kupę kasy za bilety i tata byłby zawiedziony, zresztą ja też. Klara nie może zostać sama w hotelu, w ogóle nie ma takiej opcji, a ty z kolei nie możesz jej ciągnąć za sobą do miasta. Zresztą mała będzie megazmęczona. – Jasiek zapada się w sobie, a ja sama nie wiem, dlaczego mówię: – Na którą się umówiłeś?

– Na ósmą, ale okej, nie muszę iść. – Młody jak zwykle poddał się całkowicie.

– To może zrobimy tak, że na siódmą przyjdziemy na pokaz mimów, posiedzimy na placu i poczekamy, czy twoja panna przyjdzie czy nie. Nasz koncert zaczyna się o dziewiątej, więc jeśli się pospieszymy, to zdążymy was odprowadzić do hotelu i dotrzeć do kościoła.

– No, tylko będę mieć strasznie mało czasu, kilka minut, to trochę głupio.

– Mówiłeś, że ona mieszka niedaleko, to może zaprosisz ją do nas na taras i sobie pogadacie. – Mam wrażenie, że odjęło mi rozum. – Mała poogląda w salonie bajki, a wy będziecie mieć święty spokój.

– Naprawdę?

Jak niewiele trzeba, by przywrócić chłopaka do życia! Myśl o spotkaniu z Angelą unosi go niczym wiatr wronę na wietrze i... synuś znowu traci zasięg.

– Czy ty słyszysz, co ja mówię?

– Sorki, nie, a co mówiłaś?

– Że absolutnie nie zgadzam się na odwiedziny jej koleżanek, a tym bardziej kolegów, rozniosą nam chatę, nim się zorientujesz, co się dzieje. To po pierwsze, a po drugie, nie wolno wam olać Klary, macie się nią zająć, OK?

– Jasne. OK. Dzięki, mamó.

Wiem, że mogę Jaśkowi w pełni zaufać i nie wywinie żadnego numeru, ale i tak czuję dyskomfort wynikający

z zaproszenia nieznanej dziewczyny nawet nie do naszego domu, tylko do hotelu. Mam ogromną potrzebę prywatności i nienawidzę, gdy ktoś chodzi po moim mieszkaniu, nie zniosłabym zagładania w kąty czy grzebania w moich rzeczach. Dlatego mimo ogromu zajęć nie mamy pani do sprzątanía.

O dziewiętnastej lądujemy całą rodziną na dobrze nam znanym placu przed katedrą. Na niebie pojawiają się pierwsze maleńkie wiatraczki wystrzeliwane przez dzieciaki. W ich rozprowadzaniu specjalizują się ciemnoskórzy kolesie, którzy za jedno euro są dystrybutorami dziecięcego szczęścia i rodzicielskiego spokoju, aż do chwili, gdy zniesione wiatrem światełko zawisnie w koronie drzew, doprowadzając do płaczu, który jest w stanie ukoić tylko kolejna wydana moneta.

Siadamy na schodach, czekając na pokaz mimów, a w zasadzie na pojawienie się nowej przyjaciółki syna. Odnoszę wrażenie, że znaleźliśmy się w programie „Mam talent”. Z prawej strony placu na byle jakim krzeselku zasiadł starszy człowiek, który pobrzękując na gitarze i śpiewając liryczne piosenki, ckliwymi i smętnymi nutami budzi wzruszenie. Jednocześnie w tle niosą się dźwięki saksofonu. Ich źródło znajduje się przy bocznym wejściu do kościoła. Niespodziewanie plac pustoszeje i na scenie pojawia się rozczochrana filigranowa blondynka i sympatyczny brunet, który

nieustannie odgarnia loki z oczu. Zaczynają przedziwny i niesamowity taniec, a właściwie akrobacje na obręczy, i mimo wrodzonego dystansu do wszelkich cyrkowych pokazów jesteśmy zachwyceni. Klara jednak czeka na mimów i zaczyna marudzić. Chyba całodzienne zmęczenie bierze górę, co przy odrobinie szczęścia może zaowocować dla nas wolnym wieczorem. Wreszcie mała piszczy z zachwytu i nie może usiedzieć na miejscu, gdy zza drewnianego ażurowego parkaniku wyłania się bezowata, ozdobiona koronkami, falbankami i kokardkami turkusowa suknia, a daleko za nią wyczekiwane trio. Występ jest bardzo przeciętny, ale bajeczne stroje przyciągają uwagę ludzi tak dalece, że po chwili pan z gitarą zwija się i odchodzi dalej.

Myślę, że ani ja, ani Jasiek nie zapamiętamy wiele z pokazu, gdyż oboje wypatrujemy w tłumie Miseczki C. Młody czeka na nią jak dziecko na świętego Mikołaja, cały spięty. Zlany połową flakonu perfum ojca, pozornie wyluzowany, w rzeczywistości napięty do granic król życia. Mimochodem coraz bardziej się od nas odsuwa, lekko sugerując, że się nie znamy, a przynajmniej że rodzice są tu przypadkiem. Lecz gdy robi się dwadzieścia po ósmej, Janek wygląda tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, wraca do lekko przykurczonej postawy, tracąc dobre pięć centymetrów wzrostu, i naciska na nas, żebyśmy już wracali. Żal mi go, ale w duchu zaczynam się cieszyć, że kłopot z głowy i panna też. Pojutrze wysiądziemy na innym nadmorskim

przystanku i rozłożymy się na innych leżakach, żeby nie było mu smutno i by nie poczuł się niekomfortowo w razie spotkania.

Zbieramy bluzy i sweterki, gdy nieoczekiwanie obok Jaśka wyrasta Angela ubrana w zwiewną różową sukienkę w drobne białe kwiatki i rozpinany purpurowy sweterek. Po gołych piersiach nie ma śladu, w jej twarzy natomiast pojawiło się coś intrygującego, co Jasiek pewnie dostrzegł wcześniej, a na co ja, skupiona na jej obnażonym ciele, byłam ślepa.

– Hello, John, przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłam się tu dostać, już się bałam, że sobie pójdziesz.

– Nie, no skąd – płacze się mój nagle znów wyprostowany syn. – Właściwie już miałem iść, ale jeszcze oglądaliśmy, to znaczy ja oglądałem pokaz.

– Jesteś sam? Myślałam, że to są twoi rodzice, poznaję tę małą, chyba grałeś z nią w piłkę.

Ciekawe, jak chłopina wybrnie przy tak bezpośredniej demaskacji kłamstwa.

– No, w zasadzie tak, to znaczy byłem tu sam, ale przypadkowo spotkałem rodziców.

Brawo!

– Cześć, Angela. Janku, jeśli mamy zdążyć na koncert, to niestety musimy już iść. – Wkraczam do akcji. – Może umówcie się na jutro albo zaproś koleżankę na taras.

Młodzi odchodzą na chwilę i Jasiek tłumaczy coś,

żywo gestykułując i nieustannie zerkając na siostrę. Jestem zaskoczona, ale Angela chyba zgadza się na wieczór w roli baby-sitter, bo ruszają z nami w drogę do hotelu, przy czym ona stale paple i coś mu pokazuje, zgrabnie wchodząc w rolę przewodnika. Klara jest zachwycona, tak jakby to ona znalazła sobie koleżankę, i myślę, że mimo bariery językowej nie da Hiszpance spokoju.

Zaskakująco szybko zostajemy wypchnięci przez dzieci z domu. Chyba trochę dziwnie wyglądam w umiarkowanie, ale jednak bardziej koktajlowej niż plażowej sukience na tle raczej hipsterskiej ulicy. Gdy docieramy na miejsce, w grzecznej kolejce, z biletami w dłoniach, stoją już cztery pary, w równie starannie dobranych strojach jak nasze. Po chwili wchodzimy do kościoła, który ku memu ogromnemu zdziwieniu jest nagrany do granic możliwości. Zakładając, że grube kamienne mury będą raczej zimne, zabrałam nawet sweter, który teraz dziwnie wygląda na drewnianej ławce. Nie mogę się na niczym skupić, myślę tylko o tym, jak jest mi paskudnie gorąco.

W końcu pojawia się przed nami artystka, wysoka, w eleganckiej, długiej czarnej sukni. Początkowo, zdawałoby się przypadkiem, swobodnie trąca struny, by po chwili przymknąć oczy i wpaść w muzyczny trans. Doskonale znam brzmienie gitary, również tej podłączanej do Jaśkowego wzmacniacza. Teraz jestem

w szoku, ile dźwięków można wydobyć z sześciu strun. Mam wrażenie, że gra mała orkiestra. Gitara jęczy i szlocha, opowiada dramatyczną historię, niespodziewanie milknie i po chwili przenosi nas w pełne nieśmiały uniesień pierwsze miłosne chwile. Jestem zauroczona. Przymykam oczy i się delectuję. Choć mgliście rejestruję, że jestem w kaplicy, nie mogę oprzeć się przyjemności wtulenia się w męża, który delikatnie mnie obejmuje i cichutko szepcze: I love you.

Kakofonia dreszczy, które przenikają moje ciało, sprawia, że robię zdjęcie w pamięci i wkładam je do bajkowego albumu wspomnień. Jest idealnie i z tym większą przyjemnością kupujemy po koncercie płytę z autografem dla Jaśka. Zastanawiam się, co porabiają dzieciaki, ale postanawiamy dać im jeszcze trochę czasu i idziemy do pobliskiej maleńkiej knajpki na kieliszek wina. Wieczór jest cichy i cudowny i choć trudno rozmawiać z moim wiecznie skrytym małżonkiem, to milczenie sprawia mi przyjemność.

Niechętnie wracamy do hotelu, w którym, jak się okazuje, nie ma już Angeli. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie bawili się z Jaśkiem najlepiej, ale gdy widzę jego entuzjazm, opuszczają mnie wątpliwości, choć nadal nie wiem, o co chodzi.

– Angela już poszła?

– Tak, obiecała rodzicom, że wróci około jedenastej.

Najprostsze odpowiedzi są najbardziej oczywiste, ale

mimo to jestem trochę zdziwiona. A może jednak nie Martusia?

Noc dopada mnie w swoje szpony nader gwałtownie i mam nadzieję, że nie wypuści do rana. Zagonienie dzieci do łóżek ceduję na Bartka i zapadam w cudowny, pobrzękujący gitarowym rytmem sen... Kurwa! To nie brzęczenie gitary, tylko rockowy łomot nad głową. Usiłuję zwlec Bartka z łóżka, ale nie dość, że nie wie, co się dzieje, to jeszcze nie jest skory do interwencji.

– Idziesz czy nie? Rusz się wreszcie, to kolejna noc masakry! Jestem na wakacjach i przynajmniej tutaj mam zamiar się wyspać.

– No, mogę iść. Ale co to da? Tylko jeszcze bardziej będą hałasować.

– To wezwij policję albo dzwoń do baby z recepcji.

– Za chwilę. Jest druga w nocy. Poczekajmy, może przestaną.

Jak na ironię, w tym momencie zaczyna dzwonić domofon i słyszę jego dźwięk również za ścianą. Najwyraźniej ktoś się nim bawi, co oczywiście nie jest dla Bartka argumentem, żeby się ruszyć z pościeli.

– Kurde, idziesz? Czy ja mam to załatwić?

Durne pytanie, bo zanim on się zwlecze z łóżka, adrenalina rozsadzi mi tętnice. Nie zważając na to, że jestem w krótkich spodenkach od piżamy, mikrokoszulce

i, o zgrozo, skarpetkach frotté na nogach (zawsze jest mi zimno w stopy), czuję się gotowa do walki, niczym byk na rodeo czekający na otwarcie klatki. Brak makijażu sprawia, że nawet ja, spoglądając w lustro, muszę przypinać sobie plakietkę z nazwiskiem, bo się nie poznaję, nie mówiąc nic o włosach, które sterczą na wszystkie strony. Kolorowe kosmetyki, korektory i pudry są niewątpliwie największym i najważniejszym odkryciem ludzkości, a ich wynalazca zasługuje na Nobla! Mam ochotę spojrzeć do lustra i sprawdzić, czy nie zrobiły mi się od niedokładnie zmytego tuszu oczy pandy, ale emocje biorą górę i wybiegam z mieszkania. Drzwi naprzeciwko są otwarte, wpadam więc bez pytania, bez pukania i mam wrażenie, że Duch Święty na mnie zstąpił i zaczęłam mówić wszystkimi językami świata. Jestem tak wkuta i niewyspana, że wyglądam jak rottweiler znęcający się nad szczurem.

– Jeśli myślicie, że jesteście tu sami, to się mocno mylicie! Mam dość imprez każdej nocy! Jeśli nie zamkniecie się w trzy sekundy i nie wyłączycie tej pieprzonej muzyki, dzwonię po policję! I to natychmiast! Jesteśmy tu na wakacjach z dziećmi i mamy zamiar wypocząć! Nagrałam wszystkie hałasy i już dzwoniłam do recepcji!

– Sorry, sorry – pada spanikowane z kilku gardeł.

Też bym wpadła w panikę, gdybym siebie widziała, i myślę, że tak się stanie, jak zobaczę się w lustrze.

Trzaskam drzwiami i wracam do siebie. Wystraszyłam nawet Bartka, bo jakoś głębiej wsunął się pod kołdrę.

– No, ale się wyrwałaś! Miałem właśnie iść...

– Spadaj, OK? Mam dosyć.

I znowu to samo, kulam się po materacu i nie mogę zasnąć. Zastanawiam się, czy starczy nam kasy, czy dzieciaki będą zadowolone z takich wakacji, i nie są to relaksujące chwile. Usiłuję czytać, ale po drugim rozdziale orientuję się, że nie tędy droga. Myślę z niecierpliwością o tych starszych ludziach, którzy od kolejnego wieczoru mają zamieszkać za ścianą. Jeśli nie będą się tłukli z balkonikami po pokoju i dobrze wyregulują aparaty słuchowe, może się obyć bez hałasów. Moje rozmyślenia co chwilę zaburza „Ciiii” zza ściany, które przypomina odgłos zrzutu moczu z pęcherza wielbłąda i równie mocno przeszkadza spać jak muzyka. Coś łomocze za drzwiami i gdy wyglądam przez wizjer, widzę czterech kolesi, którzy wynoszą nieprzytomnego i zarzyganego piątego jak zepsutą pralkę. Tak się bawią dzieci innych rodziców na wakacjach. Może Jasiak jest nienormalny, że się jeszcze nie zalewa w trupa? To by była prawdziwa katastrofa. Zdaję sobie sprawę, że filozofia i podejście do życia mojego synusia są na wymarciu.

Rano budzę się wykończona.

Jak przez mgłę słyszę dźwięk dzwonka Jaśkowego

telefonu i od razu nadstawiam uszu. Kto też może wdzwaniać o tej porze? W nocy dzwoni tylko śmierć, a o szóstej...? Niestety słyszę tylko to, co mówi mój syn.

– Cześć, co słychać?

– Jeszcze spałem, chyba jest wczesnie.

– Cooo? Żartujesz?

– W ciąży? Jesteś pewna?

– No pewnie, że nie ze mną.

– Po co mi to mówisz? Co mi do tego?

– No, jestem przyjacielem, ale przecież z kimś to zrobiłaś.

– To było do przewidzenia, a dzwoniłaś do niego? Może powinnaś tam pojechać.

– No co ty, dlaczego ja? A poza tym jestem w Barcelonie.

– O, rozumiem, zostawił cię, ale to też jego dziecko i chyba dostaniesz alimenty.

– Nie aż tak ważnym, skoro mogłaś spotykać się ze mną i z nim jednocześnie, nic mi nie powiedziałaś.

– Piąty miesiąc?! I się nie domyśliłaś?

– Ale jak mam ci pomóc?

– A co na to rodzice?

– Kurde, Marta, nie wiem, co mam ci powiedzieć. Mogę się z nim od czasu do czasu pobawić czy posiedzieć, ale wiesz, że mam szkołę.

– Marta, muszę kończyć, pogadamy, jak wrócę.

– OK. Trzymaj się, pa.

Dzięki, dzięki, dzięki, ja pierdolę, dzięki! To nie ja będę babcią. Będę pić za to przez cały dzień! Jezu, ale dym. Taka pipkowata szara mysz z gatunku nudnych stworzeń, a tu proszę bardzo, taki ścichapek! Ciekawe, czy młody coś powie. Profilaktycznie wlokę się w kierunku ekspresu do kawy. Jasiek po chwili wychodzi z sypialni, blady, a może zielony. Widać, że toczy wewnętrzny bój. W końcu się odzywa:

– Słyszałaś? Dzwoniła Marta.

– Coś tam słyszałam. Coś się stało, że wydzwania tak wczesnie? – Wchodzę w rolę tępego niewiniątka.

– Zaszła w ciążę.

– Dzisiaj? – Nie mogę opanować złościwości.

– Zwariowałaś?

– Jezu, Janie, tylko nie mów, że z tobą!

Skrywam przeszywającą mnie na wylot ulgę i cały wysiłek wkładam w przybranie grymasu paniki.

– No coś ty, nie ze mną.

– Sorry, ale kiedyś niechcący was naszłam, więc się nie dziw, że jestem spękana.

– Mamo, przestań! – Wstyd pokrywa jego twarz czereśnią. – Nic nie robiliśmy.

– Oczywiście, widziałam, jak się ciamkaliście, ale skoro to nic...

– Ty zawsze musisz tak przygrzać z grubej rury i obrzydzić człowiekowi wszystko. Dzięki.

– Mówię, jak było, i tyle. Mam nadzieję, że ciąża Marty dostatecznie obrzydziła ci temat. A tak na marginesie... czyje to dziecko?

– Nie wiem. Jakiegoś gościa.

– No chyba. Z kobietą byłoby trudno.

– Marta spotykała się z nim, zanim się zakumplowaliśmy.

– Jasiek, przecież chodziliście ze sobą trzy miesiące albo i dłużej. To w którym ona jest tygodniu? Może była z wami jednocześnie?

– Nie, no co ty, to piąty miesiąc.

Widzę, że ulga zmienia mu twarz i wygładza ostre rysy, tak wyraźnie widoczne podczas rozmowy.

– Piąty! – Dzięki Ci, Panie, jeszcze raz i kolejny.

– Piąty i jest dym, bo pewnie wywalą ją ze szkoły, po wakacjach będzie już mocno widać brzuch. Starzy są wściekli, Marta ma szlaban na wszystko.

No to ciekawe, czy pani sztywna będzie jeszcze bardziej sztywna. Odczuwam małą złośliwą satysfakcję i prężę się z zadowolenia. Wygrałam w konkurencji pod hasłem „dzieci”, trochę bez własnej zasługi, ale jednak. I jak teraz pani „wiem wszystko najlepiej” wytłumaczy tę sytuację światu? I zaraz chowam się za te brzydkie myśli, bo przypominam sobie, że wszystko jest pożyczone, a każda zła energia i myśl wraca do nas ze zdwojoną siłą.

– Dziwisz się? A tak poza tym, to co ty masz

wspólnego z tą sytuacją?

– No, wiesz, przyjaźnimy się...

– Tak, i...

– Podobno przyjaciół poznaje się w biedzie.

– Tylko pamiętaj o tym, że przyjaciel w biedzie jest jak wrzód na tyłku.

– Mamo, przestań.

– OK, usiłuję ci tylko powiedzieć, że w tym wypadku to jednak niewiele znaczy, przecież nie będziesz wychowywał jej dziecka. I raczej nie zrezygnujesz z życia towarzyskiego. Chcesz zostać ojcem zastępczym, dopóki nie trafi się inny?

– No, nie przesadzaj. Może po prostu będę mógł jej pomóc, na przykład w odrabianiu lekcji albo wspólnej nauce, tak jak przed wakacjami. Może posiedzę z dzieckiem?

– Tak, a wszyscy wkoło: sąsiedzi, kumple i ciotki, będą myśleć, że to twój smark.

– Mówisz jak babcia. Co mnie obchodzi, co myślą inni?

– Niestety, słońce, przynajmniej trochę powinno. Ale gratuluję optymizmu. Ja z pewnością nie wejdem w rolę słodko ćwierkającej buni. Na to nie liczcie.

– Jasne, mamo. Ja to wszystko wiem, ale lubię Martę i będzie mi głupio ją tak z tym zostawić. Wiesz, jak jej musi być ciężko?

– Chyba nie, ale mogę to sobie wyobrazić. A tak

zmieniając temat: tobie powinno być chyba przykro? Nie jesteś w lekkim w szoku? Ja bym była. Przecież ona musiała pójść z tym kolesiem do łóżka. Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że ona jest taka do przodu?

– Nie, no coś ty. Wydawała się gapowata w tych sprawach.

Przed oczami stają mi praktyczne zajęcia z anatomii. Czy to oznacza, że mój syn miał być tą niedoświadczoną stroną, a nie instruktorem?

– Ale, tak czy siak, dałeś się porobić, co?

– Wiem, okłamała mnie i to jest podłe. Ja jej o nic nie pytałem, bo nie sądziłem, że jest o co. Ale co mam zrobić? To było jeszcze przed naszym zakumplowaniem się. A ty co byś zrobiła?

– Niestety to samo co ty, tylko na dodatek bym się obraziła.

– No to co mam zrobić? Tak konkretnie?

– Wyciągnąć wnioski i kupić sobie gumki. Wyobrażasz sobie, że to mogłeś być ty? Ja pierdołę, ale masakra. Masz teraz pełen obraz dramatu z bardzo bliskimi osobami w rolach głównych. Marta przekichała sobie właśnie tak skrupulatnie zaplanowaną przyszłość i nie mów mi, że truję, bo tak właśnie jest.

Wizja jak dla mnie antypatycznej Marty w roli synowej odjeżdża i trąbi na zakręcie. Jak nic należy nam się kieliszek wina.

– Mamo, nie mów ojcu, dobrze?

– Dobra, pod warunkiem że pójdziemy sami na plac przy Santa Maria del Pi i nic nie mówiąc, a intensywnie myśląc, wypijemy po filiżance kawy.

Udając przed resztą rodziny radosny nastrój, przygotowujemy się do wyjścia. Widzę, że Jasiek sili się na optymizm, ale chyba sporo go to kosztuje. W końcu lądujemy na ulicy. Jachu koniecznie chce iść zobaczyć stadion i dopóki misja nie dojdzie do skutku, dzień w dzień chodzimy po różnych mniej lub bardziej autoryzowanych sklepach, w których można kupić koszulkę FC Barcelona (drobne sto euro), najlepiej z nadrukiem Neymar junior (banalny koszt kolejnych osiemnastu euro), czyli w sumie jakieś sto dwadzieścia euro, które będzie oglądało głównie nasz przydomowy trawnik. Walka jest tym bardziej zacięta, że młody ma wyskoczyć z własnej kasy, więc przelicza każdego centa i niczym kiper ciamkający wina palcami pociera materiał kolejnych koszulek i prześwietla nic niewidzącym wzrokiem metki, by ustalić poziom oryginalności gadżetu.

Bartek tym razem ma plan na dzień i obwieszcza, że na godzinę dwunastą zarezerwował bilety do Sagrady Familii. Omdlewam. Jak rzadko co zupełnie nie podoba mi się ta bezduszna kupa niegustownego betonu,

powstała w technice wylewania mokrym piaskiem zamków na plaży. Termyty byłyby zachwycone. Szczyt tandety na poziomie świecących szkiełek i figurek z Lichenia. Oczywiście jak na tamte czasy rewolucyjny, a może należałoby wręcz uznać za szaleńczy projekt, który zadziwia rozmachem oraz tym, że ktoś zechciał zebrać i co więcej – wydać pieniądze na jego realizację. Wieżyczki, krzyże, jaszczurki i żaby wpisane w miękkie kształty kopuł, dachów i okien... nie trzeba nic brać, żeby poczuć się nawalonym. Wzniosłe architektoniczne coś i duchowe nic. Ta bryła w zasadzie mogłaby funkcjonować jako sala koncertowa czy spory sklep.

No trudno, realizujemy marzenie głowy rodziny i pokornie planujemy zwiedzanie. Klara wędnie, gdy słyszy, że idziemy do kościoła, bo myśli, że zaliczymy kolejną mszę, i to odprawianą w obcym języku.

Monumentalność budowli robi wrażenie i na tym koniec. Podejrzewam, że Bartek jest trochę zawiedziony, spodziewał się raczej głębszych wrażeń i większego estetycznego ład. Oczywiście nie można nie oddać Gaudiemu geniuszu, jednak nieporównanie bardziej jako obiekt sakralny podoba mi się katedra. Secesja zachwyca, ale niestety chyba wolę zniszczone wnętrza łódzkich pałaców niż to tutaj. Jedyne, od czego nie mogę oderwać wzroku, to sznurkowo-ciężarkowe projekty, gdzie budowle odwrócone są do góry nogami, a kształtów i przestrzeni nabierają dopiero w odbiciu

przemysłnie umieszczonego lustra.

Uwielbiam i podziwiam ludzi, którzy mają hople na jakimś punkcie, obojętnie, czy dotyczy to diety, architektury, motoryzacji czy czegokolwiek, i potrafią oddać się temu w pełni. Ja nie mam wytrwałości ani cierpliwości i zazwyczaj wypalam się w połowie projektu, co powoduje, że nieustająco poszukuję swego miejsca na ziemi. Decyzje podejmuję intuicyjnie i ot, tak, ale już po chwili zwracam się w zgoła innym kierunku. Jedyne, w czym jestem wytrwała i co sprawia mi przyjemność, to zajmowanie się dziećmi i prowadzenie domu, ale w dzisiejszych czasach taki plan na życie to kastracja niezależności i brak perspektyw na stabilną przyszłość.

Pieprzona emancypacja doprowadziła kobiety do zrównania praw i obowiązków z facetami, tylko że facetów nie zmusiła do wyrównania obowiązków z nami. Idą do pracy i my też, tylko że kiedy oni pracują, to nie martwią się domem, obiadem, szkołą i dziećmi, w ich odczuciu pranie samo wchodzi do pralki i z niej – wyprasowane – wślizguje się na półkę. Przed wyjazdem miałam sporo zajęć w restauracji, a jeszcze musiałam nas spakować. Wrzuciłam więc przed wyjściem z domu rzeczy do pralki i poprosiłam Bartka o ich rozwieszenie. Po powrocie zdębiałam, gdy okazało się, że wszystko jest nie tylko rozwieszane, ale również suche. Po

blizszych oględzinach stwierdziłam, że owszem, tylko że mój małżonek powiesił niewyprane rzeczy (bo w biegu zapomniałam włączyć pralkę) i nie zastanowiło go, że wyjmuję z bębna suchą odzież...

Mój mąż nie wybiega z pracy po telefonie pielęgniarki, że Klarę boli brzuch – inna sprawa, że kobieta nawet nie próbuje się do niego dodzwonić. Kiedyś usiłowała wbić się w zebranie zarządu i skończyło się jak zwykle na wezwaniu matki. Bartek wraca z pracy utrudzony, ja według niego w mojej wypoczywam i nabieram sił do obsługi domu. Sic! Ostatnio się dowiedziałam, że w mieszkaniu w zasadzie się nie brudzi i wystarczy, jak przemkniemy po nim w sobotę rano odkurzaczem.

Podobnie jest z gotowaniem. W oczach rodziny jestem ich osobistym mistrzem kuchni, a przygotowanie posiłku to banał. Ostatnio Bartek pochwalił mnie na imprezie i podsumował, że jestem dobra w przyrządzaniu prostych rzeczy, bo takie w opinii męża są na przykład pieczone faszerowane kaczki, rolady wołowe, nie mówiąc o pierogach czy żurku i chlebie na zakwasie. W Wigilię zaskoczył nas pomysłem przygotowania zupy rybnej, choć w naszej małej rodzinnej tradycji od lat podaje się krem z prawdziwków lub barszcz. I się zaczęło. Najpierw przepis, który, jak się okazało, wymagał tłumacza, a w zasadzie intendenta, bo pojęcia seler naciowy, bazylia tajska czy kolendra

były Bartkowi obce, a to oznaczało konieczność wspólnych zakupów. Na stoisku rybnym odważenie odpowiednich ingrediencji: pstrąga, dorsza i łososia, zabrało sporo czasu, bo te cholerstwa można było kupić: ze skórą lub bez, wyfiletowane bądź nie, mrożone, świeże, solone, w zalewie. A w przepisie stało tylko: dwieście gramów pstrąga! Ot, taka złośliwość.

Nie ukrywam, że miałam niezłą zabawę, obserwując Bartka z koszykiem w ręku. Rozrywka się skończyła, gdy dotarliśmy do kuchni i w ruch poszły waga, garnki, garnuszki, kubeczki (koniecznie z miarką i podziałką) oraz niezliczone ilości łyżek i łyżeczek. Zresztą na początkującego kucharza czeka w kuchni wiele niebezpieczeństw, na przykład opis na paczce z makaronem: osolić wodę do smaku. Bartek oczywiście usilnie próbował wydobyć smak, soląc wodę w garnku, i był zszokowany, gdy kazałam mu zwyczajnie wrzucić do niego łyżkę soli i przestać analizować recepturę na plastikowym opakowaniu. Wszystkie moje rady były nie na miejscu, bo to ON teraz gotuje, więc mam sobie iść i mu nie przeszkadzać. Rezultat był taki, że na Wigilię została przygotowana skądinąd smaczna zupa warzywna z dodatkiem ryby, ale szczęśliwie mieliśmy jeszcze barszcz. Niestety okazało się, że tylko przez chwilę, bo poprosiłam szefa kuchni, żeby go precedził, co zrobił z wielkim zadowoleniem i znanstwem tematu. Odsunął lekko pokrywkę, przechylił garnek nad zlewem i precedził wszystko jak ziemniaki, wylewając płyn,

a pozostawiając buraki. Nawet mój wrzask nie wzbudził w nim podejrzeń, że coś jest nie tak. Po zupie zostało smętne wspomnienie i miseczka utartych buraczków z chrzanem. Finał walki w kuchni zakończył się prawdziwym pobjowiskiem, na które składały się sterty brudnych naczyń, tu i ówdzie podsypanych mąką i pokapanych śmietaną, pozostające w zupełnej dysharmonii ze świątecznym stołem.

– Nina, ja gotowałem, to ty posprzątaj.

– No chyba cię pogięło, mowy nie ma!

Moje oburzenie sięga zenitu, a palce ze świeżo zrobionym manicure’em usiłują schować się we wnętrzu pięści. Umycie trzech garów jest równoznaczne z kolejną wizytą u manikiurzystki, bo w uszkodzaniu lakieru na paznokciach jestem mistrzynią.

– Ja zawsze pomagam ci w sprzątaniu, to teraz możesz się zrewanżować – mówi poważnie mój dumny jak paw małżonek, wskazując na ronderek rybnego wywaru, który kuli się na kuchence w towarzystwie wielkich garów z kapustą, grochem i brytfann z karpiami i sandaczami.

– Kurde, to już nigdy nic nie gotuj albo słuchaj, co do ciebie mówię, pięciu mililitrów sosu rybnego nie musisz odmierzać szklanką, wystarczy łyżka! Nie dość, że pozbawiłeś nas zarąbistego barszczu, to jeszcze pobrudziłeś wszystkie naczynia.

I na tym zakończyła się nasza kuchenna rewolucja.

Nadal ja rządę garami, a on pracuje na zmywaku.

Wracając do Gaudiego: zawziętością i pasją robi na mnie piorunujące wrażenie, taka niedzisiejsza i niekonsumpcyjna postawa. Niewielu rzuciłoby intratne projekty i pracę, a co za tym idzie – dobre pieniądze, dla byle jakiego łóżka wciśniętego w zakamarki piwnic kościoła, tylko po to, by realizować swoją odjechaną wizję. Niestrudzony w projektowaniu i budowie stał się w moim odczuciu kompletnym outsiderem w wytartym garniturze, pozbawionym rodziny i bliskich, wiecznie zamyślonym, do tego stopnia, że wpakował się pod tramwaj konny i przyplącił to życiem.

Przerażające, ilu geniuszy, jak na przykład nasz Norwid, kończy w przytułku. Prosty przepis na sukces: żyj krótko i nieszczęśliwie, zgiń szybko, jak Baczyński, a wszyscy, którzy za życia mieli cię za śmiecia, wyniosą cię pośmiertnie na ołtarze i stworzą wokół twych dzieł nową religię. Porusza mnie i przybija myśl, że w obliczu wypadku, zwłaszcza w miejscu publicznym, czy śmierci jesteśmy tak samo anonimowi. Najbardziej obawiam się, że coś mi się stanie na ulicy, bezduszości tłumu gapiów, w dzisiejszych czasach wyposażonych w kamerki i aparaty najnowszej generacji, szukających sensacji i niechętnych nieść pomoc.

Widzę, że wielkość budowli robi na Jaśku wrażenie, natomiast mała chyba nie rejestruje, że jesteśmy

w wyjątkowym punkcie tego miasta. Przysiadamy na zacięionej ławeczce przy sadzawce, naprzeciwko głównego wejścia, i rozkoszujemy się ciszą. Bartek przytula mnie do siebie, Jasiek osacza z drugiej strony, a Muchomorek wrzuca kamyczki do bajorka. Jest pięknie i nie potrzeba nic więcej. Jestem miło zaskoczona, że Jachu mimo swoich siedemnastu lat potrafi mnie chwycić za rękę, objąć w pasie podczas spaceru, przytulić przed pójściem spać i powiedzieć o poranku, że ładnie wyglądam. Bartek już tego nie robi, no chyba że chce się podlizać albo coś nabroił.

Mam naprawdę wspaniałe dzieci, które są nosicielami cudowności w codzienności. Oczywiście gdy mnie wkurzą albo się nie uczą, drę się na nie i wyzywam jak każda matka, ale zarazem potrafimy okazywać sobie nieskończenie wiele miłości i czułości. Myślę, że – jak na filozofię życia innych nastolatków – Jasiek nie postrzega mnie w kategoriach jakiegoś szczególnego obciachu. Choć zdumiewają mnie chwile, w których postrzegana jestem właśnie obciachowo. Przed wyjazdem, kupując kolejne zestawy odzieży w H&M, nieopatrznie chwyciłam trzypak slipek i zapytałam syna, czy mu się podobają. W sklepie poza ochroniarzem wyodrębnionym z rzeczywistości nie było nikogo.

– Jezu! Mamo, nie rób mi wstydu, zostaw te gacie, przecież kupię sobie sam.

Zapomniałam, że w tym wieku pojęcia majtki i kupa (w jakiegokolwiek odmianie: stolec, kał itd.) nie istnieją. Przecież oni nie załatwiają TAKICH potrzeb.

Kiedyś Klara, oczywiście z ogromnym wyczuciem czasu i miejsca, czyli podczas Podniesienia i absolutnej ciszy w kościele, zapytała mnie, czy papież robi kupę. Lekko zamurowana, choć śmiech wstrząsał całym moim ciałem, powiedziałam, że nie, podobnie jak prezydent i jej ulubieniec (i to dopiero jest obciach!) Justin Bieber, a teraz do tej listy powinnam dodać nastolatka. Klara, widać nie do końca przekonana, powtórzyła to pytanie na lekcji religii w odniesieniu do księdza.

– Siostró, a czy ksiądz robi siku?

Ośłupiała zakonnica, cała w pąsach, odpowiedziała:

– Tak, ale rzadziej.

Mała oczywiście powtórzyła dialog w domu, a ja, fanka takich sytuacji, następnego dnia w szkole, spotkawszy na korytarzu nieszczęsną kobietę, zapytałam, dlaczego wprowadza dziecko w błąd i opowiada bzdury. Do dziś pamiętam jej przerażoną minę; pewnie tak się wygląda, stając twarzą w twarz z psychopatą.

Niestety, musimy ruszać dalej, bo dzieciaki znowu są głodne. Wsiadamy do metra i po chwili zaliczamy

kolejną knajpkę, tym razem w bocznej uliczce, z dala od fali turystów. Taller de tapas. W drodze do toalety odkrywamy, że to miejsce, gdzie powstawał film Woody'ego Allena *Vicky, Cristina, Barcelona*. Niby niczego to nie zmienia, bo kieruje nami przypadek, ale wchodzimy w rytm lansu przed znajomymi i robimy kilka zdjęć na pamiątkę. No i delektujemy się smacznym, o dziwo, jedzeniem.

To właśnie jedzenie jest moim największym rozczarowaniem. Jadąc tutaj, liczyłam na wyjątkowe paelle, niesamowite tortille i cudowne tapas. Niestety, w większości knajp można skosztować kuchni w tych samych banalnych i nijakich smakach. To, co przygotowuję w domu, jest znacznie bardziej aromatyczne i smaczne niż te inspirowane zbiorczymi gotowcami potrawy. Niemal we wszystkich knajpach smakują tak samo! Sporadycznie natykamy się na kulinarne rarytasiki w stylu Jamón Experience, które do złudzenia przypomina Muzeum Szyunki w Madrycie. W zasadzie czekam tylko na poranki przy kawie w knajpach i ich atmosferę, bo trudno o kulinarne uniesienia przy filiżance czarnego płynu.

Zresztą każdego ranka mamy nieustający problem z małą, która owszem, zje bagietkę, ale tylko z jej domową szynką drobiową. Przekonanie młodej do rewelacyjnych długo dojrzewających czy wędzonych szynek pozostawiam w gestii Bartka, co z góry jest

skazane na porażkę. Klara jest tak marudna i wybredna, że wyjazdy z nią pod względem gastronomicznym są prawdziwą katorgą. Jeszcze do niedawna woziliśmy własne zwoje wędlin i soki w kartonikach z nadrukiem miśka, które zostały wykluczone z jadłospisu małej po zmianie opakowań. Obecnie z napojów wchodzi w rachubę tylko woda, i to mineralna, bez gazu, cytryny czy, nie daj Boże, mięty i w temperaturze pokojowej.

Po przepysznych rybach podrywamy się z jabłkami w dłoniach, które w menu opisane są jako deser owocowy, i biegniemy realizować kolejne punkty dnia, czyli wejściówki do Casa Batlló i Casa Milà. Dzieciaki najbardziej są zauroczone tarasem i widokami na najwyższym piętrze tego ostatniego budynku zwanego La Pedrera (Kamieniołom), zwłaszcza jego dachem. Mała biega, chowając się w różne zagłębienia i za wieżyczki przypominające rzeźby z piasku, zresztą całość przywodzi na myśl tacę ze skreconymi w świdy lodami włoskimi, której kelnerowi nie udało się donieść do stolika.

Młodzi, przyzwyczajeni do prostych ścian i kątów (co w wypadku polskich ekip budowlanych nadal jest niestety dyskusyjne), są pod równie wielkim wrażeniem dziwnych ścian wnętrza i przypominających morskie fale stropów, co chwilę dopytują, co do czego i dlaczego. Mnie dla odmiany wydaje się, że przypadkiem znalazłam się we wnętrzu szkieletu jakiegoś prehistorycznego

stworą. Muzeum nas zachwyca, a Jachu, mający silne inklinacje do twórczości własnej, ze szczególnym wskazaniem na rzeźbę, nie może wyjść z podziwu, że inspirujące może być wszystko, od szkieletu ryby poczynając, przez szyszki, po wodorosty i plastry miodu. Secesyjne mieszkanie pana Milà i jego wyposażenie, meble, pokój zabaw... przenoszą nas w czasie. Dopiero w takich miejscach – z kuchnią węglową i wiadrami tego surowca w tle, które trzeba wtaszczyć na któreś tam piętro – dzieciaki uświadamiają sobie praktyczny aspekt wynalazków i postępu technicznego. Zdumione są liczbą obsługiwanych ręcznie urządzeń potrzebnych do przygotowywania posiłków (maszynki do mięsa, terek, pieca na węgiel itd.), a w kompletne oszołomienie wprawia je przyrząd do lewatywy. Po wyjaśnieniu, co to jest... ich dupki się kurczą.

Uwielbiam rzeczy, które przenoszą nas w czasie i przestrzeni, i wydaje mi się, że moje miejsce na ziemi powinno znajdować się w równoległej, żeby nie powiedzieć minionej rzeczywistości, sto lat i trzy pokolenia mentalności wstecz.

Miło, że dziś jest rześki dzień i nie roztapiamy się w słońcu. Pamiętam nasze letnie wyprawy do Rzymu i zlewanie się z rozgrzanym do białości asfaltem. W Barcelonie chyba bliskość morza ma kolosalne znaczenie. Na ulicy uświadamiamy sobie, że sześciokątna mozaika chodnika w morskie ornamenty

jest dziełem Gaudiego, choć jej układ przenosi nas bardziej do wnętrza ula niż w morskie odmęty. Gaudi, mimo kontrowersji i wrogości, jakie wzbudzał u współczesnych, jest wszechobecny w tym inspirującym mieście.

Zwiedzanie mamy za sobą i choć było przyjemne i pełne doznań, czuję, jak ogarnia mnie błogość, a chęć kłapanięcia w jakiejś miłej knajpce staje się dominująca. Bartek chwytą mnie za rękę i dla odmiany proponuje przejść się w drugą stronę La Rambli, na plac Hiszpański, znowu z Gaudim w tle, bo fontannę i latarnie zaprojektował sam mistrz. Kapitalne wrażenie robią dziesiątki palm, które z centrum miasta przenoszą nas w klimat oazy. Na chybił trafił wybieramy restaurację, jak się później okazuje, najbardziej obleganą przez turystów, którzy głodnieją, stojąc w niekończącej się kolejce w oczekiwaniu na wolny stolik. Les Quinze Nits zaskakuje nas więcej niż wybornymi kremami z cukinii i gazpacho, danie główne też jest rozkoszą, choć dzieciaki marudzą, że kurczak suchy i podobno ja przyrzadzam lepszego. Przed nami pojawiają się grupy akrobatów, którzy po prezentacji skoków, tańców i innych ewolucji oczekują wrzutu kasy do czapki. Najzabawniejszy, a może najbardziej żałosny, jest szczerbaty, niski żongler, jak się okazuje po późniejszej prezentacji zdjęć, z cyrku moskiewskiego. Nadal

porządnie umięśniony starszy gość usiłuje żonglować maczugami. Idzie mu całkiem nieźle, aż do wrzaskiem zapowiadanego momentu kulminacyjnego, przez który, mimo kilku prób, nie jest w stanie przebrnąć. Usiłuje po kilku przewrotach i fikołkach na ziemi złapać wyrzucone wysoko w górę maczugi, które za każdym razem bezlitośnie spadają obok, obnażając jego nieudolność. W końcu facet się wścieka i zaczepiając ludzi przy stolikach, wykrzykuje, pokazując luki w złotym uzębieniu:

– Co się śmiejesz, mam pięćdziesiąt trzy lata! Spróbuj zrobić coś takiego. No, dawaj!

W obawie przed bezpośrednim kontaktem z atrakcją wieczoru wszyscy wyskakują z drobnych i mam wrażenie, że jego czapka jest pełniejsza niż ta Hiszpanów tworzących niesamowicie wysoką ludzką piramidę. To smutne, jak z wielkich artystów i ludzi sukcesu łatwo się zmienić w żałosnych klaunów.

Sączymy kolejne kieliszki cavy i jest miło do momentu, gdy Jasiek oświadcza, że wieczorem spotyka się z Angelą. I znowu włącza mi się myślenie: obce miasto, obca dziewczyna, czy nic mu się nie stanie... Ale gdy myślę o samodzielnych wyjazdach jego kumpli na imprezy na Ibizę i do Rimini, myślę, że to i tak lajtowa wersja. Młody się niecierpliwi i kradnie mi przyjemność delektowania się ostatnim rytualnym łykiem wina. Musimy wracać do hotelu, bo przed spotkaniem

z koleżanką będzie przez godzinę odprawiał różne ablucje w łazience, z której wyjdzie zlany perfumami i wyczesany jak koza na wietrze. Nie pozostaje nam nic innego, jak zorganizować wieczór z Klarą.

Idziemy niespiesznie wzdłuż La Rambli, zatrzymując się przy coraz to dziwniejszych żywych posągach. Klara zachwyca się nieustająco każdym i zmusza nas do biernego, szczęśliwie tylko takiego, uczestniczenia w kolejnych spektaklach. Obok trzymetrowej postaci, bardziej przypominającej robocopa niż złego wikinga, widnieje dziwna instalacja, która przyciąga tłumy gapiów. Całość jest cukierkowo żółto-złota: mały dziecięcy rowerek, na którego bagażniku stoi filigranowa dziewczynka w spodniach i płaszczyku, w peruce, o twarzy w tych samych kolorach. Stoi i nic się nie dzieje, a obok niej z pięćdziesiąt osób. I nic. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu... na NIC, jak się okazuje po dziesięciu minutach. Zdumiewające poczucie humoru. Widać NIC może być warte oglądania i kilku euro raz po raz wrzucanych do złotego cylindra.

Nasza córeczka jest jednak zafascynowana czymś zupełnie innym i na widok diabła zamiera, tak jakby na jej oczach dokonywał się cud uzdrowienia. Czerwona postać w czerwonej peruce z doczepionymi rogami unosi się metr nad ziemią. Na skrzyżowanych nogach w pozycji medytującego maga spoczywa żywy wąż, jedynym zaś łącznikiem między zawisłym w powietrzu

ciałem a ziemią jest gruby kostur. Ludzie zebrani wokół nietypowej instalacji mają równie durny wyraz twarzy jak nasze dziecko. Co odważniejsi podchodzą, choć z pewnym dystansem, jaki narzuca żywy wąż, do kostura i sprawdzają, w czym tkwi haczyk i czy aby na pewno nie ma tu jakiejś dodatkowej podpórki. W miarę coraz głośniejszych szeptów niedowierzania coraz częściej drobne lądują w puszcze pod postacią.

Wtuleni w siebie przyglądamy się uradowanej buzi Klary. Wieczór przynosi delikatny powiew wiatru od morza i spacer nagrzanym chodnikiem staje się coraz przyjemniejszy. Wreszcie udaje nam się przemieścić dalej i niesieni falą zachwyków małej wstępujemy do muzeum figur woskowych, to znaczy oni wstępują, a ja rezyduję w pobliskiej kafejce, delektując się latte. Gdy dzwoni telefon, jestem pewna, że to Bartek albo Jasiak.

– Słucham.

– Dzień dobry, mówi Marta. Przepraszam, że panią niepokoję, ale nie mogę się dodzwonić do Janka, czy jest może gdzieś obok?

– Witaj, Marto. Nie, Jaśka tu nie ma, poszedł na spacer z Angelą. Kiedy wróci, poproszę, żeby oddzwonił, dobrze? A co u ciebie? Wszystko w porządku? Jak wakacje?

– I OK, i nie, ale dziękuję. Pozdrawiam i proszę przekazać Jankowi, że dzwoniłam. Do widzenia.

– Pa, cześć.

Zdaję sobie sprawę ze swego okrucieństwa i bólu, jaki jej sprawiłam, ale im szybciej uświadomi sobie sytuację i zacznie widzieć problem obiektywnie, tym lepiej. Mimo wszystko trzęsie mi się ręka i sporo czasu mija, nim odzyskuję spokój. Głębokie wdechy zawsze pomagają, a ponieważ nic nie sprawia mi większej przyjemności niż obserwacja ludzi, oddaję się temu z całą uwagą.

Gdy spoglądam na mijających mnie osobników, zdumieniem napawa mnie fakt, że wszyscy stanowią jeden gatunek. I wcale nie chodzi o różnice w kolorze skóry, tylko o dziwactwo ubioru i zachowania. W tym sezonie, niestety bez względu na wiek i tuszę, jedna trzecia kobiet nosi na głowie wianki ze sztucznych kwiatów. Badziewne gaciowe gumki, do których przyцепione są stokrotki, maki i inne kalafiory. Wyglądają tak, jakby zapomniały spodni dzwonów i pomyliły epoki, mentalne dzieci kwiaty, a w rzeczywistości tandetne indywidua w skórzanych minispódniczkach, džinsowych sukienkach, ogólnie... kwiatki do kozucha.

Prawdziwą rozkosz czerpię z obserwacji egzotycznie kolorowych strojów Mulatek i ciemnoskórych dziewczyn. Są jak kocice sprężone do skoku. Moja skóra, nieważne, jak długo pracują nad nią promienie słoneczne, jest biała jak pergamin, w okresie przejściowym czerwona jak dupsko pawiana, a wreszcie

łuszczy się i odpada płatami jak kawałki ciasta z croissanta.

Wreszcie wracają rozradowana Klara i znudzony Bartek. Dosiadają się do stolika i mała spełnia swoje marzenie – zamawia dwa wielgachne naleśniki z cukrem pudrem. Po chwili jej szczęśliwa buźka jest cała wypačkana białym proszkiem.

Możemy spokojnie wracać do domu, by niespokojnie czekać na Janka. Ma czas do dwudziestej trzeciej i zastanawiam się, jak zabić dwie godziny. Oczywiście mija umówiona jedenasta. Nie dość, że go nie ma, to jeszcze nie odbiera komórki. Czuję, jak rośnie mi ciśnienie, szczęki bezwiednie się zaciskają i zęby trą o siebie. Ja pingolę, jak tylko wróci, zmyję mu głowę! Nie pomaga granie z Klarą w nasze ulubione cyferki, czyli Ruminiclub, gule robią mi się coraz większe, a podniebienie, jak u wściekłego psa, coraz czarniejsze.

W końcu dwadzieścia po jedenastej drzwi się otwierają i stoi w nich rozpromieniony jak nigdy dotąd Janek z torbą czegoś różowego.

– Czy ty wiesz, która godzina?

– Wiem, mam, sorry, ale Angela...

– Kurwa, nie obchodzi mnie żadna Angela, jak masz być o jedenastej, to masz być! Jasne? Poza tym dlaczego nie odbierasz komórki? Nie masz jej po to, by siedzieć na fejsie albo grać w jakieś debilizmy, tylko żebyśmy mieli z tobą kontakt!

– Tak, ale rozładowała się...

– Jedyńy twój obowiązek to naładowanie tego dziadostwa. Jeszcze jedna taka akcja i masz szlaban do końca wyjazdu. Nie po to jestem na wakacjach, żeby się stresować! Mam wypoczywać! Wypoczywać! – I, uwaga, gwałtowna zmiana frontu. – To co, jak było z Angelą? Gdzie byliście?

– Angela zabrała mnie na spacer po okolicy, byliśmy pod jej szkołą i takie tam. Łaziliśmy bocznymi uliczkami i pokazała mi muzeum mamutów.

– To chyba jakiś megapic, co?

– Nie, no właśnie chyba nie. Może pójdziemy tam z Klarą?

I jak na zawołanie włącza się mała:

– Mamo, mamó, mamó, możemy pójść?

Teraz nastąpi złożenie rączek opuszkami paluszków i rytmiczne nimi uderzanie, takie trochę jakby klaskanie, i jęk, o właśnie:

– Proszę, proszę, proszę!

– OK, możemy iść, pod warunkiem że jeszcze dziś wieczorem przeczytasz trzy strony swojej książeczki.

– No dobra, nie musimy tam chodzić, widziałam film o mamutach. – Trzęsąca się broda jest najlepszym odzwierciedleniem tego, jak mało jej zależy.

Czytanie jest prawdziwą katorgą! Już na etapie sylabizowania można było eksplodować albo wstąpić do szkoły medytacji. Pamiętam jak dziś.

– Klaro, przeczytaj podpis pod rysunkiem.

Śliczny – choć to może jednak dyskusyjne – pejzaż wiejski. Klara duka z paluszkami na kartce:

– P – cisza, O – przerwa, L – nabranie powietrza, bo cel już blisko i nadchodzi... E. – Patrzy na mnie zadowolona z siebie.

A ja, bynajmniej nie złośliwie, pytam:

– No i co przeczytałaś?

Panika w oczach, wzrok pusty, choć mocno skoncentrowany na obrazku. Pełna nadziei, mam wrażenie, że niebawem zwoje się rozwiną, zwiną ponownie i zaiskrzy, a wtedy z ust małej pada:

– LAS?

Jasna cholera, co za tępą dzida!

– Klara! Jaki las? Patrz na literki, przecież przeczytałaś POLE.

Niestety, moje dziecko nadal nie dostrzega pola, widzi raczej las. Wyraźnie nie iskrzy i jeszcze przez długie tygodnie nie zaiskrzy. Teraz jest troszkę lepiej, ale i tak daleko, i to w linii prostej, do płynnego czytania.

– Klaro, przestań, proszę. Musisz czytać, tak kazała pani Marysia – odwołuję się do siły wyższej. To, co powie wychowawczyni, jest święte i niepodważalne.

– No dobra – ostatnie słowa skazańca. – Ale pójdziemy jutro, OK?

– Dobrze, może być jutro.

– Klaro, zobacz, co dla ciebie dała Angela... rambutana. Jest w tej papierowej wielkiej torbie.

Mała dostaje wytrzeszczu i nim rzuci się do torby, biegnie z wrzaskiem do Bartka:

– Tato, tato, dostałam orangutana! Od Angeli! Będziesz go ze mną wyprowadzał! Może kupimy tę różową smycz, którą widzieliśmy w sklepie.

Nie jestem pewna, kto jest bardziej osłupiały: ja czy oderwany od komputera Bartek.

– Jachu, zwariowałeś? Chyba kompletnie ci odbiło! Przyniosłeś jej małpę? Umawialiśmy się: żadnych zwierzaków bez naszej zgody! Poza tym, jak sobie wyobrażasz przewiezienie jej w samolocie. Zaraz ją oddasz! Rozumiem kot, no, ewentualnie pies, ale orangutan? Trzeba mieć z głową!

Mała ryczy, szlocha i jest bliska tarzania się po podłodze.

– Ale ja kocham małpy, chcę orangutana! To prezent, a sam mówiłeś, że prezentów się nie oddaje i trzeba się z nich cieszyć.

– Klara, przestań! Natychmiast. Nie ma mowy o żadnej małpie. Janek, naprawdę cię pociepało. Weźmiesz zaraz to cholerstwo i odniesiesz Angeli. Skąd je w ogóle wytrzasnęliście?

Swoją drogą cholerstwo, jak na wrzaski i aferę, którą wywołało, jest zadziwiająco spokojne. Może śpi?

– Ale...

– Janie, nie ma żadnego ale! Bartosz, jest późno i robi się ciemno, idź z nim i odnieście zwierzaka. Wiesz, gdzie mieszka Angela?

– Wiem, ale...

Gówniarz jeszcze próbuje dyskutować! Klara wyje jak opętana i przerywa Jaškowi próbę wbicia się w dyskusję.

– Obiecałaś mi na urodziny zwierzaczka, miałam wybrać, czy chcę chomika czy myszoscoczka, ale dostałam małpkę i chcę małpkę! To niesprawiedliwe.

Teraz pewnie padnie koronny argument: Przecież wszyscy w klasie mają zwierzątka, tylko nie ja!

– Cisza! – Mam wrażenie, że zaraz ktoś zadzwoni na recepcję i doniesie, że usiłujemy się nawzajem wymordować.

Klara osiągnęła siódmy poziom wycia, wibruje wysokim c, zasmarkana i zaśliniona.

– Przestańcie! – O rany! Jaki Jachu ma donośny głos. – Czy wy, kurde, jesteście głusi czy nienormalni?! – Według Jaška to pewnie pytanie retoryczne. – Powiedziałem, że przyniosłem rambutany, a nie orangutany! – I wyjmuje z torby garść włośchatych owoców wielkości kasztanów w skorupkach, a największego podaje siostrze.

Klara jest tak oszołomiona, że nie zauważa, że przestała wyć. Stoi osłupiała i okrągłymi jak pięć złotych oczami wpatruje się w prezent. Nagle nabiera powietrza

i ponownie uderza w bek:

– Nie chcę tego! Chcę zwierzątko! Małpkę!

No ktoś ma tu chyba małpi rozum i obawiam się, że to nie ja, za to w nagrodę będę mogła ogarnąć cały ten cyrk.

– Klaro, albo się uspokoisz, albo możesz zapomnieć o hodowaniu jakiegokolwiek futra w terrarium. Zrozumiano? Ostatnio nawet się zastanawiałam, czy może zamiast chomika nie kupić kotka, ale patrząc na ciebie, dochodzę do wniosku, że jeszcze nie jesteś na tyle dojrzała i odpowiedzialna. – Rozkoszuję się wyrazem twarzy małej, która najpierw się zawiesza, następnie gwałtownie trybi i rzuca mi się na szyję.

– Jesteś kochana, najlepsza na świecie, a ja jestem bardzo dojrzała i możesz mi kupić kotka, biorę na siebie wszystkie konfekcje.

– Chyba konsekwencje.

Yes, osiągnęłam cel! Za to Bartek jest bliski mordy na żywym organizmie, którym tym razem najprawdopodobniej będę ja.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – włącza się z lekka oszołomiony do rozmowy.

– Bartek, daj spokój, OK? – Mrugam do niego, chwilowy spokój jest bezcenny i nawet kociak stanowi niezbyt wygórowaną cenę za jego osiągnięcie. – Klaro, skoro jesteś taka zorganizowana i odpowiedzialna, to proszę, weź książeczkę, Jasiek, pogadamy jutro, zwijaj

manele, prysznic i masz wolne, to znaczy w domu, oczywiście nigdzie nie wychodzisz.

Zalegającą ciszę mąci tylko nieudolne, coraz bardziej monotonne i coraz cichsze sylabizowanie Klary, w końcu mała milknie i jestem pewna, że zapadła w pohisteryczny sen. Jasiek oddaje się pewnie marzeniom o Miseczce C i usiłuje wrócić do rozpoczętej lektury. Idealnie ciepła, ciemna i aromatyczna noc sama nas wywołuje na taras. Siedzimy z Bartem obok siebie wpatrzeni z jednej strony w oświetlone wieże katedry, z drugiej strony spoglądamy na korony drzew na La Rambli. Życie na ulicy wydaje się tak odległe, jakby toczyło się po drugiej stronie lustra. A swoją drogą to ciekawe, że w lustrze świat wydaje się bardziej połyskliwy i wyraźniejszy. Czy płaski obraz może kusić bardziej?

Jemy rambutany i zaśmiewamy się sami z siebie. Jak niewiele potrzeba, by się wkręcić. Jezu, jacy jesteśmy durni.

– Janek chyba odżył trochę przy tej dziewczynie.

Uuu, coś musi w tym być, skoro mój mąż nie tylko dostrzegł jej istnienie, ale nawet metamorfozę młodego.

– No. – Daję mu szansę na rozwinięcie myśli i postanawiam niczego nie ułatwiać.

– Nie miałaś wrażenia, że przy Marcie był jakiś zgaszony?

– Yhm. Marta dzwoniła dzisiaj o szóstej rano.

Obiecałam, że zachowam to dla siebie, więc powiem tylko tyle, że zrobiła mu sporą przykrość.

– A co, zerwała z nim?

– No tak jakby, ale błagam, nie wygadaj się, że coś wiesz. Fajnie, że poznał tę Hiszpankę, co prawda jestem trochę przestraszona jej swobodą, ale może dzięki temu nie będzie myślał, a raczej będzie myślał o czymś innym.

– Zazwyczaj takie znajomości nie są odporne na czas i odległość. Podejrzewam, że finalnie może zaliczyć jeszcze większą bęckę między oczy.

– O Jezu, ten twój wrodzony optymizm... Ważne jest to, co teraz. A teraz nabiera pewności siebie i jest... a przynajmniej wydaje się szczęśliwy. I tego należy się trzymać. Byłam wściekła, gdy nie wrócił na czas, bo oczywiście w takich chwilach mam same koszmarnie wizje, ale z drugiej strony lepiej dać mu wolność tutaj niż wieczorową porą na Starym Rynku u nas.

– Właśnie, ciekawe, że tutejsi stale piją wino, przesiadują w knajpkach i jakoś się nie upijają.

– Najbardziej zdumiewające jest to, że potrafią się bawić niekoniecznie zalani w trupa. U nas impreza polega na upiciu się, dlatego tak bardzo nie cierpię polskiego morza i tych klubów z oparami alkoholu. Widziałeś, jak tu ludzie tańczą salsę? Może jutro się wybierzemy? – Nie wierzę w to, co mówię, ja, królowna z drewna, która umie na parkiecie poruszać się tylko

w rytm polki i oberka.

I tak, sącząc wino zmieszane z zapachem nocy i szumem miasta, zapadamy w letarg, przerwany koniecznością dotarcia do pokoju. Jest bardzo cicho, i to chyba za sprawą zmiany lokatorów po sąsiedzku. Hura! Zero imprez! Mam nadzieję, że noc będzie długa i nareszcie się wyśpię.

Pukanie do drzwi. Nie jestem pewna, czy mi się wydaje, czy rzeczywiście słyszę stukanie. Która godzina? Jezu, ja jeszcze śpię... Trącam Bartka i kategorycznie żądam, żeby wstał, ale dla mojego męża o tej porze nawet pożar nie byłby powodem do zerwania się z pościeli. Nie mam więc wyjścia, zwlekam się z łóżka, wykonuję z lekka nerwowe ruchy, chcąc uchronić dzieci przed zbyt wczesną pobudką, i przywalam nogą w stojące nieopodal krzesło. Ból przeszywa całe ciało, promieniując od palca przez łydkę, i mam wrażenie, że zaraz popuszczę... Teraz naprawdę jestem wściekła. Nie zważając na to, czy kogoś obudzę czy nie, krzyczę:

– *One moment! I'm coming!*

Nawet się nie zastanawiam, kto to może być. Na bank to znowu ci durni imprezowicze. Trochę na oślep, ze łzami bólu w oczach, człapię do drzwi.

Stukanie się powtarza i teraz naprawdę mną trzęsie: debile obudzą dzieci! Energicznie otwieram i... kurwa, mam omamy... Na korytarzu stoją teść i teściowa. Aleksandra i Robert Braun. W zasadzie powinnam powiedzieć von Braun albo jeszcze lepiej: lady

Aleksandra i sir Robert Braun, choć z uwagi na ich charakter i ogromne pokłady miłości bliźniego nazwisko Schwarz bardziej by pasowało. Państwo mecenasostwo.

To nie dzieje się naprawdę, a błogi sen płała mi figle, układając największą życiową traumę w jeszcze bardziej dramatyczny i abstrakcyjny koszmar. Faktycznie wieczorem łyknęłam pigułkę nasenną, a po niej mam najdziwniejsze projekcje... to pewnie jedna z nich. Nic nie mówiąc, cicho zamykam drzwi i na palcach skradam się do dopiero opuszczonego łóżka. Ale jazda. Rodzice Bartka są dwa i pół tysiąca kilometrów stąd. Państwo Braun korzystają tylko ze zorganizowanych wyjazdów, najchętniej w znamienitym gronie prawników, a poza tym nie latają sami! Nigdy i nigdzie. Nie zdążam przykryć się kołdrą i zamknąć oczu, gdy pukanie staje się bardziej energiczne i przykra rzeczywistość poranka coraz mocniej łaskocze mnie pod brodą. To chyba naprawdę nie mara senna, tylko koszmar na jawie.

Nie wierzę w to wszystko, choć Bartek nie wydaje się szczególnie zdenerwowany. Czuję się całkowicie osaczona w tym pseudomieszkanku. W dodatku stoję przed nimi w samej bieliźnie, bez makijażu i pomysłu, dokąd uciec. Bartek, bez większego entuzjazmu, ale – jak po chwili z przykrością konstatuje – również bez zaskoczenia, podchodzi i nie patrząc mi w oczy, wita się. Kurwa! Wiedział! Zabiję gada!

– Przepraszam, proszę chwilę poczekać, wrócę do pokoju i się ubiorę.

Teściowa wtacza się całą masą zasuszonych, na oko pięćdziesięciu kilogramów do holu, zupełnie jakby nie słyszała, co mówię. Ma na sobie letni kostium, a może to garsonka, w waniliowo-białe prążki, na piersiach dumnie prezentuje się gruby złoty łańcuszek zwieńczony jeszcze dostojniejszym krucyfiksem, a w ręku trzyma duży słomkowy kapelusz i torebkę z pseudowężowej skóry. Na twarzy, oprócz makijażu, wdrukowała imponujące poczucie władzy i zadowolenia. Jej zazwyczaj rude włosy przybrały odcień blondu przetykanego beżowymi pasemkami i zostały pieczołowicie ułożone w rzędkie nerwowo skręconych, ale posłusznych loczków. Ładu na głowie pilnuje gruba warstwa lakieru, która sprawia, że fryzura przypomina misternie utkany hełm. Ciekawe, jak na to zareaguje kapelusz? Przy jej drobnej posturze tak ufryzowana głowa wydaje się groteskowo wielka i całkowicie zaburza proporcje tej jakże ważnej osoby.

Ogarnia mnie panika. O rany, w co mam się ubrać? W mojej walizce nie ma nic równie eleganckiego, a tym samym niestosownego na trekking po mieście. W tym czasie teść władczo wita się z Bartkiem:

– No, synu! Nareszcie jesteście. Podróż była okropna, ci wszyscy ludzie w samolocie... no nie, to nie dla nas. A wy co, jeszcze śpicie?

– Tak jakby. Jest dopiero ósma trzydzieści,

a przecież jesteśmy na wakacjach. – Mój niemal sześćdziesięcioletni małżonek, w realnym świecie pan prezes, tłumaczy się przed ojcem jak niesforny chłoptaş w krótkich spodenkach przed dyrektorem szkoły.

– No właśnie! Szkoda kaźdej chwili! Budź dzieciaki, ubierajcie się, musicie nas oprowadzić po mieście.

Bartek nie podejmuje polemiki i nie przeciwstawia się tyranii ojca. Co oni mu zrobili?

Przyglądam się tej rodzinnej scenie zza niedomkniętych drzwi i nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Toczę walkę sama z sobą i niestety poczucie obowiązku, przyzwoitości czy jakkolwiek by to nazwać... kindersztuba wygrywa z chęcią podrzemania jeszcze przez chwilę i olania całej tej sytuacji. Zresztą dzieciaki też już pewnie zostały obudzone, więc trzeba będzie przyjść im z odsieczą. Ale obiecuję sobie solennie, że kiedy tylko – oby nie jeśli – teściowie opuszczą nasz apartament i nasze wakacje, odbędę poważną rozmowę z Bartkiem. Myślę jednak o wnukach państwa Braun i robi mi się ich żal. Na myśl o ich minach, gdy zobaczą dziadków, chce mi się i śmiać, i płakać jednocześnie! Jasiek będzie przerażony, bo dziadkowie od blisko dwóch lat nie zamienili z nim słowa, a Klara po dziecięcemu przez chwilę będzie w euforii, a po godzinie zacznie się skarżyć na dziwne zasady i ograniczenia stawiane jej przez babcię, której w sukurs zawsze przychodzi dziadek.

Pani Aleksandra całą niechęć, którą obdarzyła mnie na początku znajomości, systematycznie i niezmiennie przelewa na najstarszego wnuka. Postanowiła go nie zauważać, nie rozmawiać z nim i traktować jak powietrze. Ich relacje, z trudem wypracowane przez teściową, są tak toksyczne i pozbawione jakiegokolwiek czułości, która powinna łączyć babcię z wnuczkiem, że są dla siebie bardziej jak obcy ludzie, a nie choćby daleka rodzina. Jasiek – spokojny, poukładany i pełen empatii – przez długi czas zupełnie nie mógł zaakceptować takiego obrotu spraw. W końcu pogodził się z tym i mam wrażenie, że w jego emocjonalnym świecie ludzi bliskich i życzliwych babcia przestała istnieć. Teściowa bowiem większą uwagę obdarza pełną energii, dynamiczną i ekstrawertyczną Klarę, choć ta charakterem przypomina zniechęconą synową. Mała jednak intuicyjnie wyczuwa nieustanne piętnowanie jej zachowań i wyglądu przez babcię i jakoś do niej nie lgnie.

Usiłuję narzucić coś na siebie, ale mając gdzieś z tyłu głowy elegancką panią Olę, nie mogę się na nic zdecydować. W końcu wskakuję w ulubioną luźną szarą sukienkę, włosy spinam w koński ogon, nakładam dyskretny makijaż i... nadal nie jestem gotowa na taki poranek. Co ja tu robię? Co ONI tu robią?

Wybudzona jowialnym głosem teścia w progu, mrużąc oczka i zasłaniając je rączką, pojawia się Klara

w szarej piżamce w małe różowe króliczki. Mruga kilka razy i mam wrażenie, że ona też nie wierzy w to, co widzi. Za nią w drzwiach staje rozczochrany, nieco bardziej przytomny Jasiek i skonfundowany mówi:

– O! Dzień dobry... Coś się stało?

Podobnie jak ja kilka minut temu nie przyjmuje do wiadomości zastanej sytuacji.

– Dzień dobry. Nic się nie dzieje, a co ma się dziać? A ty co? Taki duży facet i jeszcze śpi? – atakuje go teść. – Przecież dochodzi dziewiąta. Zbierajcie się, musicie pokazać nam miasto!

Cholera, myślę sobie, jedyne, co muszę zrobić, to umrzeć, a resztę najwyżej mogę, i to jak mnie ktoś ładnie poprosi. Wkuta patrzę na Bartka. Wzrokiem usiłuję przebić się przez jego plecy i zmusić do zajęcia jakiegoś stanowiska. Tymczasem włącza się mała:

– Mamo, a mamuty? Mieliśmy iść z Angielą do mamutów!

O poranku jest z reguły trochę nadwrażliwa, więc na brodzie pojawia się zgrupowanie małych dołeczków, które zwiastują płacz.

– Oczywiście, że pójdziemy! Przecież tak się umówiliśmy.

Jak niewiele trzeba, by diametralnie zmienić nastrój.

– Dlaczego nam nie powiedzieliście, że przyjeżdżają dziadkowie?

Jachu nie może otrząsnąć się z szoku.

– Ja nic o tym nie wiedziałam, ale to dobre pytanie, na które tatuś na pewno odpowie z przyjemnością. – Halo! – usiłuję krzyknąć do Bartka, zrób coś wreszcie! Głośno zaś dodaję: – Przepraszam, ale dzieci nie jadły śniadania i potrzebujemy trochę czasu...

– A co? Nie macie nic do jedzenia? To wy się zbierajcie, a ja przygotuję dzieciom kanapki. – Jak zwykle usłużna teściowa nie przepuszcza okazji do zorganizowania działań. Zadowolona rozsiada się obok teścia na kanapie.

– My też musimy coś zjeść. – Czuję, że ciśnienie pręży się we mnie i rozpycha. – To po pierwsze. Po drugie, nie wiem, dlaczego teściowie się tu znaleźli... – Nie dane jest mi dokończyć.

– Jak to? – włącza się oburzony teść. – Przecież nas zaprosiliście!

Cholera, czy to oznacza, że również zapłaciliśmy?

– Nic o tym nie wiem. Myślę, że to Bartek zaprosił teściów, więc...

Znowu nie udaje mi się dokończyć zdania, teściowa przecież wie lepiej albo nie słyszy, co mówię.

– Nieważne, śniadanie i w miasto! – wpada mi w słowo. Panika w oczach dzieci przywraca mi odwagę.

– Moment! – Odzyskuję pewność siebie i o dziwo, nawet nie drży mi ze zdenerwowania głos. – Jesteśmy na wakacjach i jeszcze do wczoraj mieliśmy zaplanowany ten i kolejne dni. Jeśli mamy wspólnie spędzić czas, to

w porządku, ale umówmy się na przykład na jedenastą. My się pozbieramy, a teściowie odpoczną po podróży.

– No nie wiem. – Teść nie daje za wygraną. – Szkoda dnia, a poza tym co niby mamy robić do jedenastej? Może tu posiedzimy i poczekamy?

– Szczerze mówiąc, wolałabym nie. Musimy wziąć prysznic, ubrać się, no i to byłoby nieco krępujące.

– Nie przesadzaj, przecież jesteśmy rodziną. Ale skoro nas wyganiaasz...

Następuje teatralne zawieszenie głosu i moje nieustające oczekiwanie na pomoc męża wreszcie zostaje nagrodzone. Odzywa się w zasadzie po raz pierwszy tego poranka i o dziwo przychodzi mi z odsieczą:

– Nina ma rację. Potrzebujemy kilku chwil dla siebie, o jedenastej będziemy do waszej dyspozycji i albo spotkamy się tu, albo na mieście.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież nie znamy Barcelony!

– Jasiek się ubierze i zaprowadzi was do uroczej knajpki tuż obok, mają tam znakomitą kawę i tapas, a my zaraz do was dołączymy. OK?

– No, chyba że tak. Ale pospieszcie się!

– Oczywiście.

Udaje nam się wypchnąć ich z mieszkania i mam wrażenie, że cała para, która dotąd tylko usiłowała, teraz naprawdę eksploduje w mojej głowie i wydobywa się białymi obłokami z nosa i uszu. Byk na rodeo to

kociątko.

– Kurwa, Bartek, o co tu chodzi? Dzięki za niespodziankę! Zafundowałeś mi właśnie emocjonalnego plaskacza. Zawsze wiesz, jak spieprzyć to, na czym mi zależy! To miały być wakacje marzeń, a nie sanatoryjny wyjazd z twoimi, TWOIMI rodzicami! – wydzieram się niekontrolowanie, nie zważając na to, czy słyhać mnie za drzwiami i czy państwo Braun będą mieli przyjemność odnieść się do mojego zachowania. – Nie pomyślałeś, że mamy prawo o czymś takim wiedzieć? Kompletnie ci odbiło. Ja pieprzę! Nie mam ochoty na tydzień z nimi! A tak swoją drogą, na jak długo przyjechali?

Jestem wściekła, dzieciaki zwiąły do sypialni i podsłuchując za drzwiami, udają, że ich nie ma.

– Na trzy dni. – Obecność dzieci zdradza głuchy jęk dochodzący zza ściany. – Nina, posłuchaj...

– Chyba nie jestem zainteresowana. – Złość trzęsie moim ciałem jak niemowlak grzechotką.

– Miałem ci powiedzieć o rodzicach...

– Kiedy? Jutro?

– Rano! Nie spodziewałem się ich nalotu o tak wczesnej porze.

– A nie przyszło ci na myśl, żeby nas uprzedzić miesiąc wcześniej?

– Wtedy byście nie pojechali.

– No właśnie!

- I dlatego pomyślałem, że tak będzie lepiej.
- Dla kogo? Dla ciebie czy dla nich? Bo na pewno nie dla mnie i dzieci.
- Dla nas.
- Zwariowałeś? Co to za kretyński pomysł?
- Wiesz doskonale, że nam się z nimi nie układa, wszyscy wielokrotnie przerabialiśmy ten temat. Starzy są jak dwa kawały betonu, ale to jednak moi rodzice i chciałbym mieć z nimi przynajmniej jakieś, nie wiem, czy dobre, ale JAKIEŚ relacje.
- Nigdy nie będziesz miał z nimi dobrych relacji, dopóki nie sprawisz, że po kilkunastu latach wreszcie zaakceptują albo choćby zaczną tolerować synową i wnuki.
- Wiem. I dlatego pomyślałem, że takie wspólne wakacje trochę nas do siebie zbliżą i pozwolą tak naprawdę poznać się lepiej.
- No, ja już chyba poznałam ich dostatecznie dobrze. Powiedzieli mi w zasadzie wszystko, czego nie powinno się mówić drugiej osobie, zwłaszcza gdy ma się o sobie tak znakomite mniemanie, i zrobili wszystko, czego nie powinno się zrobić nikomu, bliskiemu czy nie...
- Wiem, bo mi też pokazali się od jak najgorszej strony, ale czasu na naprawienie naszych relacji mamy coraz mniej i mam przeczucie, że nie zdążę...
- Schylam głowę, by nie widział wyrazu moich oczu. Wiem, że ma rację, i niestety też żyję w nieustannym

poczuciu emocjonalnej straty zarówno własnej, co jest najmniej ważne, jak i przede wszystkim dzieci, które nie mają kontaktu z dziadkami. I pomyśleć, że moglibyśmy być szczęśliwą i kochającą się rodziną, pełną wzajemnego wsparcia i zrozumienia, ze wspólnymi świętami i zwykłymi wieczorami przy kieliszku wina w ogrodzie.

W zasadzie, gdy poznałam teściową, byłam pod wrażeniem jej uroku, dzięki któremu oczarowywała klientów kancelarii. Zachwyciła mnie jej troskliwość i chęć zadowolenia każdego, zwłaszcza zaś tych osób, które wykazywały się pewną nieporadnością i życiowym zagubieniem. Niestety, ja nigdy nie stałam się adresatką jej ciepłych uczuć i namiętnie wypiekanych ciast, przy której to czynności starsza pani wyraźnie się odpręża i relaksuje. Wina niewątpliwie leży też po mojej stronie, zapewne drażniłam ją swoim przekonaniem, że poradzę sobie ze wszystkim, a także umiejętnością organizowania przestrzeni. Nie byłam bezradną istotką obdarzaną jej troską i nigdy nie pozwoliłam sobie przy niej na słabość. Właściwie sama nie wiem, dlaczego tak się stało i co przyczyniło się do tej sytuacji, ale w końcu okazało się, że latami wypracowałyśmy podobną relację, jaka łączyła starą królową ze Śnieżką, a zatrutym jabłkiem żonglujemy do dziś. Szkoda.

Dla odmiany teść sprawiający wrażenie niedostępnego po bliższym poznaniu okazał się miłym

starszym panem, zapalonym myśliwym i wędkarzem. Jego pasja i zamiłowanie do ukatrupiania wszystkiego, co się rusza i daje zjeść, przesłaniają mu potrzebę rodzinnej integracji. Początkowo Jaškowi bardzo imponował dziadek z pukawką i jego opowieści o polowaniach, nagonkach i rykowiskach. Ubrany w bieliznę narciarską i polary, chętnie wyruszał z dziadkiem do lasu. Jednak fascynacja knieją szybko minęła, gdy okazało się, że przyczajony w krzakach czy na ambonie nie może głośniej się odezwać ani gwałtowniej poruszyć, by nie spłoszyć zwierzyny. Chłopak wracał do domu znudzony, przemarznięty i od czasu do czasu z kleszczem oraz postanowieniem, że już nigdy z dziadkiem się nie wybierze. Oczywiście owo „nigdy” umierało śmiercią naturalną kolejnej wiosny, gdy dziadek ponownie z zapalem kreślił przed małym obraz polowania, i rodziło na nowo po pierwszej wyprawie.

Może Jachu był za mały, by dać się porwać hobby dziadka i docenić jego wysiłek, w czym nie pomagała też niechęć Bartka do polowań, wyniesiona z domu po kilku wyprawach z ojcem do lasu. Jaška bardziej od zabijania interesowało dokarmianie zwierząt i budowanie paśników, co z kolei nie było najmocniejszą stroną pana Roberta.

– Bartek, ja to wszystko rozumiem, ale mam nadzieję, że pamiętasz, ile razy próbowaliśmy wyciągać

do nich rękę i z nimi rozmawiać. To nigdy nie przyniosło rezultatu!

– Nina. – Obejmuje mnie i przytula do siebie. – Spróbujmy po raz ostatni, dobrze? Jak nie wyjdzie, damy sobie spokój, ale miałbym wyrzuty sumienia, gdybym nie dał im tej szansy.

– OK. – Poddaję się całkowicie. – Mogę im wybaczyć bardzo wiele, ale nie oczekuj, że zapomnę o tym, co się już wydarzyło, i wystawię dzieci albo siebie na kolejny strzał.

– Dziękuję. Wiedziałem, że zrozumiesz. Ojciec jest coraz słabszy i boję się, że kogoś z tego grona może niebawem zabraknąć.

– No, z pewnością nie twojej matki, nic tak nie konserwuje jak złość, więc kto jak kto, ale ona przeżyje nas wszystkich. Pamiętaj tylko, że to obie strony muszą chcieć coś zmienić. A raczej nie wydaje mi się, żeby twoi rodzice przyjechali tu rewolucjonizować swoje poglądy.

I tak, od szoku przez histerię po czułe pitu-pitu, wchodzimy w drugą fazę wakacji. Wolalabym, żeby jej nie było.

Spotykamy się w naszej knajpce – właściwie już nie naszej, bo mam poczucie, że ktoś nam ukradł to miejsce i czas. Z daleka dostrzegam siedzącą na aluminiowym krzeselku sztywno wyprostowaną teściową, upozowaną

na damę przez duże D, w ogromnym kapeluszu, zawzięcie wachlującą się menu. W zasadzie powinnam być pod wrażeniem, że do tej pory nie rozplynęła się pod warstwami, które na siebie nałożyła. Teść wyluzował się całkowicie i z dumą prezentuje długie chude nogi w krótkich działkowych spodenkach; stopy, wyraźnie bez powodzenia, starają się dopasować do koszmarne znoszonych skórzanych kłapek. Najbardziej przerażający jednak jest gigantyczny brzuch upchnięty w co najmniej o rozmiar za małej koszuli z krótkim rękawem. Obawiam się, że guzik na okrągłym brzuszysku przypominającym piłkę lekarską, i pewnie tyle samo ważącym, zaraz strzeli. Teść prezentuje się tak żałośnie, że aż trudno uwierzyć w jego ponoć szlacheckie korzenie i pochodzenie z najznakomitszych szwabskich rodów. I choć chlubi się swym drzewem genealogicznym i często odnosi do zasad wyniesionych z tak świetnego domu, nigdy nie mówi, co go skłoniło do zamieszkania w Polsce, zgrabnie pomijając wszelkie pytania o motywy tej decyzji. Groteskowa przy tej jego stylizacji jest niemal generalska postawa, władcze ogarnianie wzrokiem i przeczesywanie placu.

– No nareszcie! Czekamy i czekamy. Matka już się zmęczyła!

Nie ma to jak miłe powitanie. Mam ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, ale sytuacja jest tak absolutnie dziwaczna, że nawet mnie to bawi. Zastanawiam się,

w jaką rolę wcieli się mój małżonek, który ściągając rodziców do Barcelony, pewnie ma jakiś plan. W wyścigu po głos wygrywa teściowa, a ja mam wątpliwości, czy mój mąż w ogóle chciał się ścigać.

– No właśnie. Jestem już po dwóch kawach! Czy wreszcie możemy iść i zobaczyć Sagradę Familję? Robercie, możesz zamówić taksówkę?

Patrzę oszołomiona i zastanawiam się, czy dobrze zrozumiałam. Dotychczas miałam złudne wrażenie, że wspólnie ustalimy plan dnia, a tymczasem jesteśmy o rozdział dalej. Plan już jest i zaczyna być wdrażany w życie. Milczenie przerywa Klara:

– Ale, mamó, mieliśmy zobaczyć mamuty, nie chcę znowu iść do kościoła.

– Dziecko, co ty mówisz! Ten kościół trzeba zobaczyć! A mamuty masz wszędzie!

– Tyle że my już zwiedziliśmy Sagradę. – Usiłuję przyjść małej w sukurs.

– Ale Klarcia pójdzie z babunią, prawda? – Teściowa, nie zważając na protest małej, odwraca się do teścia i dalej peroruje: – Robercie, no gdzie ta taksówka?

– Przepraszam, może nie wyraziłam się jasno... My już zwiedziliśmy Sagradę, sądziłam, że wspólnie ustalimy plan dnia, tak żeby każdy był zadowolony. Może teściowie obejrzą kościół, a ja z dziećmi pojedę do muzeum mamutów. Bartosz... – Ale oczywiście nie ma go! Profilaktycznie się ulotnił, zniknął we wnętrzu

knajpki i rozmawia z barmanem, żywo gestykulując, usiłuje zapłacić za poranny posiłek.

– Nino – włącza się apodyktycznie teść. – Na trzynastą mamy bilety do Sagrady Familii i skoro wydałem tyle pieniędzy, to mam zamiar ją zobaczyć. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy choć jeden, a zwłaszcza pierwszy dzień spędzili wspólnie.

Cholera, oczywiście, że nie nic, mam wszystko przeciwko takiemu dniowi! Nie pamiętam, kiedy teść mi coś postawił, z wdzięcznością więc powinnam przyjąć zaproszenie, czyli postanowienie co do dzisiejszych planów. Wreszcie pojawia się Bart i jakby nigdy nic pyta:

– To co robimy? – Zawsze jest rozdział albo dwa za teraźniejszością.

– Właśnie z Ninką – przy Bartku, i tylko wtedy, jestem Ninką, Klara Klarcia, a Jachu Jasieńkiem... Jak ja nienawidzę zdrobnień! – ustaliliśmy, że jedziemy taksówką do Sagrady Familii. Szybciutko zwiedzimy, a potem zjemy wspólny obiad. – Bartek wydaje się równie oszołomiony jak ja. – Ojciec właśnie zamówił taksówki.

– Mamo, najprościej będzie dojechać metrem, tu za rogiem jest zejście...

– Bartusiu! Chyba nie sądzisz, że JA – (przez bardzo duże J) – będę jeździć metrem. Zresztą już wszystko postanowione.

Wybałuszam oczy i staram się nie brać udziału w tej farsie. Włos mi się jeży na karku, gdy patrzę na bezradność mojego męża w obliczu natarcia teściów: teraz pełnym wdzięczności i wyrozumiałości okiem patrzy na mnie. Pewnie jest zachwycony, że nasze pojednanie odbywa się w tak wyrafinowanej zgodnej atmosferze. Teściowa nie przestaje mówić, teść ze zrozumieniem kiwa głową, a do mnie alternatywna rzeczywistość mówi: Halo!

Teściowie od zawsze wszystko wiedzieli najlepiej, od tego, jaką żonę powinien pojąć ich niemal czterdziestoletni wówczas syn, kiedy jest najlepsza pora na dzieci, w jakich firmach powinniśmy pracować, po kolor i długość włosów skarpetek Klary. Jestem autentycznie załamana. Jeśli tak mają wyglądać nasze wakacje i nowe otwarcie w rodzinnych relacjach, to chyba biorę wolne! Bartosz, zamiast wejść w rolę jeśli nie głowy rodziny, to przynajmniej negocjatora albo w najgorszym razie organizatora, jak zwykle milczy. W obliczu bezdyskusyjnych argumentów matki jest zupełnie bezwolny. Marzę, by obudziła się w nim asertywność, zamiast tego słyszę, że możemy się zbierać, i leniwie podążam za wszystkimi w kierunku postojów taksówek na La Rambla. Oczywiście jest nas za dużo, byśmy się zmieścili do jednej, w związku z tym odbywa się kolejna dyskusja na temat, kto z kim ma jechać. Wiem jedno, że nie ja z nimi, oni chyba intuicyjnie wyczuwają to samo, więc jest mi zupełnie

obojętne, gdy teściowa zgarnia dzieciaki. Dzięki temu mam czas na krótką rozmowę z Bartkiem.

– Bart! Cholera, mam dosyć! Jeśli tak mają wyglądać nasze wakacje i nowe rozdanie, to ja taką grę mogę oddać walkowerem!

– O co ci chodzi?

– Jak to, o co mi chodzi? Znowu jedziemy do Sagrady, choć nikt nie miał na to ochoty, Klara ryczy, bo chciała iść do muzeum, o którym mówiła Angela...

– Zaraz, zaraz. O co masz pretensje? Przecież sama ustaliłaś wszystko z rodzicami.

– Nic nie ustaliłam, to oni podjęli decyzję.

– No to trzeba było się nie zgodzić. Mogłaś być asertywna.

– Czyś ty zwariował? Ja mogłam być asertywna? To twoi rodzice, więc trzeba było się nimi zająć, mogłeś zaplanować dzień, a ty robisz wszystko, by ominąć kulminacyjne momenty!

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzaj?! Przecież stale znikasz! A jak protestuję albo usiłuję przeforsować mój, czyli nasz, plan działania, to jestem ta zła, która nie chce spędzić czasu z mamusią! Zdaje się, że nie na tym to polega.

– Nina...

– Nie, posłuchaj! Albo masz jaja i odwagę stanąć z nimi twarzą w twarz i porozmawiać poważnie, bardzo poważnie, albo dzielimy nasze wakacje na pół. Będiesz

tasował swoją talię z rodzicami, a ja swoją z dziećmi. Skoro tak to wszystko wymyśliłeś...

– OK, skoro chcesz, to z nimi porozmawiam.

– Oczywiście, że chcę, i mam nadzieję, że ty również dostrzegasz taką konieczność. Doprowadź też do tego, by wszyscy dorośli uczestniczyli w późniejszych dyskusjach.

– Wiesz, że to będzie armagedon?

Mam nadzieję, że to nie asekuracyjny wybieg Bartka, aby się wycofać.

– Wiem, ale inaczej nasze relacje się nie zmienią. Masz wycisnąć pryszczę, a nie pudrować go! Zresztą wakacje z nimi to gorzej niż fatalny pomysł.

Szybciej, niż się spodziewaliśmy, docieramy na zatłoczony plac przy Sagradzie Familii. Tłum umęczonych ludzi grzecznie stoi w niemożliwie długiej kolejce spoconych ciał. Żar z nieba leje się wiadrami i mam wrażenie, że pogoda też jest przeciwko mnie. Z podziwem patrzę na teściową w kostiumie, po której nie widać interwencji słońca. Może tak wychudzone i zasuszone ciało nie odczuwa spiekoty, a trzy warstwy materiału stanowią niezbędną izolację? Tej kobiety nie zniszczy chyba żaden żywioł. Ja dla odmiany czuję, że włosy zaczynają mi przylegać coraz bardziej wilgotnymi kosmykami do szyi, spinam je więc w kokon na czubku głowy i marzę o butelce zimnej wody gazowanej.

Zadowolenie teściów mocno kontrastuje

z niewyraźnymi minami dzieci. Zaczyna się rytualny taniec. Teściowa, nieustannie tokując, zgarnia teścia i woła Bartka.

– Kochani, mamy tu trzy bilety. Bartuś nas szybciotko oprowadzi. Pamiętaj, że musisz nam wszystko dokładnie przetłumaczyć, a Nina i dzieci poczekają. Może w parku, tam jest wolna ławeczka. – Oczywiście, że ławeczka jest wolna. Ktoś pomysłowo postawił metalowy mebel na skraju ścieżki w najbardziej nasłonecznionym miejscu, ten rozgrzał się więc do czerwoności i nie dziwota, że brakuje śmiałka, który chciałby na nim wytopić cellulit. – Zaraz wrócimy.

Nie wiem, kto jest bardziej zaskoczony: Bartek czy ja.

– Wydawało mi się, że zależało teściom na wspólnym spędzeniu czasu, a to jakby koliduje z tą ideą.

– Ninko, sama mówiłaś, że już tu byliście, a mała nie wiedzieć dlaczego nie lubi kościołów. – Ups, mamy pierwsze w dniu dzisiejszym uogólnienia i podsumowanie, co moje dziecko lubi, a czego nie. Teściowa jest mistrzynią szybkich, zazwyczaj oderwanych od realiów podsumowań i nieustannego generalizowania. – Więc nie ma sprawy! Wy tu sobie przycupnijcie, a my uciekamy. Bartek, chodź! Mamy pięć minut do wejścia.

– Nino, poczekajcie, proszę, to nam zajmie pół godziny, zaraz jesteśmy z powrotem.

Zdaje się, że nawet mój mąż dostrzega niestosowność sytuacji.

– OK, ale robię to tylko ze względu na ciebie. Jasiek, Klara, idziemy do parku.

Obchodzimy skwer z pięcioma krzaczkami na krzyż chyba ze cztery razy, zanim udaje nam się dosiąść do starszej pani na ławeczce w cieniu. Opadamy na zielone deski z nieskrywaną ulgą i sączymy zakupioną wcześniej lodowatą wodę. Przyjemny chłód wlewa się w przełyk i wędruje w głąb ciała, promieniując szpileczkami zimna do wszystkich mięśni.

– Mamo, nie uważasz, że dziadkowie nic się nie zmienili? Znowu robią to, na co mają ochotę, a my się nie liczymy. – Jaśka męczy ta sytuacja i widać, że chłopak czuje się niekomfortowo. Z jednej strony chce być miły i grzeczny, a z drugiej nie może pogodzić się z tym, że ktoś nim manipuluje i coś mu narzuca.

– Widzę. – Obejmuję go ramieniem i przyciągam jego metr osiemdziesiąt cztery do siebie. – Dlatego ojciec wymyślił te wspólne, co prawda jak na razie nie bardzo wspólne, wakacje. Mam nadzieję, że wreszcie coś się zmieni.

Jest mi niezmiernie przykro, że dzieciaki nie mają rozpieszczających i pełnych empatii dziadków, trafili się im za to wymagający i surowi starsi państwo. Moi rodzice z pewnością byliby inni, nastawieni na zabawę, a nie wychowywanie. Co z tego? Zginęli w wypadku

samochodowym zaraz po narodzinach Jaśka, a ich trzymiesięczna radość z dziadkowania gwałtownie się skończyła, wpędzając mnie w głęboką depresję. Mam wrażenie, że do dziś nie uporałam się i nie pogodziłam z tak ogromną i niespodziewaną stratą.

Zośka, moja siostra, zdecydowanie szybciej pozbierała się po tej katastrofie i zdaje się, że odległość, która zawsze była wrogiem naszej siostrzanej zażyłości, wtedy stała się jej największym sprzymierzeńcem.

– Może. Wiesz, że babcia nie odezwała się do mnie ani słowem?

Domyślałam się, że to bardzo prawdopodobne, bo teściowa podczas dwugodzinnej wizyty u nas potrafi nie zauważyć mojej czy Jaśka obecności.

– No, kto jak kto, ale ja wiem doskonale.

– Mamooo, długo jeszcze? Ile czasu minęło? – Klara bawi się nad stawem i jest pochłonięta wrzucaniem kamyczków do wody, lecz nawet ona odczuwa zmęczenie upałem. Czas jest dla niej abstrakcyjnym pojęciem i jedynym odnośnikiem do czasoprzestrzeni jest długość lekcji albo bajki. Czas liczymy więc w półbajkach albo ćwierćbajkach. Podobnie odległość: metry przeliczamy na łóżka i półłożka i tak ośmioipółmetrowy dinozaur jest długości czterech i pół łóżka.

– Pół wieczornej bajki, czyli jeszcze jakieś piętnaście minut, i idziemy na obiad.

Po kolejnych dwóch bajkach, czyli po godzinie,

tkwimy w tym samym miejscu, w tej samej konstelacji. Różnica jest tylko taka, że zrobiliśmy się okrutnie głodni, jeszcze bardziej spoceni, a poziom mojej irytacji sięga zenitu. Bart nie odbiera telefonu, teściowie również.

– Słuchajcie, czekamy jeszcze pięć minut i jeśli nie przyjdą albo nie zadzwonią, idziemy.

– Super! – Jęk wydobywa się z wyschniętych na wiór gardel moich dzieci.

Woda dawno się skończyła, a spiekota przywodzi na myśl długie godziny oczekiwania skazańca na przybycie na szafot kata. Wreszcie zwlekamy się resztką sił i wędrujemy do oblepiającej smrodkiem i niewiarygodnym upałem stacji metra. Wsiadamy nieopodal naszego hotelu. Stopy pulsują w sandałkach, jakby przemieściły mi się tętnice. Kupujemy u Chińczyka w Wok to Walk kubelki na wynos, na targu mrożone świeże soki i urządzamy prawdziwą ucztę na naszym zadaszonym tarasie.

Po godzinie dzwoni spanikowany Bartek z pytaniem, gdzie jesteśmy. Okazuje się, że rodzice musieli zobaczyć i dotknąć każdego detalu i eksponatu przynajmniej trzy razy. W kościele spędzili ponad dwie godziny i w żaden sposób nie mógł ich namówić do wyjścia. Argument, że czekamy, też nie był dla nich wystarczający.

– To jedziemy do was, do hotelu.

– Dobrze, tylko że może nas tu już nie być. Idziemy

na lody, ale zadzwoń, jak dotrzecie. Będziemy w okolicy. Nic ci nie kupiłam na obiad, my jedliśmy chiński kubetek. Może mama coś wymyśli. W każdym razie pospieszcie się.

Wyprawa na lody kończy się niespodziewanym spotkaniem z teściami. Sądziłam, że starsi państwo spokojnie jedzą obiad, tymczasem oni wybrali się na poszukiwanie knajpki i tak oto dotarli do naszej kafejki.

– Dzień dobry. – Usiłuję wykrzesać z siebie optymistyczny ton i modulację.

– Dzień dobry. A wy gdzie się podzialiście? Szukaliśmy was w parku.

– Czekaliśmy tak długo, że dzieci zrobiły się głodne, i postanowiliśmy wrócić do hotelu.

– Wpadało chociaż zadzwonić!

– Oczywiście, dlatego dzwoniłam kilka razy tak do Bartka, jak i do teściów, ale się nie dodzwoniłam.

– Niemożliwe.

– Możliwe, proszę sprawdzić telefony.

Teść ze zniecierpliwieniem wyjmuje aparat z tylnej kieszeni spodni, z zawziętą miną zerka na ekran i jak gdyby nigdy nic mówi:

– No, już dobrze, dobrze. – Czyli co? Widzi, że dzwoniлиśmy, czy nie? Po minie wnioskuję, że tak, a po charakterze wiem, że się nie przyzna. – Zapraszamy na obiad.

– Już jesteśmy po obiedzie.

– Jak to, jesteście po obiedzie?! Przecież mieliśmy zjeść razem!

– Oczywiście, tylko że to było dwie i pół godziny temu. – Usiłuję się bronić i dać Bartkowi czas na pojawienie się obok nas. Oczywiście znowu gdzieś zniknął.

– No tak, ale chyba nie sądzisz, że przerwiemy zwiedzanie i pobiegniemy za wami do restauracji. Mogliście na nas poczekać.

Głęboki wdech, powolutku liczę do dziesięciu i spokojnym – na ile to możliwe – głosem mówię:

– Mogliśmy czekać pół godziny, tak jak to wcześniej ustaliliśmy, ale nie dwie i pół. Jeśli teściowie wiedzieli, że...

– Nic nie wiedzieliśmy...

– Proszę mi nie przerywać. Wiedzieli teściowie czy nie, to nieważne. Jeśli zwiedzanie tak się przedłużało, trzeba było po prostu zadzwonić. Siedzieliśmy w upale i dzieci były wykończone. A w żaden sposób nie mogliśmy się z wami skontaktować.

Bartka nadal nie ma! Ratunku!

– Wydaje mi się, że jak zwykle przesadzasz. To miał być rodzinny dzień.

– I pewnie by był, gdyby teściowie o nas pomyśleli i zrobili tak, jak się umawialiśmy.

O, jest Bartek.

– To co, idziemy? – Jak gdyby nigdy nic...

– A dokąd? – Jestem podejrzliwie dociekliwa.

– Na obiad. – Teściowa uważa, że to bardziej niż oczywiste.

– Jak już mówiłam, my jedliśmy obiad. Byłeś u Chińczyka? – pytam męża z nadzieją.

– Ja? Tak. To może my pójdziemy na kawę, a rodzice na obiad i spotkamy się za godzinę?

Ufff, nie wierzę! Bart ma pomysł!

– Skoro tak stawiacie sprawę. Klarcia i Jasieniek idą z nami – nie pyta, lecz stwierdza teściowa.

Przerażone oczy dzieciaków krzyczą NIE!, a ja wzrokiem dodaję im odwagi. Jak się okazuje, bezskutecznie, więc znowu się odzywam:

– To musimy ich zapytać, czy mają ochotę.

– Jak zwykle wszystko komplikujesz. Mamy prawo iść z wnukami na obiad.

– Owszem, pod warunkiem że one mają na to ochotę. Chcecie iść z dziadkami? – Jachu czubkiem trampka wygrzebał całkiem sporą dziurę w ziemi i nie spuszcza z niej oczu, zupełnie jakby mogła wziąć nogi za pas i uciec. Klara dla odmiany bawi się plastikowym kubkiem i patyczkiem po lodach. – Klaro, zostaw te śmieci.

– Raczej nie. Jesteśmy najedzeni.

– Nie rozumiem, dlaczego izolujesz od nas dzieci, ale skoro tak, spotkajmy się za godzinę na kawie. Bartusiu, zaprowadzisz nas do restauracji?

Nie wierzę! Gorzej niż z przedszkolakami. Ciekawe, czy Bartuś weźmie mamusię za rączkę. Swoją drogą, zastanawiam się, czy z ich strony to bezradność siedemdziesięciolatka, czy zwyczajna gra na emocjach.

– Właśnie stoimy przed dobrą restauracją. – Jestem dumna z męża, który wygląda, jakby ocknął się z letargu, i zgrabnie usiłuje wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. – Menu jest też po angielsku i niemiecku, więc poradzicie sobie z zamówieniem. My tu jedliśmy znakomitego łososia...

Teściowa wydaje się lekko osłupiała.

– No ale gdzie się spotkamy?

– Podejźmy do was plus minus za godzinę. Nino, chodź na kawę.

Bardziej potrzebuję kieliszka proseco, ale kawa też może być. Po tak udanych rozmowach zawsze się zastanawiam, gdzie jest rozsądek i obiektywna prawda. Na barze czekają na turystów świeżo wyciśnięte, pełne słodczy i aromatu owoców dojrzewających w pełnym słońcu soki z mango, pomarańczy, papai i czego się da. Zamawiamy po dużej szklanie i sącząc je przez grube słomki, przyglądamy się ludziom.

– Mamo, jestem zmęczony, pójdę do hotelu.

– Zwariowałaś? Jest dopiero piąta. Źle się czujesz?

– Nie, tylko takie łązenie za dziadkami to strata czasu. W zasadzie ciągle tylko na nich czekamy i nic z tego nie wynika.

– Wiem, ale co mam zrobić?

– Może powiedzieć im, że mamy inny plan na dzień?

O, jakie asertywne dziecko pod nieobecność dziadków! I jakie proste rozwiązanie.

– Właśnie mamy zamiar to zrobić. To idźcie z Klarą do apartamentu, mała wygląda, jakby z nudów miała strzelić pawika. A my do was dojdziemy.

– Właściwie to umówiłem się z Angelą na telefon.

I tu cię mam! Zmęczenie synusia ma nieco anielskie tło.

– Aha. To zadzwoń do niej. Może byście zabrali małą sobą.

– No, nie wiem.

– Dam jej kilka euro, kupi sobie jakiś latający badziew i zajmie się sobą. A my w tym czasie przedyskutujemy z ojcem, co zrobić z dziadkami, OK?

– No dobrze. To dzwoniemy się po dziewiętnastej.

Godzinę później, bogatsi o burzliwą dyskusję, która absolutnie nic nie wniosła w rozwiązanie problemu z teściami, stoimy przed restauracją, w której ich zostawiliśmy. Przez szybę widzę roześmianą teściową z kieliszkiem wina w ręku i równie rozbawionego teścia. Radość nagle zamiera im na ustach i przywdziewają pomroczną szatę całkowitej powagi, gdy niespodziewanie nasze spojrzenia się krzyżują.

Dosiadamy się do ich stolika i zamawiamy butelkę czerwonego wytrawnego wina. Może przy niej będzie nam łatwiej uzgodnić stanowiska i ustalić, jak mają wyglądać nasze relacje. W zasadzie sama nie wiem, czego oczekuję od tej rozmowy, bo doskonale zdaję sobie sprawę z beznadziejności sytuacji i tego, że prawdopodobnie nie będą ani chcieli, ani potrafili się zmienić. Chciałabym, żeby nasze stosunki były takie zwyczajne i partnerskie, jak z moimi rodzicami, żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać, bez podtekstów i nadmiernej analizy doboru słów.

– No to słuchamy. – Teść niczym czołg w natarciu przechodzi od razu do meritum.

– Cieszymy się, że przyjęliście nasze zaproszenie na wspólne wakacje, a w zasadzie moje zaproszenie...

– Jak to twoje? Myśleliśmy, że Nina też chce spędzić z nami urlop.

– Nina nic nie wiedziała o moim pomysle. Zależało mi na tym, żebyśmy spędzili trochę czasu razem i spróbowali na nowo się porozumieć.

– Ale...

– Proszę, niech mama mi nie przerywa. Sporo mnie ta rozmowa kosztuje, więc proszę wysłuchać, co mam do powiedzenia. Tak jak powiedziałem, zależy mi na naszych dobrych relacjach. Lata mijają szybko, mamy coraz mniej czasu dla siebie. Zależy mi na dobrych kontaktach z wami, nawet na wspólnych niedzielnych

obiadach, których jako dziecko tak bardzo nie lubiłem. Chciałbym, żeby moje dzieci miały normalnych dziadków...

– Sugerujesz, że jesteśmy nienormalni? To oburzające. – Teść jeszcze bardziej się spiął, jeśli to w ogóle możliwe.

– Nic nie sugeruję. Usiłuję tylko powiedzieć, że chciałbym, aby moje dzieci miały dziadków, którzy z nimi rozmawiają, spotykają się i miło spędzają czas, są nimi zainteresowani, a nie tylko mają oczekiwania i rozliczają z obowiązków.

– A my może tak robimy? – Teściowa przybiera jeszcze bardziej oficjalny ton.

– Niestety, w odczuciu moim i dzieci właśnie tak. Zresztą to nie dotyczy tylko dzieci, nas również.

– Nie przesadzaj!

– Nie przesadzam. Nigdy nie zaakceptowaliście tego, że ożeniłem się z Niną. Zawsze robiliście i nadal robicie wszystko, żebym „przejrzał na oczy” i się z nią rozstał.

– To nieprawda. Kochamy – jakie ładne duże O w środku wyrazu – twoją żonę, ale rzeczywiście miałeś inne miłe koleżanki. – Teściowa teatralnie zawiesza głos, sprawiając, że niewypowiedziane słowa same wypowiadają się w mojej głowie.

– Jak mama zauważyła, miałem inne koleżanki, ale wybrałem Ninę i jestem z nią szczęśliwy.

– Skoro tak.

– Właśnie tak. Szkopuł tylko w tym, że jakoś nie potrafimy się komunikować i nasze relacje pozostawiają wiele do życzenia. Nie rozumiem, dlaczego od samego początku negujecie nasz związek i dlaczego za naszymi plecami wykonujecie tyle ruchów, które nam szkodzą.

– Dziecko, o czym ty mówisz?

Starsza pani sprawia wrażenie niezwykle opanowanej, tak że sama daję się nabrać i na nowo zaczynam rozważać, czy z jej strony to gra, czy może rzeczywiście nie widzi problemu. A może faktycznie nie ma żadnego problemu, tylko ja go tworzę w głowie?

– Mówię o tym, jak w dniu ślubu wzięłaś mnie na bok – teściowa chyba traci opanowanie, bo zaczyna się nerwowo wiercić w wygodnym fotelu, a na jej szyi pojawiają się brzydkie pąsowe plamy – i powiedziałaś, że jeszcze mogę odwołać ceremonię bez względu na koszty, jakie ponieśliście.

Teraz mnie wychodzą plamy na twarzy, a uszy palą jak ogień gałąź. Sięgam po kieliszek wina i zastanawiam się, o czym jeszcze nie wiem. Bartek, ze wzrokiem wbijanym to w teścia, to w teściową, kontynuuje:

– O tym, jak miesiąc po ślubie staraliście się, żebym, choć byłem studentem, co prawda na dziekance, odbył kilkumiesięczną służbę wojskową, wiedząc, jak bardzo nie chcę iść do wojska i jak daleko będę od domu! Tylko po to, by nas rozdzielić. Mówię też o tym, jak wydzwanialiście do szefów Niny z pytaniami o nią

i poziom jej zaangażowania. O tym, że gdy Nina była w ciąży, gnębiłaś ją podczas sporadycznych wizyt w szpitalu wizjami tego, jak chore albo upośledzone urodzi dziecko, biorąc leki zaordynowane przez lekarzy. O tym, że nigdy nie pamiętacie o jej urodzinach czy imieninach, choć to ona zawsze dla was, na każdą rocznicę, kupuje kwiaty i prezenty, bo ja nie mam głowy do takich spraw. Nigdy nie potrafiliście się przełamać, żeby powiedzieć jej coś miłego. Nawet po śmierci jej rodziców, zamiast współczucia, potrafiliście tylko wykrztusić, że „no cóż, można się było tego spodziewać”. Nie interesujecie się wnukami, ich szkołą, sukcesami i problemami. Potrzebni są tylko wtedy, gdy chcecie się nimi pochwalić na imprezie znajomym, ze szczególnym uwzględnieniem Rady Adwokackiej. W kościele spotykacie się w duszpasterstwie rodzin, a nie potraficie bez zadęcia spędzić z nami jednego wieczoru.

– Bartosz... – Teść, ogłuszony tą tyradą, usiłuje przerwać Bartkowi.

– Jeszcze nie skończyłem. I albo powiem wam teraz wszystko, albo...

– Albo co?

Błada na twarzy, czerwona na szyi teściowa jest bliska furii. Podejrzewam, że Bartek właśnie zburzył jej status quo, a nie taki miała plan.

– Albo jest to nasze ostatnie spotkanie. Chyba wszyscy mamy dość życia w tak zakłamaną i niezdrową

atmosferze. Dla was ważny jest tylko Wojtek i jego rodzina. Jego adoptowane dzieci są wam bliższe niż nasze. To on został udziałowcem wpływowej kancelarii...

– Przecież ty nie jesteś prawnikiem.

– Ale mogliście to inaczej rozegrać, chociażby powiedzieć mi o swoich planach, a nie fundować wielkie zdziwienie, gdy dowiaduję się o takich sprawach od osób postronnych. Zresztą z finansowego punktu widzenia nie mam zastrzeżeń, to wasza firma i mogliście zrobić z nią, co wam się żywnie podobało. Usiłuję wam tylko uzmysłwić, że jednemu dziecku przychylacie nieba, a drugie traktujecie jak powietrze.

– Tak jak powiedziałaś, to nasza decyzja.

– Oczywiście, tylko pomyślcie, jak się czują Jachu czy Klara, gdy zabieracie do Kenii Laurę i Sandrę. Gdy z nimi jeździcie wszędzie, spełniacie wszystkie ich zachcianki i zachwycacie się ich miernymi wynikami w nauce.

– Proszę, nie przesadzaj!

– W czym przesadzam? W tym, że Laura zdołała się dostać co najwyżej do technikum gastronomicznego, a...

– Poszła tam, bo chce być drugą Magdą Gessler.

– Z tą różnicą, że tamta zna kilka języków i jest świetnie wykształcona, a Laura ledwo zaliczyła ostatnią klasę gimnazjum. Ciekawe, co będzie z Sandrą.

– Zajmij się swoimi dziećmi. – Teściowi wyraźnie puszczają nerwy.

– Właśnie to robię! Usiłuję wam uzmysławić, co muszą czuć, tak niesprawiedliwie przez was traktowane, tym bardziej że w przeciwieństwie do dzieci Wojtka nie mają drugich rozpieszczających je dziadków.

– Zostaw Wojtka w spokoju.

– Ależ zostawiam. Nakreśliłam tylko problem.

– A zastanawiałeś się, dlaczego nie akceptujemy Niny? – A jednak, czyli to nie złudzenie. – Teść przybiera postawę kapitańską, a ja jestem szczęśliwa, że naszych słów wypowiedzianych lekko podniesionym głosem w tej hiszpańskiej knajpce prawdopodobnie nikt nie rozumie.

– Nieustająco. Ale nadal ani ja, ani moja żona tego nie wiemy.

– To ci powiem. Razem z matką uważamy, że należy nam się szacunek.

– A czy ja nie okazuję szacunku? – Jestem naprawdę zdziwiona. Tyle razy miałam ochotę odszczeknąć się teściom na ich poziomie, ale zawsze z tyłu głowy słyszałam cichy głos: To rodzice twojego męża, i dawałam sobie spokój.

– A okazujesz? Stale podważasz nasze zdanie, choćby dzisiaj, gdy chcieliśmy iść na obiad. Nigdy nic ci nie pasuje. Zagarniasz nie tylko Bartka, ale i dzieci. Jak urodziłaś Jasieńka, to nie pozwalałaś, żebyśmy z nim zostawali ani go bawili, nie spuszczałaś z niego oka!

– Bo do drugiego roku życia miał bezdech

i przestawał oddychać! Przecież mówiłam, że kilkanaście razy musiałam go reanimować. W zasadzie nie spałam.

– Tak, mówiłaś. Ale gdybyś nie brała wtedy tych leków, toby do tego nie doszło. Rozmawiałam z zaprzyjaźnioną panią profesor, która...

– Nie wytrzymuję i przerywam:

– Gdybym wtedy nie brała leków, to prawdopodobnie Jaśka by nawet nie było albo urodziłby się z ciężkimi wadami.

– Widzisz, ona znowu swoje. – Satysfakcja, niczym końskie kopyto w piachu, wyraźnie odbija się na twarzy teściowej.

– Mamo, obawiam się, że Nina ma rację.

– Nawet ciebie przekabaciła.

– Nikt mnie nie przekabacał, tylko wyniki badań nie pozostawiały nam wyboru.

– A czy ty jesteś lekarzem?

– Nie, ale mieliśmy pełne zaufanie do doktora, który prowadził ciążę.

– No to widziałeś, jak to się skończyło. Wystarczyło, żebyś nas posłuchał. – Pani Aleksandra, niczym Aleksander Wielki, mimo naporu argumentów szarżuje dalej. – Tak samo było z karmieniem piersią i pampersami. Mówiłam, że jak będziecie używać tych plastikowych pieluch, dzieciaki będą miały problem z jelitami... i bardzo proszę.

Przeraża mnie uśmiech teściowej, gdy mówi o bólach brzucha naszych dzieci. Nie potrafimy nad nimi zapanować, liczne wizyty w szpitalu i poszerzona diagnostyka nic nie wniosły do rozwiązania tej bolesnej kwestii. Na nic się zdały różne diety, które usiłowałam stosować. W zasadzie dopiero ziółka od zaprzyjaźnionej Chinki zminimalizowały problem.

– Mamo, dajmy spokój, nie wracajmy do tego, co było...

Czuję, jak mi wywala bezpieczniki, i mimo wcześniejszego postanowienia, że będę biernym słuchaczem, włączam się do rozmowy:

– Bartek, poczekaj. Chciałam coś powiedzieć w nawiązaniu do słów teściowej. Oczywiście szacunek się teściom należy, podobnie jak nam.

Czuję się tak, jakby kolejne wagoniki kolejki napierały na lokomotywę, tyle mam do powiedzenia i wyrzucenia z siebie, ale usiłuję się kontrolować, żeby nie wykoleić całego składu.

– Tobie? Wam? Jesteście dziećmi. – Teść jest nieco przygłuchy, jednak doskonale filtruje każdy przekaz i zazwyczaj wyraźnie słyszy tylko to, co chce usłyszeć.

– Powiem więcej – nie daję się podpuścić – na szacunek trzeba zapracować.

– Jesteś bezczelna. Poza tym zobacz, jak ty siedzisz.

Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Co prawda nogę założyłam na nogę, mam krótkie spodenki, ale nie na

tyle, by pokazać choć skrawek poślądka. Dyskretnie sprawdzam dekolt, ale tu też nic nie budzi mojego niepokoju.

– Słucham?

– Skrzyżowałaś ręce, masz postawę zamkniętą i chcesz z nami rozmawiać? – Teść w nerwowym geście kładzie ręce na podłokietnikach fotela.

Matka Bartka jest wyraźnie zadowolona z tej miążdzącej psychologicznej analizy.

– Zdaje się, że teść przed chwilą siedział tak samo. Ale wracając do rzeczy. Chcę powiedzieć, że nie życzę sobie wysłuchiwania od osób trzecich opinii teściów na mój temat, analizowania i komentarzy pod moim adresem, awantur, tak jak na urodzinach Klary w naszym domu, i podważania mojej pozycji w pracy czy w oczach dzieci. Dezawuowania moich opinii. Poznając Bartka, nie nastawiałam się na takie rodzinne relacje i to wszystko mnie przerosło. Ale myślę, że teściowie, jako ludzie dojrzałsi i bardziej doświadczeni, a co za tym idzie mądrzejsi, znajdą rozwiązanie problemu.

Powietrze zastyga, podobnie jak teściowie. Nie spodziewali się takiego obrotu sprawy i wyglądają tak, jakby musieli przewinąć taśmę do tyłu i odtworzyć ją ponownie na zwolnionych obrotach. Bartek jest równie oszołomiony. Korzystając z chwilowej ciszy, podejmuję wątek:

– Nie jestem w stanie zapomnieć przykrości, których

doświadczyliśmy ja i dzieci, ale mogę pewne rzeczy wybaczyć i jeśli teściowie będą widzieli taką potrzebę, spróbować jeszcze raz naprawić nasze stosunki. Robię to ze względu na Bartka, któremu na tym zależy, i dzieci, które już chyba pogodziły się z tym, że nie mają dziadków. Mam nadzieję, że ich odzyskają. Pytanie, czy teściowie są gotowi.

– A jak ty to sobie wyobrażasz?

– Zwyczajnie. Że będziemy normalnie ze sobą rozmawiać i spędzać czas bez nadęcia i stresu. Że będziemy sobą wzajemnie zainteresowani.

– Tak, ale powinnaś nas przeprosić.

– Za co?

– Za wszystko!

– Czyli?

– Za to, że jesteś zaborcza, ograniczasz nam kontakt z synem, że wszystko wiesz najlepiej i jesteś zarozumiała.

Zwariuję! Wracamy do punktu wyjścia. Ale jeśli to ma w jakikolwiek sposób pomóc... Mówię:

– Przykro mi, że nie dostrzegalam tego i nadal nie dostrzegam, ale jeśli tak jest, to przepraszam. Myślę, że dla oczyszczenia atmosfery teściowie też powinni nas przeprosić.

– Ale za co?

– Za całokształt.

– Nie wydaje mi się, ale skoro nalegasz.

I... i nie pada przepraszam. W zasadzie dalsza dyskusja nie ma sensu, ale obiecuję sobie, że od tej pory będę uczciwie mówiła to, co myślę, i wyjaśniała każdy problem na bieżąco. Zdecydowanie lepiej się czuję po tym, jak wyraźnie i odważnie powiedziałam, czego sobie nie życzę. Daje mi to prawo jasnego wyrażania swoich myśli i mówienia, co mi się nie podoba. Przepraszam i wychodzę, żeby ochłonać w toalecie, dając tym samym Bartkowi czas na dokończenie tematu. Gdy wracam, widzę ich wszystkich mocno pochłoniętych dyskusją.

Siadam przy stoliku i zaczynam się przysłuchiwać rozmowie, która po moim dołączeniu do grona wyraźnie zmienia kierunek na bardziej neutralny. Bartek deklaruje, że jeszcze wieczorem sobie porozmawiają na tarasie. Szkoda, bo zaplanowałam wieczór z książką w blasku gwiazd, ale tak naprawdę cieszę się, że w ogóle...

W miarę możliwości, jakie stwarza cała ta sytuacja, staramy się wejść w normalną rodzinną atmosferę i zaproszeni przez Bartka na najlepszy deser lodowy, jaki jadłam w Barcelonie, wędrujemy w kierunku naszej ulubionej katedry. Zresztą mamy w planach pokazanie jej teściom.

– A gdzie są dzieci? – Teściowa nagle spostrzega, że nasze stadko ze sztuk czterech skurczyło się do dwóch.

– Jasiek umówił się z Angelą i zabrał z sobą małą. Mają iść na plac zabaw.

- Z jaką Angelą?
- Dziewczyną, którą poznał na plaży.
- Chyba żartujesz! – Teściową zapowietrza oburzenie. – Przecież jej nie znacie! I co? Tak po prostu się zgodziliście? Robercie, słyszałeś? Jaś poszedł na spotkanie z jakąś obcą dziewczuchą.

Mam ochotę, tłumacząc świat pani Aleksandrze, niejako w naturalny sposób zwrócić się do niej „mamo”, aż ciśnie mi się na usta to najładniejsze na świecie słowo, takie miękkie i aksamitne MAMO, ale jakoś nie przechodzi przez gardło i zasycha na podniebieniu. Zupełnie idiotycznie od kilku lat lawiruję formą bezosobową: może podać herbatkę?, czy ktoś ma ochotę na kolejny kawałek ciasta? W obecnej sytuacji najbardziej słuszne wydaje mi się mówienie per teść, teściowa, co jest tak nienaturalne, że potrafi mocno skonfundować nieznające naszych relacji towarzystwo przy stole. Po ślubie do tych skądinąd obcych ludzi zaczęłam się zwracać „mamo”, „tato”, ciesząc się, że będziemy tworzyć dużą szczęśliwą rodzinę. W miarę poznawania wachlarza kreatywnych możliwości manipulacyjnych państwa Braun, owo „mamo” i „tato” coraz mniej mieściło mi się w głowie. Kolejne przykrości i dowody wyraźnej dezaprobaty wobec mnie doprowadziły do wyparcia tych form przez oficjalne „pan”, „pani”. Takie tytułowanie okazało się dla nich niezwykle dotkliwie, zwłaszcza w obliczu Rady

Adwokackiej i dalszej rodziny. Udało im się wymóc na synu przekonanie mnie do beznadziejnej formy „teść”, „teściowa” i wiecznej onomastycznej gimnastyki.

– Jasiek ma już siedemnaście lat i jest prawie dorosły, a Angela wydaje się bardzo miła i poukładana. Zresztą Klara bardzo ją lubi.

– To nie zmienia faktu, że jest jeszcze dzieckiem!

– Ale dojrzałym i odpowiedzialnym.

– Mogą go przecież pobić albo, nie daj Boże, okraść. Ta dziewczyna może być pułapką zastawioną przez mafię. Zobaczysz, ona jest przynętą, która wciągnie go w grupę bandytów. W pracy stale zajmuję się takimi przypadkami. Robercie, wytłumacz im.

Wyobraźnia teściowej nie zna granic, jest jak ogromna kula śnieżna, która usiłuje cię dopaść i zmieść z dotychczasowej ścieżki. Pan Robert, oderwany od kontemplowania idących przed nami półnagich, jędrnych pośladków wystających ze zdecydowanie zbyt krótkich spodenek, których egzotyczna właścicielka kręci pupą zgrabne ósemki, rozmarzonym głosem tygrysa z brzuchem pełnym antylopy jest w stanie wykrztusić tylko:

– Taa, matka ma rację.

– Przestańcie. Jachu jest prawie dorosły i może się spotykać, z kim chce, dziewczynę wszyscy poznaliśmy i, co najważniejsze, tu jest bezpieczniej niż w jakimkolwiek mieście w Polsce. Więc nie ma tematu.

Jestem w szoku. Najwyraźniej mój mąż po kilkuletnim letargu nie dość, że się ocknął i przeciągnął, to jeszcze pokazał pazur, no... może pazurek, i to z manicure'em. Proszę... Mam nadzieję, że to zmiana na dłużej albo – nieśmiało – na zawsze.

Niezrażona teściowa snuje apokaliptyczne wizje i nie wiem, czy jej na przekór, czy faktycznie coś we mnie dojrzało, ale nie podzielam tej projekcji i nie daję się porwać histerii.

Rozważania przerywa wibrujący dźwięk telefonu. Nie od razu konstatuje, że owo świdrujące wibrowanie dochodzi z wnętrza mojej torebki, dopiero przy kolejnej próbie podjętej przez osobę po drugiej stronie słuchawki odkrywam, że znowu Klara bawiła się moim aparatem i pozmieniała dzwonki, tapety itd.

– Halo. – W słuchawce słyszę tylko szloch, który po moim drugim „halo” osiąga stan krytyczny. Spoglądam na ekranik i odkrywam, że to płacze moja siostra albo ktoś, kto wszedł w posiadanie jej telefonu. W środku nocy dzwoni tylko śmierć i tylko śmierć tak szłocha. Moje serce zasuwa jak nerwowy mechanizm zegara z kukułką, a adrenalina podcina nogi.

– Zosia! Halo, to ty? Odezwij się!

Teściowa patrzy na mnie z dezaprobatą – okazuje się, że krzyczę na środku chodnika.

– Nina, co się stało? – Dopada do mnie Bart. – Co się dzieje?!

– Nie wiem, Zosia wyje do słuchawki... Nic nie mówi.

– Jaka Zosia?

– No, siora!

– Pani Zero Kontaktu?

Tak najbliższą ciocię nazwał Jasiek, jak był mały, i od tego czasu o mojej siostrze nie mówi się inaczej.

– Kurde, to coś musiało się stać.

– Zośka, do ciężkiej cholery, opanuj się i powiedz, co się stało? Coś z dziewczynkami?

– Nie, Rysiek... – I tu znowu długa seria szlochów i smarkania.

– Co Rysiek? Miał wypadek? – Niestrudzenie dociekam, o co chodzi, mimo wszystko jednak trochę się uspokajam. Fatalne uczucie, ale tego drania nikt z rodziny wyjątkowo nie cierpi, a ja szczególnie. Zośka wręcz odwrotnie, uwielbia tego, jak sama mówi, romantycznego macho-chama, który każdego, a zwłaszcza dziewczyny, traktuje z buta, z wyjątkiem wybranki serca, księżniczki Zofii... Niestety ja nie potrafię w nim dostrzec cienia romantyzmu, natomiast chama widzę bardzo wyraźnie. Zawsze wszystko wie najlepiej, ma najdłuższe, najgrubsze, największe i jest bezczelnie zarozumiały. A moja delikatna siostra, uwiedziona aurą Rycha, stała się równie obcesowa jak on i wyzuta z jakiegokolwiek subtelności.

– Nie, on mnie zdradza...

No, w zasadzie to wypadek przy pracy – dać się tak przyłapać. Pech.

– Hej, może to tylko plotka – usiłuję dodać jej otuchy.

– Nie, nakryłam go.

– Z panną?

– No, nie.

– No to wyluzuj.

– Nic nie rozumiesz! Złamałam nogę i z nudów, jak siedziałam w naszej willi – ja mam chatę, dom czy jakkolwiek to zwał, moja siostra zaś ma wille, w dodatku z basenem – zaczęłam przeglądać jego najnowszego macintosha – podkreślone grubą kreską – weszłam na jego...

Szloch zagłusza wszystko.

– I co? Znalazłaś jakieś zdjęcia?

– Nie, weszłam na jego gadu-gadu.

Cholera, nie do końca wiem, co to jest, ale mam wrażenie, że tam się raczej rozmawia, a nie ogląda pornole.

– I...

– I on się ze mną umówił...

– No to chyba dobrze.

– Nic nie rozumiesz! Jezu, jaka ty jesteś tępa! – To oczywiste, zawsze mi to powtarzała, od chwili, gdy tylko zaczęła mówić! Młodsza o dziesięć lat siostra zna świat,

zwłaszcza rozrywki, lepiej niż ja. – Umówił się nie ze mną, tylko z Violetką 999!

– I tą Violetką 999 byłaś ty? – Chwałę się przebłyskiem inteligencji, analizując dane i wyciągając wnioski.

– Tak! – Rany, jak ona zawodzi. – Umówił się ze mną w naszym domu! Najpierw wypytał, co lubię, jak wyglądam, jakie mam cycki, a potem się umówił.

– No i...

– No i się spotkaliśmy! Ja bez gipsu, za to w peruce i okularach, a on był tak napalony, że mnie nie poznał i zaczął się rozbierać!

Jezu, oczy wychodzą mi z orbit, tak chce mi się śmiać, że ledwo trzymam słuchawkę, widzę Ryśka w galotach z tym wielkim brzuchem, spoconego z podniecenia, fuj! I moją przechudą i przemodną siostrę z czarnymi włosami do tyłka! Udając powagę, zachęcam ją do zwierzeń.

– I co, w końcu cię poznał?

– Początkowo nie, ale jak się na mnie rzucił i zerwał ze mnie sukienkę, no wiesz, tę popielatą od Miu Miu, która się trzyma na tych jedwabnych wstążeczkach...

– Oczywiście, że nie wiem którą, przecież nie widziałyśmy się z siedem, osiem lat!

– Nieważne. No więc jak się zorientował, że to ja, to kazał mi wypierdalać, a sam wyjechał do stolicy, przynajmniej tak powiedział.

- I co zrobiłaś?
- No jak to co? Wypierdalałam przez cały weekend!
- Jak to: cały weekend?
- No, z ekipą budowlaną. Zabrałam wszystko: meble, wyposażenie łazienek, lampy, nawet udało się wymontować drzwi, piec i kaloryfery.
- Żartujesz?
- Nie, jestem śmiertelnie poważna. Zabrałam nawet kible! A z naszego nowoczesnego wielkiego basenu spuściliśmy wodę. Wiesz, ile mieliśmy roboty?
- Zostawiłaś go z domem w stanie deweloperskim? – Jestem w szoku, choć nie wiem, czy powinnam być z siostry dumna, czy też martwić się o jej życie.
- Tak jakby. Został ogród, dzwonek... – Znowu następuje seria szlochów. – I co ja mam teraz zrobić?
- Rany, nie wiem. A gdzie mieszkasz?
- Przyjaciółka wynajęła mi swój szeregowiec, ale nie mam za dużo pieniędzy, więc...
- A Rychu widział już waszą willę?
- Chyba tak, to było kilka dni temu.
- Nie boisz się, że cię zabije? – Naprawdę zaczynam panikować na myśl o niepohamowanych emocjach szwagra.
- Możesz do mnie przyjechać? Proszę.
- Zwariowałaś? Jestem na wakacjach w Barcelonie. A co z dziewczynkami?

– Jak to co? Są ze mną.

– Aha. Zośka, słuchaj, uważaj na siebie, może wynajmij sobie jakiegoś ochroniarza, odezwę się po powrocie, OK? Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń w każdej chwili.

– A dobrze zrobiłam?

– Nie wiem. Dobrze, że z nim zerwałaś, nigdy do siebie nie pasowaliście...

– Właśnie że nie, przecież dalej go kocham.

– No to już sama nie wiem. To po co się wyprowadzałaś, i to w takim stylu?

– Z tym ochroniarzem to masz rację. Jak znajdę takiego umięśnionego przystojniaka, to Rysiek na pewno będzie zazdrosny, a wtedy mu pokażę.

Po hysterii nie ma śladu, zwoje mózgowie mojej siostry zaczęły pracować w rytm napinających się bicepsów jakiegoś ciacha z siłowni. Ciekawe, co będzie dalej. Pewnie Rysiek wyrwie jej te zgrabne długie nogi z chudego tyłka opiętego lateksem.

Teściowie zamarli na czas naszej rozmowy, podobnie jak Bartek, i teraz oczekują ode mnie sprawozdania. Co mam powiedzieć uporządkowanej i przykładowej rodzinie państwa B., w której takie rzeczy są nie do wydarzenia? Myślę, że najbardziej wybudują fantazje teściowej nie ogarną tematu.

Uznaję, że najrozsądniej będzie przemilczeć sprawę, i bąkam pod nosem, że siostra ma jakiś kryzys i tyle.

Oczywiście teściowa usiłuje dowiedzieć się więcej, ale rozsądnie milczę... Z opresji wybawiają nas dzieciaki, które spotykamy na placu. Klara ma buzię usmarowaną lodami czekoladowymi, a jej oczka błyszczą zachwytem. Jestem zdumiona, że moje raczej niezbyt wylewne dziecko trzyma Angelę za rękę. Zazwyczaj jest bardzo nieufna i ostrożna w okazywaniu uczuć. Myślę, że stojący obok Jachu zazdrości jej ciepła emanującego z dłoni dziewczyny.

– O, cześć, mamó. – Jest wyraźnie zmieszany na widok dziadków. – Właśnie mieliśmy do was iść. Babciu, to jest Angela. – Szarmancko przedstawia koleżankę, która najwyraźniej nie robi na buni wrażenia, przynajmniej dobrego.

Teściowa bezceremonialnie lustruje ją od stóp do głów, nie siląc się na najmniejsze chociażby przywitanie. Teść dla odmiany jest zachwycony Angelą i zaglądając w jej spory dekolt, usiłuje dziewczynie nadskakiwać.

Przypomina mi się pierwsze spotkanie z rodzicami Bartka, który po kilku miesiącach znajomości wreszcie zaprosił mnie do siebie. Byłam w szoku, gdy odkryłam, że czterdziestolatek z taką pozycją w firmie nadal mieszka z rodzicami. Był środek zimy, pachniało mrozem i śniegiem i miałam wrażenie, że ziąb przeszywa mnie na wylot. Ogromna willa w starej, nobliwej dzielnicy wydawała się ponura, a może

zwyczajnie chłodna. Oficjalna marmurowymi wykończeniami i przyciętym pod linijkę żywoplotem przywodziła na myśl raczej dobrze utrzymany niewielki biurowiec niż dom rodzinny. Było to tak odmienne od wizji pokrytego dachówką i drzemiącego w starym ogrodzie, pełnym kwitnących latem kwiatów, a zimą ozdobionego dziesiątkami lampek przytulnego domu, że w pierwszej chwili zawahałam się, czy w ogóle forsować ciężką, kutą furtkę. Musiałam być jednak obserwowana okiem maleńkiej kamerki umieszczonej obok, bo po chwili zabrzączał dzwonek, a w drzwiach domu, jak wyjęta żywcem z kryminału Agaty Christie, pojawiła się ubrana na czarno, z małym białym fartuszkem na podołku, starsza pani.

– O, dzień dobry! – Słowa powitania zamarzyły w dobywających się z moich ust kłębach pary. – Zostałam zaproszona przez pani syna, czy mogę wejść?

Starsza pani nawet nie mrugnęła okiem, przepuściła mnie w drzwiach i głosem wyzutym z jakichkolwiek emocji poinformowała:

– Państwo czekają w salonie.

Zwariowałam! Myślałam, że takie domy i sytuacje już się nie zdarzają. Jednak jak się później okazało, świat pokojówek, służących, ogrodników i guwernantek (tak w tym środowisku nazywa się korepetytorów) nie dość, że istnieje, ale jeszcze ma się dobrze.

W nowoczesnym salonie, udającym stare pałacowe

wnętrze, na wielkich obitych skórą fotelach, godnie rozstawionych obok kominka, w otoczeniu innych połączanych i rzeźbionych mebli, siedzieli rodzice Bartka. Na moje „dzień dobry” odpowiedzieli co prawda z wyszukaną łaskawością, pani Aleksandra jednak od razu dodała:

– Pani do Bartosza, prawda?

– Tak. – No raczej nie do nich albo do pokojówki.

– Bartosz jest chory.

– Tak, wiem. Dlatego prosił, abym go odwiedziła. Zresztą nie tyle jest chory, ile złamał nogę.

– Jest chory! I leży w łóżku.

– Tego akurat nie wiedziałam. – Z perspektywy czasu dziwi mnie mój upór w tamtym momencie. Jedyne ze względu na parszywą pogodę za oknem nie wyszłam od razu. – Bartek przed chwilą dzwonił z zaproszeniem.

– Nie wydaje mi się.

– A jednak. Czy może go pani poprosić?

– Proszę zaczekać.

Oczywiście nikt mi nie zaproponował choćby przycupnięcia na stojącym nieopodal krześle, stoję więc twardo wbita w podłogę jak mlecz w trawnik i czekam, teraz już zaintrygowana rozwojem wypadków. Kurde, co ja tu robię? Czuję się jak odtwórczyni głównej roli w dramacie Mrożka albo Kafki.

– Maryło.

I jak w teatrze, zza kurtyny drzwi wychodzi z miną

w ciup pokojówka.

– Maryla pójdzie i zapyta Bartosza, czy oczekuje gościa. Pani się nazywa...? – Widowisko przerywa skierowane do mnie pytanie.

– Nina Nowak.

– Czy Bartosz oczekuje odwiedzin Niny Nowak.

I wyraźnie słyszę wymruczane z dezaprobatą: „Co za pospolite nazwisko”. Rzeczywiście, w zestawieniu z Braun Nowak to banał.

Ojciec Bartka wreszcie się orientuje, że nadal stoję na środku pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, i z rozbrajającą nieudolnością dżentelmena starej daty gestem ręki wskazuje krzesło i mówi:

– Niech siądzie.

Myślałam, że ta forma, jakby wyjęta z muzealnych półek języka, już nie funkcjonuje, a tu proszę, nawet jest postrzegana jako coś eleganckiego. Tak na własną korzyść usiłuję zinterpretować owo „niech siądzie”.

Siedzę na krześle i przez długą chwilę lustruję walory estetyczne pomieszczenia, a oni mnie. Jezu, gdzie ten Bartek ma pokój? W jakimś skrzydle tego domu? Dlaczego to tak długo trwa?

– Czym się pani zajmuje? – Ciszę burzy pytanie potencjalnej teściowej, a ja zaczynam się czuć jak na marnym castingu.

– Studiuję.

– A można wiedzieć co?

– Filozofię.

– Aha.

Nie wiem, czy się spodziewali, że studiuję coś bardziej ambitnego, czy raczej są zawiedzeni, że na przykład nie jestem sprzedawczynią. Tak czy siak, w ich oczach widzę strach przed mezaliansikiem.

– A co robią pani rodzice?

– Mama jest pediatrą. – Czyżbym dostrzegła zaskoczenie? – A ojciec ma mały sklep spożywczy. – Wyraz satysfakcji na twarzy teściowej nie pozostawia złudzeń: wygrali. Podtrzymuję rozmowę, dociekając, czym oni się zajmują.

– Jak to? Bartosz pani nie powiedział? Mamy własną znakomitą i z przedwojennymi tradycjami kancelarię prawną.

I wszystko jasne. Jestem dla nich zerem, może nawet łowczynią majątków i kamienic. Wreszcie wchodzi Maryla i oświadcza, że Bartosz na mnie czeka.

Nie zapomnę ulgi, jaką odczułam na widok jego lekko wybielonej bólem twarzy.

– I co, nie mogłaś się przedrzeć?

– Właśnie. Nie mogłaś po mnie wyjść? I musisz leżeć w łóżku? Niezbyt komfortowo się z tym czuję.

– Noga boli mnie coraz bardziej, a jak widzisz, nie jestem w piżamie, tylko w dresie. Wyciągnąłem kołdrę, bo jest mi zimno, jak tak siedzę, więc się nie przejmuj.

– Nie, zupełnie nie jestem przejęta. Twoi rodzice

objechali mnie od stóp do głów i chyba jasno dali mi do zrozumienia, że nie gram w ich lidze.

Do dziś pamiętam tamte chwile. Rozkoszowałam się słodyczą wypowiedzianych przez Bartka słów, które otulały mnie i sprawiały, że czułam się bezpieczna i potrzebna. Miałam wrażenie, że Bart obroni mnie przed wszystkim i wszystkimi, niestety nie wiedziałam, że nie przed rodzicami.

Spoglądając na minę teściowej, mam wrażenie, że przeżywam *déjà vu*, tylko że w roli głównej zamiast mnie znalazła się Angela, a starsza pani, jako że jest jeszcze starsza, z ostro wyrzeźbionymi zmarszczkami niechęci na twarzy, wydaje się nawet groźniejsza.

– Mamo, przechodziliśmy obok muzeum mamutów, obiecałaś, że tam pójdziemy!

– Oczywiście, że tak. Pokażemy tylko dziadkom katedrę. Angelo, przejdiesz się z nami?

Dziewczyna pod uważnymi spojrzeniami teściów lekko się kurczy.

– Może jednak nie. To wy idźcie do mamutów, a my sobie pospacerujemy, zresztą Angela obiecała pokazać mi sklep z tańszymi ubraniami piłkarskimi. Spotkamy się później, OK? – Jasiek robi wszystko, by uwolnić się od towarzystwa nachalnej siostry i punktujących dziadków.

– Oczywiście. Do zobaczenia.

– Znowu pozwalasz im gdzieś zniknąć? – Do teściowej jakoś nie dotarł wyraźny przekaz Jaśka.

– Tak, jak najbardziej. – Bartek nie tylko bierze naszą stronę, ale wyskakuje jeszcze z pięćdziesięciu euro, które daje synowi na knajpę. – Chodźmy, pokażemy wam katedrę. To ulubione miejsce Niny i Jaśka, przychodzą tu codziennie.

I tym krótkim stwierdzeniem mój mąż powoduje, że teściom wcale aż tak bardzo katedra się nie podoba, że mury są jak wszędzie, no, faktycznie monumentalna, ale nie takie rzeczy widzieli, a te gęsi i toaleta na dziedzińcu to profanacja. Teściowa, jako dobry i pobożny członek wielkiej katolickiej rodziny, oczywiście klapnęła na kolana tuż przed ołtarzem i z zawziętością zaczęła odmawiać różaniec. Na dziesiątkę się nie skończyło. Tłum potykał się o jej wystające spod garsonki okrągłe i chude pięty, a ona z niezmaconym spokojem przykładnej córki Kościoła robiła swoje. Pewnie modliła się do orędownika w rozpaczliwych sytuacjach – Judy Tadeusza, patrona spraw trudnych i beznadziejnych – o uzdrowienie syna ze ślepoty, by mógł zobaczyć, z jaką kobietą się związał. Z nudów kolejny raz obeszliliśmy z Klarą patio i ku uciechu małej co rusz zapalaliśmy małe, długie świece przed mijanymi kapliczkami.

Niby odczuwam radość z chwil, które właśnie przeżywam, jednak gdzieś głęboko pod skórą czuję

dziwny niepokój i lęk. Zupełnie jakby coś złego miało nagle na mnie spaść. A przecież jest tak cudownie i z dziećmi, i z Bartkiem, nawet teściowie jakoś strasznie mi nie przeszkadzają. Usiłuję odpędzić to irracjonalne przecucie i przetrząść się na radosne tory wspomnień. Myśli tłoczą się w mojej głowie jak umęczeni ludzie w metrze i zaczynam coraz bardziej tęsknić za rodzicami. Czuję się taka samotna, tak bardzo bym chciała, żeby zamiast teściów byli tu oni. Nie potrafię powstrzymać łez, które w tym upale niemal natychmiast wysychają mi na policzkach. Zaniepokojony Bartek pyta, co się stało, a ja nie mam siły mówić o tym, jak bardzo wspomnienia rozdzierają mi serce. Tulę się do jego szerokich ramion i odurzam zapachem, nawet nie przeszkadzają mi małe ukłucia zarostu, gdy całuje mnie w czoło. Jestem szczęśliwie nieszczęśliwa.

Z tego stanu wyrywa mnie teść pytaniem, czy wreszcie idziemy. No to idziemy. Aparatem w telefonie robię zdjęcia tego miejsca i tej chwili, by móc jej namiastkę odtworzyć w domu.

Klara niesiona radością biegnie w stronę Museo del Mamut, odkrywając w sobie nową-starą pasję. Myślałam, że falę fascynacji dinozaurami i tego typu stworami mamy już definitywnie za sobą. Bartek nie chce nawet wchodzić do środka, twierdząc, że to będzie jakaś odlana z taniego gipsu atrapa. Dziadkowie też nie kwapią się towarzyszyć małej, tak więc cała udawana

przyjemność opowiadania o tych zwierzętach przypada
mnie.

Teściowie odkrywają, że tuż przed adresem, pod
który podążamy, jest Muzeum Picassa, i mimo naszych
protestów upierają się, by stanąć w zatrważająco długiej
kolejce do wejścia.

– Skoro już tu jesteśmy, to szkoda zmarnować taką
okazję.

Teść tłumaczy nam jak dzieciom, głuchy na
argument, że bilety można kupić w necie i nie tracić
połowy dnia na stanie w kolejce. W zasadzie nie mam
nic przeciwko zostawieniu ich w tym ogonku.
Przynajmniej będziemy mieli dwie godziny spokoju.

Bartek w końcu idzie z nami. Klara jest zachwycona
widokiem naturalnych rozmiarów mamuciej mamy
z dzieckiem, stojących tuż przy wejściu. Kiczowatość
obrazka podkreśla padający na instalację śnieg i boję się,
że to może być nasza największa barcelońska wtopa.
Jakież jest moje zdziwienie, gdy odkrywam, że
w gablotach, na podłogach, ścianach, w zasadzie
wszędzie wyeksponowane są prawdziwe kości tych
prehistorycznych zwierząt. Największym zaskoczeniem
jest mumia małego mamuciątka, którą kilka lat temu
widzieliśmy na wystawie w Muzeum Historii Naturalnej
we włoskim Bolzano.

Nawet mój mąż daje się ponieść emocjom, choć jego,
dla odmiany, najbardziej wbija w parkiet przymuzealny

sklepiak, w którym obok gumowych mamutów za straszne pieniądze można nabyć autentyczny ząb trzonowy tego zwierzęcia albo gigantyczny kieł z wyrzeźbionymi mamutami – szczyt kiczu, ale jakże oryginalny.

W końcu mimo protestów Klary udaje nam się wyjść z tego przybytku i niespodziewanie stanąć oko w oko z... teściami, którzy owszem, odstali swoje w kolejce do galerii, ale do niej nie weszli, bo zrobiło się zbyt późno. Jakże chce mi się powiedzieć: A nie mówiłam! Vis-à-vis teściowa odkrywa designerski salon fryzjerski i głosem nieznoszącym sprzeciwu oświadcza, że nazajutrz musi go odwiedzić. Nie wiem, czego brakuje nerwowo zwiniętym trwałą ondulacją włosom, ale nawet nie mam pomysłu, jak protestować.

Wieczór spędzamy w jakże rodzinnym gronie na naszym tarasie, co nie znaczy, że mniej rodzinne grono bardziej by mi nie odpowiadało. Jest jednak miło. Jemy miękkie, aromatyczne pełne zatopionych rodzynek ciasto, popijamy je czarną kawą i zmrożoną cavą.

– Pyszne ciasto – rzucam w ciszę wieczoru – ale jednak nie dorównuje drożdżowej teściowej.

Pani Aleksandra sztywnieje na krzeselku. Udaję, że tego nie dostrzegam, i klepię dalej:

– Usiłowałam ostatnio upiec babkę drożdżową, ale wyprodukowałam płaski twardy dysk, który na dodatek przywarł do formy i nie dawał się z niej wydłubać, więc raczej już nie będziemy z Klarą eksperymentować.

– Pewnie coś źle zrobiłaś.

O dziwo, nie dostrzegam złośliwej nuty w tonie teściowej.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Ale jest z tym tyle zabawy, ręczne wyrabianie, czekanie, aż wyrosnie... że to chyba jednak nie dla mnie.

– Pewnie masz zły przepis. Ja nigdy nie wyrabiam ciasta ręcznie, zazwyczaj wrzucam wszystko do miksera. Jeśli chcesz, to umówimy się u mnie w domu i pokażę ci, co i jak.

– O, bardzo chętnie.

Jestem oszołomiona. Może nareszcie coś drgnie w naszych relacjach.

– Taaa, Ola piecze najlepsze ciasta, może czegoś się nauczysz. – W teścia na nowo wstępuje dydaktyczny duch. – A jakie przyrządza pieczenie! Sarnina, polędwica z dzika, a ostatnio pasztet z zająca. Wyborne.

– Teść nadal poluje?

– Oczywiście! Tego się nie przestaje kochać.

– Ostatnio kupił nawet kolejną dwururkę, czy jak to się nazywa.

– Kobieto, to nie dwururka, tylko sztucer dwutaktowy Blaser R8.

– OK, OK. Cokolwiek to znaczy, kolejny grat.

– Pokażesz, dziadku?

– Oczywiście. Jest fantastyczny, wyobraź sobie, że ma uchwyt pistoletowy i skórzane wykończenie,

bezwzrokowo wymienia się magazynek, klasa sama w sobie.

– Mówisz tak o każdym, który sobie kupisz. Już chyba z siedem masz zamkniętych w szafie na strychu...

– W szafie? Z rzeczami?

Klara z okrągłymi z przerażenia i zaciekawienia oczami włącza się do rozmowy. Zabijanie sarenek, które przecież nie tak dawno były małymi Bambi z wilgotnymi oczami i magicznym pyłem ulatującym spod kopytek, doprowadzało ją zawsze do płaczu i rozpacz.

– Nie, w pancernej.

– A po co dziadkowi tyle pistoletów?

– Strzelb, strzelb! Młoda damo. A po co ci tyle lalek?

– To dziadek też ma zabawki?

Rozbawiona teściowa maskuje chichot uniesioną do ust filiżanką, a teść niespodziewający się takiego obrotu sprawy aż purpurowieje.

– To nie zabawki! Kobiety nigdy nie rozumieją męskich pasji.

– No, chyba nie. Ojciec ostatnio wrócił do domu cały pokąsany przez mrówki. Tak się zaczął na jelenia, że nie zauważył, że mała złośliwa armia wdarła mu się przez nogawki. Dopiero jak pokąsały mu brzuch, zorientował się, że coś jest nie tak. Mogę sobie wyobrazić, jak skakał i się rozbierał. Szkoda, że mnie tam nie było. A jeszcze mogę wam opowiedzieć, jak latem łowił ryby...

– Olu, przestań.

Kręcący się nerwowo na krzeselku teść tylko podsyca ciekawość dzieci, które aż unoszą się nad poduszkami i jęczą, by babcia kontynuowała opowieść.

– No więc kiedy Robert ostatnio pojechał na ryby nad nasze jezioro, to...

– Olu, przestań.

– Ale dlaczego? Niech wiedzą, jakiego mają bystrego dziadka. No więc pojechał na ryby, a było tak gorąco, że przed zanurzeniem wędy postanowił się wykapać. Zamiast jednak włożyć, tak jak radziłam, kąpielówki w domu, uparł się, że zrobi to w krzakach nad wodą.

– I kto dziadka zobaczył? – Domyślny Jasiek aż się pali, by usłyszeć finał historii.

– W zasadzie, jak to dziadek powiedział: „mała dziwka”.

Nie wierzę w to, co słyszę, i zastanawiam się, czy to aby na pewno opowieść dla dzieci.

– Dziadku, miałeś romans? – Jasiek z niedowierzaniem spogląda na starszego pana, wzór cnót wszelakich.

– Tak, z... pszczołą, która nie powiem, w co go uządliła i kto wyjmował żądło. Było zabawnie.

– No, ja jakoś się nie bawiłem.

– Ale pewnie z rozmiaru był dziadek zadowolony... – Młody aż się pokłada ze śmiechu.

– Tak, zwłaszcza jak poszedł do lekarki, bo opuchlizna nie chciała zejść i groził mu wstrząs

anafilaktyczny.

Rechoczymy i opowiadamy sobie dykteryjki zupełnie jak kochająca się NORMALNA rodzina. Napięcie gdzieś się ulotniło, a kolejne kieliszki wina sprawiają, że wszyscy są wyluzowani i dobrze się bawią. Wieczór kończymy partyjką brydza i z poczuciem, że mieliśmy dobry dzień, kładziemy się do łóżek.

Nerwowy i nachalny poranek przychodzi szybciej, niżbym miała na to ochotę. Dzieciaki jeszcze śpią, a ja nieustannie kulam się na brzegu łóżka i zastanawiam: wstać czy nie. Myśl o kawie jest największym motywatorem i niestety nie potrafię się jej oprzeć. Biorę książkę, czarną ambrozię i na palcach wędruję na nasz niezastąpiony taras, na którego środku, rozparta wygodnie na leżaku, siedzi... naburmuszona teściowa. Cholera. Z wczorajszego miłego wieczoru i jego atmosfery nie zostało nic. Nie rozumiem, jak to się dzieje, że funkcjonujemy jak na emocjonalnym rollercoasterze, raz na górze, raz na dole.

– Dzień dobry. Widzę, że teściową też obudziło słońce.

Na widok miny starszej pani resztki zdrowego rozsądku krzyczą we mnie: wycofaj się!, jednak przekora i chęć sprawdzenia samej siebie biorą górę i jak gdyby nigdy nic podchodzę do stolika. No może nie do końca jak gdyby nigdy nic, żołądek wykonuje salto, nogi lekko

drżą, dłonie się pocą, natomiast oszalałe serce wali, zupełnie jakby usiłowało postukać mnie po głowie.

– Piękny poranek, miło, że jeszcze nie jest tak gorąco.

Stawiam filiżankę smolistej kawy na drewnianym blacie mocno sfatygowanego stołu. Aromat palonych ziaren otula mnie swoim ciepłem i na chwilę zapominam o obecności matki Bartka. Podczas gdy wieża katedry usiłuje wysunąć się z za porannej mgiełki, a zapach ziemi unoszący się z wielkich donic świeżo podlanych oleandrów przypomina o jedynych w swoim rodzaju wakacjach, zastanawiam się, jak się zachować. Wybieram najbardziej neutralną drogę i postanawiam, że nie odezwę się pierwsza, poczekam.

I czekam. Nie mam zegarka, więc nie wiem, czy minęło dziesięć czy piętnaście minut, ale to z pewnością najdłuższe minuty tego sezonu. Wystawiam twarz do budzących się, ciepłych pierwszych promieni słońca i sącę małymi łykami kawę, która kończy się zdecydowanie zbyt szybko. Zastanawiam się, czy bezczelnością będzie się teraz odezwać, czy może mniej urażę starszą panią milczeniem. Cisza okazuje się równie trudna do zaakceptowania przez drugą stronę i wreszcie pęka za sprawą niby banalnego pytania pani Aleksandry.

– I co, podobają wam się takie wakacje?

Bez względu na to, co zbudujemy, urządzimy, przyrzadzimy, jakie imiona nadamy dzieciom bądź w co

je ubierzemy, pada sakramentalne: I to wam się podoba? Nigdy, że ładne, ciekawe czy smaczne. Wyjątek stanowi kuchnia, bo tu od czasu do czasu słyszę: Zjadliwe. W zasadzie nie wiem, czy to komplement, ale gdy w podobny sposób oceniłam podawany na każdej imprezie mięsny paprykarz z ryżem, przyrządzany przez teściową, obraziła się na amen.

– Tak, bardzo. – Nie dodaję, że do wczoraj. – A teściom jak się podoba Barcelona?

– Miasto jak miasto.

Jezu, jak kontynuować taką rozmowę? Nasze słowne sparingi traktuję jak swoisty trening kreatywności. Zawsze muszę mieć na podorędziu kilka neutralnych pytań i przytaknięć. Podobnie jest tym razem.

– A jakie miasto zrobiło na teściowej największe wrażenie? – Mimo wybojów usiłuję kontynuować podróż prostą drogą.

– Sama nie wiem.

Tu kłania się filozofia mojego byłego szefa: nie podoba mi się (mowa o projekcie, który dopiero co przygotowałam). Na pytanie: ale co? – z uzasadnioną podpowiedzią: kolor, faktura, ustawienie, meble – zawsze padało jedno małe zdradzieckie: no, nie wiem, które przekreślało wszystko i sprawiało, że zaczynałam pracę od początku, często tylko po to, by wrócić do tęczowego punktu wyjścia.

– Ale woli teściowa raczej historyczne stare miasta

czy może te bardziej nowoczesne?

– Nie zastanawiałam się. Byliśmy z mężem prawie wszędzie.

– No, a gdzie by teściowa wróciła, by zamieszkać na miesiąc albo dwa? – Mam nadzieję, że wzniosłam się w kunszcie kulturalnej konwersacyjki na wyżyny, tymczasem słyszę:

– A co to, przesłuchanie? Czy ty nigdy nie odpuszczasz?

– Słucham? – Dobrze, że wydudliłam całą kawę, bo na bank polałabym moją ulubioną białą wakacyjną sukienkę.

– Co, nie słyszysz? Pytam, czy ty nigdy nie odpuszczasz.

– Chciałam tylko zwyczajnie porozmawiać, ale jeśli teściowa nie życzy sobie, żebym bawiła ją pogaduszkami, to przepraszam.

W lekkim dygocie usiłuję pozbierać książkę, komórkę i pusty kubek, przyznając rację mojej wewnętrznej mądrej kobiecie, której rady zignorowałam. Jak zwykle dochodzi do spięcia w cztery oczy, które trudno opowiedzieć Bartkowi bez emocji i ocen.

– Zostań, proszę. – Brzmi to jak wystrzał z armaty i bardziej przypomina rozkaz niż cokolwiek innego. – Może nareszcie porozmawiamy.

Sparaliżowana opadam na drewniane krzeselko, które teraz już znalazło się w rześistej plamie słońca, i robi mi

się podwójnie gorąco. Czekam na strzał i nakazuję sercu miarowo tykać, tak by zagłuszyć rezonujące w uszach walenie bębnow w tętnicach. Ciekawe, czy przez sukienkę widać jego szamotanie.

– Dlaczego ograniczasz nam kontakty z synem i wnukami, co my ci zrobiliśmy?

Trafione w punkt. Od dawna jestem przygotowana na taki zarzut, odpowiadam więc bez zająknięcia:

– Absolutnie nie ograniczam teściom kontaktów z dziećmi czy Bartkiem, jednak po ostatniej awanturze, jaką teściowa zrobiła na urodzinach Klary, nie życzę sobie jedynie, by odbywało się to w moim domu i by dzieci oraz goście musieli tego wysłuchiwać.

– Przesadzasz.

– Być może, ale to mój dom i nie chcę...

– Nie twój, tylko wasz, nie zapominaj o tym. Gdyby nie Bartosz, dalej mieszkałabyś z rodzicami albo w jakiejś zapyziałej kawalerce.

Postanawiam nie zagłębiać się w szczegóły, których ustalenie będzie niemożliwe, ale też nie mam zamiaru się cofnąć.

– Dlaczego teściowie tak bardzo mnie nie lubią i nie akceptują? – Wyrzucam z siebie od lat zadawane w głowie pytanie.

– Ależ my cię kochamy.

Nie wiem, co ta kobieta brała, ale z pewnością powinna zmienić dawki albo dilerka.

– Niestety, to puste słowa i szkoda, że nie widzę tej miłości potwierdzonej czynami. Wręcz odwrotnie. Czy to dlatego, patrząc mi w oczy co spotkanie, wygłasza teściowa złotą maksymę, że myślą można kogoś zabić? Czy z miłości do mnie kawalerski pokój Barta cały czas na niego czeka, o czym przypominacie mu przy każdym pożegnaniu?

Mimo że cała się gotuję, mówię powoli i bardzo spokojnie, świadoma, jak bardzo moje opanowanie wytrąca ją z równowagi, i rzeczywiście zaczyna się jatka.

– Myślisz, że wszystko wiesz najlepiej? O nic nie pytasz, tylko robisz po swojemu! Poczynając od ślubu! Też mieliśmy prawo wybrać lokal i menu! Ale nie, namówiłaś Bartka, żebyście zrobili wszystko bez pytania nas o radę.

– Przecież sami płaciliśmy za ślub, to dlaczego mieliśmy pytać?

– Nie przerywaj, kiedy mówię! Ojciec załatwił ci pracę na uczelni, ale ty wolałaś robić coś innego i co teraz masz? Jakaś podrzędna knajpę. Jesteś zwykłą kucharką, która ma średnie kwalifikacje, ale znakomite samopoczucie. Mówiłam ci, jak karmić dzieci, tak bardzo zależało mi na tym, żebyś karmiła piersią, ale tego też nie doceniłaś.

– Przecież każde z nich leżało w inkubatorze i to lekarze zabronili naturalnego karmienia...

– Lekarze się nie znają, nie wiedzą, co jest najlepsze.

Ale ty chętnie poszłaś na łatwiznę! I te pampersy! Owinęłaś sobie kiedyś tyle folii wokół tyłka? Nie. Ale dzieciom tak. Stale porównujesz wszystko, co macie, do stanu posiadania Wojtka. Daj mu wreszcie spokój!

Mam wrażenie, że mimo kilku pięter słysząc nas na La Rambli, a wszystkie żale teściowej wylewają się na moją głowę niczym kubeł wody z lodem i zaliczam emocjonalny Ice Bucket Challenge. Usiłuję w tym potoku oskarżeń przepchnąć się ku powierzchni, niczym pstrąg płynący pod prąd na tarło. Liczę do dziesięciu, mówię w duchu „omm” i usiłuję się skupić na dalszej części tyrady. Nie mogę nie przyznać teściowej talentu oratorskiego.

Hałas na tarasie zwabił Bartka, który oniemiały stoi na progu, tuż za plecami odwróconej do mnie matki.

– Jeśli myślisz, że dostaniesz coś z naszego majątku, to się mylisz! Kancelaria należy do Wojtka, a cokolwiek zostawimy po śmierci, przekazemy wnukom! Zrozumiałaś? I pamiętaj, że stale cię obserwuję, nie wąż się skrzywdzić nikogo z rodziny. Wiedz, że już przegrałaś!

Oślupiały Bartek, który pierwszy raz jest świadkiem takiej akcji z matką w roli głównej, patrzy wzrokiem rozjuszonego byka i ma zamiar podejść bliżej. Niemal niedostrzegalnym gestem, choć teściowa jest tak zaaferowana, że pewnie nie zauważyłaby powiewającej jej przed nosem szturmówki, daje znak Bartkowi, by

pozostał tam, gdzie jest, a sama spokojnym, na ile to możliwe, tonem, wijąc się w środku z przerażenia, jak wiele negatywnych emocji potrafię wzbudzić w tej kobiecie, mówię:

– Po pierwsze, nie zależy mi na pieniądzach teściów, im mniej od was dostaję, tym mniej macie prawo ode mnie oczekiwać. Mam nadzieję, że będziecie mieli i kasę, i zdrowie, i czas, by się tym wszystkim cieszyć, i dacie nam wreszcie spokój. Po drugie, to Bartek wybrał mnie, a nie ja jego. Powinniście się cieszyć i być wdzięczni losowi, że wasz syn jest zadowolony i niczego od was nie potrzebuje. Po trzecie, jedynymi przegranymi są teściowie. Przegraliście nie nas, ale wnuki i kontakt z nimi. To wy jesteście coraz starsi i to wy, nie my, coraz bardziej będziecie potrzebować naszej pomocy. Jedyne, czego mi szkoda, to tego, że dzieci nie mają prawdziwych dziadków.

– Jesteś bezczelna! Jak ty się do mnie zwracasz? Należy mi się szacunek!

– Na szacunek trzeba sobie zapracować. – Jestem bliska eksplozji i najchętniej powyrywałabym jej te głupie skręcone loczki i tłukła głową o ścianę, by wreszcie coś dotarło do tego mózgu z górnej półki. W moim osiedlowym sklepiku najmniejsze, najlżejsze i najmniej atrakcyjne towary zajmują najwyższe miejsca na regale, a największe i świeże są umieszczone na niższych półkach, by łatwo było po nie sięgnąć. Jestem

przekonana, że to o czymś świadczy i można by to głębiej analizować.

– Powiem ojcu i Bartoszowi, jak mnie potraktowałaś!

– Nie musi mama się fatygować. – Zza jej pleców wyłania się Bartek. – Wszystko słyszałem.

Mina teściowej jest bezcenna i przywodzi na myśl raczej zdezorientowaną kurę, która zgubiła jajo i gdakaniem próbuje zaalarmować o nieszczęściu całe podwórze, niż bystre spojrzenie wziętej pani adwokat.

– Co tu robisz?

– Stoję i słucham.

– Co słyszałeś?

– Wszystko.

– Słyszałeś, jaka ona jest bezczelna? I co wygaduje?

– To mamy krzyki sprowadziły mnie tutaj i dość już usłyszałem. Albo zaakceptujecie Ninę i będziecie dobrze ją traktować, albo jest to nasz ostatni wspólny wieczór.

Niezbita z pantałyku teściowa wykrzykuje kolejne oskarżenia, niestety nie tylko pod moim adresem, ale również dzieci i Bartosza – podobno ubezwłasnowolnionych – i przywołuje różne konstelacje świadków i rodziny, którzy też TO widzą. Widok rozczochranego teścia w dziwacznej piżamie w paski stojącego w progu wcale mnie dziwi. Przysłuchuję się awanturze, w którą z godną lepszej synowej zawziętością włączył się również ojciec Bartka. Staram się nie angażować, wychodząc z założenia, że jednak najgłośniej

brzęczą puste naczynia: czekam na zdecydowany ruch męża.

– No proszę, nawet ojciec przyszedł. Dobrze, że jesteśmy wszyscy razem. Już powiedziałem matce, że ma radykalnie zmienić nastawienie do nas, a jeśli nie, to kończymy tę farsę pod tytułem szczęśliwa i zgodna rodzina Braunów. Mam nadzieję, że ojciec na nią wpłynie. To wasza ostatnia szansa.

Bartek podchodzi do mnie, obejmuje ramieniem i przytula do pachnącego lawendowym proszkiem mojego ulubionego czarnego T-shirta z napisem ALL IS GOOD. Ostentacyjnie całuje w spierzchnięte od emocji usta i po cichu, jednak na tyle głośno, by rodzice usłyszeli, mówi: Kocham cię. Dziwię się, że łzy wyhamowały i nie płyną po policzkach, niezależnie od woli producenta, który usiłuje je okiełznać. Dla odmiany teściowa cała się trzęsie i po raz pierwszy w życiu widzę, że płacze. Nie robiła tego nawet na pogrzebie swojej matki, która po latach wegetacji w łóżku (osaczona przez odwiecznego niemieckiego wroga – alzheimera) odeszła z tego świata. Mimo wyraźnej woli babki, która panicznie bała się kremacji i życzyła sobie być pochowana obok męża w rodzinnym grobowcu w Krakowie, teściowa uznała ten pomysł za mało praktyczny, od Krakowa bowiem dzieli nas kilkaset kilometrów. Sproszkowała więc ciało babci w najbliższym zakładzie kremacji i zadekowała

w starym grobowcu ciotki Baranowskiej, który przypadł rodzinie kilka lat temu w spadku, a przy okazji uprzejmie poinformowała mojego małżonka, że na jednej z półek owych katakumb znajdzie się miejsce również dla niego. Sic!

Wchodzimy do apartamentu i nastawiamy ekspres na kolejną kawę. Słyszymy za ścianą histeryczny głos teściowej i pełen wyrachowanego opanowania baryton teścia. Jestem ciekawa, co przyniosą kolejne godziny. Dzieciaki przeciągają się w łóżkach i choć już nie śpią, dają im spokój i pozwalam na chwilę poleniuchowania. Wracamy jak gdyby nigdy nic na taras. Jedynym znakiem niedawnej burzliwej dyskusji jest apaszka teściowej zaplątana pod krzesłem. Podnoszę ją bez emocji i zastanawiam się, czy powinnam wrócić do tematu. Okazuje się jednak, że oboje omijamy go szerokim łukiem, czekając na rozwój wydarzeń. Nie liczę na refleksję teściów ani na „przepraszam”, jestem za to ciekawa, czy foch starszych państwa zdefiniuje najbliższe dni.

Jakimż zaskoczeniem jest pojawienie się po godzinie w naszym pokoju teściowej i ciche „przepraszam” z jej strony, z gatunku tych dziecięcych skruch: mama kazała przeprosić, to przepraszam, ale za plecami mam mocno skrzyżowane palce i wcale tak nie myślę.

– Mamo, za co babcia przeprasza? – Pytanie niby do mnie, ale mała nie patrzy na mnie.

Niezwykłe czuła na wszelkie gesty rehabilitacji i sama mająca z tym problem Klara nie może przepuścić okazji, by zapytać teściową, co zrobiła.

– Babciu, za co przepraszasz mamę?

Zamieram z nożem nad deską do krojenia z soczystymi pomidorami i odwrócona tyłem nasłuchuję odpowiedzi.

– Nie, to nic takiego. Za nic. – I szybka zmiana tematu: – Jadłaś już śniadanko?

I oto całe podsumowanie sprawy: skoro to nic, to przecież trudno dyskutować na temat niczego. Więc już nie drażąc, zapraszam wszystkich do stołu. Poza paplaniną Klary jakoś nikt nie ma ochoty na poranne pogaduszki, choć osiągamy niewątpliwy sukces, gdy udaje się wspólnie ustalić plan dnia. Mała jest rozradowana, bo wybieramy się na plażę, i tak jak wcześniej zaplanowała, ma ochotę trochę popsocić się dziadkom.

Mamy spakowane pasiaste marynarskie worki plażowe i w zasadzie od razu moglibyśmy wyruszyć, gdyby nie skomplikowany rytuał plażowego pakowania w wykonaniu teściowej. Okazuje się, że elegancka pani Ola jest zaskoczona pomysłem przebywania na leżaku i musi wydepilować nogi. Robi mi się słabo, gdy myślę o jej chudych, pomarszczonych kończynach zwieńczonych okrągłą, czerwoną piętą, podzielonych na równe pół równie okrągłym i sterczącym haczykowatym

kolanem, i szerokich biodrach opiętych jakimś prawdopodobnie niebanalnym strojem. Oby jednocześnie.

Po depilacji należy rozwiązać problem, w co się spakować. Szczęśliwie pomysł zabrania małej walizki zostaje odrzucony, teść zaś zostaje zmuszony do zejścia na dół i zakupu płóciennej czarnej torby z krzykliwym napisem I LOVE BARCELONA, do której przez kolejne pół godziny usiłują się zmieścić dwie duże butelki wody, dwa jeszcze większe ręczniki, po które do pobliskiego sklepiku zasuwał tym razem Jachu, tubki z kremami, gazety... i nieodzowny wielki kapelusz.

Oczywiście podróż autobusem jest męcząca i uwłacza godności niektórych osób nim podróżujących, przy tym trwa dłużej niż taksówką, a plaża, na którą w końcu docieramy, jest brzydsza od polskiej.

Spocony Bartek organizuje, a w zasadzie płaci za pięć plastikowych leżaków i dwa duże parasole w biało-żółte pasy. Wreszcie wszyscy opadamy na ręczniki w nadziei na odpoczynek. Słońce w zenicie przypieka tak, że słycać skwierczenie skóry, a co jakiś czas podjeżdżają karetki z sanitariuszami w czerwonych strojach i zgarniają omdlałych plażowiczów. Niefortunnie rozłożyliśmy się w zacisznym, ulubionym miejscu wypoczynku osób raczej starszych niż młodszych, przy których kręci się cała masa dzieciaków w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Jeszcze nie

zdążyłam rozebrać Klary, a ona już rzuca frisbee z jakąś czarnoskórą dziewczynką.

– Po co wzięliście aż dwa parasole? – Dziwne pytanie w ustach obieżyświata i doświadczonego plażowicza, no ale...

– No jak to, przecież nie wytrzymacie na tym słońcu. – Bartek nie wydaje się wytrącony z równowagi.

– Słońce jak słońce. Nad Bałtykiem nie w takim się leżało. – Teściowa wyciąga się na jedynym leżaku, który nie zmieścił się pod parasolami, i nerwowo rozgląda dookoła. – Gdzie wy nas przyprowadziliście? Nie wstyd wam przed dziećmi?

Początkowo nie wiem, o co chodzi, ale po rzucie oka na sąsiadki orientuję się, do czego pije teściowa. Więcej niż połowa podstarzałych pań opala się topless, prezentując katastrofalne skutki grawitacji. Tylko nieliczne dumnie wypinają silikonowe biusty, których po cichu im troszkę zazdroszczę. Myśli przenika błyskawica paniki – mam nadzieję, że teściowa się nie obnaży. Zdjęcie plażowej sukienki i zaprezentowanie modnego dwuczęściowego ty-ci-tyci stroju w żółto-zielone romby, który w żaden sposób mikrotrójkącikami nie jest w stanie podtrzymać niegdyś pełnych i jędrnych piersi, ani tym bardziej zasłonić pomarszczonego brzucha, jest dla świadków dostatecznie strasznym przeżyciem.

– Przecież to naturalne. Nikt nie chodzi bez majtek. – Jeden zero dla Bartka.

Smaruję dzieci kremami z filtrem. Teściowa kategorycznie odmawia chronienia ciała wystawionego na słońce, wychodząc z założenia, że po powrocie wszyscy muszą zauważyć ślad jej zagranicznych wakacji, kontroluje natomiast teścia i dyktuje faktory, przypisując je odpowiednim częściom ciała: nogi – piętnastka, kark – pięćdziesiątka, ręce – trzydziestka. Podejrzewam, że biedny chłop wyjedzie stąd cały w maskujące plamy niczym bocianie jajo w gnieździe, ale to nie mój problem. Na szczęście.

– Robercie, gdzie zapakowałeś moje okulary? – Teściowa wymachuje gazetą i niecierpliwie trąca nogą torbę, dając do zrozumienia, że to nie ona się po nie schyli.

– Przecież ja nie brałem twoich okularów!

– Jak to nie brałeś? Uszykowałam na stole!

– No tak, ale nie powiedziałaś, że mam je spakować.

– Przecież to oczywiste.

– Chyba nie, skoro ich nie wziąłem. – Teść nie wydaje się przejęty. – Jak zasnę, możesz pożyczyć moje.

– Przecież ty masz minusy, a ja do czytania potrzebuję plusów!

– No to trudno. – I jak gdyby nigdy nic zapada w letarg, za to my wysłuchujemy adresowanego nie wiadomo do kogo biadolenia w stylu: i co ja teraz będę robiła, jak można być tak tępym, żeby nie zabrać okularów (nie wiem, czy to dotyczy jej czy jego, ale to

chyba bez znaczenia), przecież tu nie ma co robić...

– Może pójdzie mama na spacer z dziećmi?

Bartek projektuje nam kilka minut ciszy. Klara skacze na jednej nodze, wołając: Proszę, proszę, proszę, natomiast Jasiek zabija starego wzrokiem znad czytanej właśnie książki. Cały jest schowany w cieniu pod parasolem i trudno go namówić choćby na wystawienie do słońca łydek, a co dopiero na spacer w pełnej jego krasie. Proszę go wzrokiem, by jednak się ruszył, bo boję się indoktrynowania Klary przez babcię. Niechętnie zwleka się z ręcznika i zgarbiony, z fochem wypisanym na umęczonej twarzy nastolatka, rusza za tymi jakże różnymi od siebie stworzeniami. Pani Aleksandra skryta w cieniu kapelusza z gracją kroczy na granicy piasku i wody, ofukując skaczącą wesoło wnuczkę, że chłapie, pryska, wbiega do wody i nie uważa. Pod pachą ściska miękka, dosyć sporą czerwoną kopertówkę, do której włożyła nie tylko telefon i chusteczki, ale również flakonik perfum. Myślę, że nie tylko ja jestem oszołomiona jej widokiem, tym bardziej że owa galanteria nie tylko kontrastuje ze strojem, ale wręcz krzyczy: „Co ja tu robię?!”.

Bartek dostrzega plażową siłownię, pełną prężących mięśnie osiłków, i podekscytowany oświadcza, że wróci za godzinę. Idzie sprawdzić wydolność swoich stymulowanych nieustannie na różnych urządzeniach mięśni i mogę się założyć, że pobije wszystkich na

głowę w liczbie pompek i podciągnięć na drążku. Kładę się na brzuchu i zaczynam pierwszy rozdział historycznej i chyba trochę smutnej grubej książki, którą mam zamiar skończyć na urlopie. Opowiadana przez autora historia nastroja mnie nostalgicznie i idealnie się wkomponowuje w dramatyzm moich wymarzonych wakacji. Pławię się więc w emanującym z niej tragizmie i żal mi samej siebie. Moje rozczulenie nie trwa jednak zbyt długo, bo niespodziewanie staje nade mną rozpromieniony Jasiek z Angelą uwieszoną jego ramienia.

– Mamo, idziemy na deptak na lody, babcia wraca za chwilę z Klarą. Jakby co, jestem pod komórką.

Jeszcze prośba o kasę i już ich nie ma. Bezowocnie usiłuję wypatrzeć na horyzoncie starszą panią, rozglądając się za niestandardowych rozmiarów kapeluszem. Po półgodzinie pojawia się roześmiana, oklejona ciemnym piachem Klara, a za nią teściowa z mokrym kapeluszem w ręce, cała czerwona i wściekła. Jutrzejszy dzień pokaże, co zabarwiło ją na kolor dojrzałego pomidora: złość czy słońce. Stawiam na oba te czynniki ze wskazaniem na drugi i w panice zastanawiam się, czy w naszym małym sklepiku na parterze będą mieli wystarczającą ilość naturalnego jogurtu do obłożenia poparzonego ciała.

– Jacyś smarkacze stręcili mi piłką kapelusz. Skandaliczne. Dzisiejsza młodzież za nic ma wartości

i szacunek dla starszych!

Oburzona opada na nagrzaną do czerwoności leżak, lecz zaraz z niezwykłą jak na swój wiek zwinnością i krzykiem zeskakuje i drobi nogami na równie nagrzanym piasku.

– Ależ to gorące. Dlaczego nie schowaliście mojego leżaka w cień?!

– A prosiła mama? – odzywa się znad torby Bart. Dwa zero. – Jasiek poszedł na spacer, może mama zająć jego miejsce pod parasolem.

– No, ewentualnie.

– Jak było na spacerze? – rzucam pytanie w przestrzeń, licząc, że Klara wyprzedzi babcię.

– Fajnie.

Zaczyna się kosmiczny dialog:

– Zbierałaś muszelki.

– Nie, babcia nie kazała mi zbierać śmieci. Wzięłam tylko dwie malutkie, jak nie widziała. – Wyjmuję z kieszonki spodenek dwa zapiaszczone okruchy, nachyla się do mojego ucha i szepcze: – Ale to tajemnica.

– OK, nic nie powiem. Kąpałaś się? Czy kulałaś na brzegu w falach?

– Babcia powiedziała, że woda na pewno jest brudna i pełna zarazków, i pozwoliła mi wejść tylko do kolan, ale inne dzieci mnie ochlapały, jak się bawiły, więc trochę byłam mokra. Babcia powiedziała, że w piachu jest dużo bakterii, które są groźne dla naszego zdrowia

i nawet mogą nas zabić. Musimy zaraz iść pod prysznic.

– No to chodź.

Niechętnie zwlekam się z leżaka i usiłuję odnaleźć klapki, które dziwnym trafem znalazły się pod niegdyś Jaśkowym leżakiem. Teściowa, niczym dobrze zakonserwowana mumia, leży na plecach, z zamkniętymi oczami, które zabezpieczyła, podobnie jak nos, zielonymi liśćmi. Swoją drogą to niezły wyczyn znaleźć liście na tej piaszczystej pustyni. Słońce najwyraźniej zainteresowało się jej ciałem zbyt skrupulatnie. Rozpaczliwego obrazka dopełniają świeżo wydepilowane nogi podrażnione słońcą wodą: w miejscu po każdym wyrwanym włosku pojawiła się brzydka czerwona plamka. Wygląda to tak, jakby ktoś pomylił teściową z kurczakiem, oskubał ją, opalił i tylko zapomniał wypatroszyć. Wiem. Jestem okropna!

– A wiesz, że babcia pokazała mi żółwie? – Muchomorek przypomina sobie o największej atrakcji spaceru.

– No coś ty? Naprawdę?

– Tak, było ich kilka i wszystkie były czarne.

– Czarne żółwie? Nie widziałam takich. Zaprowadzisz mnie do nich?

– Dobrze. Babcia powiedziała, że to taka hiszpańska odmiana. To co? Idziemy?

– Jasne.

A miałam sobie poleżeć, poczytać, po-nic-nie-robić,

bez znajomych... I dlaczego dzieci nigdy nie wloką za sobą ojców, tylko uległe matki. Może ojcowie w swoim lenistwie bardziej się przystosowali, zaadaptowali do okoliczności przyrody i atawistycznie wytworzyli jakiś mechanizm asertywności niedostępny matkom.

– A co to są bakterie?

I jeszcze te sto pytań na minutę! Radośnie omawiając zawiły świat fauny i flory – próbuję edukować dziecko, że bakteria to nie zwierzątko, brudne, groźne i z ząbkami, jak usiłowała małą przekonać babcia – docieramy do betonowego falochronu, obok którego podobno mieszka gromadka żółwi.

– Będę mogła z nimi popływać? Proszę, proszę, proszę!

– Chyba nie. Żółwie są pod ochroną, to po pierwsze, a po drugie, mocno gryzą i drapią pazurkami.

– Och. – Mała jest niepocieszona. – A babcia powiedziała, że tu musi być bardzo czysta woda, skoro mieszkają żółwie, bo one, tak jak raki, żyją tylko w czystych miejscach.

– Jeśli koniecznie chcesz i nie boisz się, że odgryzą ci palec, bardzo proszę.

Niestety nawet przez klapki odczuwamy ciepło, jakie oddaje nagrany beton. Delikatna bryza jest bardziej zainteresowana oklejaniem niesionymi drobinkami soli moich korekcyjnych okularów przeciwsłonecznych niż przynoszeniem nam jakiegokolwiek ulgi. Powoli, mijając

porozstawiane co rusz plastikowe wiaderka wędkarzy, lawirujemy w stronę miejsca wśród kamieni wskazywanego małym paluszkiem Klary. Chwytam ją nerwowo za rękę, bojąc się, że podekscytowana ześlizgnie się po ostrych, szarych kamieniach do wody. Ciekawe, że od tej strony nikt nie zarzuca wędkę.

– Widzisz, mamó, widzisz je?

– Gdzie?

Mój wzrok najpierw wyłapuje dwie plastikowe białe torebki, które niczym egzotyczne meduzy unoszące się na powierzchni lekko falującej wody przybierają kuliste, wciąż zmieniające się kształty. Dopiero po chwili w zacienionej w tym miejscu wodzie dostrzegam kilka czarnych, około trzydziestocentymetrowych żółwi.

– Rzeczywiście! Ale ich tu jest.

– No – mówi z dumą mała. – Mieszkają tylko w wodzie, nie widziałam żadnego na kamieniach. To są wodne żółwie, a nie lądowe.

Usiłuję przyjrzeć im się z bliska, ale przez umazane okulary widzę stroboskopowo, a ostre skały nie pozwalają podejść bliżej. Coś mi tu jednak nie pasuje. Mimo że mocno się wychyliłam, w żaden sposób nie mogę dostrzec ich głów. Kształt też mają, takie mam wrażenie, choć nie jestem biologiem, nazbyt okrągły, a może zbyt owalny, sama nie wiem. W każdym razie zdecydowanie jakiś taki niezółwi. I dziwne są te łapki po bokach. Żółwie mają takie różowe łapki? Jezu! Patrę na stado

utopionych i napęczniałych szczurów!

– Klaro, to nie żółwie! To paskudne, martwe szczury.

– Nieprawda! Babcia mówiła, że żółwie. – Małej zaczyna się trząść broda, a oczy błyszczą coraz bardziej.

– Tak, ale przecież zapomniała okularów! A one faktycznie trochę przypominają żółwie. – No, z pewnością nie jest to dla niej pociechą. Wpadam na trochę złośliwy pomysł, który radośnie podsuwam córeczce. – Wiesz co? Zrobimy numer tacie. Nabierzemy go! Powiesz, że widziałaś żółwie, ja potwierdzę i razem go wręcimy! Nie powiemy, że to tak naprawdę szczury. Przyprowadzisz go tu i dopiero na miejscu wyjaśnisz, co to pływa. Chcesz? A jak się uda, to jutro możesz też nabrać Angelę i Jaśka.

Oczywiście, że chce! Stary będzie musiał się ruszyć i trochę zająć Mrówką, a ja w ciszy i spokoju, pomiędzy śpiącymi teściami, nareszcie poleniuchuję. Brodę w gorącym piasku i z ledwością w tłumie opalających się ciał odnajduję nasze leżaki. Z daleka wypatruję fluorescencyjnego stroju teściowej, ale nigdzie go nie widzę. Wreszcie dostrzegam nasze plażowe torby i z ulgą kieruję się w ich stronę. Jestem trochę zdziwiona, bo po teściach nie ma śladu. Zniknęły nie tylko ich ręczniki, ale również reszta ekwipunku. Na leżaku suszy się tylko kapelusz pani Aleksandry. W panice sprawdzam, czy na dnie worków są nasze paszporty, portfel i iPad. Oddycham z ulgą, gdy moja opiaszczona

dłoń dotyka miękkiej skóry portmonetki.

– O, cześć, już jesteście?

Niespodziewanie staje nade mną spocony i bardzo zadowolony z siebie Bartek.

– Właśnie przyszedłem. Gdzie są rodzice?

– Poszli coś zjeść.

– I zostawili nasze rzeczy bez nadzoru? Wrócą jeszcze?

– Pewnie tak. Jestem wykończony. Muszę położyć się w cieniu. Mamy coś do picia?

W milczeniu podaję mu wodę, licząc na to, że Klara przerwie sielankę ojca i to ja będę mogła w ciszy i samotności posiedzieć pod parasolem. Nie muszę długo czekać, bo córka pojawia się jak na skinienie różdżki i szarpie tatę, ćwierkając, że pokaże mu żółwie. Chcąc nie chcąc, Bartek zwleka się jak straceniec tuż przed romansiem pieńka z toporem i udając zainteresowanie, człapie boso po gorącym piachu w kierunku szczurzej pułapki. Puszczając mimo uszu moją radę, by zabrać klapki.

Wyciągam się z rozkoszą na moim ulubionym czarnym ręczniku obszytym drobnymi brązowymi kwiatkami. Chowam głowę w cieniu parasola i spod przymkniętych powiek robię to, co lubię najbardziej – obserwuję inne rodziny. Nerwowe babacie niepozwalające odejść na krok marudzącym dzieciom. Wyzwolone starsze panie z gołymi biustami wystawionymi do słońca, udające, że wnuki to nie wnuki, bardziej skupione

na łowieniu spojrzeń starszych panów. I owych starszych panów stroszących piórka przy młodszych o dwadzieścia lat dziewczynach ubranych w markowe wszystko-co-się-da.

Harmonia, cisza, moje pięć minut, które oby trwało wiecznie. Gdy sięgam do torby po kupiony wcześniej na targu zestaw owoców papai i mango, wyczuwam w niej wibrowanie i dociera do mnie, że to moja komórka. Na ekraniku wyświetla się nieznany numer i mam ochotę go zignorować. Zwycięża jednak poczucie obowiązku i klikam na zieloną słuchawkę.

– Halo.

– Halo. Nina, to ty?

– Tak, a kto mówi?

– Jak to kto! Nie udawaj, że nie poznajesz!

– No, nie poznaję. – Co za głupota, gdybym poznawała, to już bym była ucieszona albo zmartwiona. – Z kim... mam przyjemność? – ponawiam pytanie poirytowana.

– Ryszard! Twój szwagier.

– Aha. – Niespecjalnie jestem w stanie wykrztusić coś więcej, moje ciało zaś się spina. Odruchowo siadam na leżaku, serce łomocze coraz bardziej, chyba mocno się zestresowałam.

– Tak, aha. Nie masz nic więcej do powiedzenia? Jeszcze niedawno byłaś taka mądra i elokwentna! Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

– Uspokój się. – Wiem, że tym poleceniem rozjuszę go na dobre, ale mając dzielącą nas odległość za sojuszniczkę, zgrywam bohaterkę. – O co ci chodzi?

– O co mi chodzi? Jesteś bezczelna!

– Albo powiesz, z czym dzwonisz, albo się rozłączam.

– O co mi chodzi? Knułaś z Zochą! Namawiałaś ją, żeby mnie zostawiła, to teraz się doigracie! Myślisz, że jesteś taka cwana? Zośka nie dostanie ode mnie ani grosza! Słyszysz? Ani grosza! – Myślę, że pani na leżaku obok też słyszy, choć pewnie nie rozumie. Oby. – Zniszczyłyście mi dom! Wszystko zniszczyłyście! Zobaczysz, zemszczę się!

– Czy wiesz, że to są groźby karalne? Informuję cię, że zaczęłam nagrywać twój monolog.

Udaję spokój i staram się myśleć racjonalnie, ale w rzeczywistości ogarnia mnie panika. Co ta idiotka mu nagadała?

– Mam w dupie, czy nagrywasz czy nie! Jeszcze będziesz żałować, że się poznaliśmy.

– Skończyłeś?

Nie czekam na miłe słowa pożegnania i rozłączam się. Sprytnie zapisuję numer w książce adresowej pod hasłem „Debil” i usiłuję odzyskać spokój. Nie mogę się doczekać powrotu Bartka, tak bardzo chcę wyrzucić z siebie strach. Cholera. Znowu dzwoni telefon. Jeśli to on, postanawiam nie odbierać. Jednak na ekraniku

zamiast anonsu „Debil” pojawia się Zosia, w zasadzie też debilka – żeby tak się z gościem rozstać.

– Halo!

– Cześć, co tak krzyczysz?

– Co tak krzyczę?! – Zaraz eksploduję. – Przed chwilą dzwonił do mnie twój skretyniały mąż i raczej nie odbyliśmy miłej pogawędki. Groził mi! Rozumiesz? Groził, Zośka!

– Nie przejmuj się.

– Jak mam się nie przejmować, skoro dzwoni do mnie jakiś kretyn i wydziera się na pół plaży. Wiesz, że on mnie oskarża, że do czegoś cię namawiałam?

– No...

– Co „no”? Co ty mu nagadałaś?

– Nic, tylko tyle, że też uważasz, że powinnam od niego odejść, i że to ty radziłaś mi się spotykać z tym ochroniarzem. Swoją drogą... wiesz, jakie to ciacho?

– Chyba ci odbiło! Ja cię namawiałam? Przypomnę, że to ty zadzwoniłaś po raz pierwszy od siedmiu lat i oświadczyłaś, że odeszłaś od Rycha! I nie radziłam ci się spotykać z żadnym ochroniarzem!

– No nie, ale powiedziałaś, że to dobrze.

– A co ci, idiotko, miałam powiedzieć? Chciałam cię pocieszyć! I powiem ci, że nie życzę sobie mieszania mnie w wasze sprawy! Rozumiesz?

– OK, OK, co się tak wściekasz?

– Znikasz na długie lata, nie masz potrzeby się

spotkać ani zadzwonić, nie obchodzi cię rodzina, a teraz, jak masz problem, to wydzwaniasz i sprawiasz, że twój problem za sprawą Ryśka staje się moim.

– Przepraszam, głupio wyszło.

– Mało powiedziane. A tak przy okazji, pogodziliście się?

– Nie. Rychu powiedziała, że mam wypierdalać i że moja noga nie postanie już w jego domu, bo ma mnie dość. – Zaczyna się aria płaczu przetykanego szlochem. – I co ja teraz zrobię?

– Nie wiem, trzeba było o tym pomyśleć, zanim zdemolowałaś mu dom.

– Ale to było honorowe.

– To teraz honorowo idź do pracy i postaraj się sama utrzymać, jak wszyscy.

– Jesteś okropna.

– Nie okropna, tylko racjonalna. Masz trochę własnej kasy?

– Niespecjalnie.

– No to przynajmniej postaraj się jej za szybko nie wydać. Gadałaś z Ryśkiem? Może ci wybaczy?

– Z nim się nie da gadać. I nie wybaczy, bo twierdzi, że go ośmieszyłam. I co ja mam zrobić?

– Może jednak spróbuj go przeprosić.

– Zwariowałaś, to nic nie da.

Za wszelką cenę chcę skończyć tę niewygodną

rozmowę, więc pocieszającym tonem proponuję Zośce ponownie przespać się z problemem i się rozłączyć. Proszę, jak niewiele trzeba, by wmieszać się w czyjeś problemy, a nawet zdaniem jednej ze stron – je spowodować. Mam nadzieję, że telefon będzie już milczeć albo przynajmniej dla równowagi zadzwoni ktoś z jakąś radosną nowiną.

W zasadzie się nie mylę, bo po godzinie upiorne czarne pudełko znowu się trzęsie, jednak dla odmiany słyszę w nim radosny głos Zuzy, mojej kelnerki.

– Dzień dobry, pani Nino.

– Witaj, Zuza, co tam?

– Nic, w zasadzie nic. Tylko niech się pani nie denerwuje.

Nie ma gorszych słów, by doprowadzić kogoś do stanu skrajnej paniki.

– Coś się stało?– Słyszę, że głos faluje mi strachem.

– Nic takiego, tylko Waldek nie przyszedł do pracy, a Maciek się rozchorował.

– Ale jest w pracy?

– Nie, też poszedł do domu.

– A dlaczego nie ma Waldka?

To nasz niezbyt rozgarnięty, ale za to jedyny kucharz, który odróżnia bakłażana od cukinii i masło od margaryny.

– Nie wiem, nie odbiera telefonu, ale Maciek coś mówił, że zastanawiał się nad zmianą pracy, chyba

dostał jakąś propozycję.

– Jak to? Nie mogliście mi powiedzieć? W takim razie co serwujecie gościom?

– W zasadzie to kawę i gotowe ciasta, są jeszcze dwa garnki zupy od wczoraj i to tyle. Jak pani chce, to mogę coś ugotować, na przykład zrobić mielone.

– Przecież ty nie umiesz gotować!

– Ale mielone są proste, widziałam, jak kucharze robili. Jak mi pani powie, jak je doprawić, to dam radę.

– OK. Kup dwa kilogramy mięsa mielonego z łopatki, namocz suchą bułkę w mleku, znajdziesz ją na zapleczu w białym płóciennym worku, do tego sól, pieprz, dwa jajka, musisz je najpierw umyć...

– A mięso też?

– Co mięso też?

– Też je umyć?

– Umyć? Mielone chcesz myć? – Jezu, co za kretynka! – Wiesz co, dajmy sobie spokój, musimy wymyślić coś innego, ale dzięki za dobre chęci.

– OK, ale jakby pani chciała, to kiedyś piekłam ciasta...

– Tak? – rzucam pełną obaw.

– Tak. Na przykład ciasto z jabłkami, tylko proszę mi przypomnieć przepis, bo nie pamiętam proporcji.

– Dobrze, spróbujmy. Wsyp szklanke cukru do misy miksera, wiesz, tego czarnego, dodaj cztery całe jajka, zapisałaś?

– Uhm, a jajka ugotowane czy surowe?

Chryste Panie, to jakiś obłąd.

– Wiesz, może lepiej będzie, jak zadzwonisz do pani Bożeny. – Pani Bożena, nasza sprzątaczką, karmi dzień w dzień dwunastoosobową rodzinę, więc może coś zaradzi. – Zadzwon do mnie, jak coś ustalisz, albo ja się odezwę za godzinę.

– Dobrze, życzę miłych wakacji. – Klik.

Kurwa, jakich wakacji? Właśnie wszystko się sypie, a ja jestem raptem dwa i pół tysiąca kilometrów od firmy. Jeśli nie wydamy kilkunastu posiłków każdego dnia, to w zasadzie możemy zwijać interes, bo nie będę miała z czego zapłacić horrendalnego czynszu. Znalezienie kucharza graniczy z cudem! No i nie dość, że wali się w robocie, to jeszcze jakiś kretyń usiłuje mnie zastraszyć. Gdzie jest ten Bartek?

Chwila ciszy i spokoju odpływa w niebyt, muszę tu i teraz, na gwałt, porozmawiać z mężem. Zwyczajnie się wygadać. Jezu, ile dni zostało do końca pobytu? Jeszcze kilka. Dziś rano wydawało mi się to zbyt krótką perspektywą, by dobrze wypocząć, a teraz nie mogę się doczekać powrotu!

Zamiast Bartka na leżak obok zwala się jakiś obleśny gruby facet, który ma w wyglądzie coś znajomego. Biorąc pod uwagę miejsce, nawet nie usiłuję się skupić i zastanowić, czy się znamy. Pewnie to jakiś drugorzędny aktor, zresztą kompletnie nie mam pamięci do twarzy,

więc pomysł rozpoznania intruza z punktu wydaje się chyby.

– Co, kłopoty w rajcu?

Zamieram. Zastanawiam się, czy tak doskonale rozumiem po angielsku albo hiszpańsku, a może koleś mówi w moim ojczystym języku.

– Słucham?

– No, kurwa, słyszałem, jak pani pierdoli przez telefon.

Jestem tak rozdrażniona, że nabieram tchu i mam ochotę wygarnąć mu, co myślę o podsłuchiowaniu i komentowaniu cudzych rozmów. Dobry moment, by spuścić z siebie powietrze i pełnym wrzaskiem rozładować wewnętrzne napięcie. Niemal zapiera mi dech w piersiach, gdy po chwili do moich uszu dociera:

– O ja pierdole, Nineczka, to ty?

Tylko jeden kretyn nazywał mnie Nineczką. Masakryczny Edek vel Damski Bokser, z którym w miłosnym oszołomieniu spędziła upiorny rok moja siostra. Kolejny rok zbierała rozsiane w najgorszych emocjach cząstki mózgu na kozetce u psychologa: próbował oswoić ją z możliwością nawiązania nowych relacji damsko-męskich, do których przez następne lata podchodziła z wystudiowanym dystansem. Wytrzeszczam oczy. Faktycznie stoi przede mną w obcisłych slipkach Koks Edek, jak nazywali go koledzy. W rzeczywistości patrzę na nieciekawego typu

w za małych kąpielówkach, którego umięśniony niegdyś brzuch przypominający kaloryfer zmienił się w wypukły i pęczniący piec kaflowy, klatka się zapadła, zapewne na skutek przyklejonego do kącika ust ćmika, a dawny irokez wyraźnie się wytarł i ustąpił miejsca zaczesce.

– Ty, lalka, świetnie, kurwa, wyglądasz. – Taksuje mnie jak kawał apetycznej kiełbasy na półce w sklepie i czuję, jak pod wpływem tego spojrzenia kurczy się nie tylko moje serce, ale również zastraszony cellulit. – Sama jesteś?

Cholera, co ten tępak robi na plaży w Barcelonie i jak to się dzieje, że człowiek niewidziany od lat we własnym mieście wyskakuje na drugim końcu świata jak królik z kapelusza?

– Nie, z rodziną.

– A mieszkasz tu czy wakacjujesz, bo ja, kurwa, uważaj, jestem na wyjebanych wakacjach.

– To świetnie.

– No, zajebicie. A co u Zośki?

Wyjmuje z ust niedopalonego peta i odpala od niego kolejnego, wyciągniętego z leżącej na leżaku paczki. Szczypiący dym wydmuchuje mi prosto w oczy i nie wiem, czy od niego, czy na wspomnienie traumatycznych chwil związku Zofii z tym psychopata chce mi się płakać. Bartek, błagam, przyjdź!

– No co, kurwa, nic nie mówisz?

– Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, a poza tym

zaraz muszę wracać do hotelu.

Niespodziewanie zza kłębow dymu wyłania się nadąsana i spalona na skwarek twarz teściowej, a za nią teścia.

– O, już jesteś. Z kim rozmawiasz? Przedstawisz nas panu?

Teściowa, nie przeczuwając katastrofy, aż się pali do zawarcia nowej znajomości.

– To mój dawny znajomy, ale właśnie kończyliśmy rozmawiać...

– Jaki, kurwa, znajomy?! Byliśmy z Nineczki siostrą parą przez zajebicie ZAJEBISTY rok!

Dynamizatory w języku Edka w miarę upływu lat nabrały jeszcze większej soczystości i emfazy. Oczy państwa Braun stają się coraz bardziej okrągłe i, o dziwo, moja zawsze potrafiąca się odnaleźć teściowa zamiera w pół kroku. Ciszę wypełnia eleganckie podsumowanie w wykonaniu mojego byłego prawie szwagra:

– Tylko, kurwa, potem coś tej pojebanej suce odjechało i spierdoliła wszystko. Kurwa! A mogło być tak zajebicie!

Mam wrażenie, że zaraz zapadnę się pod ziemię. Co Zosia robiła z tym gościem i czym ją urzekł? Mając dziewiętnaście lat, była głupsza od wiadra gwoździ, nie dało się jej niczego wyperswadować. Zresztą, jak historia pokazała, niewiele zmądrzała, wiążąc się z prymitywnym, ale za to dysponującym dużym zasobem

gotówki i obsesyjnej zazdrości Ryśkiem.

Nie zwracając większej uwagi na mnie i moich teściów, Edzio obraca się do nas tyłem. Z przerażeniem odkrywam, że jego slipki to mikrostringi wrzynające się niemiłosiernie i zapewne boleśnie w grube i zjarane słońcem dupsko. Modlę się w duchu, by nie wpadł na pomysł schylenia się i pozbierania leżących w piachu wymiętych „Playboya” i „Hustlera”. Bóg jest nielitościwy albo moje modlitwy mało skuteczne, Edek bowiem nie tylko schyla się po pisma, ale również długo i starannie składa w tej pozycji swój nie pierwszej świeżości ręcznik. Teściowa, choć jest bliska omdlenia albo wylewu, stoi nieruchomo, wpatrując się w wypięty przed jej nosem zadek. Nareszcie pojawia się Bartek, który nieświadomy dziwnego spotkania cmoka mnie w czubek głowy i pyta:

– To co robimy? Zwijamy się na kolację czy chcecie jeszcze trochę posiedzieć?

– Możemy już iść – mówimy równocześnie z teściową i jest to chyba ten jeden jedyny raz w życiu, gdy jesteśmy zgodne.

Docieramy do hotelu wyczerpani słońcem i dopiero na miejscu odkrywamy, że zapomnieliśmy o Jaśku. Jego telefon milczy jak zaklęty i znowu zaczynam się denerwować. Jak się okazuje, niesłusznie, bo mój syn wraz z Angelą pojawia się w drzwiach i od progu woła,

że jest strasznie głodny.

Bartek, który połowę czasu na plaży spędził z nosem w przewodniku, proponuje wybrać się na wieczorny spektakl pod hasłem światło i dźwięk, czyli do magicznej fontanny, albo, jak się pospieszymy, na koncert jazzowy na dachu jednego z domów projektowanych przez Gaudiego, tuż obok La Rambli.

Niestety musimy się również liczyć z opinią starszych państwa, a tu osiągnięcie porozumienia nie jest proste. Jak było do przewidzenia, kończy się na kolacji w pobliskiej restauracji i tradycyjnym „później zobaczymy, na co będziemy mieli ochotę”. Trafione w punkt niezdecydowanie.

Przyjaciółka Jaśka poleca nam pobliską, jednak położoną z dala od turystycznego szlaku klimatyczną knajpkę. Łączymy trzy stoliki, żeby wspólnie pobiesiadować, i Angela, podpowiada, co wybrać z dań tradycyjnej kuchni hiszpańskiej.

Klara, fanka wszelkich makaronów i naleśników, marudzi, że nie chce nic innego, teściowa pyta o dania dietetyczne, teść jest zaabsorbowany obserwowaniem powypinanych na barowych hokerach tyłeczków młodych dziewczyn, a Jachu zje wszystko, co podsunie mu dziewczyna. Już mi się podoba!

Zgodnie zamawiamy na przystawkę słynne długo dojrzewające szynki, dwa rodzaje chorizo i deskę serów, która anonsuje się smrodem starych skarpet jeszcze

przed podaniem jej do stolika. Cudownie zimna cava dopełnia całości i nawet zaczyna być miło. Rozmawiamy o wszystkim i o niczym, zupełnie jak rodzina, która od lat pielęgnuje ciepłe i życzliwe stosunki. Państwo Braun delektują się opowieściami o miejscach, które zwiedzili, i światowym życiu, jakie od lat prowadzą. Ze znanstwem koneserów wypowiadają się na temat jakości i smaków podanych wędlin i serów, a teść niczym zawodowy kiper przez dłuższą chwilę testuje różne czerwone wina, by wreszcie zamówić najtańsze, Casa Safra, które od czasu do czasu kupujemy w Biedronce. Nawet ich epatowanie pewnością siebie nie przeszkadza mi dzisiejszego cudownego wieczoru. O dziwo, teściowie nie pytają o indywiduum spotkane na plaży i wieczór ma szansę zakończyć się przyjemnie.

Zdecydowanie trudniej jest dokonać wyboru pierwszego, a potem głównego dania. Klara łaskawie decyduje się na bagietkę z szynką, pod warunkiem że będzie ją mogła wydłubać z kanapki, jeśli jej nie zasmakuje.

Uśmiechnięty kelner, rozpluwający się w uprzejmościach i wylewności, z której nic nie rozumiem, stawia przed nami talerze z apetycznym klasycznym gazpacho.

- Co to jest? – indaguje teść.
- Gazpacho.
- Czyli co? – nie daje za wygraną.

– Zupa na bazie pomidorów, papryki i zielonego ogórka – staram się udzielić wyczerpujących informacji.

– Ależ to jest zimne!

– Bo takie ma być, to rodzaj chłodnika.

Teść próbuje zlizać odrobinę zupy z łyżki i krzywiąc się, pyta:

– Aleksandro, próbowałaś tego świństwa?

Teściowa wyciąga długą, chudą szyję i niczym pies pochylony nad gównem na trawniku, zastanawiający się, czy się wytarzać, czy odpuścić właścicielom, obwąchuje talerz.

– No, pachnie dziwnie i mówisz, że jest zimne. – Wkłada do ust pierwszą łyżkę i otrząsa się z obrzydzeniem. – Faktycznie, zupełnie zimne. Jak można robić chłodnik z pomidorów? I w dodatku nie ma w nim ani ryżu, ani makaronu, nawet grzanek! Nie do wiary.

I nim ktoś zdąży zareagować, macha ręką ozdobioną wielkim pierścieniem i trzema grubymi złotymi bransoletkami, pobrzękującymi coraz gwałtowniej, na kelnera, który pojawia się natychmiast, jak dżin na wezwanie Aladyna.

– Proszę pana! Ta zupa jest zupełnie zimna, to oburzające. Proszę zabrać talerze i natychmiast, rozumie pan, natychmiast ją podgrzać – atakuje łamaną angielszczyzną Bogu ducha winnego młodego człowieka.

– Ależ, mamo, ta zupa ma być zimna, co mama

wyprawia? – Osłupiały Bartek próbuje jej przemówić do rozumu.

Równie przerażona wydaje się Angela, ale zaczyna dziko chichotać po tym, jak Jasiek szepcze jej coś do ucha.

– Nie interesuje mnie to, kategorycznie żądam podgrzania zupy, inaczej nie będę jej jadła.

Teściowa nie dość, że nie ustępuje, to jeszcze nie zwraca uwagi na to, że pól knajpy obserwuje nas z ogromnym zaciekawieniem. Pewnie sobie myślą: Polaczki na wakacjach. Jezu, jaki wstyd.

Kelner, wijący się w przeprosinach, choć pewnie do dziś nie wie za co, stawia przed teściami parujące gazpacho, na którego powierzchni pływają maleńkie rumiane grzanki. Starsi państwo zjadają je z wielkim apetytem, po czym jak na zawołanie zlewają się potem i robią purpurowi. Na dworze, choć jest już wieczór, nadal jest około dwudziestu pięciu stopni, więc po zjedzeniu parującego dania organizm musi gwałtownie oddać ciepło i ostrość dodanej do niego papryki. W panice usiłuję sobie przypomnieć, co zamówili na danie główne i czy będziemy świadkami drugiego aktu przedstawienia.

Na szczęście na stole pojawiają się ryby i owoce morza w różnego rodzaju sosach i dodatkach, wydaje się więc, że niebezpieczeństwo minęło... Do momentu, aż teściowa z ustami pełnymi łososia nakazuje małżonkowi

zabić komara, który złowrogo brzęcząc, zatacza nad nią eliptyczne kręgi. W chwili, gdy teść zdjętym z nogi klapkiem – nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! – usiłuje dopaść natrętnego owada, teściowa zaczyna się krztusić i charczeć. Popija wodę, ale mimo poklepywania po plecach i przepłukiwania gardła jej stan się pogarsza i musimy wezwać pogotowie.

Karetka może zabrać tylko jedno z nas. Z pewnością nie teścia, który poza rosyjskim, i to w stopniu podstawowym, nie zna żadnego języka i w dodatku trzęsie się jak w delirium.

– Oleńko, żabko moja, trzymaj się, tylko mi nie umieraj! – powtarza jak mantrę i jest bliski szloch.

– Bartek, jedź z matką, ja zajmę się resztą.

– Nie, Nina, lepiej ty jedź, jesteś bardziej zorganizowana i lepiej się dogadasz.

– Ale to twoja matka, więc ty powinienesz jechać! – krzyczę na niego wściekła.

I w końcu, jak to zwykle bywa, ja, bohaterka wszelkich drastycznych i koszmarnych sytuacji, jadę skulona na siedzeniu w karetce, towarzysząc kobiecie, która nienawidzi mnie całą sobą. Jej czerwona, spalona słońcem twarz zrobiła się blada, a w miarę upływu czasu nabiera coraz bardziej siniego odcienia. Gdy słyszę charkot dobywający się z opuchniętego gardła, robi mi się jej szczerze żal. W odruchu wsparcia chwyciłabym ją za rękę, ale nie mogę w żaden sposób przewyciężyć

niechęci do bezpośredniego kontaktu z jej ciałem. Maskując zmieszanie, rozmawiam z lekarzem, by wyjaśnić, co się stało i w jakich okolicznościach. Potem tłumaczę teściowej, co mówi medyk.

– Najprawdopodobniej połknęła teściowa ość, która utknęła w gardle na tyle niefortunnie, że podrażnia ściankę, powodując odruch wymiotny. – Wbrew sobie dotykam jej ramienia i mam wrażenie, że pod palcami czuję, jak jej przerażone ciało zapada się z ulgą, a oddech staje się spokojniejszy.

Wreszcie docieramy do szpitala, gdzie natychmiast przewożą teściową do sali zabiegowej. Korytarz pełen jest ludzi w różnym wieku i na oko widać, że o bardzo różnym statusie majątkowym. Jest cicho i spokojnie, wszystko wydaje się przemyślane i ujęte w ścisłe procedury, do momentu, aż w drzwiach szpitala staje para brudnych kloszardów. Bijący od nich smród zatyka mi nozdrza i sprawia, że cały korytarz zamiera. Mam wrażenie, że nawet ściany się przyczaiły. Kobieta w postrzępionej sukni, z kołtunem na głowie, szarpie i wlecze faceta ze spuchniętą, siną i wyraźnie gnijącą nogą. Oboje są w wieku nieokreślonym, tak między trzydziestką a siedemdziesiątką. Wtedy otwierają się drzwi gabinetu zabiegowego, za którymi zniknęła matka Bartka. Tym razem pojawia się w nich nieco bardziej rumiana i na wózku, jednak w jej oczach nadal maluje się panika.

Uprzedzam Bartka telefonicznie, że wracamy i nie muszą się martwić, myśląc sobie przy tym, jak niewiele brakowało, by teściowa stała się aniołem. Przeraza mnie, że nasze życie może się skończyć w jednej chwili. Zawsze w takich momentach zastanawiam się, co może mi się przydarzyć i czy będę na to gotowa. Im człowiek twardszy, tym więcej nieszczęść na niego spada, bo Ten na górze musi sprawdzić naszą odporność. Ot, taki boski teścik.

Poza Jaśkiem i Angelą wszyscy zakończyli wieczór. Zrobiło się późno, a emocje wysały z nas resztki sił. I choć kładziemy się spać, nikt nie może zasnąć. Nawet Klara wgramoliła się do naszego łóżka i ciepłymi rączkami zamyka mnie w żelaznym uścisku.

– Mamo, obiecaj, że nigdy nie będziesz jadła łososia, dobrze?

– Klaro, nie chodzi o łososia. Babcia mówiła z ustami pełnymi jedzenia i dlatego stało się nieszczęście.

– No tak, ale dziadek powiedział, że to przez cholerną kość.

– Klaro, jak ty brzydko mówisz!

– To dziadek tak powiedział.

– Bo był zdenerwowany! Nie wolno tak mówić.

– To przez kość?

– Jeśli już, to przez ość. Tak, ryby mają ości i dlatego zawsze trzeba uważać przy jedzeniu.

– Aha. – Mała nie ma siły zadawać kolejnych pytań i jej dociekliwość gwałtownie przerywa sen.

Poranek ponownie budzi nas optymistycznym waleniem teściów do drzwi i szczebiotem mamy Bartka, że śniadanie czeka na stole w ich apartamencie. Ciekawe, czy światełko w czarnym tunelu, w który wpatrywała się wczoraj, dało jej do myślenia i pozwoliło wyciągnąć wnioski.

Dla mnie jak zwykle jest za wcześnie i jak zwykle jestem zbyt zmęczona, by zwlec się z łóżka. Za czasów wcześniejszych sąsiadów poranek był moją ulubioną porą dnia, teraz myśl o tym, że mogłabym, wymykając się z mieszkania, na schodach spotkać teściów, odbiera wszelką ochotę na poranny ruch.

Jasiek wstaje pierwszy i jest dziwnie przymilny. Zastanawiam się, jaki ma w tym interes. Długo nie muszę czekać na strzał, bo zaraz po wyjściu spod prysznic słyszę rozmowę ojca z synem.

– Tato, zróbmy sobie męski dzień i chodźmy wreszcie na stadion.

– A co cię tak przypiliło?

– Nic, ale Angela dziś pracuje i będzie wolna dopiero późnym wieczorem.

– I...

– No i... dziś się nie spotykamy, ale jutro i pojutrze

możemy spędzić z sobą sporo czasu, więc pomyślałem, że to dobry pomysł.

– A co z mamą i Klarą? Idą z nami?

– Nie wiem, nie pytałem. Myślisz, że mama chciałaby oglądać stadion?

– Wątpię. Ale zapytaj.

Po chwili do pokoju wchodzi podekscytowany Jasiek ubrany w grzeczną polówkę i niegrzeczny kaptur od narzuconej na nią cieniutkiej szarej bluzy Hollistera.

– Mamo, chcemy z tatą iść na stadion. Idziecie z nami?

Oczywiście, że nie. Kompletnie nie interesuje mnie miejsce kultu koleśki, którzy potrafią tylko biegać godzinami za kawałkiem skóry i wywoływać tym cały wachlarz emocjonalnych uniesień tłumu, z zamieszkami włącznie. Stadion to chyba jedyne miejsce na ziemi, gdzie faceci nie wstydzą się płakać, a ich łzy są w pełni akceptowane przez innych facetów. Szloch na pogrzebie ciotki, przy narodzinach dziecka i po przekroczeniu progu pierwszego mieszkania jest obciachem i dowodem słabości, ale nie w chwili, gdy baty dostaje jedenastu, skądinąd kiepsko grających naszych od tych nienasznych! Wtedy wyciek z gruczołów łzowych spotyka się ze społecznym zrozumieniem. Rozumiem: „chleba i igrzysk”, ale nadal nie pojmuję próby rozładowania emocji i takiej agresji tłumu. Znajomy kibic, wykształcony, z samego centrum kotła, usiłował mnie

przekonać, że dzięki wyładowaniu agresji na stadionach ludzie są bardziej przyjaźni na ulicy. Serdeczne dzięki. Lata temu, utknąwszy w korku, spotkałam się oko w oko z kibicami stołecznej drużyny, którzy dopiero co opuścili zdemolowany pociąg i w eskorcie policji, wyjąc i łomocząc, byli prowadzeni na stadion. Tłum szedł po wszystkim, co napotkał, łącznie z dachem samochodu stojącego przede mną. Przysięgam, myślałam, że to ostatnie godziny mojego życia, tym bardziej że chronił mnie tylko płócienny dach wypasionego kabrioletu ojca. Trauma pozostała do dziś. Gdy widzę wibrujące tramwaje z powiewającymi za oknami szalikami albo lekko podpity tłumek zmierzający na stadion, niezależnie od wcześniejszych planów biegnę w drugą stronę.

– Bardzo chętnie – podpuszczam jednak młodego i aż gęba mi się śmieje na widok jego coraz bardziej wydłużonej miny. Już widzę, jak oprowadza nas po tym niezwykłym dla niego miejscu, trzymając za rączkę znudzoną małą. – Ale obawiam się, że Klara mogłaby być nieco znużona stadionem, więc jeśli się nie obrazisz, to my zostaniemy i pójdziemy sobie na przykład do zoo, a ty i ojciec zróbcie sobie męski wypad.

– Super. – Jasiek szybko się orientuje, że nadmiernie pospieszył się z wyrażeniem entuzjazmu, i usiłuje przypudrować faux pas, dodając: – To znaczy fajnie, że idziemy, ale szkoda, że bez was.

– Już mi tu nie ściemniaj. Ja też się cieszę, że nie muszę oglądać pola trawy pod częściowym zadaszeniem.

Śmieję się z naszego dorastającego synusia, w którym dorosły i mimo zaledwie siedemnastu lat dojrzały facet kłóci się jeszcze z dziesięcioletnim smarkiem.

– Może zabierzecie dziadka?

– Eee, lepiej nie. Co, jak sądzisz? – Jasiak usiłuje wcisnąć stopę w nierozwiązany szary but Palladium i widać, że się męczy z niepokornym obuwiem.

– Nie myślałeś, że rozwiązanie sznurowadeł znacznie by ułatwiło włożenie butów? Przecież tak je niszczysz.

– Wiem, ale myślałem, że dam radę.

– A gdzie masz sandały? Dlaczego ich nie nosisz?

– Zwariowałaś? Przecież mogę spotkać Angelę.

– A co, sandały to obciach?

– No raczej.

– A raczej dlaczego? Od rana jest trzydzieści stopni, umrzesz w tych kapciach.

– To pokażę ci dlaczego. – To mówiąc, instaluje swoją chudą, jeszcze nieśmiało, lecz wyraźnie owłosioną nogę w mocno powycinanych czarnych sandałach zapinanych na rzepy. – I co?

– Kurde, strasznie. A nie jest ci gorąco w tych butach? Może kupimy jakieś trampki?

– Nie, jest OK, ale sama widzisz...

Rzeczywiście, dojrzewanie jest paskudnym pod względem fizycznym okresem, a umysłowym chyba jeszcze bardziej (i to nie tylko dla samego zainteresowanego, ale niestety dla innych też, szczególnie dla rodziny), co zważywszy na to, że to etap lansu i pierwszych miłości, jest dosyć podłe.

Nieproporcjonalne ciała: raz za długie ręce sięgają sterczących kolan, innym razem nogi zaczynają się w okolicy szyi, wychudzona sylwetka i pierwsze pypcie zarostu na przyszczatych twarzach napiętnowanych nafochanymi, wyniosłymi minami. Biorąc pod uwagę, że cały ten bałagan młodzi ludzie usiłują upchnąć w zbyt dorosłe ubrania i pokryć wyzywającym makijażem, stwarzają się na wzór i podobieństwo cyrkowego klauna, tyle że szkolny korytarz nie jest areną, lecz wybiegiem modowym.

Szczęśliwie Jasiek nie uległ kaprysom mody i jeszcze, przynajmniej na razie, przypomina człowieka. Ciekawe, czy za kilka lat wydziara swoje ciało dziś tak pogardzanymi tatuażami i czy wystrzeli z irokezem w dziwnych barwach. Boże, chroń nas przed takimi pomysłami!

– No więc, co z dziadkami?

– Nie wiem, zapytaj ojca. – Cholera, nie jestem ich niańką, nie są to moi rodzice i wolę inicjatywę pozostawić po stronie Bartosza.

Po małej burzy mózgów, co można zrobić z teściami,

a czego lepiej im nie proponować, dochodzimy do porozumienia i propozycja Klary wygrywa. Zamiast do zoo wybieramy się do oceanarium, teściowie z nami.

Wychodzimy na nagrzaną i hałaśliwą La Ramblę. Upał smaga nas po twarzach, a stojące powietrze można by kroić i układać w sterty. Jachu z ojcem znikają na jeszcze gorętszych schodach prowadzących do tunelu metra, my zaś, mozolnie przeciskając się wśród ludzi, powolutku zmierzamy w stronę pomnika Krzysztofa Kolumba i dalej, ku mostowi prowadzącemu do centrum handlowego i oceanarium.

Zamieram na widok kilkakrotnie zakręcającej kolejki, w której stoi chyba połowa populacji miasta, a przynajmniej odwiedzających je turystów. Podczas gdy Klara z dziadkami znika w dużym sklepie z tandetnymi pamiątkami pełnym plastikowych rybek, owłosionych meduz i koślawych koszulek z niewyraźnymi nadrukami, ja zmierzę się z wężykiem do kasy. Zostajemy obsłużeni nadspodziewanie sprawnie i już po dwudziestu minutach wspinamy się lekko pochyłym chodnikiem do morskiego centrum rozrywki. Klara, upojona barwami i dynamizmem zmieniających się żywych obrazów, piszczy z zachwytu. Zresztą akwaria rzeczywiście robią wrażenie. Ruchome chodniki, które zabierają ludzi z rozdziawionymi ustami przyglądających się pływającym nad nimi rekinom i płaszczkom, przenoszą nas na dno piaszczystych mórz. Widzę, że nawet

teściowie ulegają urokowi miejsca i z podziwem głośno komentują piękno i różnorodność przepływających stworzeń.

Klimatyzacja daje chwilę oddechu i wytchnienia naszym pracującym na pełnych obrotach organizmom, chętnie więc siadamy na krzesłach w ostatniej sali. Niewiele mówiąc, obserwujemy zmagania mojej córeczki na morskich zjeżdżalniach i zabawę w łapanie ryb w specjalnie dla dzieci przygotowanych akwariach. Klara od razu nawiązuje kontakt z dwójką małych Hiszpanów i nie rozumiejąc słowa z ich tyrady, organizuje wspólną zabawę we wchodzenie i wychodzenie z podmorskiej minikapsuły.

– Nino, jakie masz plany na popołudnie?

Nie wierzę: teściowa pyta mnie o plany?

– W zasadzie chyba nic specjalnego, a dlaczego teściowa pyta? – Asekuracyjnie, nie wiedząc, do czego zmierza, udzielam nieco wymijającej odpowiedzi.

– Chciałabym pójść do fryzjera. – Faktycznie, armia jej loczków zrobiła „spocznij” i rozeszła się we wszystkich kierunkach. – Nie znasz jakiegoś?

– Raczej nie. A te salony, które mijaliśmy, wyglądały jak z lat pięćdziesiątych i nie sądzę, by słyszeli w nich o dezynfekcji, o sterylizacji nie wspominając.

– Ja gdzieś widziałem fryzjera, tylko nie pamiętam gdzie.

Podekscytowany teść włącza się do rozmowy. Nawet

w wypadku takiej błahostki jak damski fryzjer usiłuje przejść dowodzenie.

– Robercie, przypomnij sobie, bo naprawdę muszę zrobić porządek z głową.

Nie mam co do tego wątpliwości, tylko nie jestem pewna, czy fryzjer jest właściwym specjalistą, raczej sugerowałabym spotkanie z psychologiem albo psychiatrą, jednak dyskretnie milczę.

– Widziałem salon, jak staliśmy w takiej długiej kolejce, nawet zaglądałem przez szybę. Gdzie to mogło być?

Teść prostuje się na krześle, zupełnie jakby wyprężony kręgosłup miał naciągnąć coś w mózgu i przywołać zagubione obrazy albo połączenia między nimi.

– To było na jakimś narożniku, taki mocno przeszklony lokal. Zwróciłem uwagę, bo był przyjemnie urządzone. Białe ściany, duży kontuar obity drewnem i jeszcze belki zamiast półek, podłoga też była niezła, chyba z naturalnego kamienia.

Jakby opis wnętrza miał przybliżyć nas do celu. Niezniechęcony teść, wpatrzony nieruchomo w jeden punkt na stoliku, kontynuuje z ożywieniem:

– Wiesz, Oleńko, to było takie nowoczesne, ale eleganckie i dyskretnie ekskluzywne miejsce.

Słowo „ekskluzywne” wyraźnie elektryzuje teściową, która wyciągając wychudzoną szyję, nie wiadomo jakim

cudem utrzymującą głowę w oprawie fikuśnej fryzury, motywująco jęczy do męża:

– Robercie, skup się, proszę, chyba nie masz jeszcze tak słabej pamięci, żeby sobie nie przypomnieć, gdzie był ten fryzjer. Muszę iść do porządnego, rozumiesz, porządnego fryzjera.

Wbrew sobie włączam się do rozmowy:

– A gdzie teściowie stali w jakiejś długiej kolejce?

– Jak to gdzie? Tu wszędzie są kolejki. Co za miasto! Do każdego muzeum, do parku, restauracji. Jak można tak żyć?

Okazuje się, że moje pytanie jest tylko katalizatorem złości, a nie merytorycznym wsparciem. Nagle nieproszona odzywa się Klara, która właśnie przycupnęła obok mnie na krzeselku i pije z wysokiej szklanki zimną wodę:

– A jak byliśmy u mamutów, to musieliśmy czekać na dziadków, bo stali w kolejce.

Rzeczywiście. Oby to był ten adres. Już się bałam, że będziemy musieli w ponurym marszu, niczym tropiące na niskim wietrze jamniki, przejść wszystkimi dotychczas przedreptanymi uliczkami Barcelony. Mój entuzjazm pieczętuje teść:

– Oczywiście. Właśnie sobie przypominałem: obok Muzeum Picassa i tego waszego bezsensownego z mamutami. Tam jest ten salon. Idziemy.

Władczym tonem wydaje bezapelacyjny wyrok

i niczym Neron pokazujący paluchem, od czego zaczynamy podpalanie, wskazuje kierunek. Przeciwny do tego, w którym powinniśmy ruszyć, by dotrzeć na miejsce. Wszyscy są tak skupieni na fryzjerskich aspektach dnia, że nawet ja nie dostrzegam łez w oczach małej.

– Mamuty nie są bezsensowne, dziadek się nie zna.

Oszołomiona patrzę na córkę i w pierwszej chwili nie wiem, o co chodzi. Dopiero później dociera do mnie sens jej słów i chytrze rozwiązuję problem sensowności – bądź nie – istnienia tych gigantycznych zwierząt.

– Oczywiście, że nie są bezsensowne. Tylko nie każdy zna się na nich tak jak ty. Może dziadek nie wie o nich za dużo i dlatego tak powiedział. Jeśli chcesz, możesz zaprosić dziadka do muzeum i wszystko mu pokazać i opowiedzieć.

Klara znowu jest pełna szczęścia i ekscytacji, choć jej pusty brzuszek aż burczy z głodu, co udaje się wszystkim usłyszeć.

– To może chodźmy na obiad, a zaraz potem do muzeum i fryzjera.

Teść, zaskoczony pomysłem Klary, nie ma sumienia jej odmówić, tym bardziej że osłabiłoby to jego i tak już nadwerżoną pozycję w oczach małej, a teściowa jest tak zajęta wizją wizyty u fryzjera, że ulega i bez zbędnych uwag daje się zaprowadzić do bardzo przyjemnego tapas baru.

Widać, że wizerunkowy problem przesłania jej rzeczywistość, bo ku memu największemu zdumieniu godzi się na proponowaną przez kelnera paellę z owocami morza, których podobno nie cierpi.

– Tak sobie myślę, skoro to taki ekskluzywny salon, to może wreszcie zdecyduję się na zmianę fryzury. Co o tym myślisz? – Oczywiście nie zwraca się do mnie.

– Zrób, jak uważasz. – Teścia bardziej pochłaniają roześmiane dziewczyny dwa stoliki dalej niż estetyczne rozterki teściowej. – We wszystkim ci do twarzy.

– Wiem, wiem.

Jezu, jak ja bym chciała mieć tak doskonałe samopoczucie i wiedzieć, że w czymś zawsze wyglądam twarzowo.

– Ale może zmieniałabym kolor włosów i dokupiła do nich kilka sztuk nowych ubrań. Wiecie, że nie każdy kolor włosów pasuje do wszystkich ubrań?

Nie wiem, dlaczego spłowiła, niegdyś intensywnie błękitne oczy świdrują mnie na wylot, gdy wypowiada tę głęboką myśl. Udaję, że nie dostrzegam jej zapachu w zaczepianiu mojej skromnej osoby, i skupiam się na zamówieniu Klary.

Nie musimy długo czekać na stolicową wojnę. Pierwsze działa strzelają, gdy kelner stawia przed teściami wielką, czarną okrągłą blachę z paellą, z której rozbieganym wzrokiem rozpaczliwie spogląda stado krewetek.

– Co to ma być?

– Paella z owocami morza – wyjaśniam pośpiesznie i kulę się w sobie, czekając na rysujący szyby pisk – którą teściowie zamówili. – Nieśmiało, ale twardo opisuję rzeczywistość sprzed półgodziny.

– Ja tego nie zamawiałam.

– Ależ tak. – W sukurs przychodzi mi teść. – Może nie zrozumiałaś, że chodzi o owoce morza.

– Ja cię bardzo przepraszam, ja wszystko rozumiem.

W myślach dodaję: I wszystko wiem, ale asekuracyjnie milczę i z ciekawością się przyglądam, jaki finał będzie miała sytuacja.

– To ten kelner nic nie rozumie. Nie mam zamiaru tego jeść.

– Co za problem, zamów coś innego – radzi zapatrzonej teść.

Ja cię kręcę. Oczywiście, że jest problem. Znowu będziemy czekać kolejne pół godziny i umrzemy z nudów. Zresztą mała już zaczyna się nerwowo wiercić, pochylona nad swoją porcją kurczaka z frytkami. Teściowa, przeciwniczka śmieciowego jedzenia i orędowniczka naturalnych produktów, tym razem łakomie spogląda na talerz Klary, która chyba wyczuwa intencje babci, bo przysuwa go bliżej siebie i, o dziwo, zaczyna jeść.

– Oczywiście możemy zamówić, na co tylko teściowa ma ochotę, ale obawiam się, że wtedy nie

zdążymy do fryzjera.

Koronny argument działa na starszą panią jak na dzieci wizja podglądającego przez szparę w zasłonach świętego Mikołaja (trochę pedofilska tradycja) i okazuje się, że wybierając z ryżu wszystkie małże, kalmary i krewetki, też się można najeść.

Muszę zadowolić się małym szybkim espresso, bo czas goni, a niektórych nawet gryzie po łydkach. Szczęśliwie po kolejnej godzinie znajdujemy wspomniany przez teścia lokal i już po chwili na białym wytłaczanym fotelu udaje się umieścić teściową i pozostawić w rękach dwóch rozczochranych i jak na mój gust budzących niepokój fryzjerek.

Ukontentowana pani Ola zabiera się do wybierania z mocno wyeksploatowanej palety barw różnokolorowe pasma i z namaszczeniem poddaje się zabiegowi przykładania ich w różnych partiach jej naturalnych włosów. Asystentka stawia przed nią parujący kubek z kawą i dochodzę do wniosku, że po zapytaniu, ile czasu zajmie usługa, to dobry moment na odwrót.

Okazuje się, że mamy przed sobą długie dwie i pół godziny. Niepoczyszony teść daje się Klarze zaciągnąć do muzealnej bramy, od progu wołającej padającym w środku lata śniegiem wszystkie dzieci: „tu, chodźcie tu”. Teścia nic nie woła, ale pokornie człapie w swoich zbyt obszernych spodenkach Adidasa za wnuczką. Umawiamy się na telefon i pędem, w obawie, że jednak

będą czegoś ode mnie potrzebować, oddalam się w kierunku centrum handlowego. Rany. Wreszcie jestem znowu sama. Zatrzymuję się przy pierwszym wolnym zacienionym stoliku w knajpce w bocznej uliczce i zamawiam wielkie, słodkie latte, które z lubością sączę przez przezroczystą grubą słomkę.

Polowanie czas zacząć. Ruszam do sklepów z postanowieniem, że dziś tylko przymierzam. Zresztą tak najbardziej lubię robić zakupy. Dziesięć razy iść do tego samego butiku i ku znudzeniu sprzedawców dziesięć razy przymierzyć tę samą rzecz. Za ósmym razem zazwyczaj dochodzę do wniosku, że już mi się trochę znudziła, za dziewiątym, że nie wnosi nic nowego do szafy, za dziesiątym najprawdopodobniej uznam, że jej nie potrzebuję. Dzięki temu nie wydaję pieniędzy na niepotrzebne rzeczy, choć i tak zdarzają mi się zakupowe wpadki, nieodłącznie związane z dzikimi kolorami, które obiektywnie tak bardzo podobają mi się na innych, a w których ja wyglądam jak kupka nieszczęścia. Niestety do tych wniosków dochodzę za jedenastym razem, już przed lustrem w mojej wielkiej, cudownie przytulnej łazience.

Zakupy pochłaniają każdą minutę z większym apetytem i zaciekłością niż zazwyczaj, więc moje dwie godziny z kwadransem kończą się, nim na dobre się zaczęły. Ktoś, kto twierdzi, że pieniądze nie dają szczęścia, zwyczajnie nie wie, gdzie kupować. Ja wiem. Potrzebuję kolejnego kwadransa, by dotrzeć do teściów.

Nie marudząc więc zbyt długo, wychodzę z centrum handlowego i przeciskam się jeszcze bardziej zatłoczonymi uliczkami w kierunku miejsca zbiórki.

Z daleka widzę podskakującą na jednej nodze Klarę, uwieszoną ręki dziadka, który w drugiej ściska całkiem sporego pluszowego mamuta. W pierwszej chwili nie rozpoznaję kobiety, która do nich dołącza, a w kolejnej trwam w zawieszeniu na środku chodnika. Niemożliwe. To nie może być teściowa! Jej dotychczas beżowe, może niepiękne, ale przyzwoicie wyglądające i sprawiające wrażenie naturalnych włosy, zawsze zwinięte w rzędy posłusznych loczków, zostały ulepione – dosłownie ulepione – w kupę sterczących na wszystkie strony prostych pazurków, które bardziej przywodzą na myśl opuszczone ptasie gniazdo niż wystylizowane fryzjerskie dzieło sztuki. W dodatku jasny kolor został wyparty przez ciemnobrązowe, a miejscami czarne kosmyki, które sprawiają wrażenie, jakby ktoś zdarł skórę z kota, potomka dachowców o każdym możliwym umaszczeniu.

Okazuje się, że nieszczęsna kobieta jest pełna entuzjazmu, twierdzi, że nareszcie wygląda jak człowiek, i nie dostrzega paniki w oczach męża. Proszę, jak niewiele trzeba, by z kogoś z klasą, mniejszą lub większą, zmienić się w czupiradło bez wyrazu. Przy tak dobranych odcieniach włosów teściowa nie będzie miała problemu z doborem kolorów ubrań – pasować będzie wszystko.

– Cześć, mam, widziałaś babcię?

Teściowa odwraca się w moją stronę i teraz widzę, że zmieniła nie tylko fryzurę, ale również makijaż. Na górnej powiece wygodnie wyleguje się gruba czarna kreska, której w panicznym lęku uczepliła się, oderwana od wszystkiego, wielka, intensywnie zielona plama brokatowego cienia. Jednak to nie od niej nie mogę oderwać wzroku. Przytłacza ją bowiem maciupieńki przezroczysty kryształek przyklejony w wewnętrznym kąci, który w słońcu błyszczy niezwykle mocno, skupiając na sobie całą uwagę. Z niepokojem spoglądam w źrenice, ale szczęśliwie nikt nie zaproponował włożenia tygrysiich albo wampirzych soczewek. Te ostatnie pasowałyby jak ulał.

– O.

– Co? Czy ty nigdy nie możesz być szczerą i powiedzieć czegoś miłego?

Teściowa jest dotknięta do żywego, ale gdyby wiedziała, jak piorunujące wrażenie na mnie zrobiła, nie chciałaby, żebym była szczerą.

– Bardzo oryginalnie. Jestem trochę zdziwiona, że zdecydowała się teściowa na taką metamorfozę. Ale naprawdę jest oryginalnie.

Myślę, że Bartek padnie, jak zobaczy matkę, a Jasiek będzie się wstydził wyjść z bunią na ulicę.

– A jak podoba się teściowi? – Taka malutka złośliwostka i teścik na sprawność lingwistyczną.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Wybrnął. Nic więcej nie mówiąc, podążamy w kierunku hotelu za wyprostowaną do granic możliwości teściową, która łaskawie, niczym królowa, rozgląda się na boki i w każdej witrynie sprawdza owoc zmagania stylistki, na który wydała sto dziewięćdziesiąt dziewięć euro plus napiwek, co skrupulatnie zaznaczyła, zapytana o cenę takiego oszpecenia.

Klara ciągnie mnie za rękę i gdy nikt nie widzi, na migi pokazuje, żebym się nachyliła. Bardzo zadowolona z siebie mówi:

– Babcia w tej fryzurze wygląda jak ryś.

– Nie ujęłabym tego lepiej. – Mała aż puchnie z dumy, a ja nie mogę powstrzymać rozbawienia. – Od dzisiaj to będzie babcia Rysia.

Przybijamy sobie piątkę i przez całą drogę do domu nie mogę opanować chichotu. Dobrze, że nie miałam zbędnych stu dziewięćdziesięciu dziewięciu euro, plus napiwek, ani potrzeby rewolucjonizowania wyglądu.

Bartek i Jachu wreszcie wracają ze stadionu. Już od progu widać, że panowie spędzili miły, pełen wrażeń dzień, a wielka torba w ręku synusia sugeruje, że zakupy również były udane.

– I co? Dobrze się bawiliście?

– Super!

– To świetnie, a co widzieliście? Jest tam jakieś muzeum? Byliście na murawie? – Usiłuję wykrzesać

z siebie zainteresowanie, choć w rzeczywistości zastanawiam się tylko nad tym, dlaczego aż tyle kosztowały bilety. Podejrzewam, że były to najdroższe oględziny spłachetka trawy i kilku gablot w historii, ale czego się nie robi dla dziecka.

– W zasadzie wiele nie było do oglądania.

Bingo! Czyli tak, jak myślałam.

– Ale ciekawe były wystawy z rękawicami bramkarskimi i piłkami. Fajnie było zobaczyć, jak na przestrzeni lat zmieniała się technologia.

Ups, oto prawdziwie męski punkt widzenia, dla mnie zmienia się moda, dla niego technologia.

– A co kupiłeś?

– Zarąbisty plecak i koszulkę. Zobacz. – To mówiąc, Jasiek wyjmuję granatowo-bordową z firmowanej logiem stadionu reklamówki, która traktowana jest jak relikwia, co przywodzi mi na myśl szpanerskie plastikowe, z kompletnie zdartą po tygodniach noszenia farbą, torby z Peweksu. – Świetna, co?

Przykłada T-shirt do brzucha i z ekscytacją rozwodzi się nad jego antypotnymi walorami, systemem gwarantującym skórze oddychanie i naszytymi znaczkami, zachowuje się zupełnie jak ja głaszcząca jedwabie i kaszmiry w butiku Caroliny Hererry, z tą tylko różnicą, że mnie nie stać na proponowane przez nią ciuchy.

– A jak sam stadion?

– Super, ale myślałem, że jest większy. Zobacz. – Pokazuje sweet focie, z której spogląda na mnie twarz niemal dorosłego faceta, z nadal dziecięco naiwnym uśmiechem i kawałkiem stadionu w tle. – A wy co robiliście?

– W zasadzie nic takiego, trochę spacerowaliśmy, byliśmy na lodach, a... najważniejsze. Padniesz, jak zobaczysz babcię. Zafundowała sobie fryzjersko-kosmetyczną metamorfozę.

– I jak wygląda?

– Nijak. Klara stwierdziła, że ma włosy jak sierść rysia. W zasadzie chyba wygląda okropnie, aż miło popatrzeć. Zresztą sam ocenisz.

Jak na zawołanie rozlega się głośne pukanie i stłumione:

– Można?

– Tak, proszę, otwarte.

Podchodzę do drzwi, ale nim zdążę chwycić za klamkę, już się otwierają i w progu stają niezmiennie zadowoleni z siebie teściowa i teść. Tym razem oboje wdziali beżowe koszule, ona spódniczkę do kolan, on krótkie spodnie khaki, a całości dopełniają czerwone szpilki u teściowej i koszmarne sandały na rzepy u teścia. Wyglądają trochę jak wyrośnięci bliźniacy, zupełnie się zlewający ze sobą w kolorach i stylu, a barwa włosów teściowej w tej stylizacji wydaje się jeszcze bardziej wypłowiała. Cielisty też jest

zdecydowanie najmniej twarzewym kolorem, który niknie i rozmywa się, sprawiając wrażenie, jakbyśmy zapomnieli się ubrać.

– Nareszcie jesteście. To jakie mamy plany? – Pełen wigoru teść podejmuje próbę zaplanowania popołudnia.

– W zasadzie żadne. A co ojciec proponuje?

Patrzę na zmęczonego i znudzonego Bartka i mam wrażenie, że jego jedynym planem jest walnięcie się do łóżka. Prysznic, zamiast go ożywić, wprowadził ciało w stan rozleniwienia, usypiając resztki energii.

– To świetnie. Mam dla was niespodziankę. Właśnie kupiłem bilety do Pałacu Muzyki, więc za godzinę spotykamy się na koncercie.

Teściowa wydaje się niesamowicie poruszona.

– Jak to kupiłeś bilety? Nic nie mówiłeś.

– To miała być niespodzianka. – Teść absolutnie zadowolony z siebie nie dostrzega konsternacji w oczach żony.

– Dziękujemy ojcu za zaproszenie, ale nie trzeba było.

Trudno doszukać się optymizmu w głosie mojego męża, podobnie jak na twarzy teściowej, na której maluje się raczej rezygnacja niż podekscytowanie. Pani Aleksandra nie wie, dlaczego jest bliska wybuchu. Usiłuje powstrzymać emocje, przyoblekając twarz w coś w rodzaju uśmiechu, ale zaciśnięte dłonie z wystającymi kłykciami przypominającymi dojrzałe kasztany

zdradzają, co dzieje się w jej wnętrzu.

– Robercie, kupiłeś bilety dla wszystkich? Myślałam, że ostatni dzień w Barcelonie spędzimy razem.

– No właśnie, skoro dzieci zaprosiły nas na wakacje, to pomyślałam, że możemy je zaprosić na koncert.

– A widziałeś cenę biletów? Nie sądzę, żeby Klarze się spodobało. Może zostanie z Angelą?

– Olu, przestań. Nie psuj wieczoru. Omal nie umarłaś, więc możemy świętować szczęśliwe zakończenie.

– Jak możesz mówić, że coś psuję? No wiesz! – Teściowa jak zwykle skupia się tylko na tym, co jej dotyczy.

– Jeśli problemem jest cena biletów, to zwrócę wam pieniądze. Zresztą, jeśli nie chcecie, nie musimy iść. – Bart jest wyraźnie poirytowany brakiem entuzjazmu ze strony matki.

– Jeszcze nas stać na taki wydatek. – Teść unosi się honorem i dolewając sobie wody do zielonej hotelowej szklanki, wyzywająco spogląda na syna, niejako stając po stronie żony.

Taka forma zaproszenia w zasadzie odbiera całą przyjemność z potencjalnie barwnego wieczoru. Jak niewiele trzeba, by miłe zmienić w koszmarne. Krótkie spodenki i luźne stroje zastępujemy bardziej oficjalnymi i w lekko minorowych nastrojach człapiemy do taksówek. Mina teściowej jest jak etykiетка na butelce

denaturatu dla pijaka: jeśli właściwie do mnie podejdziesz i przefiltrujesz, nie zrobię ci krzywdy, ale nie trać czujności, bo mogę cię zabić. Klara marudzi, że nie chce iść na żaden koncert, a Jachu ma doła, że nie może się spotkać z Angelą. No cóż, oto wieczór dla wszystkich zaplanowany przez nielicznych. Pocięszam się myśla, że ostatni w takim gronie.

Wreszcie docieramy do Casa de la Musica. Jest parno, ale nie tak gorąco jak w ciągu dnia, wieczór więc ma szansę przyjemnie nas zaskoczyć. Teść dziarskim krokiem prowadzi nas do wejścia i tu niespodziewanie napotyka opór ochrony. Obie strony posługują się łamanym angielskim wspomaganym językiem migowym, głównie w wykonaniu ojca Bartka, który macha rękoma niczym dyrygent przed ślepą orkiestrą, druga strona zdobywa się tylko na jeden monotony, choć coraz gwałtowniejszy ruch głowy, który prawie we wszystkich językach świata znaczy: nie.

– Jak to inna godzina, wyraźnie mówiliście przez telefon: *nine!* – Teść stuka palcem w wyciągnięte przed siebie bilety. – I właśnie jest *nine o'clock!*

– *It's eight o'clock, now! I'm sorry you must wait.*

– Jak to *wait? For what?* Bartoszu, wytłumacz panu, że mamy bilety na *nine o'clock!*

– I właśnie w tym problem, *nine* to dziewięć, a jest *eight*, czyli ósma. Musimy godzinę poczekać. Pomylił ojciec godziny.

– Nie może być! Przecież się upewniałem. – Teść usiłuje zmienić lingwistyczne znaczenie liczebników i wyraźnie szuka wsparcia u syna. – Co teraz?

– Nic. Poczekamy. Godzinę.

Nie wiem, czy poza mną cokolwiek jest w stanie wyprowadzić mojego męża z równowagi. Łądujemy na drewnianych krzeselkach na dziedzińcu przed Casa de la Musica, lecz po chwili, skuszeni klimatyzowanymi pomieszczeniami, wracamy do głównego zatłoczonego holu i dopadamy dopiero co zwolnionego stolika. Teściowie nobliwie milczą i do końca zarzynają atmosferę.

– Macie na coś ochotę? – przerywa ciszę Bartek.

– Ja chcę loda. – Klara korzysta z okazji i pierwsza twardo się deklaruje.

– Chyba poprosisz. – Wykazuję się pedagogiczną czujnością, która jest niczym przy demagogii teściowej.

– Lody? O tej porze? Powinnaś zjeść kolację, a nie lody. To już chyba pora spania, moja panno, a nie deserów. – Pani Aleksandra świdrującym wzrokiem spogląda na wnuczkę, która kuli się w sobie, nie rozumiejąc ataku babci.

– Może to i jest pora spania, ale teściowie zaprosili nas wszystkich na wieczorny koncert, więc trudno, żeby mała była w łóżku. Poza tym jedliśmy kolację, a skoro mamy czekać tu aż godzinę, to pora na lody jest jak najbardziej właściwa. – Patrzą dzielnie teściowej w oczy

i jestem dumna z siebie, że nareszcie potrafię otwarcie się jej przeciwstawić, a mój żołądek spokojnie zajmuje się trawieniem, a nie wykonywaniem salt. – Klaro, na jakie lody masz ochotę? Idź z tatą zobaczyć, co pani ma w zamrażarce. Jasiek, a ty?

– Poproszę colę. – Synuś budzi się z pozornego odrętwienia, bo w rzeczywistości cichaczem esemesuje z Angelą.

Ponieważ teściowie milczą jak zakłęci i albo nie chcą, albo nie mają na nic ochoty, choć może też właśnie kolejny raz się obrazili, a ja nie mam nastroju na rozważanie ich motywacji, proponuję zamówić duże talerze regionalnych szynek i tapas. Butelka cudownie zimnej cavy podana w kubelku z lodem w magiczny sposób odczarowuje ciężkie i nabrziałe niezrozumieniem chwile.

– Jak się rodzicom podoba Barcelona? – Bartek w neutralny sposób przełamuje ciszę.

– W zasadzie trudno powiedzieć. Z jednej strony ciekawe zabytki, ale z drugiej te tłumy ludzi. Zresztą stale nas poganialiście. Trudno mówić o wypoczynku w takich warunkach. – Teściowa, cała w rozczochranych pazurkach, które w tej temperaturze coraz bardziej przylegają do głowy, niewzruszona sączy musujące wino z wysokiego kieliszka.

Myślę, że nie takiej odpowiedzi spodziewał się mój małżonek.

– Szkoda, bo myślałem, że sprawię wam przyjemność tym wyjazdem.

Dla mnie byłoby to jak policzek, ale nie dla nich.

– Oczywiście jesteśmy ci wdzięczni, ale nie oczekuj, że nie będziemy szczerzy, gdy nas pytasz, jak się nam podoba.

Czuję, jak kroczek po kroczku zmierzamy w kierunku konfrontacji, i widzę, że po raz pierwszy teściowie przekraczają granice wytrzymałości Bartka. Zachowują się jak zdesperowany toreador machający czerwoną płachtą przed rozjuszonym bykiem, nieświadomi, że może ich zmieść z areny. By nie doszło do eksplozji, proponuję krótkie zwiedzenie budynku, tym bardziej że zachęca do tego urocza blond przewodniczka organizująca grupę przed wejściem do auli.

Po chwili znudzona Klara, sprawiający wrażenie obojętnego Bartek, udający zainteresowanie Jasiek i ze względu na to, że to oni kupili bilety, wyjątkowo podekscytowani teściowie lądują na ławeczkach w niewielkiej auli, w której jest wyświetlany na poły reklamowy, na poły historyczny film o Pałacu Muzyki Katalońskiej. Dowiadujemy się o wpisaniu go na listę zabytków UNESCO, o tym, że gości tu nie tylko muzyka klasyczna, ale też rockowa, ile mieści osób, jakie sławy tu występowały, czyli standardowe bla, bla, bla, i to w języku angielskim. Mimo że teściowie rozumieją piąte przez dziesiąte, co rusz wzdychają z zachwytem i tylko

z ich gardeł dobywa się och i ach.

Wreszcie ruszamy obejrzyć salę koncertową i posłuchać próbki możliwości akustycznych tego miejsca. Na parterze nie robi tak oszałamiającego wrażenia. Sala wydaje się mała i przereklamowana, słoneczny wypukły witraż niknie w ogromie sufitu. Dopiero po wejściu na kolejne piętro zapiera dech w piersiach i przytłacza wielkością. Ciekawe, gdzie znajdują się nasze miejsca.

Wreszcie zaczyna się koncert. Tym razem nie jest to flamenco, tylko jazzowe przedstawienie uwzględniające tancerki i natarczywego frontmana z jęczącą trąbką w tle, co rusz zamienianą na saksofon. Całość jest dziwnym zestawieniem tańca i muzyki nie do tańca. Zamykając oczy i eliminując tym samym wijące się po podłodze panny, można mieć bardzo przyjemne nastrojowe odczucia. Okazuje się, że zabranie Klary na koncert nie było najlepszym pomysłem, jej nieustanne „długo jeszcze?” nie tylko mnie doprowadza do szału. W końcu, ku zgorszeniu wszystkich dookoła, a teściów w szczególności, Jasiek wręcza jej swój telefon z odpalonymi *Angry bird* i po mojej prawej stronie nareszcie zapada cisza.

– Piękne, prawda?

Teściowa rozanielonym wzrokiem wodzi dookoła i szuka potwierdzenia swego uniesienia wśród sąsiadów. Jest tak podekscytowana, że pod koniec, w czasie

umiarkowanie głośnych braw, wstaje z krzeselka i głośno woła „Brawo!”, a jej egzaltacja niestety przyciąga spojrzenia całego sektora. Zapadam się w fotel i usiłuję sprawiać wrażenie, że nie znam ani krzyczącej głośno starszej pani, ani dziecka, które bezcześnie ten występ gra na komórce.

Po koncercie teściowa jako jedyna kupuje wszystkie cztery płyty występującego zespołu i nie zważając na porę i zmęczenie dzieciaków, uparcie tkwi w kolejce po autograf niedomytego, ale zadowolonego z siebie artysty.

– Ten koncert to najpiękniejsza rzecz, jaka nam się przydarzyła w Barcelonie. – Zgrabnie, w rytm emocjonalnych uniesień teściowej, podsumowuje kilkudniowy pobyt teść.

Z myślą o tym, że jutro na nowo zaczną się nasze własne wakacje (co prawda do wyjazdu zostały tylko trzy dni), wracam do hotelu niesiona falą radości i większej akceptacji dziwactw starszych państwa. Po drodze zatrzymujemy się raz po raz przy żywych figurach na La Rambl i teściowie pstrykają ostatnie fotki dziwołagów przebranych za postaci z bajek, odkrywców, diabłów, rycerzy i księżniczki.

Dziś postanawiam nie zażywać pastylki na sen. Teściowie mają samolot o siódmej, więc pobudka i moja trzeźwość umysłu muszą być na najwyższym poziomie już o świcie.

Radośnie wstaję o piątej. Na dworze jest jeszcze szarawo, choć pierwsze promienie słońca łaskoczą twarze dzieci. Jestem rześka i lekko podekscytowana. Za dwie godziny rodzice Bartka wsiadają do samolotu, a nam pozostaje tylko dopilnowanie, by zabrali wszystkie bagaże, kapelusze, torby i stosy nabywanych co rusz na ulicy, pożal się Boże, obrazków.

Zostawiamy śpiące dzieciaki i ruszamy do apartamentu państwa Braun na nasze ostatnie w Barcelonie spotkanie. Teściowa w blokach startowych, ubrana w obszerny szary dres wykończony granatową koronką przy szyi, czeka nieco podenerowana, bo teściowi mimo wysiłków nie udaje się dopiąć największej walizki. Jak na ironię, pan Robert tym razem porzucił ogrodowy luz i wbił się w granatową płócienną marynarkę, fioletową letnią koszulę i szare spodnie w kancik. Teściom wyraźnie brakuje odzieżowego synchronu.

– Macie wszystko?

Bartek rozgląda się czujnie po sypialni, jednak nie na tyle uważnie, by dostrzec pozostawione pod nocną szafką papcie teściowej ozdobione bladoróżowymi pomponami. Schylam się, wydaję je, przy okazji znajdując zagubione okulary, i podaję przerażonemu teściowi, który w żaden sposób nie wie, gdzie je zapakować. Mam wrażenie, że na wakacjach bagaż teściów spuchł i podwoił objętość.

– Chyba tak.

Teściowa bezradnie się rozgląda po opuszczanym apartamencie, grzecznie poskładanych pościelach i ręcznikach w łazience, poustawianych w regularne dwuszeregi szklankach na blacie i stosach talerzy na półkach. Mogę się założyć, że sztucce w szufladzie też nie leżą w sposób przypadkowy, tylko widelec wtula się w widelec, a łyżka grzecznie przylega do łyżki.

Jako wyznawczyni filozofii, że każda rzecz ma swój domek, doceniam takie poukładanie. Mam nadzieję, że ucząc dzieci porządku, dołączę do grona tych składających i porządkujących swój mikroświat.

Mimo pozornego panowania nad rzeczami martwymi wyraźnie widać, że starsza pani jest coraz bardziej zagubiona w świecie, a wiek odciska coraz większe piętno na jej postawie.

– Myślałam, że nas odwieziecie na lotnisko. – Niestrudzenie pretensja brzęczy w jej głosie. – No ale skoro nie możecie, będziemy z ojcem zmuszeni taszczyć walizki sami.

Tyradę przerywa Bartek:

– Jedziecie taksówką, do której was odprowadzamy, pod sam terminal. Poprosimy kierowcę, więc pomoże wam załadować bagaże na wózek i nic nie będziecie musieli dźwigać. Na ekranach wyświetlają się loty, znajdziecie ten właściwy i już. Zresztą będzie tam sporo Polaków, więc w razie wątpliwości wam pomogą. Ja

będę pod telefonem, gdybyście mieli problem z dogadaniem się. Dacie radę. Sami mówiliście, że dużo latacie – czyżbym słyszała nutkę złośliwości w głosie męża? – więc się nie zgubicie.

Trzy zero dla Bartka.

Winda skrzypi niemiłosiernie, gdy szarpiąc, zjeżdża na najniższe piętro budynku. Vis-à-vis hotelu, po drugiej stronie szerokiej La Rambli, na zaspanym postoju czeka pięć taksówek. Podchodzimy do pierwszej i pozwalamy kierowcy zająć się bagażami. Pożegnanie jest dosyć nieporadne z obu stron. Nienawykli do okazywania uczuć teściowie mają z tym spory problem. W zasadzie nie wiadomo, czy się całować, obejmować czy tylko podać rękę...

Pierwszy wyciąga dłoń teść.

– No to do zobaczenia, synu.

Potrząsa dłonią Bartka, następnie ujmuje moją rękę i poza „do widzenia” nie pada nic. Ani dziękuję, ani było miło. Wielkie NIC.

Teściowa podchodzi do syna i nieśmiało usiłuje go objąć. Przyglądam się tym próbom z boku i nie wiem, kto jest bardziej skrepowany tą próbą zbliżenia i czułości: ona czy on.

– Uważaj na siebie i do zobaczenia w domu. Pozdrów dzieci.

Pani Braun odwraca się na pięcie i otwiera tylne drzwi czekającej taksówki, nie zaszczycając mnie

najprzelotniejszym spojrzeniem. Jest mi przykro i znowu czuję, że niestety, mimo starań, przegrałam tę relację. Nagle, jakby uświadomiła sobie, że inni na nas patrzą, rzuca mi szybkie i czujne spojrzenie i gwałtownie wyrzuca z siebie:

– Do widzenia, Nino. Pożegnaj od nas dzieci.

Jej noga okryta aksamitem dresu znika we wnętrzu samochodu, kapelusz trzymany w ręce ląduje na tylnej półce i tyle. Teść instaluje się obok, podczas gdy Bartek instruuje kierowcę, dokąd jechać. Po sekundzie państwo Braun, pochłonięci rozmową, zapominają o naszym istnieniu.

Ten etap wakacji mamy za sobą. Gdy żółty pojazd znika na horyzoncie, nie wiem, czy cieszyć się z rozstania, czy raczej ubolewać nad fiaskiem kolejnej próby poprawienia naszych stosunków.

Bart całuje mnie w czubek głowy, obejmuje i przyciąga do siebie. Milczy jak zwykle, ale wiem, że powrócił spokój i jest szczęśliwy, że znowu jesteśmy sami. Powoli, krok za krokiem, płytka chodnikowa za płytką, wracamy do hotelu. Ciszę poranka burzy krzątania pierwszych ambitnych sklepikarzy i ich nawoływania. Przyjemnie jest patrzeć na poranne sprzątanie ulic i chodników. Obrazy zarezerwowane dla rannych ptaszków, niedostępne tym szczęśliwcom, którzy pełni poświęcenia wstają o dziesiątej, budzą moje wzruszenie i przywołują wspomnienia młodzińskich

wakacji na polu kempingowym. Z tą różnicą, że tam nie budziła mnie ciekawość dnia, tylko chłód promieniujący od zimnej, nabrzmiałej rosą trawy.

W apartamencie zastajemy idylliczny obrazek śpiących spokojnie dzieci, Klary wtulonej w miśka i Jaśka z głową pod poduszką, za to ze słuchawkami na prześcieradle. Cicho zakradamy się do kuchni, nastawiamy ekspres i po chwili wtuleni w siebie siedzimy wygodnie na tarasie, delektując się pierwszymi barwami poranka. Jestem tak szczęśliwa, że gubię się w pomysłach na kolejne trzy pełne luzu wakacyjne dni.

Pierwszy dzień wolności spędzamy po raz kolejny na plaży. Bartek tradycyjnie sprawdza swoje mięśnie na pobliskiej siłowni, prezentując muskulaturę okolicznym topless paniąkom. Niespodziewanie dostrzegam, że mój prawie sześćdziesięcioletni małżonek przyciąga więcej kobiecych spojrzeń niż niejeden młody uczestnik zabawy. Kolejny raz potwierdza, że mimo coraz bardziej widocznej siwizny i głębszych zmarszczek w okolicach oczu jest atrakcyjnym facetem. Puchnę z dumy i obserwuję scenkę zza szkieł ciemnych okularów. Jasiek psuje ojcu prezentację i kradnie show, pokazując, ile razy potrafi podciągnąć swoje wątle ciało na drążku. Dla odmiany Klara pozbawiona uwagi nadopiekuńczej babci korzysta ze swobody i skacze z innymi dziećmi przez fale. Spokój przerywa dźwięk telefonu.

– Tak, słucham.

– To ja. – Po chwili dociera do mnie, że „to ja” to moja rodzona siostra.

– Cześć, co słychać?

– On nie chce, żebym wróciła. – Zofia szlocha w słuchawkę.

– To źle? Przecież to ty odeszłaś, a teraz zależy ci, żeby wrócić? Nie rozumiem.

– Myślałam, że tylko go nastraszę.

– Sądzę, że skutecznie go nastraszyłaś, skoro zdemolowałaś mu chatę.

Usiłuję całą uwagę skupić na bawiącej się w morzu Klarze, ale Zośka wytrąca mnie z równowagi.

– No tak, ale myślałam, że jednak mnie kocha. A on zablokował mi wszystkie karty i co ja teraz zrobię?

– Nie wiem. Pójdiesz do pracy?

– Zwariowałaś? Przecież nigdy nie pracowałam. I co niby miałabym robić?

– No, tego nie wiem.

Zosia nie chce słuchać, co mam do powiedzenia, bo gna dalej ze strzelającą na oślep artylerią czarnych myśli.

– Rany, a kto zajmie się dziećmi?

– No chyba ci co zawsze, czyli opiekunki.

– A kto się mną zajmie?

– Jezu, Zośka, nie wiem. Nie miałyśmy kontaktu

przez lata, a teraz oczekujesz, że powiem ci, co masz robić. Musisz jakoś to ogarnąć, może po prostu z nim pogadasz.

– Myślisz, że to może coś dać?

– Myślę, że tak. Rozmowa zazwyczaj rozwiązuje problemy. Spróbuj, OK?

– No, skoro tak mówisz. – I nie żegnając się, przerywa połączenie.

W zasadzie nie wiem, po co zadzwoniła. I nawet się specjalnie nad tym nie zastanawiam. Na leżaku obok opala się w grzecznym jednoczęściowym stroju Angeli, która z równie dużym zaangażowaniem przygląda się działaniom na siłowni. Z każdym dniem ta młoda Hiszpanka podoba mi się coraz bardziej i żal mi Jaśka, że niebawem odległość stanie się ich największym wrogiem. Ciekawe, jak dalece możliwości stwarzane przez Internet pozwolą przetrwać tej miłości.

Ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu wieczór spędzimy w towarzystwie rodziców Angeli, którzy zaprosili nas na kolację do swojej restauracji. Okazuje się, że mamy wspólny kulinarny mianownik.

Angela pojawia się w naszym mieszkaniu w zwiewnej błękitnej sukience w drobne białe groszki i w niczym nie przypomina wyzwolonej Miseczki C. Przeszczęśliwa Klara, ku niezadowoleniu Jaśka, chwyta dziewczynę za rękę i szczebiocze po polsku, ciągnąc ją w stronę

mijanych sklepowych witryn. Niezrażona brakiem zrozumienia klepie jak najęta i co chwilę odwraca się do brata z prośbą o pomoc w przetłumaczeniu ważniejszych kwestii.

Dajemy się prowadzić dzieciakom przez labirynt wąskich, ponurych uliczek, które po zamknięciu sklepików i opuszczeniu ozdobionych graffiti rolet zmieniły pogodny charakter na rzecz dość mafijnego krajobrazu, w którym nie chciałabym być samotnym wędrowcem.

Wreszcie docieramy na rozjaśniony świątecznymi lampkami plac, który przenosi nas w radosny nastrój i koi niepokój wędrówki zakamarkami. W narożniku rozparła się wykończona starym, ciemnobrązowym drewnem ścian i okien, pełna lampionów, świec i słomianych ozdób knajpka. Patrząc zauroczona na obrazek z moich marzeń i nie wierzę, że to właśnie tu zjemy jedną z ostatnich w Barcelonie kolacji.

Dyskretny dźwięk mosiężnego dzwonka informuje właścicieli, że przekraczamy próg D'Angelo. Niemal jednocześnie z zaplecza wyłania się para ubrana w ludowe stroje; okazuje się, że to rodzice Angeli. Przyjaciółka Jacha przedstawia nas sobie, a rodzice płynną angielszczyzną zapraszają do szerokiego drewnianego stołu w lewym narożniku sali. Na blacie leży obrus w biało-czerwonej kratce, który przeniósłby nas w mój ulubiony tyrolski klimat, gdyby nie panoszący

się wszędzie aromat czosnku, cytryny i przygotowywanych owoców morza. Klara jest zaabsorbowana pełzającymi po dnie akwarium krabami, dzięki czemu Jasiek nareszcie odzyskuje zainteresowanie Angeli.

Siadamy z Bartkiem pod drewnianą ścianą, co daje nam możliwość przyglądania się i gościom, i otwartej na salę kuchni. Po chwili dołączają do nas Agustin i Fernanda. Wieczór upływa nam na nieskrępowanej rozmowie, zupełnie jakbyśmy się znali od lat, a nie od półgodziny. Towarzyszy nam przepyszne jedzenie. Gospodarze za punkt honoru postawili sobie zaserwowanie nam całej karty. Próbujemy gazpacho i pikantnego kremu z cukinii, następnie na stół wjeżdżają talerze wędlin i regionalnych serów, minitapas i nareszcie danie główne: homar dla Bartosza, talerz krewetek dla mnie i ryby dla pozostałych. Polska gościnność wydaje się niczym przy tym zastawionym stole. Czuję się coraz bardziej skrepowana. Myślę sobie, że Jasiek trafił na idealnych „teściów” i jeśli tak dalej pójdzie, wszyscy będziemy zadowoleni z takiego układu. Sielankę przerywa telefon. W pierwszym odruchu mam ochotę zignorować burzący atmosferę fiesty nieznany numer, jednak ciekawość bierze górę.

– Halo, słucham. – Choć usiłuję nie krzyczeć, głośno wołam do słuchawki, nadal nie mając pewności, czy w gwarze sali będę w stanie cokolwiek usłyszeć.

– Szefowa, to ja.

Gwałtownie skacze mi ciśnienie i czuję, jak na całym ciele kiełkuje gęsia skórka. Marta, kelnerka, jest równie zdenerwowana.

– Marto, poczekaj, wyjdę na zewnątrz, bo tu nic nie słyszę.

Wychodzę na plac przed restauracją. Nadal jest upalnie, za to delikatny wietrzyk powinien przynieść ulgę, której niestety nie czuję w stresie, jaki zawładnął moim ciałem.

– No, Marto, co tam? – Jeszcze się łudzę, że usłyszę, iż wszystko OK, że tylko tak dzwoni, bo chciała mnie usłyszeć... marzenia ściętej głowy tęskniącej za resztą ciała.

– W zasadzie nic, tylko że kucharze znowu nie przyszli do pracy i nie wiemy, co mamy zrobić.

Czuję, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. Teoretycznie banalna sytuacja: pracownik nie przychodzi do pracy, czyli załapuje się na dyscyplinarne zwolnienie, a przy dziesięcio-, dwunastoprocentowym bezrobociu jutro pięciu innych kucharzy stawia się na dzień próbny w firmie. I tyle teorii. Po pierwsze: nie mogę dać dyscyplinarki pracownikowi, bo nazajutrz będę miała (jak się to już trzykrotnie zdarzało) kontrolę Urzędu Skarbowego, Sanepidu i inspekcji pracy; poprzedni kucharz nasłał na mnie nawet straż pożarną. I chociaż nie mam nic do ukrycia, nie zależy mi na spędzaniu długich

godzin w kolejnych urzędach. Po drugie: z pewnością przez najbliższe dni nie uda mi się znaleźć nikogo do pracy. Po trzeciej: znajduję się na drugim końcu Europy i z tej perspektywy jestem bezradna. Po czwartej: i tak muszę zmienić załogę.

– Marto, a macie może coś z gotowych rzeczy? Czy możecie podawać na przykład desery? Chyba jesteście w stanie same je przygotować...

– No tak, tylko że dziś mamy rezerwację na dziewięć osób, musimy zrobić kolację.

Czuję niezrozumiałą dla mnie satysfakcję w głosie smarkuli, która może w każdej chwili rzucić pracę u mnie i pójść gdziekolwiek indziej, podobnie jak cała gromada wcześniej zatrudnionych kelnerów. Po czterech latach prowadzenia lokalu z przykrością odkrywam, że jako pracodawca nie mam żadnych skutecznych narzędzi przywiązania pracownika do firmy, nie działają na nich wyrozumiałość, szkolenia czy premie na poziomie wydolności finansowej restauracji.

– Żartujesz? Na którą?

– Dziewiętnastą.

– To zadzwoń do nich i przeproś, że mamy awarię i niestety nie możemy ich dziś obsłużyć.

– Ale nie zapisałyśmy telefonu do tych ludzi.

– Ja pieprzę, żartujesz? Przecież miałyście brać telefon od każdego! Na wypadek właśnie takiej sytuacji. No to nie wiem, co zrobimy. Macie jakiś pomysł?

– Ja mogę zrobić zupę, ale tylko jedną, na przykład pomidorową, a dania głównego na pewno nie przygotujemy. – I znowu to zadowolenie w tle.

– Dobra, Marta, daj mi chwilę, zadzwonię, jak tylko coś ustalę.

Jestem wściekła! Gigantycznie wkurwiona! Kolejny raz podczas tych krótkich wakacji zawodowy świat wali mi się pod nogi, ciężarem unieruchamiając stopy. Ogarnia mnie panika, mam ochotę uciec i zakopać się na dnie łóżka. W stresie jak zwykle żałuję, że nie ma mojej mamy. Ona by mi pomogła, wsparła i przede wszystkim ugotowała wszystko, co tylko może znaleźć się w karcie. Tymczasem palce same wybierają numer mojej najlepszej przyjaciółki Magdy. Telefon milczy dłuższą chwilę i zaczynam oblewać się coraz zimniejszym potem. Wreszcie, gdy już mam się rozłączyć, rozlega się:

– Cześć, słońce, co tam dobrego?

– Jezu, Magda, jak dobrze, że odebrałaś. Właśnie że nic dobrego. Dzwoniła Marta z knajpy, kolejny raz do pracy nie przyszli kucharze, a o dziewiętnastej mają rezerwację aż dla dziewięciu osób i kretynki nie wzięły numeru telefonu do tych ludzi. Nie wiem, co robić. Może zamówić coś w innej knajpie? Nic nie zarobimy, ale wyjdziemy z twarzą.

– Cholera. To kicha. A wiesz, co będą zamawiać?

– Nie, skąd? Pewnie coś z karty. Niby dużo tego nie

mamy, ale nikt nie ugotuje makaronów ani zupy.

– Zupę mogę zrobić.

– Marta mówiła, że może ugotować pomidorową.

– To super, ja przygotuję drugą i już.

– Jesteś wielka, ale to i tak nie rozwiązuje problemu...

Magda przerywa mi jak zwykle zaraźliwie optymistycznym tonem:

– I to jest ten moment. Wiesz, że zawsze chciałam się sprawdzić w profesjonalnej kuchni, a skoro ciebie nie ma, to nie będziesz marudzić. Daj mi tylko chwilę, ogarnę się i jadę.

– Naprawdę, zrobiłabyś to? – Jestem w szoku. Choć liczyłam na pomoc, to nie spodziewałam się aż takiej.

– Jezu, no jasne. Siedzę w tej pieprzonej chacie i tylko gotuję, sprzątam i tak w kółko, więc chętnie się wyrwę. Przecież tu można dostać na głowę.

– Jesteś wielka, nie wiem, jak ci dziękować.

– Przestań, to ty mi zawsze pomagałaś, chociaż raz mogę się odwdzięczyć.

– Dziękuję, nawet nie wiesz jak bardzo.

Błogi spokój spływa na moje roztrzęsione ciało, palce przestają drgać, gdy wybieram numer Marty, a głos już się nie łamie, choć jeszcze mam zadyszkę.

– Halo. – Słyszę obojętny głos kelnerki i szum w tle.

– Marto, to ja.

– O, dzień dobry. – Jak na zawołanie przywołuje grobowy tembr i chyba udaje zmartwienie. – Udało się pani coś zdziałać? – I tu pobrzmiwa radosne oczekiwanie na „nie”.

– Tak. Zaraz pojawi się u was pani Magda i wszystko ugotuje, proszę przygotować kuchnię. Zuza niech się zajmie salą, a ty sprawdź, czy czegoś nie brakuje. Jeśli czegoś nie macie, skocz do sklepu obok i kup. Pani Magda da ci kasę. I proszę, żebyście jej pomogły.

– Dobrze – mówi niepewnie, zapewne w obawie, że będzie musiała ruszyć swój zgrabny tyłeczek z krzesła na zapleczu.

– Świetnie. Ja będę was widzieć przez kamerki, więc w razie czego też coś podpowiem. – Straszę smarkulę monitoringiem i liczę na to, że wreszcie zabierze się do roboty i odklei od komórki i Facebooka.

Wchodzę na lekko jeszcze miękkich nogach do gwarnej sali i napotykam pytający wzrok Bartka, który z daleka odczytuje z mojej twarzy nieszczęście.

– Praca?

– Uhm.

– Wszystko OK?

– Nie, ale już tam jedzie Magda, więc będzie OK. Pogadamy później, a teraz nalej mi wina.

Dwa kieliszki wina i jedną margaritę później przestaję myśleć o czarnej dupie, w której się znalazłam. Jak dobrze, że jest Magda i mogę na nią liczyć.

Podajmuję ostateczną decyzję, że muszę się pozbyć tego geszeftu, pracowników i kłopotów związanych z zależnością od kogoś.

Opuszczamy lokal o drugiej w nocy i ledwie trzymając się z przejedzenia na nogach, usiłujemy trafić do hotelu. Odnalezienie drogi w ciemnych uliczkach nie jest prostym zadaniem. Zbawienny okazuje się instynkt Jaśka i jego znajomość przedeptanych z Angelą ścieżek. Po tak pełnym atrakcji dniu i z tak pełnymi żołądkami zasypiamy jak kamienie, a rano, o dziwo, nie możemy się pozbierać z łóżek.

– Bart, wstajemy. – Usiłuję zmobilizować męża, co może wreszcie sprawi, że sama się obudzę, ale niestety słyszę:

– Jeszcze piętnaście minut.

I tak przez kolejną godzinę usiłujemy wzajemnie się zmusić do rozpoczęcia poranka.

Wreszcie budzi się Klara i ładuje razem z miśkiem i poduszką do naszego łóżka, co wyzwala w nas potrzebę zerwania się z pościeli w trybie natychmiastowym. Rozpychająca się na wszystkie strony córeczka wykopuje z łóżka najpierw ojca, następnie mnie.

Leniwy poranek zapowiada leniwy ostatni dzień wakacji. Juto o dziesiątej rano mamy samolot do domu. Z jednej strony nie chce mi się wracać, z drugiej się cieszę, że nareszcie będę miała jakąś siłę sprawczą we własnej knajpie.

Przestępując z nogi na nogę, w powolnym rytmie, ciągnąc za sobą trzymających się za ręce Jaśka i Angelę, wędrujemy do Parc de la Ciutadella i spędzamy w nim kilka uroczych godzin, sącząc zimny tonik, jedząc lody, ja – czytając, a reszta ekipy kolejny raz wędrując do zoo.

Niechętnie zmieniamy nastrój i okolicę. Wracając do centrum, po drodze zahaczamy o restaurację rodziców Angeli i kolejny raz delektujemy się owocami morza, a Klara swoimi ulubionymi naleśnikami. Dzień upływa w wakacyjnym błogostanie i jest niemal idealnie. Korzystając z rozleniwienia rodziny, zostawiam ją na pobliskim placu katedralnym, przy filiżance kawy i Rumiikub, a sama oddaję się ostatnim barcelońskim zakupom. To jest dzień kolejnych przymiarek tych samych rzeczy i w rezultacie decyduję się na zakup cudownej, prostej, a zarazem szykownej białoturkusowej sukienki i w podobnym stylu białogranatowych spodni.

Jasiek uświadomił sobie dziś rano, że to ostatni dzień z Angelą, i ma totalnego doła, pogłębiającego się z godziny na godzinę. Daję mu więc całkowitą swobodę i w zasadzie nie oczekuję dziś od synusia niczego. Wiem, że jutrzejszy dzień od godziny trzynastej, gdy tylko samolot wzbije się w nagrzane słońcem powietrze, odda mi moje przygnębione dziecko.

Ku radości zakochanej pary zapraszamy na wczesną kolację Agustina i Fernandę, z założeniem, że resztę

wieczoru spędzimy sami na krótkim spacerze i przy kieliszku wina na hotelowym tarasie. Ponieważ w Les Quinze Nits nie ma możliwości zrobienia rezerwacji, przebiegle wysyłamy młodych w kolejkę, a sami dochodzimy po półgodzinie, w chwili gdy kelner zaprasza ich do stolika. Upieramy się przy pozostaniu na dworze, przez co jesteśmy zmuszeni poczekać kolejnych kilka minut. W tym czasie dołączają do nas rodzice Angeli i kolejny raz mam wrażenie, że spotykam starych znajomych. Od razu wymieniamy się telefonami i obietnicami kolejnych spotkań oraz ich przyjazdu do Polski.

– Musicie koniecznie nas odwiedzić, pokażemy wam przepiękny Kraków, nasze zimne morze, Mazury, wybierzemy się w góry, a przede wszystkim zapraszamy do naszej knajpki na tradycyjne polskie jedzenie. Może spotkanie zorganizują dzieci i jakoś was zmobilizują do wyjazdu...

– Z przyjemnością, pod warunkiem że też jeszcze nas odwiedzicie. Musicie zobaczyć plażę w okolicy, nie ten miejski syf, zabierzemy was do naszego domu w górach. Zobaczycie prawdziwą Hiszpanię, a nie tylko te turystyczne obrazki... – zapala się Fernanda.

Rozstajemy się później, niż zakładaliśmy, i chyba już nie starczy nam sił na wino na tarasie. Wieczór upłynął w tak miłej i rodzinnej (dziwne określenie w zestawieniu z dopiero poznanymi ludźmi) atmosferze, że już

zaczynam żałować, iż rozdziela nas tysiące kilometrów. Jestem oczarowana ich otwartością i życzliwością. Dlaczego tak bardzo brakuje jej Polakom? Im jestem starsza, tym ta zagadka ma coraz mniej poprawnych odpowiedzi.

Zamiast nas na tarasie lądują Jasiek z Angelą i nawet nie chcę myśleć, co się tam dzieje. Podejrzewam, że całuski i buziaczki przesłaniają gwiazdy, a romantyczny wieczór nabiera zgoła innego wymiaru. Bartkowi i mnie pozostaje maleńki balkonik zawieszony kilkanaście metrów nad La Ramblą i pilnowanie śpiącej, wtulonej w miśka córeczki. Całujemy się subtelnie i czule. Usta Bartka delikatnie muskają moją dolną wargę i zatapiam się we wspomnieniach pierwszych wspólnych chwil.

Dzień nadchodzi nader wcześnie, a u samego jego progu pojawia się blada Angela, która pod pretekstem pomocy w pakowaniu krząta się obok mojego syna. Jak to poranek w dniu wyjazdu, i ten przesiąknięty jest stresem zabrania wszystkich drobiazgów, a każdą mijającą minutę czuję na plecach jak kamień spadający w klepsydrze. Przygotowane przez młodzież śniadanie składa się z zielonych ogórków, pomidorów i owoców, jednak nie potrafię czerpać z niego radości, dręczona przecuciem, że z pewnością coś zostawię. Jeszcze nie wiem, jak wiele.

Mimo pozbycia się flakonów z szamponami, balsamami i kremami, które w chwili pakowania w domu dawały nadzieję na zmniejszenie powrotnego bagażu, musimy siadać na walizkach, by dopchnąć ostatnie rzeczy. Wreszcie stawiamy w korytarzu dwie ogromne walizy i dwie małe, które zabieramy jako bagaż podręczny. Jestem w szoku, że tak sprawnie się ogarnęliśmy, co daje nam szansę na krótki spacer i wypicie ostatniej kawy przy Santa Maria del Pi. Powoli, w minorowym nastroju, który roztacza dookoła siebie zakochany po uszy Jasiak, schodzimy schodami

z trzeciego piętra na sam dół hotelowej klatki. Okazuje się, że windę blokuje obszarpaną granatową torbą zadowolony z siebie Arab czekający, aż spowita w kolorowe, płaczące się zwoje materiału żona upora się z czwórką małych, sprawiających wrażenie niedomytych dzieci. Nie zważając na kłopot, jaki blokadą windy sprawia innym, uśmiecha się do nas wielkimi białymi zębami, niecierpliwie machając na resztę rodziny. Dżentelmen w każdym calu, skupiony na własnej, z pewnością skromnej osobie, nie wpada na pomysł, by pomóc nieszczęsnej kobiecie z uwieszonymi z każdej strony dziećmi. Maluchy oczywiście się przepychają, pokrzykują, a najmłodsze zawodzi, jakby zobaczyło strzykawkę z ostrą igłą w ręku pielęgniarki. Dobrze, że wyjeżdżamy i rozmijamy się z egzotyczną rodzinką.

Otwieramy ciężkie solidne drzwi i gwar ulicy, w zestawieniu z wyciem na korytarzu, wydaje się zaledwie brzęczącą pieśnią godową stada much na posmarowanym miodem chlebie.

Powoli mieszamy się z tłumem na deptaku i rozkoszujemy ciepłem, które nawet o tak wczesnej porze jest imponujące w porównaniu do temperatur w samo południe w Polsce. Klara wybiega do przodu, pociągając za sobą Angelę, i obie przystają przy budzie z kwiatami i nasionami różnych, także tych o fallicznych kształtach (paskudztwo, które potrafi obrzydzić smak każdej papryki), roślin. Mała, ściskając w rączce okrągłe,

duże, jej osobiste dwa euro, ze szczebiotem pochyła się nad torebkami z różowymi kwiatkami, a Angela usiłuje pomóc jej w wyborze. Jachu z ojcem zostają kilka kroków za mną i zastanawiam się, o czym tak dyskutują.

Ciekawe, czym sobie zasłużyłam na tak cudowną rodzinę, i przy okazji dziękuję Bogu za rozum, jakim obdarzył Jaśka w dobieraniu sobie dziewczyn. Cieszy mnie troska, jaką potrafi okazać małej, i wobec tego wszystkiego jedyna moja klęska w postaci relacji z teściami wydaje się drobiazgiem. No, jeśli chodzi o porażki, to może pomińmy pracę.

Rozmyślenia przerywa mi dziwne zamieszanie za moimi plecami. Od niechcienia się odwracam i zamieram w pół kroku. Jak w zwolnionym tempie widzę scenę, która rozgrywa się tuż obok mnie i nim dobiegnie końca, już znam jej tragiczny finał. Krzyczę, ile tylko mam sił w przerażonych płucach, świadoma, że nic nie mogę zrobić. Na chodnik po drugiej stronie ulicy wbiega pięcio-, sześćioletni roześmiany dzieciak, na deptaku pośrodku La Rambli stoją jego rozwrzeszczani rodzice, natomiast potężny skuter, który usiłuje wyminąć malca, uderza przednim kołem w wysoki krawężnik i z całym impetem w posuwistym ruchu wybija się nieznacznie nad chodnik i wpada wprost na odwróconych plecami Jacha i Bartka. Ostatnie, co rejestruję, to ich wielkie, zdziwione, nic nierozumiejące oczy, huk upadającej maszyny i głuchy łomot spadających na pobliski murek

ciał.

Głowa mojego męża wykręcona jest w tak nienaturalny sposób, że nie pozostawia to żadnych złudzeń. Za to z prawej strony czaszki Jaśka rozrasta się i pochłania coraz większą powierzchnię płytek chodnika ciemnoczerwona kałuża. Rzucam się do nich, nie wiedząc, nad kim pochylić się najpierw. Instynkt podpowiada mi, że Bartkowi nie mogę już pomóc. Podbiegam do nieprzytomnego Jaśka i nieudolnie usiłuję zatamować krew. Nie mam przy sobie nic poza małym portfelem na złotym łańcuszku. Nie zastanawiając się, ściągam przez głowę mój ulubiony T-shirt z różowym flamingiem, zostając w kusej koszulce na naramkach. Krzyk zamiera mi w krtani. Nieporadnie zaczynam reanimować syna i panicznie się boję, że nie dam rady. Kątem oka widzę, że Angela zamarła kilka metrów dalej, przy donicach z kwiatami. Jej ogromne oczy pełne są łez. Przestraszona dziewczyna tuli do siebie szlochającą Klarę, która z buzią wtuloną w błękitną sukienkę i jej białe groszki płacze rozpaczliwie i przesywająco.

Obok nas gromadzą się najpierw krzyczący, później coraz bardziej milczący ludzie. Jak spod ziemi wyrasta dwóch policjantów, którzy bezradnie stoją nad nami, nie pozwalając innym zbliżyć się zanadto do rannych i szokowanego kierowcy skutera. Ktoś wezwał karetkę i teraz w oddali słyszę coraz wyraźniejszy jej sygnał. Czyjeś ręce delikatnie odsuwają mnie na bok i bardziej

profesjonalnie podejmują akcję reanimacyjną. Szczupłe dłonie, lewa z dużym brylantowym pierścieniem na serdecznym palcu, miarowo uciskają klatkę piersiową Jaśka, a co rusz pochylająca się nad ustami mojego dziecka głowa obcej kobiety wprawia w drżenie koński ogon spięty czarną gumką. To irracjonalne, że udaje mi się zapamiętać tyle nieistotnych szczegółów w tak dramatycznej chwili.

Zostawiam Jaśka i na czworakach przesuwam się w stronę leżącego obok Bartka. Dotykam jego szyi i nie czuję nic. Zero pulsu. Zero oddechu. I wiem już najgorsze. Świat wali mi się na głowę i odbiera oddech. Jezu. Co ja teraz zrobię? Co ja zrobię? Wracam do Jaśka, który nadal nieprzytomny sprawia wrażenie, jakby nie chciał do nas wrócić.

Rodzice gówniarza, który był pośrednim sprawcą całego wydarzenia, giną wśród ludzi, nie pozostawiając po sobie śladu. Nie poczuwają się do żadnej odpowiedzialności. Gęstniejący tłum gapiów oddziela mnie coraz grubszym murem od płaczącej córki, której szloch dociera do mnie stłumiony ciałem spanikowanej Angeli i szmerem rozmów.

W końcu pojawia się karetka. Wybiegają z niej dwaj ubrani na czerwono sanitariusze i przejmują akcję reanimacyjną ze zgrabnych dłoni nieznajomej kobiety. Ta podnosi się z kolan i kładzie chłodną dłoń na moim ramieniu. Tym gestem wyraża wszystko: brak nadziei,

współczucie, żal.

Wokół nas pojawiają się taśmy policyjne oddzielające gapiów od naszej rodziny. Ludzie są tak żądni sensacji, że nawet w tych dramatycznych okolicznościach robią zdjęcia i kręcą filmiki. W zasadzie powinnam być wściekła i zazdrosna o naszą prywatność, okradanie z największej intymności, która powinna wydarzyć się za jakieś czterdzieści lat, i to w domowych pieleszach, ale w szoku i cierpieniu jest mi to obojętne.

Mam wrażenie, że unoszę się nad ulicą, a rzeczy i ludzie dzieją się w równoległej rzeczywistości, która mnie nie dotyczy. Patrzę na sanitariuszy, którzy wyjmują z karetki dwa czarne worki, delikatnie wkładają do nich ciała dwóch facetów, których kocham ponad wszystko, wszędzie i zawsze. Ukochane twarze powoli nikną pod coraz wyżej zasuwającym się suwakiem i nastaje cisza. Cisza jest wszędzie i obezwładnia każdą myśl. Karetka zabiera ciała moich najbliższych w nieokreślonym kierunku, jakby mnie tu nie było. Mam poczucie, że przestałam istnieć, i wtedy mój wzrok pada na Klarę i Angelę. Dwa odarte ze wszystkiego uosobienia bezradności. Podchodzę do zapłakanych dziewczynek i obejmuję je mocno, najmocniej jak potrafię. Niezaspokojony w poszukiwaniu wrażeń tłum powoli się rozchodzi. Policja chce mnie przesłuchać, ale ponieważ nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa, biorą ode mnie numer telefonu i znikają.

Zostaję pośrodku głośnej La Rambli, która wypływa mnie na brzeg krawężnika i sadza na jego skraju. Dzieci siadają obok i szlochają niezmaconym rytmem rozpacz. Niespodziewanie obok nas pojawia się sanitariusz. Chwyta mnie pod rękę, siłą podnosi, pociąga za sobą do karetki. W dłoni ściskam zimną rączkę małej, a drugą ręką w pasie obejmuję Angelę i delikatnie popycham do przodu. Karetka wiezie nas do pachnącego środkiem do dezynfekcji szpitala. Lekarz usiłuje ze mną rozmawiać, idiotycznie dopytuje się, jak się czuję, zupełnie jakbym miała jakąś alternatywę i mogła czuć się inaczej niż strasznie.

Jestem tak zmęczona, że nie mam siły ani ochoty odzywać się do kogokolwiek. Tulę Klarę i boję się, że coś albo ktoś może ją wyrwać z moich ramion. Jedyne Angela udziela lakonicznych odpowiedzi i z tego, co udaje mi się zrozumieć, podaje jakiś numer. W końcu w ręku pielęgniarki pojawia się strzykawka z długą igłą, która niespodziewanie ląduje w ramieniu jeszcze głośniej płaczącej Klary. Po chwili ta sama substancja zaczyna krążyć w żyłach Angeli i moich. Robię się jeszcze bardziej zmęczona i mimo potężnego, odbierającego oddech bólu czuję, że zapadam w sen.

Gdy otwieram oczy, z zaskoczeniem odkrywam, że jest ciemno. Jedyne źródłem światła jest niebieska poświata z dziwnej lampki nad moim łóżkiem. W

pierwszej chwili zupełnie nie wiem, gdzie jestem. Powoli wraca pamięć i panika ściska mi gardło. Zaczynam przeraźliwie szlochać i nieświadoma, że nie jestem sama, budzę śpiącą na łóżku obok Angelę. Szczęśliwie Klara, jak każde dziecko w jej wieku, śpi twardo, odporna na wszelkie bodźce z zewnątrz.

Jak spod ziemi wyrasta pielęgniarzka z cholerną strzykawką, igła mimo protestów ponownie zostaje wbita w moje ciało i na jakiś czas usypia mózg.

Gdy kolejny raz otwieram oczy, odkrywam, że łóżko Hiszpanki jest puste, a pościel starannie złożona u wezłowania. Jej zniknięcie sprawia, że czuję się jeszcze bardziej opuszczona w kraju, którego języka nie znam.

Powoli zaczynam myśleć racjonalnie i dociera do mnie, że nie wyleciałyśmy do Polski, że bilety lotnicze, na które oszczędzaliśmy tyle czasu, przepadły, że nie wiem, gdzie są nasze walizki, nie wiem, jak wrócę z aż czterema bagażami, i wreszcie gdzie będziemy z Klarą spać. W myślach przeliczam żałosne drobne, które pozostały mi w portfelu, i usiłuję przypomnieć sobie PIN do karty Bartka. Czy mogę wypłacić pieniądze, skoro jego już nie ma? Czy bank wie, co się stało? I najważniejsze: gdzie są ciała mojego syna i męża?

Panika siada okrakiem na moich piersiach i dusi. Mocuję się z nią, leżąc w wymiętej pościeli szpitalnego łóżka, i żałuję, że to ja ocalałam. Jestem sparaliżowana psychicznie i fizycznie.

A życie toczy się dalej.

Zaraz obudzi się Klara i będę musiała zorganizować jej świat na nowo. Mała przewraca się na lewy bok, buzią do ściany, i zwija w kłębuszek. Cicho podchodzę do sfatygowanego łóżka, przywieram całą sobą do jej drobnego ciała. Muchomorek, otulony moimi ramionami, głośno wzdycha i chwytą mnie kurczowo za rękę. Nie wiem, ile czasu leżymy zaplątane w siebie, ale gdy ponownie się budzę, jest szaro i spokojnie. Leki ukołysały nas na długie godziny, lecz nie sprawiły, że poczułam się lepiej.

Budzę się cała zdrętwiła, nie czując prawej ręki, na której położyła głowę Klara. Początkowo mój umysł nie rejestruje rzeczywistości. W pierwszym odruchu chcę wstać z łóżka. Przez nanosekundę nie wiem, gdzie jestem, ale pamięć dopada mnie ostrymi pazurami i rozdrapuje ciszę. Tak bardzo chciałabym, by weszli tu Bartek i Jasiek, by to był tylko zły sen. Wydaje się niemożliwe, by stracić wszystko w jednej chwili. Tęsknota za nimi odbiera oddech. Nie mam siły wstać, zastygam na łóżku i czekam... Jeszcze nie wiem na co. Jedyne, czego jestem pewna, to że w moim życiu już nic nie jest ważne i nic się nie wydarzy.

Zniknęło poczucie bezpieczeństwa, opoka, którą był Bartek, zniknęły dom i rodzina. Mój przyjaciel. Jedyne osoba, której ufałam bezgranicznie. I komu się teraz wypłaczę? Poruszam się niespokojnie, a łzy same płyną

po policzkach i wsiąkają w szpitalną poduszkę. Moim ciałem bezgłośnie wstrząsa spazmatyczny szloch i bojąc się, że przedwcześnie wyrwę małą ze znieczulenia, jakie daje farmaceutyczny sen, nieporadnie usiłuję wstać. Niespodziewanie czyjaś ręka dotyka moich pleców i w pierwszym odruchu myślę, że to może mój mąż. Odwracam się gwałtownie, pełna nadziei, że rzeczywistość się pomyliła, i staję oko w oko z bladą i milczącą Fernandą.

Okazuje się, że rodzice Angeli zaraz po telefonie lekarzy przyjechali do szpitala po córkę. Agustin zabrał zapłakaną dziewczynę do domu, natomiast Fernanda spędziła w szpitalu długie godziny, czekając, aż się obudzę. Nawet nie wie, jak bardzo jestem jej wdzięczna. Jej pełne łez oczy mówią wszystko. Wiem, że dzieli ze mną stratę, ból i rozpacz. Po chwili stoimy na środku sali, wtulone w siebie, a we mnie kolejny raz wszystko pęka. Zaczynam głośno, rozpaczliwie płakać, czuję, jak moje łzy spływają na jej twarz, i zmieszana się odsuwam. Odrywam z uchwytu na ścianie kawał jednorazowego ręcznika i głośno wydmuchuję nos. Oczywiście budzę Klarę, która niepewnie rozgląda się po pomieszczeniu. Wiem, że muszę się opanować. Moja panika może zawalić jej kruchy świat do końca. Podchodzę do niej, siadam i obejmuję ramieniem.

– Cześć, słonko. Obudziłaś się? – Durne pytanie, ale nie stać mnie na więcej.

– Tak. Gdzie jesteśmy? – Mała najwyraźniej nie pamięta, co się stało.

– W szpitalu.

– A dlaczego?

Jezu, muszę to głośno powiedzieć.

– Tatuś i Jasiek mieli wypadek. – Słowa ledwie przeciskają się przez gardło i czuję, że łyzy na nowo wzbierają w kącikach oczu. Usiłuję je dyskretnie otrzeć, ale nie umyka to uwagi Klary.

– Ale nic im nie jest? Dlaczego płaczesz?

Boże, ona naprawdę nic nie pamięta.

– Płaczę, bo jest mi strasznie smutno. Tatuś i Jasiek umarli i poszli do aniołów. – Nie wierzę, że to powiedziałam.

– Nie ma taty? Jaśka też? – Małej trzęsie się bródka i zaczyna płakać. – Ja nie chcę. Ja chcę do taty. Mamo, ja chcę do taty.

Mocno chwytam ją w ramiona, tulę z całej siły i teraz obie niepowstrzymanie płaczemy hektolitrami łez. Przerażona Fernanda stoi z boku, a w progu pojawia się pielęgniarka. Macham ręką, by sobie poszła, muszę sama przebrnąć przez rozmowę z córką.

– Ja też. Klara, ja też chcę, że byli tu Jasiek i tata. Ale ich nie ma. Jesteśmy same.

– Mamo, ale ty nie odejdziesz? – Kurczowo łapie mnie za rękę.

– Nie odejdę, przysięgam, nigdzie nie odejdę. Zawsze

będę przy tobie, zobaczysz.

– A tata?

– Tata jest blisko. Mówiłam ci, że każdy ma duszę, taki mały dymek, który mieszka w naszym ciele. Pamiętasz?

– Tak, chyba tak.

Zaczynam tłumaczenie od nowa i wiem, że w najbliższych dniach będę musiała powtórzyć to setki razy. Tak było, gdy umarli moi rodzice i Jasiek kilka razy dziennie pytał, dlaczego i jak to było.

– W każdym z nas mieszka dusza. Nie można jej zobaczyć, bo jest jak przezroczysty dymek, ona sprawia, że kochamy, czujemy i żyjemy. Dusza jest nieśmiertelna. Nie można jej zniszczyć i jest na zawsze. Ale mieszka w ciele, które czasami się psuje albo zużywa, wtedy mówimy, że się starzeje. Rozumiesz? Twoje ciało też się psuje, kiedy na przykład stłuczesz sobie kolano albo jesteś chora i masz kaszel. Wtedy bierzesz lekarstwa, żeby to ciało naprawić.

– Aha. – Mała słucha tego jak magicznej bajki.

– W moim ciele i w twoim też mieszka taka dusza.

– A co z duszami taty i Jaśka?

– W nich też mieszkał taki dymek, tylko że mieli wypadek i ich ciała tak mocno się zepsuły, że nie można ich już naprawić. – Szloch wstrząsa całym moim ciałem, ale po raz pierwszy udaje mi się przełknąć gulę i pozornie spokojnym głosem kontynuować.

- I co się stało z tym dymkiem?
- Uleciał do nieba, do aniołków.
- To tata i Jasiek żyją.
- Nie, kochanie. Ich ciała się zepsuły, ale dusze są zdrowe i żyją, tylko że wśród aniołków. – Uprzedzam jej emocje i cicho mówię: – Strasznie za nimi tęsknisz, co?
- Bardzo. – Klara znowu płacze.
- Powiem ci coś w tajemnicy. Będziemy o tym wiedzieć tylko ty i ja. Oni, to znaczy tata i Jasiek, też za nami tęsknią i jest im smutno. Dlatego anioły pozwalają im być obok nas, tylko że my ich nie widzimy.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Oni mają lepiej, bo nas widzą. Za to my możemy ich czasami poczuć.
- Naprawdę?
- Tak, będą do nas przychodzić w snach i wtedy będziemy ich widzieć, ale czasami będziemy ich czuły w podmuchu wiatru, tata pewnie w nocy będzie cię głaskał i plątał ci włoski, a Jasiek czasami będzie dla zabawy chował twoje rzeczy.
- Naprawdę?
- Naprawdę, słoneczko, naprawdę. Jak wrócimy do domu, porozstawiamy ich zdjęcia wszędzie, żeby wiedzieli, jak bardzo o nich myślimy. Chcesz?
- Chcę. A u mnie w pokoju też?
- No jasne, u ciebie też. Chodź, umyjemy buzię, musimy się jakoś pozbierać.

Fernanda pomaga nam się ogarnąć. Spoglądam w lustro na ścianie w sali, w której spędziłam noc i być może dzień, bo czas w mojej głowie się zatrzymał, po czym pobiegł przed siebie, a ja za nim nie nadażyłam, więc jestem wytracona z realiów. Z odbicia patrzy ziemista, opuchnięta twarz, otoczona ciemnymi rozczochranymi włosami, oczy zapadły się w sinych bajorach, pogłębionych rozmytym tuszem, który pozostawił czarne plamy wszędzie. Wyglądam przeokropnie i wiem, że zapewne żaden makijaż nie zatuszuje bólu, który wyziera z każdego skrawka ciała. Fernanda okazuje się nieoceniona. Podsuwa mi własne wyjęte z obszernej torby kosmetyki, które sprawiają, że co prawda nadal nie wyglądam jak ja, ale zaczynam przypominać kobietę. Starą kobietę. Mam wrażenie, że ten jeden dzień dodał mi w postawie, zmarszczkach na czole i wokół oczu ze dwadzieścia lat. Ze zdziwieniem przyglądam się coraz gęściej rozsiałym siwym włosom, nie wiem, skąd nagle tyle się ich wzięło. Jezu, to prawda, że stres jest ich najlepszą pożywką.

Gdy przychodzi lekarz, łamaną angielszczyzną usiłuję mu podziękować i wytłumaczyć, że damy sobie radę. Mimo ogromu nieszczęścia, jakie się na mnie zważyło, a które prawdopodobnie wywołuje u niego współczucie, pyta mnie o ubezpieczenie. Jakie, kurwa, ubezpieczenie? W tym momencie uświadamiam sobie, że nie mam torebki. Nerwowo rozglądam się po sali w poszukiwaniu mojego portfela na złotym łańcuszku,

ale nigdzie go nie widzę...

– Gdzie moja torebka?

– Torebka? – Zdziwiony lekarz patrzy na mnie tak, jakbym pytała, czy istnieje święty Mikołaj. – Nie miała pani przy sobie żadnej torebki.

Czuję, jak resztki krwi spływają mi do pięt. Włożyłam do niej paszporty, ostatnie pieniądze, karty kredytowe, prawo jazdy i jakieś papiery, które dał mi Bartek.

– Jak to nie miałam? Miałam brązowy portfel na łańcuszku. – Wraca mi energia i szykuję się do emocjonalnego skoku. Czuję, że budzi się we mnie dawna Nina, która będzie walczyć i znajdzie siłę na dalszy ciąg życia. Trudno mówić o nowym życiu, myślę, że przede mną raczej letarg, ale muszę walczyć i zbudować od nowa świat Klary.

– Nino, nie miałaś torebki, ale obok łóżka leżał twój portfel. Angela z Fernandem go zabrali, żeby nie zginął. Spałaś i baliśmy się, że może się z nim coś stać. Zaraz zadzwonię, to go podrzucają. A, i jeszcze jedno, twój telefon stale dzwonił.

– Dzięki, już się wystraszyłam, że straciliśmy wszystkie dokumenty.

Fernanda dzwoni do domu, a ja tymczasem mozolnie wypełniam szeregi rubryk i tabel. Idzie mi jak po grudzie, nie znam całej tej nomenklatury medycznej i mimo że młody lekarz cierpliwie się mną zajmuje

i pomaga, zabiera nam to sporo czasu. Brakuje tylko tego cholernego ubezpieczenia. Wreszcie odzyskuję portfel i z ulgą odkrywam, że niczego nie zgubiłam. Wydruki, które w dniu wyjazdu wpakował mi do tylnej kieszonki Bartek, okazują się ubezpieczeniem naszej rodziny. Oddycham spokojniej i dziękuję mojemu mężowi, że o nim pomyślał. Dociera do mnie, że od teraz to ja będę musiała zadbać o takie drobiazgi, które wcale drobiazgami nie są.

Biorę do ręki mój telefon w czerwonej oprawie – którą dostałam od Bartka na szczęście – i z przerażeniem odkrywam, że mam sześćdziesiąt osiem nieodebranych połączeń, w tym trzydzieści jeden od Magdy, siedem z pracy, osiem od teściów. Nim padnie świecąca na czerwono bateria, dzwonię do mojej najlepszej przyjaciółki. Odbiera po pierwszym sygnale, zupełnie jakby trzymała telefon w ręce.

– Jezu, Nina, nareszcie. Wszystko OK?

Nie jestem w stanie wykrztusić słowa, płaczę w słuchawkę i topię obraz szpitalnych ścian w gwałtownie nadciągających kolejnych falach łez.

– Nina, co się właściwie stało? – krzyczy spanikowana Magda.

Zapada cisza. Nadal nie mogę wydobyć słowa. Głośno oddycham i dalej płaczę. Magda już wie, że jest źle, bardzo źle.

– Jezu, Nina, więc to o was mówili

w Wiadomościach.

– Nie wiem, Magda, nic nie wiem.

– Mam do ciebie przylecieć? – Jej troska wzrusza mnie i wywołuje kolejną falę płaczu.

– Nie. Dam radę. – Nabieram powietrza i nieco pewniejszym głosem powtarzam: – Dam radę.

– Co się stało?

– Bartek i Jasiak mieli wypadek. Nie żyją – mówię to głośno kolejny raz i coraz bardziej dociera do mnie sens wypowiedzianych słów.

– A wam nic nie jest? Jak Klara?

– Wszystko w porządku. Jesteśmy w szpitalu...

– Jak to w szpitalu? Nina, co się dzieje?

– Dostałyśmy tylko leki uspokajające i chyba usiłowali się nami jakoś zająć.

– Jak to się stało?

– Byliśmy na ostatnim spacerze. Tak się przy tym upierałam, to moja wina... Gdybyśmy zostali w pokoju, jak chciał Bartek, nic by się nie stało...

– Przestań, to nie twoja wina, tak miało być. Rozumiesz?

Chyba nie, ale kontynuuję, nie chcąc i nie potrafiąc zrozumieć tej sytuacji.

– Dzieciak wybiegł na ulicę prosto pod wielki skuter i koleś, żeby go nie uderzyć, skręcił gwałtownie, walnął w krawężnik, i to tak nieszczęśliwie, że wyrzuciło go na

chodnik prosto w Jasia i Barta. I tyle.

– Jezus, Nina, to okropne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów, po prostu bądź. – Proszę jak żebrak o złotówkę na chleb.

– Przecież wiesz, że jestem. Powiedz, co mam robić. Jak ci pomóc...

– Muszę to sama ogarnąć. Będziemy w kontakcie.

– Jeśli chcesz, mogę przylecieć w każdej chwili, daj tylko znać.

– Dzięki, ale są tu rodzice Angeli i chyba mi pomogą. Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

– Daj znać, kiedy wracasz, dobrze? Wyjadę po ciebie na lotnisko. Aha, i nie myśl o knajpie, zajmę się wszystkim.

– Magda, dziękuję, nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Przestań. Damy radę. Pamiętaj.

I klik, rozłącza się. Znowu zostaję sama. Nie mam siły dzwonić do teściów, ale wiem, że niepokój potrząsa nimi jak dziecko grzechotką i przynajmniej tyle im się ode mnie należy. Drżącą ręką wybieram numer teściowej i czuję, jak w miarę oczekiwania na sygnał moje serce przyspiesza, a gdy słyszę „halo”, gna przed siebie, pozostawiając mnie w tyle.

– Dzień dobry, to ja, Nina.

– Przecież widzę.

Nawet w tak trudnej chwili muszę pokonać jej niechęć. Postanawiam zignorować nastroje teściów albo

ich brak i głucho wypowiadam przygotowaną wcześniej kwestię.

– Jeszcze jesteśmy w Barcelonie. Mieliśmy wypadek. – Cisza brzęczy po drugiej stronie i nie pomaga kolejny raz wypowiedzieć tych słów. – Bartek i Jasiek nie żyją.

– Słucham? Żartujesz?

– Nie, nie żartuję, jak teściowa może w ogóle coś takiego mówić? – Czuję, że złość przesłania mi wzrok, osuszając łzy, i przybieram bardziej oficjalny ton, niż zamierzałam. – Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, Bartek i Jasiek zginęli na miejscu. Odezwę się, jak wrócimy do kraju.

– Halo, jak to się odezwiesz? Przecież musimy wszystko zorganizować... Słyszeliśmy w telewizji o wypadku polskich turystów i tak się obawialiśmy...

– Teściowie nie muszą nic organizować. Ja się zajmę wszystkim.

– A co z pogrzebem? A stypa? Cmentarz? – Zachowuje się tak, jakby już oswoiła się z tą stratą. W jej głosie pobrzmiewa pragmatyzm, który nie mieści w sobie współczucia. Mam wrażenie, że o śmierci syna rozmawia jak o zgonie dalekiej krewnej.

– Tak jak powiedziałam, zajmę się wszystkim. Do widzenia.

I rozłączam się. Niestety głośne klik nie rozwiązuje problemu w postaci oczekiwań teściów i ich pretensji,

z którymi będę zmuszona się zmierzyć.

Mam poczucie, że kolejny raz zaczynam unosić się nad obrazami, które przewijają się przed moimi oczyma. Widzę, jak biorę Klarę za rączkę i daję się prowadzić rodzicom Angeli do ich granatowego vana. Po trudnym do określenia czasie docieramy do imponującego starego domu położonego na wzgórzu na obrzeżach miasta. Jak automat wysiadam z samochodu i daję się zaprowadzić do obszernego pokoju gościnnego na piętrze, z którego rozpościera się przepiękny widok na morze. Bartek byłby zachwycony, a Jasiek nie mógłby oderwać od niego wzroku i zaraz szukałby odniesień do ostatnio przeczytanych książek fantasy.

Wsadzam Klarę do wanny i usiłuję choć trochę zmyć z niej niepokój. Wreszcie wytartą miękkim ręcznikiem frotté sadzam na pachnącej lawendą pościeli i zastanawiam się, w co ją ubrać. Uświadamiam sobie, że nasze walizki nadal znajdują się w hotelowym pokoju i powinnam je odzyskać. Z braku innych możliwości ubieram małą w te same rzeczy, sprytnie odwracając jej majteczki na lewą stronę, i pozwalam zbiec do Angeli i jej mamy. Sama wchodzę pod prysznic i puszczając na przemian to zimną, to gorącą wodę, która boleśnie wbija się w każdy skrawek mojej skóry, usiłuję przywrócić się do życia, którego chyba już nie chcę. Gdyby nie Muchomorek i jej przestraszona buzia, znalazłabym inne rozwiązanie, a tak...

Niespiesznie wychodzę spod prysznic, ubieram się i chowając włosy w wielkim kokonie z białego ręcznika na czubku głowy, schodzę do kuchni.

– O, jesteś. – Fernanda stawia przede mną parujący kubek czarnej kawy i podsuwa połamaną na cząstki tabliczkę gorzkiej czekolady.

Skąd wiedziała?

– Fernando, dziękuję i przepraszam za kłopot.

– Przestań, to nie kłopot. Nie wiemy, jak wam pomóc... Angela jest załamana, cały czas płacze. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, przez co przechodzisz, ale choć tyle możemy dla was zrobić, być obok.

– Dziękuję. Naprawdę dziękuję, nie spodziewałam się takiej dobroci. Jest mi wstyd, że się tak poddałam i musieliście się mną opiekować.

– Oszalałaś, przecież to normalne w takiej sytuacji. Daj spokój. Teraz musimy zaplanować, co dalej.

– Nie mam walizek, muszę po nie pojechać do hotelu. To najważniejsze. Nie wiem, dokąd zabrali Jaśka i Bartka. Masz pomysł, jak się dowiedzieć?

– Agustin był na policji, ale nie chcą mu udzielić informacji. Musisz pojechać sama, zawieziemy cię.

– Dziękuję, nie wiem, co bym bez was zrobiła...

– Zrobiłabyś to samo, tylko zabrałyby ci to więcej czasu. Pewnie chcesz wracać do kraju?

– Tak, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Tak naprawdę panicznie boję się pustki, jaka

zapanuje w domu, boję się pokoju Jaśka i porozkładanych w nim rzeczy, boję się naszej sypialni i pustego po jednej stronie łóżka, zapachu perfum Bartka, które stoją na półce w łazience. Boję się spojrzeń sąsiadów, rodziców dzieci z klasy Jaśka i Klary, a najbardziej boję się pogrzebu. Przeczuwam walkę z teściami i boję się podwójnie.

I znowu świat dzieje się obok mnie. Zatopiona w smutnej projekcji przeszłości, zastanawiając się, jak przebrnąć przez przyszłość, pozostawiwszy Klarę pod opieką Angeli, która sama potrzebuje opieki matki, daję się zawieźć do hotelu. Oczywiście nasz apartament jest już wynajęty, a na łomotanie do drzwi nikt nie odpowiada. Najprawdopodobniej nowi lokatorzy wybrali się na plażę albo zwiedzają miasto. Agustín dzwoni pod wypisany czarnym grubym flamastrem numer na tablicy informacyjnej w holu i od rezydenta się dowiaduje, że ponieważ nie opuściliśmy apartamentu w wyznaczonym czasie, nasze walizki zostały przewiezione kilka ulic dalej, do przechowalni bagażu, i po uiszczeniu stosownych opłat za przedłużenie pobytu i przechowanie tobołów możemy je odebrać.

Zmęczeni docieramy do innego hotelu sieci, która nas gościła, i zdaję się na Agustina, który ściszone głosem, zupełnie jakbym mogła coś zrozumieć, tłumaczy coś sztywnej recepcjonistce za kontuarem. Jej ciało lekko wiotczeje, a napięta struna podtrzymująca

kręgosłup wyraźnie słabnie. Współczujące spojrzenia mówią mi, że opłaty nie będą konieczne. I faktycznie, odzyskujemy bagaże bez dodatkowych kosztów, niestety z czterech walizek odnajdują się tylko trzy i plecak Jaśka. Nikt nie może doliczyć się tej najmniejszej i najładniejszej, wykończonej czerwoną skórą i złotymi okuciami, którą zapakowaliśmy jako bagaż podręczny, ładując do niej książki na drogę, szczoteczki etc.

Pragmatyczna kobieta, która mieszka w moim wnętrzu, szepcze mi, że łatwiej będzie mi się zabrać z bagażami do samolotu. Oddycham z ulgą na myśl, że odzyskałam aparat z uchwyconymi ostatnimi okruciami rodzinnego szczęścia. Pakujemy wszystko do bagażnika i na kolejny przystanek obieramy posterunek policji, który ma nas przybliżyć do ciał najbliższych mi ludzi.

Spędzamy tu najdłuższe godziny. Jestem przesłuchiwana najpierw przez policjanta, potem przez jego koleżankę, która do nas dołącza i zadaje te same sztamkowe pytania. Skąd jesteście, gdzie mieszkamy, co robiliście, jak doszło do wypadku, czy widziałam, co się stało, czy znam sprawcę... Wszystko to sprawia, że na nowo, klatka po klatce, odtwarzam przebieg wydarzeń i rozpacz kolejny raz ze zdwojoną mocą mości się w moim wnętrzu i rozpycha.

W końcu otrzymujemy adres kostnicy i w milczeniu jedziemy we wskazane miejsce. Nigdy wcześniej nie byłam w kostnicy. Oglądając filmy, zawsze powtarzałam

sobie, że bardzo nie chcę się w takim miejscu znaleźć. Wiem, że będę musiała zidentyfikować ciała, i wiem też, że zupełnie nie jestem na to przygotowana. Zawsze był przy mnie Bartek, z wyjątkiem chwili, gdy znalazłam dwie pływające do góry brzuchem rybki w szkolnym akwarium.

Wchodzimy do ponurego budynku przesiąkniętego koszmarnym zapachem i atmosferą. Niczym rzeźnik w białym kitlu wita nas potężny blady facet z niepokojącą czupryną rudych włosów upchniętych pod płóciennym czepkiem. Odbiera z moich skostniałych dłoni kwit, prosi o pokazanie paszportu i wreszcie prowadzi w głąb budynku, którego korytarze pochłaniają nas i otulają nieprzyjemnym chłodem. Tym bardziej przeszywającym, że mam na sobie cienką letnią sukienkę i sandałki. Mimo to ani chłód, ani zapach nie robią na mnie większego wrażenia. Całą sobą jestem skupiona na tym, co mam zobaczyć.

Wreszcie docieramy do białej sali, w której po prawej stronie stoi metalowe łóżko, a lewą ścianę zajmują, jedna przy drugiej, zamykane dziwną wajchą lodówki. Rudzielec pewnym krokiem podchodzi do trzeciej od wejścia i płynnym ruchem, nie czekając, aż się oswoimy z tym miejscem, otwiera i pociąga za szufladę, która bezgłośnie wysuwa się z ciemnego wnętrza.

Spoglądam na spowite białym materiałem ciało

i usiłuję odgadnąć, do kogo należy. Nim łapię oddech, gwałtownie poderwany skraj materiału wędruje do góry i wpatruję się w białą twarz mojego dziecka. Czuję, jak czas się zatrzymuje i wspięty na palce usiłuje zajrzeć mi przez ramię. Przyglądam się buzi mojego prawie dorosłego syna. Dotykam palcami zamkniętych powiek, pierwszych włosków zarostu na policzkach i sinych martwych ust. Powoli wkładam dłoń w jego gęste włosy i zaczynam płakać. Przeszywa mnie myśl, że już nigdy ich nie poczoeram, a on nigdy się nie oburzy, że rujnę mu misternie wyrzeźbioną żelem fryzurę. Osuwam się na kolana, lecz nie opadam, podtrzymana przez Agustina. Całuję zimne czoło Jaśka i daję się zaprowadzić do lodówki dwa rzędy dalej. Dostrzegam jeszcze kątem oka, jak na twarz Jasia opada białe prześcieradło, i ciało niknie w zimnej, czarnej czeluści.

Teraz już nie muszę zgadywać, kogo zobaczę, ale i tak nie jestem gotowa na to, co rudzielec ma mi do pokazania. Procedura się powtarza i uniesione prześcieradło ponownie odkrywa ukochaną i tak do niedawna życzliwą mi twarz. Przyglądam się Bartkowi przez dłuższą chwilę i nie mogę się zmusić do oderwania wzroku od delikatnych zmarszczek przy oczach, które już nigdy nie pogłębią się w uśmiechu, ust, których aksamitna miękkość zmieniła się w chłód i twardość głazu. Delikatnie ujmuję w dłonie policzki Bartka i pochylam się, by złożyć na jego ustach ostatni pocałunek. Zimne, sine wargi w żaden sposób nie

odpowiadają na moją czułość, pozostają nieporuszone moim ciepłem. Może podświadomie i bajkowo liczyłam, że dokona się cud i przywrócę przybierające różowe odcienie życia.

Zapadam się w sobie i chociaż usiłuję spokojnie oddychać, mam wrażenie, że lewituję. To nie mogło zdarzyć się mnie, to był ktoś inny, od kogo usiłuję odsunąć się jak najdalej. Zaraz po wylądowaniu w Hiszpanii usunęłam wszystkie standardowe esemesy z namarami na ambasadę, teraz więc usiłuję nieporadnie wyszukać numer ambasady lub konsulatu, by dowiedzieć się, jakie są procedury dotyczące transportu zwłok. W odniesieniu do najbliższych brzmi to okropnie.

W końcu, tradycyjnie poprzedzoną pytaniem o ubezpieczenie, uzyskuję wyczerpującą informację i już wiem, że nic tu po mnie i mogę wracać do kraju. Swoją drogą, usłyszawszy, jakie są koszty takiego transportu, jestem wdzięczna Bartkowi, że wykupił pełny pakiet ubezpieczenia turystycznego. Do niedawna śmiałam się z rubryczki „transport zwłok”, teraz jestem jej beneficjentem.

Okazuje się, że powrót nie jest prostą sprawą. Nie dość, że bezpośredni lot do naszego miasta mamy dopiero za dwa dni, to w dodatku nie ma żadnych wolnych miejsc. Po godzinach spędzonych przed komputerem w towarzystwie Fernandy decyduję się na jutrzejszy lot

do Berlina i kupuję jedno z ostatnich biletów. Spanikowana odkrywam, że po zapłaceniu za przelot zostanie mi bardzo niewiele pieniędzy. Oblewam się zimnym potem i zastanawiam, co dalej. Wszystkie nasze środki znajdują się na koncie Bartka, do którego co prawda jestem upoważniona, ale nie znam loginu, pinu ani hasła.

Nie do końca wiem, jak się z Berlina dostanę z walizkami do domu, ale liczę, że Magda kolejny raz rzuci wszystko i po mnie przyjedzie. Niedawno otwarte nieliczne autostrady zbliżyły nas do Europy i nieco ucywilizowały, gwarantując łatwość poruszania się, a przede wszystkim oszczędność czasu. To, co dla Czechów, Niemców, Włochów jest niezauważaną już normą, dla nas nadal stanowi sporadycznie dostępny luksus. Magda, jak to ona, radosnym głosem oświadcza, że chętnie przeciągnie dopiero co kupiony nowy samochód po porządnym asfalcie i mam się nie martwić, bo będzie na mnie czekać. Niestety, nie zmienia to faktu, że czuję się jak wrzód na jej tyłku.

Zdaję sobie sprawę, że pod każdym względem jestem w czarnej dupie. Nie mam nic. Podejrzewam, że ta sytuacja kolejny raz zweryfikuje w moim życiu znajomych i przyjaciół, bo rodzina dawno poddała się weryfikacji. Babcia Stefania zawsze powtarzała, że tylko jeśli jest dostatecznie ciemno, można dostrzec gwiazdy. Magda i rodzice Angeli błyszczą najjaśniej na moim

firmamencie. Dzięki Ci, Boże, że postawiłeś ich na mojej drodze.

Po kolejnym upalnym dniu nadchodzi parny wieczór, który niesie radosny gwar sączonego wina i piwo tłumu. Czuję się jak kolorowa broszka wpięta w klapę męskiego garnituru i zupełnie nie wiem, co z sobą zrobić. Rodzice Angeli muszą jechać do pracy, ale boją się zostawić nas same. I chyba mają rację, nie mogę zostać w domu, bo jego cisza, po wyjściu gospodarzy, będzie nie do zniesienia.

Sporo czasu u mego boku spędza oszołomiona bólem Angela. W zasadzie nie potrafimy z sobą po tym wszystkim rozmawiać, ale to milczenie żadnej z nas nie ciąży. Wystarczają nam drobne gesty i łapanie w locie spojrzenia, by zrozumieć, że czujemy to samo i kroimy nasz ból na pół.

– Była pani kiedyś nieszczęśliwie zakochana?

– Jasne, chyba każdy był.

– No tak, ale z wzajemnością, tak jak ja, i żeby wszystko tak się skończyło?

– Wiesz, zakochiwałam się kiedyś na zabój w facetach, którzy z różnych względów nie odwzajemniali mojej miłości, byli albo znanymi piosenkarzami, albo starszymi kolegami ze szkoły, którzy nawet nie wiedzieli o istnieniu takiej gówniary jak ja, albo w chłopakach, których spotykałam na wakacjach i którzy zapominali o mnie kilka dni po

zakończeniu turnusu.

– To mnie pani nie rozumie.

Siedzimy pod rozłożystym cedrem na tarasie w kokonach płóciennych leżaków. Dwa nieśmiałe i wyliniałe obłoczki na błękitnym niebie usiłuje przepchnąć niemrawy wiaterek, a upał staje się nie do zniesienia. Zmęczona Klara śpi na kanapie w salonie. Nawet stadko papug, od pojawienia się pierwszych słonecznych promieni wydzierające się pod oknem, ucichło zaszyte w gęstwinie liści pobliskiej palmy. Idealna wakacyjna pogoda!

– Wiesz, wreszcie w wieku dziewiętnastu lat poznałam kogoś, kto mnie rozśmieszał, zaskakiwał, pojawiał się na progu, gdy było mi smutno i źle. Zawsze mówił, że znowu schudłam, że moja skóra promienieje, a włosy jeszcze się tak pięknie nie układały. Spędzaliśmy z sobą dni w szkole i wieczory na nauce. Siedzieliśmy zapatrzeni w gwiazdy wieczorem i czytaliśmy te same książki. Wspólnie gotowaliśmy, a nasi rodzice zaczęli się przyjaźnić.

– I co się stało?

– Życie się stało. Okazało się, że jego ojciec został oddelegowany na placówkę do Indii, a to było zbyt daleko i egzotycznie, by utrzymywać kontakt. Faceci listów nie piszą, a maili i komórek wtedy nie było. Wiadomości od niego stawały się coraz krótsze i rzadsze, wreszcie listy zmieniły się w pocztówki,

pocztówki w kurtuazyjne świąteczne kartki, a te, jak się domyślasz, w brzęczącą ciszę. I choć obiecywaliśmy sobie, że nasza miłość przetrwa, tak się nie stało.

– I rozstaliście się.

– W zasadzie nie. Przeczytałam nekrolog w gazecie, że miał wypadek i zginął śmiercią nagłą i tragiczną. Pamiętam, jak mnie wtedy uderzyło to określenie, bo czy śmierć może nie być tragiczna? Zdziwiło mnie tylko, że zginął na motorze w Polsce, że nawet nie odezwał się do mnie po powrocie i że w ogóle jeździł na motorze. Byłam zła i było mi przykro, że tak mnie olał, ale w żaden sposób nie zmniejszyło to bólu, jaki odczuwałam.

– A miała pani kontakt z jego rodzicami?

– Nie, z tego, co słyszałam, nigdy nie wrócili do kraju. Zresztą nie miało to dla mnie znaczenia. Ale wiesz, wspomnienia bardzo bołą, pamięta się właściwie tylko te dobre chwile, nie to, że się spóźniał albo o czymś ważnym zapomniał. Wspominasz to do końca życia – mówię ze smutkiem, zapadając się w siebie.

– Na pewno. – Angela ściska moją dłoń, a ja wręcz fizycznie czuję, jak ta dziewczyna z godziny na godzinę staje się coraz dojrzałszą i mądrzejszą kobietą...

– Zabrzmi to głupio, ale miesiącami rozdrapywałam rany i opłakiwałam nie jego, ale nasz wspólny los. Wyobrażałam sobie, co utraciłam: dom, podobne do niego dzieci, wspólne wyjazdy, śmiech i radość.

Oczywiście tak idealnie nigdy by nie było: kłóciłibyśmy się o to, kto ma pozmywać naczynia, położyć maluchy spać, zrobić pranie, ale wyobraźnia idealizuje tych, których już nie ma.

– Dobrze, że pani o tym mówi. Czuję dokładnie tak samo.

– Wiesz, to okropne, ale z takim bólem można żyć i powiem ci w tajemnicy, że dzięki niemu jest się mądrzejszym i bardziej uważnym. Pielęgnuj go w sobie i docień.

Wystawiamy twarze do nadal grzejącego słońca, co rusz popijając wodę z lodem i kawałkami soczystych pomarańczy. Wreszcie upał męczy nas do tego stopnia, że ze świetlistymi plamami pod powiekami wlecemy się do domu, bierzemy prysznic i... zastanawiamy, co dalej.

Wreszcie lądujemy w D'Angelo, gdzie siadam w kącie, przy – do niedawna – naszym stoliku. Mam wrażenie, że Jasiek z Bartkiem zaraz do nas dołączą i tamten uroczy wieczór będzie miał swoją kontynuację... Tak się niestety nie dzieje i nigdy nie stanie. Po krótkich, za to głośnych konsultacjach z personelem w kuchni przysiada się do mnie Fernanda z dwoma dużymi kieliszkami w prawej dłoni i butelką czerwonego wina w drugiej. Siada naprzeciwko na podwiniętych zamaszystym ruchem falbanach obszernej sukni. Zupełnie nie mam nastroju na choćby lampkę, ale

nie chcąc sprawiać jej przykrości, moczę usta w głęboko purpurowym, aromatycznym wytrawnym winie. Powoli delektuję się trunkiem, który wielokrotnie sprawiał mi tyle przyjemności i cudownie odprężał, czekając na chwilę, gdy da mi, w zasadzie niemożliwe teraz do osiągnięcia, ukojenie.

– Jak się czujesz? – Fernanda pochyła się nad stołem i chwyta moją dłoń.

Obie wiemy, jak absurdalne jest to pytanie, ale rozumiemy też, że jakoś trzeba zacząć, a nie wiadomo jak. Cokolwiek by powiedzieć w tej sytuacji, wyda się trywialne.

– Dobrze.

Usiłuję się uśmiechnąć, ale udaje mi się tylko przywołać dziwny grymas ust, a oczy, jakby pozbawione synchronizacji z twarzą, zaczynają produkować łzy w nadmiarze. Odnoszę maleńki emocjonalny sukces. Po otarciu pierwszych słonych kropli udaje mi się opanować ich gwałtowny zalew i jestem w stanie mówić dalej.

– Dobrze, choć sama nie wiem, jak daję radę.

– Domyślam się, ale i tak jesteś dzielna.

– Nie wiem, czy jestem dzielna. Po prostu trzeba załatwić tyle rzeczy, a nigdy wcześniej tego nie robiłam. Bardzo dziękuję wam za pomoc.

– Nie ma za co. Też czujemy ogromny ból. – Fernanda dolewa nam wina i przyciszonym głosem kontynuuje: – Wiesz, Angela po raz pierwszy tak się

zakochała. I po raz pierwszy spodobał nam się jej wybór. Jasiek był takim miłym chłopakiem, grzecznym i wrażliwym. – Ukradkiem ociera oczy.

Po kolejnym łyku wina zbieram się na odwagę, by przywołać wspomnienia.

– Angela jest superdziewczyną. Gdy ją zobaczyłam po raz pierwszy na plaży topless, nie do końca byłam przekonana. Myślałam, że jest strasznie wyzwolona i schrupie Jaśka, ale okazała się zupełnie inna. Klara ją ubóstwia, a ja tak bardzo się cieszyłam, że nareszcie spotkał kogoś wartościowego.

– Pasowali do siebie. Nie wiem, jak ona sobie z tym poradzi, jest taka młodziutka.

– Będzie ciężko.

– Wiem. A jak ty dasz sobie radę?

– Nie mam pojęcia. Boję się o tym myśleć. Na razie muszę przebrnąć przez pogrzeb i wszystkie formalności.

– Masz jeszcze Klarę.

– Tak. Teraz jest najważniejsza. Dzięki niej i dla niej muszę być silna, tylko nie wiem, czy znajdę w sobie moc.

– Znajdziesz, bo masz dla kogo żyć. Pomyśl o Bartku, przecież on wierzy, że dasz radę, i tego od ciebie oczekuje.

– Na pewno.

Pochyliłam głowę i zastanawiam się nad słowami Fernandy. Bartek zawsze mówił, że jestem taka zaradna

i zorganizowana, że cieszy się, że jestem matką jego dzieci, więc teraz tym bardziej nie mogę go zawieść. Jezu, tylko czy potrafię?

Wracamy w miarę wcześniej do domu, tak żebym miała czas na spakowanie walizek i przygotowanie się do jutrzejszego porannego lotu. W nocy, targana niepokojem i urojeniami, że moi faceci są gdzieś nieopodal, budzę się co chwila zlana potem i sztywnieję na niedającym ukojenia łóżku. Paniczna obawa, że zaśpimy, nie pomaga ukołysać ciała do snu. W końcu nadchodzi nieznośny poranek, właśnie w chwili, gdy czuję, że zapadam w orzeźwiający letarg.

Jemy śniadanie, a w zasadzie usiłujemy przełknąć cokolwiek, i wszyscy jedziemy na lotnisko. Próbowałam zamówić taksówkę, ale telefon wyrwano mi z ręki, a cała rodzina postawiła sobie za punkt honoru odtransportowanie nas na terminal drugi.

– Czy może nas pani zawiadomić, kiedy będzie pogrzeb? – prosi łamiącym się głosem Angela.

– Oczywiście dam wam znać. Dziękuję za wszystko i mam nadzieję, że teraz zobaczymy się w Polsce.

– Z pewnością. Przyjedziemy, obiecuję. My też tu na was czekamy.

– Będziemy w kontakcie. Trzymaj się, Angela, pa.

Fernanda czule się z nami żegna, wciskając mi do ręki papierową torbę z jedzeniem. Nie wiem, jak przejdę z nią przez bramki, ale jestem jej bardzo wdzięczna, że

pomyślała o takich drobiazgach. Angela nie patrzy na nas, stoi ze spuszczoną głową, przytulona do ramienia ojca.

Ten etap powrotu do domu mija nam szybciej, niżbyśmy, trawione niepokojem, sobie życzyły. Mam wrażenie, że odbiór bagaży z leniwie się przesuwej gumowej czarnej taśmy trwa dłużej niż sam lot. Wreszcie objuczona dwiema wielkimi walizami, plecakiem mojego synusia i własną torebką popycham Klarę z miśkiem pod pachą i małą, nieustannie przewracającą się na chybotliwych kółkach walizeczką, w kierunku wyjścia.

Z daleka widzę machającą do nas Magdę w białej sukience w wielkie pomarańczowe kwiaty. Jestem jej wdzięczna, że nie ubrała się w nieznośną czerń odbierającą, zwłaszcza latem, resztki optymizmu. Jeśli o optymizmie można w ogóle mówić. Mocno ściskamy się na powitanie i już po chwili siedzimy w jej pachnącym nowością samochodzie.

Usiłuję dokładnie opowiedzieć, co się stało, i ulepić plan działania na następne dni. W zasadzie wybiegam myślą tylko do dnia pogrzebu, nie wiem, co skrywa się dalej. Pustka. Mamrocząca pustka. Są wakacje, więc odpada obowiązek wożenia małej do szkoły, ale i tak muszę zorganizować dla niej opiekę. Tylko jak?

– Wybrałaś już cmentarz? – Magda racjonalnie

podchodzi do moich planów.

– Tak. Zdecydowałam się na mały cmentarz u nas na wsi. Łatwiej mi będzie odwiedzać grób. Wiesz, boję się takich dużych nekropolii.

– Masz rację. A co z kościołem?

– Nie mam pojęcia. Chyba też u nas. Wiesz, tak sobie myślałam, że pogrzeby są takie bezduszne i w zasadzie ci, co odchodzą i powinni być najważniejsi, wcale nie są. Chciałabym, żeby Bartek i Jasiek byli bardzo obecni. Czy możesz poprosić Krzyśka, żeby zrobił ze zdjęć, które wam dam, taką małą prezentację? Chciałabym, żeby te zdjęcia były wyświetlane i w kościele, i na stypie. A tak przy okazji, czy muszę robić stypę?

– A chcesz?

– Raczej nie. Nie wiem, czy mam siłę siedzieć z ludźmi i wysłuchiwać biadolenia, że tak się stało i co ja teraz zrobię. Wiesz, że teściowie nie zadzwonili z pytaniem, czy potrzebuję jakiejś pomocy?

– Żartujesz? A siostra?

– Niestety nie. Zośka chyba nic nie wie. Boże, muszę wszystkich zawiadomić.

– Spokojnie. Podzwoimy razem.

I tak, planując najsmutniejszą imprezę mojego życia, docieramy wreszcie do domu. Na kolanach mam gęsto zapisaną kartkę z długą listą rzeczy do załatwienia. Przypomina to nieco organizację ślubu, z tą różnicą, że radość ktoś zamienił w żalobę, a na przygotowania mam

nie rok, lecz kilka dni.

Żegnam Magdę przed furtką i dziękuję za oferowaną pomoc wtaszczenia walizek do środka. Chcę przekroczyć próg naszego mieszkania sama i poczuć ciszę. Muszę samodzielnie pokonać strach przed samotnością i zmierzyć się z demonami przeszłości, a może właśnie przyszłości.

Wlokę bagaż przed drzwi wejściowe i nerwowo szukam kluczy w wypchanej różnego rodzaju śmieciami torebce. Cholera, nie rozumiem, jak to się dzieje, że w najmniejszej torebce potrafimy upchnąć pół świata, a następnie wiecznie w nim błądzić. Udaje mi się wymacać puderniczkę, długopis, kredkę do powiek i tusz, przez dłuższą chwilę analizuję miękkość trzymanego w dłoni materiału, by odkryć, że to podróżny woreczek z lekami, następnie trafiam na maleńką kopertę z herbatą, paczkę zapalek (skąd się tu wzięły, nie mam pojęcia, przecież nie palę, jeszcze nie) i wreszcie z ulgą moje palce chwytają za metalowy łańcuszek, jak zgaduję, breloczka od kluczy. Łańcuszek jest jednak zdumiewająco długi i ostatecznie okazuje się, że należy do portfela. Czuję, jak panika zakrada mi się do głowy, i przypominam sobie, że klucze przed wyjazdem zostawiłam u Magdy, a mieszkanie zamykał Bartek. Gdzie mógł schować klucze, nie potrafię zgadnąć. Uświadamiam sobie, że nie odzyskałam żadnych rzeczy, z komórkami włącznie, które należały do mojego męża

i Jaśka. Co teraz? Klara niecierpliwi się coraz bardziej, bo natychmiast musi skorzystać z toalety.

Zaczynam przeszukiwanie od małej walizki z nadzieją, że nieszczęsne klucze zaplątały się między aparatami i laptopami. I faktycznie, znajduję je wreszcie w małej wewnętrznej kieszonce. Z ulgą wkładam zębatą blaszkę w otwór zamka i niepewnie otwieram coś, co do niedawna było szczęśliwym domem. Wyłączam migający czerwonymi diodami alarm i przepuszczam małą, by mogła biec do toalety. Nasz dom, jak zwykle po wyjeździe, wydaje się większy i ładniejszy, niż go zapamiętałam. Z tą tylko różnicą, że tym razem przytłacza mnie kubaturą i wydaje się ogłuszająco cichy. Otwieram okna, usiłując wpuścić nieco życia i dźwięków. Radosne ćwierkanie ptaków wydaje się niestosowne, ale nie mam odwagi zagłuszać go muzyką. Zresztą, czego miałabym słuchać?

Nalewam nam po szklance wody i otwieram pustą lodówkę. Złośliwe życie kiwa z niej na mnie kościstym paluchem i chichocząc, daje do zrozumienia, że muszę się zająć przyziemnymi sprawami, a nie bólem. Niepewnie wchodzę po szerokich drewnianych schodach na piętro i zaglądam do naszej sypialni. Zaścielone białą kapą i stylowymi, spuchniętymi puchem poduszkami łóżko stoi tak, jak je zostawiliśmy, nieświadome, że jeden z lokatorów wymeldował się na zawsze. Podchodzę do poduszki Bartka i wtulam w nią twarz. Nie czuję nic

poza lawendowym aromatem płynu do płukania. Zapach mojego męża uleciał i zniknął jak on sam.

Podobną pustką i bezradnością wita mnie pokój Jaśka, gdzie obok kanapy leży zakurzona po dwóch tygodniach nieobecności gitara, na której już nikt nie zagra. Impulsywnie podejmuję decyzję, że zamiast wieńca na trumnie położę właśnie ją, przybraną jednym dużym kwiatem. Klara radośnie dopadła swojego pokoju i rozłożonych w nim pluszaków, co daje mi możliwość wydobycia z siebie bezgłośnego krzyku, który na nowo budzi płacz.

Obie bierzemy prysznic, zmywając z siebie pył z podróży, i włączmy się do garażu z czarnym lnianym koszem na zakupy. Ze zdziwieniem odkrywam, że mam luksus wyboru między dwoma samochodami: swoim i nowym sportowym autem Bartka, którego nie pozwalał mi prowadzić, w obawie, że go przytrę albo pobrudzę. Wsiadam do mojej ulubionej hondy i zastanawiam się, co zrobię z drugim autem. Nigdy nie sprzedawałam samochodu, zawsze zajmował się tym mój mąż. Ta myśl uświadamia mi również, że nigdy nie płaciłam żadnych rachunków, za gaz, prąd, wodę. Nie mam pojęcia, gdzie są, czy są zapłacone i, co gorsza, nie wiem, czy mam jakieś pieniądze.

Boże, nie mam też namiarów na fachowca od wiecznie psującego się pieca, ogrodnika ani faceta, który regularnie przywozi nam drewno do kominka. Nie wiem,

jak wyregulować piec, by grzał zimą, nie wiem, jak podłączyć odłączone przed wyjazdem telewizor i odtwarzacz DVD. Nie wiem kompletnie nic. Niespodziewanie odkrywam, że jedyne sprzęty, które mnie słuchają, to pralka, kuchenka i deska do prasowania. Mimo narastającej paniki staram się spokojnie, coraz głębiej oddychać i radosnym głosem pytam małą:

– To co, jedziemy do sklepu? Powiedz, na co masz ochotę. Co zrobimy do jedzenia?

– Nie jestem głodna...

Zaczyna się klasyczne marudzenie, przez które muszę powolutku z empatią przebrnąć, choć miałabym ochotę wrzeszczeć.

– Może teraz nie jesteś głodna, ale za chwilę będziesz. Pomyśl, co możemy ugotować. Może rosół albo zupę pomidorową? – podsuwam do wyboru jej ulubione potrawy.

– Nie, chyba nie.

– To może ziemniaczki z jajkiem sadzonym i na przykład kalafior?

– Nie, nie lubię jajka.

I tak na długim odcinku od domu do sklepu nie udaje się ustalić menu na najbliższe posiłki. Ładuję do koszyka na chybił trafił, co mi wpadnie w rękę: paczki makaronów, ziemniaki, pomidory, nutellę, chipsy, masło... Ku zadowoleniu małej zdrowe miesza się

w moim koszyku z toksycznym i możemy wracać do domu, by dopaść telewizora i obejrzeć na DVD kolejny odcinek historii o wrózkach. Majstruję przy bukiecie kabli i wreszcie po nieznośnie długiej i irytującej chwili udaje mi się rozwiązać zagadkę, co do czego pasuje. I zaraz nerwowo zaczyna się wiercić w mojej kieszeni komórka, na której ekranie pojawia się najbardziej stresujący numer opatrzony hasłem TEŚCIOWA.

– Halo – słyszę w słuchawce, nim zdążę się odezwać.

– Słucham.

– Wróciłyście wreszcie?

– Tak, przed chwilą weszliśmy do domu.

– Szkoda, że nie wpadłaś na pomysł, żeby do nas zadzwonić.

Czuję, jak adrenalina wali mi w skronie, ale usiłuję wydobyć z siebie spokojny ton i wiem, że bez Bartka walka z nimi będzie nierówna.

– Tak jak powiedziałam, dopiero co weszliśmy do domu. W czym mogę pomóc?

– W niczym. To my chcemy pomóc tobie. – Następuje zawieszenie głosu, najprawdopodobniej to luksusowa pauza, podczas której z mojej strony powinno paść „dziękuję”, ale jakoś nie pada, więc teściowa kontynuuje: – Załatwiliśmy już miejsce na cmentarzu w grobowcu ciotki Baranowskiej. Zmieściłaby się tam tylko jedna trumna, więc byliśmy też w krematorium, żeby umówić termin.

Słucham zbaraniała i nie wiem, co powiedzieć. Pani Aleksandra, najprawdopodobniej świadoma wrażenia, jakie wywarła, niestrudzenie wyłuszcza plan na następne dni. Mieszanka pompatyczności i szaleństwa!

– Ustaliliśmy, że pogrzeb będzie w piątek od rana, msza na dziesiątą w kościele, potem nabożeństwo na cmentarzu. Stypę, tylko dla najbliższych, zrobimy u nas w domu. Kwiaty przygotuje pani Mariolka, dwa takie same wieńce, tylko w różnych kolorach. Aha, i wybraliśmy też z ojcem urny, musisz zobaczyć, czy ci się spodobają.

O, proszę, też mam coś do powiedzenia. Wiszę na telefonie, zastanawiając się, czy nim rzucić czy nie. Wiem, że dyskusja nie ma sensu, więc tak jak lubi teść, w krótkich żołnierskich słowach tłumaczę teściowej mój punkt widzenia, starając się stworzyć wrażenie, że rzecz nie podlega dyskusji.

– Dziękuję za troskę, ale pogrzeb będzie możliwy dopiero w przyszłym tygodniu.

– Jak to w przyszłym tygodniu? Dlaczego? – niecierpliwie przerywa mi teściowa. – Powinno się dokonać pochówku przed niedzielą, nie wiesz o tym?

– Wiem, ale ciała przylecą dopiero w poniedziałek.

– No wiesz, nawet tego nie umiałaś zorganizować? Wszystko przygotowaliśmy, ty miałaś się zająć tym tylko, i proszę...

Mówi tak, jakbyśmy organizowały razem bal

charytatywny, a nie pogrzeb jej syna! Zaczynam być nie tylko zdenerwowana, ale i zniesmaczona.

– Takie są procedury, nie przeskoczmy ich. I jeszcze jedno, Bartek nie chciał być pochowany w rodzinnym grobowcu, więc nie będzie.

– Przesadzasz. Tak będzie najwygodniej dla wszystkich.

– Zdaje się, że tu nie chodzi o wygodę, tylko o wolę mojego męża. Pogrzeb odbędzie się na naszym małym cmentarzu. Jak tylko ustalę datę i godzinę, powiadomię teściów.

– To był nasz syn i też mamy prawo decydować! – krzyczy mi w ucho starsza pani.

– Owszem, ale to są przede wszystkim mój mąż i mój syn i to ja podejmę decyzję.

– Jesteś bezczelna.

– Być może. Co do kwiatów, to już je zamówiłam – kłamię jak z nut. – Urny też wybrałam. Ale oczywiście wieńce od teściów położymy na honorowym miejscu.

– A co ze stypą? Też wszystko zaplanowałaś? – pyta z ironią w głosie teściowa.

– Nie, nie wiem nawet, czy ją zrobię.

– Stypa musi być bezwzględnie. W takim razie ja ją przygotuję. – I rozłącza się bez „do widzenia”.

Jasne! Musi być spotkanie po pogrzebie, żeby każdy mógł jej złożyć kondolencje i współczuć z powodu straty syna. Oczywiście mało kto będzie w tym dniu pamiętał

o ich toksycznych relacjach.

Nie muszę długo czekać na kolejny telefon. Aparat zaczyna wibrować w mojej dłoni, nim zdążyłam odłożyć go na blat w kuchni.

– Słucham.

Tym razem w głośniczku słyszę wyraźny głos Wojciecha – brata Bartka – i stłumione podniesione głosy teściów w tle.

– To ja, Wojciech.

– Witaj.

– Słuchaj, dzwonię, bo nie życzę sobie, żebyś tak traktowała rodziców. Musisz zrozumieć, jak oni cierpią.

– To ty słuchaj! I to ja sobie nie życzę, żebyście się wpięprzali w moje życie. A tak na marginesie, jakbyś nie zauważył, straciłam męża i dziecko, więc mnie nie prowokuj, bo mam znacznie obniżony próg tolerancji.

– Jesteś bezczelna.

– I dlatego powiem ci coś jeszcze. Twoi starzy nigdy nie mieli czasu dla Bartka ani dla nas, nigdy się nami nie interesowali, bo byli zajęci tobą i twoją karierą. Więc nie opowiadaj, że tak bardzo cierpią po stracie wnuka, bo praktycznie go nie znali, albo po stracie syna, bo stracili go lata temu. Zawiadomię was o pogrzebie. Cześć.

Rzucam słuchawkę i osuwam się na zimne kuchenne płytki. Nie wiem, czy płacę ze złości czy z bezradności. Telefon znowu zaczyna wygrywać melodyjkę, ale nie mam zamiaru go odbierać. Nie wiem, jak długo tkwię

w tej pozycji ani ile razy odzywa się dzwonek telefonu. W końcu z letargu wyrywa mnie głodna Klara, która penetrując lodówkę i kosz z zakupami, domaga się paczki chipsów.

Robię małą kolację, sama zmuszam się do przełknięcia kanapki z żytniego chleba i mam nadzieję, że zaraz zakończy się ten koszmarny dzień. Gdy kładę córkę do łóżka w naszej sypialni, rozlega się dzwonek do drzwi. W obawie, że to może teściowie, nie podchodzę nawet do okna, usiłując przeczekać w ciszy to anonimowe dobijanie się. Niestety dzwonek jest coraz bardziej natarczywy, spotęgowany melodyjką telefonu, która dołącza do kakofonii dźwięków. Wiem, że nie wygram z hałasem, więc wściekła zbiegam po schodach i dopadam domofonu.

– Słucham – rzucam wrogo w przestrzeń.

– Jezu, żyjesz.

– Magda, to ty?

– A kto inny? Otwieraj te cholerne drzwi, bo tak chce mi się siku, że zaraz nie wytrzymam.

Magda, ze swoimi fizjologicznymi potrzebami, wnosi do domu powiew normalności. Biegnę do Muchomorka i upewniam się, że nic mu nie brakuje. Mała jest tak zmęczona, że mamrocze coś na granicy jawy i snu.

– Nina, co się z tobą działo? Kurde, dzwoniłam i dzwoniłam, myślałam, że coś się stało. Ale mnie

wystraszyłaś.

– Przepraszam, nie chciałam. Jestem po dwóch nieprzyjemnych rozmowach telefonicznych z teściami i Wojtkiem, rzuciłam telefon, bo myślałam, że to znowu oni.

Wyjmuję z lodówki przyjemnie schłodzonego szampana, którego z Bartkiem trzymaliśmy na szczególną okazję. Ponieważ już wiem, że taki dzień nie nadejdzie, bez wyrzutów postanawiam go otworzyć.

– Możesz wypić lampkę? – pytam na wszelki wypadek, bo pijąca Magda nijak nie wsiądzie do samochodu.

– Jasne, że mogę. Przyjechałam taksówką i mam zamiar spędzić tu noc, no chyba że mnie wyrzucisz.

– No coś ty, super. – Naprawdę cieszę się, że nie będę sama.

– Aha, zapomniałam. Wiesz, że masz otwartą bramę garażową?

– Nie, oczywiście, że nie wiem. Gdy wchodziłam do domu, zadzwonił telefon i musiałam o niej zapomnieć.

Biegnę zamknąć garaż i po chwili z ulgą zapadam się bosymi stopami w miękkich poduszkach naszej wielkiej kanapy. Podkurczam nogi i opowiadam Madzi o telefonach teściów, o tym, że nic nie wiem o domu i jak sobie poradzę. Przypominam sobie o mojej knajpce i niepokój jeszcze większym cieniem kładzie się na sercu.

– Boże, Magda, nie wiem, co teraz zrobię. Bartek utrzymywał dom, moja knajpa to pic na wodę, nie zarabia nawet na waciki. Nic nie wiem o rachunkach, nie mam pojęcia, jak wygląda prowadzenie firmy Bartka i w jakiej jest kondycji.

– Dasz radę.

– Boję się, że nie. Chyba będę musiała sprzedać dom. Nie będę miała środków, żeby go utrzymać.

– Nina, skup się najpierw na pogrzebie i na Klarze, potem ogarniemy resztę.

– Czy ty wiesz, że ja chyba nie mam dostępu do naszych pieniędzy? Nie wiem, jak zapłacę za pogrzeb.

– Idź jutro do banku i się zorientuj. Rozmawiałam już z Krzychem, jakby co, to pożyczymy ci kasę.

– Jesteś wielka, dzięki, ale wiesz, że głupio mi pożyczać.

– Nie pożyczasz na ciuchy, tylko jest taka popieprzona sytuacja, że trzeba sobie pomagać, i tyle. A zmieniając temat, ustaliłaś coś z teściową co do stypy?

– W zasadzie nic poza tym, że ona chce ją urządzić we własnym domu tylko dla najbliższej rodziny. Nigdy nie byłam tam mile widziana, więc trudno mi będzie przekroczyć próg. Zresztą nie jestem gotowa na tak smutne spotkanie.

– OK, tylko co ona rozumie przez najbliższą rodzinę? Z tego, co pamiętam, to Bart raczej nie utrzymywał kontaktu z tak zwaną rodziną.

– I tu jest problem.

– To może zaprosz przyjaciół do siebie albo do knajpki i już. Pooglądamy zdjęcia, powspominamy, napijemy się wina... myślę, że chłopaki chciałyby mieć takie pożegnanie bardziej w nastroju radości niż smutku. Dla Klary tak chyba też będzie lepiej.

– Może masz rację. Muszę to przemyśleć.

Rano żadnej z nas zdecydowanie nie chce się wstawać. W domu zapanował iście babski chaos, w którym potykamy się o siebie w walce o lepszą perspektywę w lustrze i pierwszą filiżankę czarnej kawy. Po raz pierwszy od śmierci chłopaków dzień zaczyna się w może nie radosnej, ale na pewno pozytywnej atmosferze. Magda swoją paplaniną i pomysłami mobilizuje nas do działania i wyciąga z domu na zakupy. Muszę kupić Klarze czarną sukienkę i lakierowane czarne buciki, czarną aksamitkę do włosów, przy okazji niestrudzona Magda wygrzebuje w jednym z butików czarną opaskę z jeszcze czarniejszym tiulem, pod którym będę mogła schować twarz. Z zaskoczeniem odkrywam, że mam siłę wybrać i zamówić z obszernego katalogu dwie takie same urny, umówić się z księdzem na spotkanie i wreszcie zadzwonić do teściów z informacją o dacie, godzinie i miejscu pogrzebu. Zresztą przez kolejne pół dnia zawiadamiam wszystkich przyjaciół, znajomych i rodzinę. Kończę na telefonie do Barcelony,

który okazuje się najbardziej emocjonalny, a ludzie po drugiej stronie wydają mi się niezwykle bliscy.

Dni, podobne do siebie jak krople wody, do smutnej środowowej uroczystości pędzą jeden za drugim niczym biegnąca przez las wataha wilków, wydeptujących łapami ślad po śladzie. Nie wiem, czy jestem gotowa na mszę i spotkanie z teściami, ale wiem, że jest to nieodwołalna sytuacja, przez którą muszę przebrnąć.

Niezastąpiona w pomysłowości i trosce Magda umawia nas na wizytę z psychologiem i psychiatrą w jednej osobie. Idę na spotkanie, z góry zakładając jego bezcelowość. Trudno mi uwierzyć, że małe jak pchełki pastylki mogą mieć jakiś wpływ na moje samopoczucie. Jestem w stanie przyjąć, że pomogą mi zasnąć, przy okazji prawdopodobnie uzależniając na całe życie, ale nic ponadto. Szara jak mysz lekarka, cała w wełnianym wdzianku i z koczką na głowie, przywodzi mi na myśl raczej gałgankową lalkę niż empatyczną panią doktor, której miałabym zaufać. Unikam takich przykurzonych postaci, bo poza własną traumą i problemami nie niosą nic.

Jednak po krótkiej rozmowie i trafionych obiektywnych pytaniach jestem miło zaskoczona. Lekarka, która nie dość, że okazuje się niezwykle ciepłą osobą, to jeszcze ma nienachalne poczucie humoru i dystans do siebie. Wychodzę z gabinetu zaopatrzona w receptę i wizytówkę z jej prywatnym numerem

telefonu, niesiona wiarą, że moją złą energię mogę albo przekuć na dobrą, albo przynajmniej wygłuszyć. Wbrew wcześniejszym postanowieniom wykupuję leki w pobliskiej aptece i pierwszą pastylkę łykam na miejscu, popijając lodowatą wodą ze stojącego przy ladzie dystrybutora.

Godziny dynamicznie zmieniające się na tarczy zegara nieubłaganie przybliżają nas do najgorszej chwili w życiu. Przerywane jedynie codziennymi rutynowymi obowiązkami i nielicznymi telefonami znajomych. Ludzie boją się śmierci i nie wiedzą, jak się zachować w jej obliczu: dzwonić czy nie, co powiedzieć, może będę czegoś potrzebować... i zapewne w obawie, że mogę ich o to poprosić, milczą. Niezawodna w ocenie sytuacji jest moja siostra. Dzwoni niespodziewanie wcześnie rano, bynajmniej nie po to, by złożyć kondolencje. Zresztą sama nie wiem po co.

– Cześć, Nina. Słyszałam, co się stało.

– Yhm.

– Teraz widzisz, jak to jest, kiedy zostajesz sama.

Nie wierzę w to, co słyszę.

– Tylko że to nie był mój wybór.

– To nie ma znaczenia. Jestem ciekawa, czy skorzystasz z rad, które mi dawałaś.

– Zośka, po co właściwie dzwonicz? Czego ty ode mnie chcesz?

– Niczego. Chcę ci tylko powiedzieć, że niestety nie

mogę przyjechać na pogrzeb. Mam spotkanie...

– Nie ma sprawy, cześć.

Przerywam bezsensowną wymianę zdań. Nie jestem zainteresowana jej tłumaczeniem ani tym, z kim się spotyka, nie będzie mi też jej brakować. Zastanawiam się tylko, ile takich rozmów przede mną i ile osób o mnie zapomni. Ale to nie ma znaczenia.

Wstaję wcześniej rano, biorę prysznic. Nie mogę uwierzyć, że nadszedł dzień, który chciałabym wymazać. Na śniadanie nie jestem w stanie przełknąć najmniejszego kęsa. Znieczulam żołądek gorzką mocną kawą, a jednocześnie pobudzam nią sparaliżowany strachem i stremowany spotkaniem z rodziną umysł. Zgodnie z zaleceniem wełnianej pani doktor zażywam podwójną dawkę leków i powoli zaczynam wchodzić na od tygodnia prowadzące donikąd tory. Drżącymi rękoma układam wymodelowane przez fryzjera włosy, nakładam dyskretny makijaż, dodając twarzy animuszu grubą warstwą różu. Moje opalone ciało otula się aromatycznym, ulubionym przez Bartka balsamem i pozwala się wbić w ołówkową czarną sukienkę. W zasadzie tak schudłam przez ostatnie dni, że przez dłuższy czas nie będę musiała „wbijać się” w żaden ciuch z mojej szafy, raczej powinnam kupić szpulę gumy i ujarzmić nią niesforne ubrania. Moje ulubione wysokie, cieliste szpilki stawiam u szczytu schodów i na bosy idę do pokoju Klary.

Unoszę nieprzepuszczające światła brązowe rolety i wpuszczam do jej pokoiku wierzące się i niespokojnie

przeskakujące z mebla na mebel promienie słońca. Mała momentalnie kręci się w swojej pościeli w różyczki i rozkosznie przeciąga. Jej okrągły i jeszcze dziecięcy brzusek wyskakuje spod zapinanej na cztery guziczki różowej piżamki i słodko zaprasza do pieśczoły. Budzę małą łaskotkami i całuskiem w wystający pępek. To mógłby być idealny letni dzień. Zamiast w krótkie spodenki ubieram Klarę w czarną prostą sukienkę delikatnie marszczoną w wysokim stanie, wspólnymi siłami wciskamy jej drobne stopy w czarne kolanówki i wreszcie lakierki. Długie, puszyste włosy małej przewiążuję czarną szeroką aksamitką i gdyby nie okazja, która zmusiła nas do takiego wystrojenia się z samego rana, byłabym zachwycona naszymi odbiciami w lustrze.

Wlewam w Klarę syrop uspokajający, tak na wszelki wypadek. Nie wiem, ile dociera do mojego dziecka z perspektywy nadchodzących godzin. Cieszy się na spotkanie z dawno niewidzianymi krewnymi, a jednocześnie płacze na myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy taty i brata.

Zakładając tiulową opaskę na moje posłuszne lakierowi włosy, czuję, jak potężny kamień przygniata mi plecy. Wkładam buty, zabieram czekające w korytarzu dwa bukietiki czarnych tulipanów i schodzę do garażu. Odrzuciłam propozycję Magdy, że po mnie przyjedzie, więc teraz zaciskam dłonie na skórzanej

kierownicy i skupiając się na drodze, usiłuję opanować strach. Czuję, że w tym dniu muszę być samodzielna i niezależna. Sama muszę się zmierzyć z nadchodzącą chwilą i spotkaniem twarzą w twarz z bliskimi, z tymi, którym tylko się wydaje, że nimi są, i z ciekawskimi obcymi.

Leki cudownie koją panikę rozsianą w tętnicach i łagodzą roztrzęsienie. Jestem tak opanowana, że nie mogę uwierzyć w możliwość osiągnięcia takiego stanu przez kogoś, kto zaledwie kilka dni temu stracił wszystko. A jednak.

Dojeżdżam do kościoła jako jedna z pierwszych, co daje nam bezcenny komfort przywitania się tylko z nielicznymi znajomymi i ciotkami. Siadamy z Klarą w pierwszej ławce i pogrążamy się w zadumie. Mała jest jak sparaliżowana na widok zdjęć, które przewijają się na białym ekranie rozpostartym nieopodal ambony. Spoglądają z niego roześmiane twarze Jaśka i Bartka z ubiegłorocznych wakacji, selfie z wymarzonego pobytu na stadionie w Barcelonie, nasze twarze uchwycone o zachodzie słońca nad morzem, Bartek w pracy, Jasiek na wakacjach, z kumplami w szkole, z Klarą na placu zabaw. Są tak bardzo obecni, że mam wrażenie, że zaraz wejdą i zajmą miejsca na starej drewnianej ławce obok nas.

Tymczasem mój wzrok wędruje w kierunku dwóch katafalków, na których ustawiono proste drewniane

trumny. Skremowane ciała, a w zasadzie pył, który z nich pozostał, spoczywają w nich złożone w czarnych urnach. Wyśmiewane przeze mnie życzenie mojego męża wypowiedane wielokrotnie w beztroskie wieczory przy lampce wina sączonego na tarasie: „Sproszkuj mnie, ale wpakuj do trumny” – ziściło się jak zła wróżba i stało się możliwe do zrealizowania, po kilku trudnych i formalnych dyskusjach z księżmi.

Pamiętam, jak zazwyczaj odpowiadałam:

– OK, sproszkuję, ale lekko mieć nie będziesz, postawię cię na kominku. A ponieważ gzymsy kazałeś zrobić tak wąski, właduję cię w ramkę tandetnego olejowego obrazka znad morza i będę cię obracać co rusz jak klepsydrę.

Odpowiedź, pełna śmiechu i przekory, była zawsze taka sama:

– Nawet po śmierci nie dasz mi spokoju.

Niemal słyszę głos Bartka i uświadamiam sobie, że już nigdy się z nim nie pokłócę, nie poczuję jego dotyku, a wieczory na tarasie też już nigdy nie będą takie same. Przy nim nie bałam się ciemności i byłam bezpieczna.

Na gładkiej trumnie Jaśka spoczywa jego ulubiona gitara klasyczna przewiązana girlandą kwiatów otulającą gryf i spływającą kaskadą wstążek aż na posadzkę, natomiast na trumnie Bartka leży okazały wieniec z czarnych kwiatów, które niesamowicie kontrastują z żywą zielenią liści.

Jesteśmy jak nieznajomi w środku nocy. Mijamy się w mroku: wy tam, ja tu. I choć teraz dzieli nas ciemność, to każda godzina przybliża mnie do śmierci i pójścia za wami.

Obejmuję Klarę i przyciągam do siebie. Mała przywiera do mnie drobnym ciałem i zamiera wpatrzona w zdjęcie.

W kościele panuje coraz większy gwar, który zapowiada rychłe rozpoczęcie nabożeństwa. Nie odwracam się i nie patrzę na nikogo z przybyłych. Mój wzrok, umysł i serce zogniskowane są na czymś innym. Cieszę się, że mszę odprawia nasz zaprzyjaźniony ksiądz, który specjalnie przyjechał z drugiego końca Polski, a nadęty proboszcz tylko mu towarzyszy i zastygła w bólu jedynie to rejestruję z całej ceremonii. Modłę się, a właściwie intensywnie wpatruję w dziury po kornikach na moim klęczniku i jest mi wszystko jedno. Ksiądz coś mówi, ludzie wstają i siadają, śpiewają i milczą, bez skrepowania przyglądają się mojej twarzy, gdy w pozornym skupieniu wracają na miejsca po przyjęciu komunii. Jak automat naśladuję ich ruchy i czekam na najgorszy moment rzucenia grudki ziemi na opuszczane do dołu drewniane skrzynie.

Czuję się, jakbym sama umierała. Przed oczami przesuwiają się obrazy z naszych wspólnych dni. Babcia zawsze powtarzała, że przyjdzie taki moment, że życie przemknie mi przed oczami, więc mam zrobić wszystko,

by było warte obejrzenia. Czy to znaczy, że umieram? Życie z Bartkiem, Jaśkiem i Klarą było warte wszystkiego, szkoda, że nie miało szansy stać się nudnym tasiemcowym serialem. Mieliśmy przecież być razem aż po dwie sztuczne szczęki, okulary ze szklami jak denka butelek i metalowe balkoniki na kółkach.

Niechętnie ożywiam się tylko na chwilę, gdy po mszy zabiera głos Wojciech. Nie wierzę własnym uszom, gdy słyszę opowiadane przez niego dyrdymały: o szczęśliwym dzieciństwie, łączącej ich więzi, bólu matki i ojca, którzy tracą syna i wnuka. Rozpędzony jak pendolino opowiada o pustych miejscach przy wigilijnym stole, nie wspominając, że ostatnia, a w zasadzie jedyna, i to ocierająca się o katastrofę, wspólna Wigilia odbyła się rok po naszym ślubie. Trzeba przyznać, że chłopak, jak na prawnika przystało, ma gadane i skutecznie wyciska coraz obfitsze łzy z oczu teściowej i wtórujących jej zebranych.

Wreszcie, w oprawie rzewnej melodii, wychodzimy z kaplicy i prowadzeni przez księdza zmierzamy krętymi alejkami piaszczystego cmentarza ku widocznemu z daleka czarnemu namiotowi. W jego cieniu skrywa się wielka dziura przygotowana na przygarnięcie dwóch zgasłych istnień. Depcząc pobliskie płyty nagrobne i starannie wygrabione wąskie ścieżki, wszyscy przepychają się ku przodowi, zupełnie jakby było co oglądać. Czuję napierające na mnie ciała, które nie tylko

naruszają przestrzeń osobistą, ale też sprawiają, że zaczynam się obawiać ześlizgnięcia do dołu.

Najbardziej koszmarny i uświadamiający nieodwracalność śmierci jest moment spuszczenia drewnianych skrzyń w otchłań ziemi. Na trumnie Jaśka nadal spoczywa gitara i jej widok potęguje cierpienie. Wiem, że Klara będzie nosiła ten obraz w sobie przez całe życie. Dzieci nie powinny doświadczać takiej straty. Bóg nie powinien zabierać dzieci.

Wreszcie nadchodzi TEN moment. Czuję się, jakbym brała udział w dramacie jednego aktora. Powoli się pochylam i z paniką usiłuję wypatrzeć odpowiednią grudkę ziemi. Nie mogę się zdecydować, a gdy wreszcie podejmuję decyzję i zaciskam palce na suchym piasku, niespodziewanie słyszę głuchy łoskot spadającej ziemi.

Podnoszę zdziwiony wzrok i napotykam pełne zadowolenia spojrzenie teściowej, która właśnie pokazała, że jest najważniejsza. Stoję osłupiała z piaskiem w dłoni i patrzę, jak teść szybkim i zdecydowanym ruchem sięga po kolejną porcję kamyczków i zamasyście rzuca je tak, że jednocześnie obsypują obie trumny. Niestety pochyla się zbyt gwałtownie, nieznacznie traci równowagę i żeby ją odzyskać, kolejny raz jest zmuszony się pochylić. W tym momencie z górnej kieszeni jego marynarki wysuwa się telefon i lotem ślizgowym wpada do grobu. Na ułamek sekundy zatrzymuje się na napotkanej nierówności,

a następnie płynnie wsuwa w szczelinę i łąduje pod trumną Bartosza. Zamieram. Zamiera ksiądz, skonfundowany teść i wszyscy zgromadzeni. Jak na ironię, czarna galaxya zaczyna dzwonić i wszyscy nieruchomiejemy z podwójną gorliwością. Wreszcie włącza się poczta i nieznośnie radosny dźwięk dzwonka cichnie. Najbardziej osłupiały jest teść, który prawdopodobnie oczekuje, że trumna zostanie ponownie wyciągnięta, a ktoś równie szalony jak on wskoczy do dołu i odzyska urządzenie.

Ksiądz, który niejedno już widział, udzielając różnych sakramentów, jak gdyby nigdy nic kontynuuje modlitwę i jeszcze raz święci trumnę. Pochyliam się i rzucam ciągle ścisiskaną w dłoni moją pierwszą grudkę ziemi, Klara ciska bukieciki czarnych kwiatków i lepкими rączkami obejmuje mnie za nogę.

Stoimy jak słup podparty słupem. Klara nie puszcza mojej nogi, więc kucam i mocno ją przytulam. Jesteśmy same w tłumie ludzi składających kwiaty. Podchodzi do mnie Magda i obejmuje ramieniem. Trwamy w ciszy, która tak naprawdę zawładnie mną dopiero po powrocie do domu. Boję się pustki i milczenia. Niezastąpiony i niemający sobie równych w publicznych wystąpieniach Wojtek w imieniu rodziny zaprasza tylko, wielkimi literami i boldem, TYLKO najbliższą rodzinę do domu rodzinnego na obiad. Nie czuję się częścią ich rodziny, więc nie wiem, co mam z sobą począć, zresztą nikt

z nich do mnie nie podchodzi ani na mnie nie patrzy. Spoglądam na naszych przyjaciół i znajomych, panicznie nie chcę zostać sama. Nie wiem, kiedy słowa same wypływają z moich ust:

– A ja zapraszam wszystkich przyjaciół i znajomych na lampkę wina do naszego domu.

Widzę konsternację wśród obecnych i oszołomienie ciotek. Jest mi obojętne, co sobie myślą, wiem, że postępuję słusznie. Kurtuazyjnie podchodzę pożegnać się z teściami i ich krewnymi, Wojtek robi wszystko, żeby mnie nie dostrzec. Wreszcie w towarzystwie Magdy i jej męża Krzyśka jedziemy do domu. Zastanawiam się, kto do nas dołączy.

Niespodziewanie Klara ożywia się w sposób nieadekwatny do miejsca, w którym się znajdujemy, i szarpie mnie za rękę.

– Mamo, mam, widziałaś?

– Klara, przestań wreszcie mnie szarpać. Co miałam widzieć?

– Angelę, tam. – Wskazuje paluszką w kierunku trzech zwartych i wrośniętych w siebie starych cisów, które toczą nierówną walkę o słońce z napierającą na nie wielką płytą nagrobną.

Zamieram. Nie wiem, czy dobrze widzę, ale mam wrażenie, że to faktycznie Angela. Co ona tu robi? Sama? Niemożliwe. W tej samej chwili zza iglastej zieleni wysuwają się Fernanda i Agustin. Klara porzuca

moje sparaliżowane ciało i szczęśliwa jak szczypiołek na wiosnę, pod obstrzałem wrogich spojrzeń rodziny, która zupełnie nie rozumie jej zachowania, biegnie do wakacyjnej przyjaciółki, tak bardzo chciałabym pomyśleć – dziewczyny Jaśka. Mój mózg musi przez dłuższą chwilę analizować to, co widzą oczy, które na ten widok zaczynają w nadmiarze wyrzucać z siebie słoną ciecz. Wspomnienie wypadku staje mi przed oczami i tamte dramatyczne wydarzenia ożywają na nowo.

Na sztywnych nogach podchodzę do Hiszpanów i wylewnie się z nimi witam. Są przybici i wzruszeni, a jednocześnie nie bardzo potrafią się odnaleźć w tej jakże obcej dla nich rzeczywistości. Angela jest połową dawnej siebie. Pięknie opalona skóra opina sterczące z jej niegdyś apetycznego ciała kości. Przyglądam się wystającym kolanom, łokciom, przebijającym spod sukienki obojczykom, i dopiero teraz uświadamiam sobie, ile dla niej znaczył Jasiek. Nasze życia połączyły się w dwóch dramatach i tak będziemy trwały w przeplatających się wspomnieniach naszych największych miłości.

– Boże, nie wierzę, że was widzę. Dziękuję, że przylecieliście. Naprawdę się nie spodziewałam.

– Angela na nas naciskała i nie mówiła o niczym innym. Chciała pożegnać Jaśka, a my też czuliśmy potrzebę bycia z wami.

– Jesteście niesamowici, jeszcze raz dziękuję. Słuchajcie, gdzie się zatrzymaliście? Od kiedy w ogóle tu jesteście?

– Przylecieliśmy dziś rano, tak się szczęśliwie złożyło, że akurat był bezpośredni lot, a mieszkamy w jakimś hotelu w centrum.

– Nie ma mowy, żebyście tam zostali. Zabieram was do siebie.

– Nino, to miłe, ale nami się nie zajmuj, masz teraz tyle na głowie, a my sobie poradzimy.

– W żadnym wypadku. Obrażę się, jeśli zamieszkacie gdzie indziej. Zresztą, wbrew pozorom, zaraz wszyscy się rozejdą i zostaną sama. A nie chcę być sama. Zróbcie to dla mnie, proszę.

Mówię coraz ciszej i żywię coraz większą obawę przed tymi słowami, które są zapowiedzią samotności, z jaką będę musiała się zmierzyć. Krzychu, mąż Magdy, jedzie z Agustinem do hotelu po bagaże, a my wracamy do domu.

Okazuje się, że w mieszkaniu pojawia się jakieś trzydzieści osób. Początkowo atmosfera jest sztywna i w zasadzie nikt z nas nie wie, jak się zachować. Z głośników sący się cicho muzyka, a wino zaczyna nas rozluźniać.

Fernandę lokuję w pokoju gościnnym i cieszę się, że po chwili dołącza do moich przyjaciół, tak jakby należała do naszej paczki od lat. Z bijącym sercem

pokazuję Angeli pokój Jaśka, a ona wchodzi do niego jak do uświęconej ciszą starej kaplicy. Z uwagą przygląda się pozawieszanym na ścianach plakatom i gitarom, biurku, na którym leżą sterty książek poukładanych ręką mojego syna w nierówne stosiki. W końcu jej wzrok spoczywa na wielkim drewnianym łóżku i miękkim wiklinowym fotelu wyściełanym białymi poduchami.

– Czy mogłabym tu spać? – pyta cicho i niepewnie.

– Oczywiście, jeśli tylko masz ochotę. Pościel jest zmieniona, więc czuj się jak u siebie.

– Wie pani, że tak sobie wyobrażałam pokój Janka, dokładnie tak. I pachnie tu nim, zupełnie tak jakby zaraz miał się pojawić.

Dziewczyna, po raz pierwszy od naszego spotkania, zaczyna szlochać. Przytulam ją i głaszczę po ciemnych, skręconych w grube loki włosach. Stoimy tak, skupione na sobie, a mnie dopada świadomość, ile straciłam. Angela mogła być częścią mojej rodziny, a już nigdy nią nie będzie.

Na odgłos płaczu przybiega moja córeczka i ćwierkając ze szczęścia, że znowu ma Angelę dla siebie, w zabawny i naiwnie dziecięcy sposób ją pociesza. Obie znikają w pokoju Klary i zza ściany słyszę kolejne etapy prezentacji jej włości. Schodzę wreszcie do salonu w chwili, gdy do domu wkraczają Agustin z Krzyśkiem. Nastrój jest iście grobowy i każdy spogląda na sąsiada, zapewne w poszukiwaniu

przyzwolenia na to, by już sobie pójść.

– Słuchajcie – przerywam ciężące wszystkim milczenie. – Bartek i Jasiek byliby załamani taką stypą i uznaliby mnie za złą gospodynię. Z pewnością są wśród nas, więc wypijmy za nich. – Wznoszę kieliszek i inni idą w moje ślady. Niespodziewanie wpadam na szalony pomysł. – Wiecie co, wiem, że to głupie, ale zagrajmy w butelkę. Ten, na kogo wypadnie, będzie musiał opowiedzieć jakąś przygodę z Jaśkiem albo Bartem. Co wy na to?

Włączam ulubione kawałki, chciałabym powiedzieć Bartka, ale tak naprawdę moje. Rockowe ballady, potem *Zostań ze mną* Edyty, *Show must go on* Queen, *Always* Bon Joviego, *I wish you were here* Pink Floyd i wreszcie najlepsze *Nothing else matters* Metalliki. Wymruczane przez Jamesa Hetfielda *So close no matter how far*, *Couldn't be much more from the heart* wydają się hymnem tego wieczoru, oswajają nieznośną ciszę i zmieniają grobowiec w niezłą pożegnalną imprezę.

Ku mojemu zaskoczeniu pomysł chytyła i zaczyna się soczyste wspomnianie sukcesów, powodzeń i niepowodzeń, durnych pomysłów i szczęśliwych trafów. Przy okazji wychodzą na jaw małe grzeszki mojego męża, dowiaduję się, skąd się wzięło wgniecenie w moim pierwszym samochodzie, jak zgubił Jaśka na spacerze w lesie i wszyscy go szukali, i takie tam. Zaczynamy się śmiać i odczarowujemy nieobecność

zmarłych. Gdyby ktoś nas podglądał, nie odgadłby intencji tego spotkania.

Wreszcie wszyscy wychodzą. Jest bardzo późno. Klara ślania się na nogach i wiem, że muszę natychmiast położyć ją do łóżka. Szybka kąpiel i lądujemy w jej pełnej aromatów łata sypialni. Głaszczę małą po plecach i szepczę jej słodkie słowa do uszka. Nie wiem kiedy zasypiam wtulona w córeczkę. Niespodziewanie budzę się przestraszona i ścierpnięta w środku ciemnej nocy. Usiłuję cicho się pozbierać i klnę jak szewc, gdy stawiam bosą stopę na rozrzuconych klockach Lego. Jezu, jak to boli. Ogłuszona bólem po omacku trafiam do naszej sypialni. Ups. Mojej sypialni. Od dziś obowiązuje liczba pojedyncza, mój dom, moje problemy, mój samochód, moje dziecko. Próbuję zasnąć, ale niepokój płoszy sen.

Poranek budzi nas wcześniej. Uniesione rolety wpuszczają bardzo wczesne słoneczne promienie, a przez otwarte na oścież okna napływają ptasie nawoływania. Siadam na łóżku. Opuszczam stopy na chłodną, przyjemną w dotyku drewnianą podłogę i nie wiem, co mam z sobą zrobić. Siedzę tak dłuższą chwilę i wreszcie podejmuję decyzję o zaparzeniu mocnej kawy. Wychodzę z nią na budzący się do życia taras i z lubością delektuję się zapachem ogrodu – wilgotnej trawy, rozkładających płatki kwiatów i ziemi. Czuję się

jak po zdaniu egzaminu. Ciężka praca i skupienie przed, kilka chwil emocji i niezapełniona niczym pustka odbierająca moc i chęć działania.

Wreszcie przygotowuję dla wszystkich śniadanie w ogrodzie. Poranna rosa zdążyła już wyschnąć, co zapowiada kolejny upalny dzień. Jeszcze trochę zaspani dołączają do mnie goście. Przez otwarte okna dobiega nas radosny głos Klary, która od samego rana za cel postawiła sobie zamęczenie Angeli. Gdyby nie okoliczności, byłaby to idealna zapowiedź kilku cudownych dni z przyjaciółmi. W zasadzie bardzo się cieszę z tej niespodziewanej wizyty. Po raz kolejny dzięki ich obecności łatwiej mi przetrwać trudne chwile.

Po śniadaniu pakujemy się do samochodu i jedziemy na cmentarz. Z daleka widzę wiechcie byle jak rzuconych kwiatów, które przez kolejne długie chwile usiłujemy uporządkować, wysupłując z płataniny łądyg łebki róż, gerber i lilii. W zasadzie nie wiem, po co to robimy, bo i tak do jutra połowa bukietów zwiędnie i będziemy je wnosić na śmietnik. Jeśli nie wiem, co mam ze sobą zrobić albo jak rozwiązać problem, zaczynam porządkować najbliższą przestrzeń. Zupełnie jakby poukładane porządnie skarpety w szufladach czy powieszony w równych szeregach i posegregowane kolorystycznie koszule miały ułatwić podejmowanie decyzji. Żyję jednak w przekonaniu, że porządek w domu wniesie ład w duszę i ukoi.

Zapalamy znicze i wyruszamy tym razem w kierunku mojej knajpki. Jadę z duszą na ramieniu – nie byłam w niej od naszego powrotu ani razu. Rządziła tam Magda, co mi bardzo odpowiadało, bo zdejmowało ze mnie odpowiedzialność i obowiązek. Wiem, że muszę się zmierzyć z zawodowymi zadaniami w bardzo niedalekiej przyszłości, ale oby jeszcze nie dziś.

Docieramy na miejsce brudni i zmęczeni. Chce nam się pić i nic nie robić. Prowadzę gości do toalety, w której jest żałosna resztką mydła, i to w kostce, a po papierowych ręcznikach nie pozostało nawet wspomnienie. Nie muszę długo się zastanawiać, czy dziewczyny włożyły do pojemnika papier toaletowy, bo spanikowane nawoływanie Angeli z kabiny wyraźnie mówi mi, że nie. Jezu, jaki wstyd! W zasadzie pokazałam im statystyczną polską toaletę, czyli w standardzie bez standardu. Zastanawiam się, co zastanę w kuchni.

Sadzam gości w cieniu pod parasolem utkanym z pnączy na naszym wewnętrznym patio i udaję się w kierunku garów. Okazuje się, że kuchnia jest w miarę ogarnięta, pachnie ziołami i wypiekany ciastem.

- Co tak ładnie pachnie? – pytam spłoszone kelnerki.
- Właśnie pieczemy ciasto.
- A gdzie kuchharze?
- No, nie ma żadnego, wszyscy odeszli, jak pani nie było.

– Więc kto piecze? – nie ukrywam zdziwienia.

– Ja. – Marta niepewnie patrzy w moją stronę. – Pani Magda mnie nauczyła.

– Świetnie, gratulacje. Robicie coś jeszcze samodzielnie?

– Mamy przygotowane sosy i warzywa na sałatki, a pani Magda przychodzi później ugotować dwie zupy.

– Super. Słuchajcie, mam gości i zależy mi na tym, żeby wyszli zadowoleni. Podajcie nam, proszę, wodę z miętą i cytryną i trzy kawy. A kiedy będzie ciasto?

– To za dwadzieścia minut, ale rano upiekliśmy szarlotkę.

– Nie wierzę! Jesteście wielkie. – Widzę, że dziewczyny lekko puchną z dumy, więc kontynuuję zamawianie: – To poprosimy jeszcze pięć szarlotek.

– Z lodami?

– Chętnie, tylko bez tej paskudnej śmietany w spreju.

– Mamy świeżo ubitą, podać?

Cholera, nie wierzę, jakaś rewolucja czy co? Okazuje się, że rzecz, której najbardziej się obawiałam, czyli odejście kucharzy, w szerszej perspektywie jest najlepszym, co mogło mnie spotkać. Nagle zrobiło się spokojniej i personel zgubił gdzieś swoje zadęcie. Chwałę dziewczyny jeszcze raz, po czym zwracam uwagę na braki w toalecie i wreszcie zasiadam z gośćmi.

To ich pierwsza, zresztą wcześniej nieplanowana, wizyta w Polsce i nie mają zielonego pojęcia o naszym

kraju. Obserwując ich niekończące się zdziwienie widokiem kobiet na wysokich obcasach, witryn sklepowych i mijających nas samochodów, mam wrażenie, że nosili w sobie wyobrażenie ludzi w walonkach, kobiet z trójkątnymi chustami na głowach, przemieszczających się wozami drabiniastymi. Z przyjemnością odbieram ich kolejne zachwyty. Po kawie zwiedzamy nasze przepiękne Stare Miasto, pokazuję im farę i katedrę, a na obiedzie lądujemy w uroczej knajpce na przedmieściach, skrytej w cieniu starych parkowych drzew nieopodal murów zamkowych.

– Słuchaj, a jeśli chodzi o kuchnię, to macie coś specjalnego? – Fernanda zatrzymuje się niepewnie co rusz przed witrynami restauracji, zachęcana zdjęciami egzotycznych dla niej dań, i ma wyraźną ochotę na kulinarny eksperyment.

– Jasne. Mamy świetne pierogi.

– Co to jest?

– Coś w rodzaju klusek z różnym nadzieniem: serem, grzybami, kiszoną kapustą, mięsem. Tu nieopodal jest pierogarnia, to zaraz spróbujecie.

– Świetnie, a to się je na zimno, w zupie?

– Nie. Poczekajcie chwilkę, zaraz będziemy na miejscu. Ja osobiście uwielbiam żurek na zakwasie i szare kluchy z ziemniaków, bigos może do was nie przemówić, ale barszcz albo karp w szarym sosie owszem.

– Musimy wszystkiego spróbować, może coś będzie dla nas ciekawą inspiracją.

Dochodzimy wreszcie do północnej pierzei Starego Rynku i zagłębiaamy się w podwórko jednej z kamienic, gdzie w głębi mieści się restauracja Siano i Maliny serwująca typową polską kuchnię.

Zamawiamy starter w postaci dużego zestawu różnych pierogów, które znikają w niezwykłym tempie, zachęcając nas do zamówienia dania głównego.

– Co to jest bigos? – Agustin niebezpiecznie podąża w kierunku egzotyki, która może stać się dla niego niestrawna.

– Kiszona kapusta gotowana z różnymi mięsami, grzybami, suszonymi śliwkami...

– Brzmi interesująco.

– Owszem, ale większości turystów nie smakuje.

– Wiesz, że lubię eksperymentować i mam niestandardowe podniebienie.

– No, niby tak, ale może skusisz się raczej na tataro wołowego.

– Czyli?

– Surowe mięso z surowym jajkiem, cebulką, ogórkiem...

– Żartujesz? To jakaś masakra, jak można to jeść? Nie, zdecydowanie obstaję przy bigosie.

Szczęśliwie Angela, podobnie jak Klara, daje się namówić na szare kluski, z tą różnicą, że moja córka

zamawia je z cebulką i skwarkami, a ona dodatkowo z kiszoną kapustą. Wysoki kelner, ubrany w przyciasny ludowy strój, w robionej na szydełku wełnianej, zielono-granatowej czapce stracha na wróble, która nadaje mu wygląd wiejskiego głupka, z prawdziwym oddaniem i zaangażowaniem stawia przed nami kolejne dania. Między innymi maślankę i kwaśne mleko, które są dla Hiszpanów szczytem egzotyki.

Nieśmiało nalewają sobie po kubeczkowi, a potem po kolejnym i jeszcze jednym. Z przerażeniem myślę o tym, co się wydarzy, gdy kiszona kapusta i bigos spotkają się z maślanką w ich żołądkach i poproszą, nienawykłe do takich frykasów, jelita do tańca.

Nie muszę długo czekać. Agustinowi oczy robią się jak spodki tuż przed podaniem kawy, natomiast Fernanda przeprosza nas na chwilę i odchodzi od stołu w trakcie jej picia. Dziewczynki nie rozumieją, dlaczego tamci długo nie wracają i dlaczego w drodze do domu co rusz zatrzymujemy się na kolejnych stacjach benzynowych.

Goście są wykończeni i chyba nie wyjadą z polską książką kucharską. Choć mówią, że im smakowało i było warto, ja jakoś mam wątpliwości. Wieczorem przekonałam ich, że najlepszym panaceum na problemy żołądkowe jest czysta wódka, więc teraz lekko ululani siedzimy w ogrodzie, gdzie po raz pierwszy bez skrupowania, głośno i wyraźnie, za sprawą alkoholu, płynną angielszczyznę mówię o swoich lękach

i obawach, o depresji i żalu.

Wieczorem po kolacji dajemy się przytulić miękkim poduszkom kanapy i oglądamy zdjęcia z Barcelony, zgrane przez Agustina na twardy dysk, czego sama też nie potrafiłam zrobić i będę musiała się nauczyć. Przeglądamy nasze wakacje dzień po dniu, godzina po godzinie, wspomnienie po wspomnieniu. Angela zgrywa część zdjęć i znowu znika w pokoju Jaśka. Mam wrażenie, że chce nauczyć się go na pamięć, zapamiętać każdy szczegół, wchłonąć zapach i pasję mojego syna. Zakradam się do niej po cichutku i zastaję ją siedzącą po turecku na dywanie. Siadam obok, przytulam do siebie.

– No co tam? Jak sobie radzisz?

– Nie radzę sobie. Wie pani, że naprawdę się zakochałam?

– Wiem, kochanie. Ja też bardzo ich kochałam.

– Ale ja po raz pierwszy. I mieliśmy tak mało czasu. Jasiak obiecywał, że będziemy razem.

– To strasznie boli.

– Czy może mi pani obiecać, że nic pani nie zmieni u niego w pokoju? Przynajmniej do mojej kolejnej wizyty. Bo będę mogła tu jeszcze przyjechać? – mówi jak mała dziewczynka.

– Oczywiście, że będziesz mogła przyjechać. Kiedy tylko będziesz chciała. I nic tu nie zmienię, chyba że będę musiała sprzedać dom. Obiecuję.

– Sprzeda pani dom?

– Nie wiem, być może. Boję się, że nie będę mogła sobie pozwolić na jego utrzymanie.

– To straszne.

– Straszne, ale nie aż tak jak to, co nam się przydarzyło.

– Yhm.

– Słuchaj, rozejrzyj się po pokoju i wybierz sobie jakąś pamiątkę po Jaśku.

– Mogę? Naprawdę?

– Jasne. Jasiek z pewnością coś by ci sprezentował.

Następnego wieczoru odwożę ich na lotnisko. Klara nie potrafi rozstać się z Angelą i ukradkiem wyciera zasmarkany nosek. Angela, mimo upału w puszycy, zbyt dużej bluzie Jaśka, podąża przygnębiona za rodzicami. Przechodzą przez kolejne bramki i zostajemy z Klarą same w gwarnej wielkiej hali.

Wracamy do domu jak skazańcy na szafot. Po tych pełnych emocji i ruchu chwilach w domu zrobiło się nieznośnie pusto i cicho. Wcześniej kładziemy się do łóżek obłożone: ja książkami, mała laptopem i filmami. Zapada kolejna parna noc pełna niespokojnych snów.

Porannek przynosi nowy dzień, pierwszy, w którym powinnam solidnie zabrać się do roboty i mając uporządkowane wszystkie szafy i szuflady, zacząć porządkować życie.

Przynoszę z salonu notes i krok po kroku spisuję sprawę do załatwienia: sprawdzić rachunki, znaleźć opiekunkę dla Klary, wizyta w banku, zakupy do knajpy, wreszcie muszę się w niej pojawić, no i najgorszy temat – firma Bartka, o której mam mgliste pojęcie. Na końcu listy pojawia się zatrudnienie prawnika, który pomoże mi z tym się uporać.

Przytłoczona problemami postanawiam zacząć od drobnych spraw. Babcia Stefa zawsze powtarzała: zacznij od małych rzeczy, a dojdiesz do wielkich. Zabieram się do porządkowania drobiazgów. Z ciężkim sercem wchodzę do pralni i rozpakowuję walizki. Zazwyczaj powakacyjna segregacja jest prosta: czyste, brudne. Tym razem układam wszystko na cztery kupki: czyste, brudne, Jaśka, Bartka. Dwa pierwsze stosiki wymagają kolejnej selekcji na białe, czarne i kolorowe. Zupełnie jednak nie wiem, co zrobić z ciuchami chłopaków. Choć byłoby to wspaniałomyślne i hojne, nie

chcę rozdawać ich rzeczy, nie chcę, by ktoś z nich korzystał i w nich chodził, w obawie, że przypadkowe spotkanie na ulicy mogłoby rozbudzić we mnie bolesne uczucia. Ale czy mogę je wyrzucić? Jezu, nie wiem. Wyjmuję z kieszeni kurtek i spodni masę szpargałów, od zużytych chusteczek higienicznych, przez papierki po gumie do żucia, małe karteczki z nic niemówiącymi mi notatkami i numerami telefonów, po bezimienną kartę sim i paczkę prezerwatyw. Te ostatnie chyba są największą niespodzianką. Wrzucam wszystko do kubła na śmieci, a odzież do dużego czarnego worka, który z trudem znoszę do garażu.

Wśród rzeczy, zabawek małej i gadżetów Jaśka znajduję maleńką granatową kopertę ze złotym nadrukiem dwóch dzwoneczków i znaczkiem z Barceloną. Z bijącym sercem zaglądam do firmowej paczuszki, w której znajduję cieniutką złotą bransoletkę z maleńkim serduszkim tuż przy zapięciu. Słyszę, jak bije mi serce, i ze wzruszeniem usiłuję prawą ręką zapiąć minizameczek na lewym nadgarstku. W żaden sposób nie mogę trafić haczykiem w złote kółeczko, które nieustannie mi się wymyka. Chryste, bez Bartka nawet z taką błahostką jak zapięcie biżuterii mam problem.

Poruszona spoglądam na ostatni prezent od męża i nie mam wątpliwości, że kupił go dla mnie.

Wrzucam pranie do pralki i niepewnie wchodzę do naszej garderoby, w której czuję obecność Bartka. Dłgie

szeregi sztywno wyprasowanych koszul i marynarek, do tego wieszaki ze spodniami zdają się patrzeć mi prosto w oczy i naigrawać z mojego niezdecydowania. Nie mogę pozwolić, by tych parę ciuchów ze mną wygrało. Niesiona silnym postanowieniem organizowania domu na nowo, nie bez emocji wrzucam złożone ubrania do kolejnych worków i znoszę prosto do bagażnika samochodu. Potem będę się martwić, co z nimi zrobić. Zbieram resztę worków pozostawionych w garażu i wpadam na pomysł zadzwonienia do mieszkającego w małej, zabitej dechami górskiej wsi zaprzyjaźnionego księdza.

– Szczęść Boże – słyszę w słuchawce zaspany głos.

– Szczęść Boże, cześć, Maciej, tu Nina.

– O, witam. Pozbierałaś się jakoś?

– Nie bardzo i myślę, że jeszcze długo nie, ale usiłuję poukładać wszystko na nowo.

– To dobrze. Odprawiłem w ostatnią niedzielę mszę świętą za was wszystkich.

– Bardzo ci dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Powinnaś mieć do tego gościa na górze żal, ale wiesz, mam wrażenie, że wbrew wszystkiemu coraz bardziej się z Nim zaprzyjaźniam.

– To dobrze, bardzo dobrze. Cieszę się, że to mówisz.

– Nie ciesz się tak bardzo. To raczej nie jest jednoznaczne z tym, że będę w kościele co pięć minut.

– Nie musisz.

– Tak myślisz?

– Tak. Ważne, żebyś czuła z Nim więź, ale pamiętaj, że nie można popadać w dewocję.

– No, to mi chyba nie grozi. Raczej przewartościowuję swoją filozofię życia. Uświadomiłam sobie, że każda chwila jest darowana i ulotna, a muszę jeszcze tyle zrobić dla Klary.

– Tylko nie zapomnij o sobie.

– Maciej, mnie nie ma! Rozumiesz? Ja już nie istnieję.

– Nie mów tak. Jeśli ty nie zadbasz o siebie, to nikt o ciebie nie zadba.

– Wiem, ale teraz nie myślę o sobie, wierz mi.

– Słuchaj, a byłaś u psychologa? Bierzesz jakieś leki?

– Tak, działają cuda, zresztą mała też coś łyka. Tak jest łatwiej, choć nie wiem, czy lepiej.

– A właśnie, jak Klara?

– Chyba dobrze, jeśli można mówić o takim stanie po śmierci bliskich. Muszę dla niej znaleźć opiekunkę, ale chwilowo nie mam na to siły.

– Kurczę. Dobrze, że zadzwoniłaś. Może to opatrność? Moja siostra, znasz Ankę, od początku wakacji powtarza, że chce się wyrwać do miasta, a ja nie miałem pomysłu, jak to zorganizować. Może mogłaby ci pomóc?

– Mówisz poważnie?

– Pogadam z nią i zadzwonię wieczorem.

– Byłoby idealnie. Anka może z nami zamieszkać, a Klara z pewnością ją polubi.

– No to wszystko ustalone.

– OK. To co, słyszymy się wieczorem?

– Tak. Zadzwoń. Z Bogiem, trzymaj się.

– Z Bogiem. – Już mam wcisnąć czerwoną słuchawkę, gdy uświadamiam sobie, po co właściwie do niego zadzwoniłam, i szybko wołam: – Maciek, halo, Maciek, jesteś tam?

– Tak, co tam jeszcze?

– Zapomniałam o najważniejszym. Porządkuję rzeczy chłopaków, na razie garderobę Bartka, jest tego sporo. Pomyślałam, że może przydałoby ci się trochę ciuchów dla biedniejszych parafian.

– Oczywiście. Chętnie je wezmę.

– Super, tylko jak mam ci je podesłać?

– Poczekajmy do wieczora. Jeśli Anka zgodzi się do was przyjechać, to będę musiał ją zawieźć, więc przy okazji mógłbym je odebrać.

– Super, pa.

Jedno załatwione, teraz pora na rachunki. Szczęśliwie mój skrupulatny mąż wszystko posegregował w opastej czarnej teczce, ale nie mając dostępu do jego konta, nie wiem, które z nich zostały opłacone, a które nie. Jedynym rozwiązaniem jest obdzwonienie wszystkich instytucji, które dostarczają nam prąd, gaz, wodę itd. Radośnie zostaję poinformowana, że poza fakturą za

telefony komórkowe nic nie jest uregulowane i co więcej, do każdej z tych firm muszę jechać osobiście, żeby zmienić dane w umowie i takie tam. Oczywiście gazownia ma siedzibę w sąsiednim mieście, wodociągi w gminie obok, odpadkami zajmuje się nasz Urząd Gminy, więc zapowiada się dzień w samochodzie. W zasadzie przy trzydziestostopniowym upale perspektywa siedzenia w klimatyzowanym aucie nie jest aż tak straszna.

Podrzucam Klarę do zaprzyjaźnionej sąsiadki, która w gromadzie własnych dzieci nawet się nie zorientuje, że jedno przybyło, a mała dzięki zabawie oderwie się od ponurych myśli.

Objazd rozpoczynam od wizyty w banku, gdzie proszę o indywidualne spotkanie w dyskretnym pokoju na zapleczu. Cieszę się, że obsługuje mnie dobrze mi znana pani Regina, której życzliwość sprawia, że łatwiej mi opowiedzieć o tym, co mnie spotkało. Okazuje się, że dostęp do konta mam, ale główne zgromadzone przez męża środki będą mogła podjąć dopiero po przeprowadzeniu postępowania spadkowego. Na koncie osobistym mamy pozornie ogromną kwotę siedemnastu tysięcy złotych, a reszta pieniędzy, które Bartek zarobił przez lata pracy, znajduje się na koncie firmowym, do którego na szczęście też jestem upoważniona. Jedyne, czego mogę się od razu dowiedzieć, to jaki jest stan

konta i jakie operacje na nim ostatnio zostały przeprowadzone.

Mam świadomość, że siedemnaście tysięcy po opłaceniu wszystkich rachunków gwałtownie stopnieje i z każdym miesiącem będzie topnieć coraz bardziej.

Pewna zabezpieczenia finansowego na koncie firmowym, które do końca życia ma mi zapewnić może nie dobrobyt, ale chleb z masłem i okładem, a przy rozsądnym i oszczędnym gospodarowaniu też wakacje, ze zgrozą odkrywam, że konto jest niemal puste. Ostatnie ruchy i przelewy na poziomie dwudziestu, trzydziestu tysięcy wyglądają bardzo podejrzanie, ale z perspektywy plastikowego bankowego krzeselka nie jestem w stanie wyciągnąć żadnych, a tym bardziej właściwych wniosków. Przechodzą mnie ciarki, a włos jeży się na głowie. Jak w chwili śmierci, obrazy przesuwiają mi się przed oczyma, z tą różnicą, że zamiast wspomnień widzę kolejne miesięczne opłaty, z którymi muszę się liczyć. Jest tego sporo: rata za dom i za samochód, czesne w szkole Klary, opłaty domowe, ubezpieczenie i tak mogłabym wymieniać. Robi mi się słabo, ale staram się zamaskować panikę. Wkładam do torebki pieniądze, których jest tak niewiele, że z pewnością nie pozwolą mi uregulować wszystkich zobowiązań.

Wsiadam do samochodu i zastanawiam się, co dalej. Zmieniam plany i zamiast zająć się rachunkami, jadę do

mojej przyjaciółki Agi – prawniczki.

– Aga, ratunku! Byłam przed chwilą w banku i jest katastrofa. Okazuje się, że Bartek, tak przynajmniej wynika z historii konta, nie przelał na nasz prywatny rachunek ostatniej dywidendy, a konto firmowe, po dziwnych wielotysięcznych wypłatach, jest prawie puste.

– Żartujesz?

– No, kurde, nie. Może istnieje jeszcze jakieś inne konto, o którym nie wiem, ale jestem spanikowana. Firma była... jest... cholera, nie wiem, była czy jest, tylko Bartka. Nie znam się na pieprzonych śrubkach i nakrętkach, ale muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

– To oczywiste. Możesz spróbować ją przejąć i pracować na swój rachunek albo spieniężyć wszystko, zwolnić ludzi i mieć spokój. Zresztą z ludźmi trzeba rozwiązać umowy, jeśli podmiot przestaje istnieć.

– Myślisz, że dam radę to pociągnąć?

– Oczywiście, przecież nie jesteś głupsza od Bartka, więc dlaczego miałabyś nie dać rady? Nie będzie łatwo, ale się nauczysz.

– Moja knajpa to pic na wodę, zabawa dla zabawy, żyć się z tego nie da. Muszę mieć inne źródło dochodu.

– Więc może właśnie to. Musisz dać mi pełnomocnictwo i trochę czasu, a zajmę się wszystkim. Póki co, nie martw się, OK?

– Nie mogę się nie martwić. Muszę sprzedać jeden z samochodów i pozbyć się opłaty leasingowej,

zastanawiam się również nad sprzedażą domu. Obawiam się, że nie będę w stanie go utrzymać.

– Nie żal ci?

– Aga, oczywiście, że żal, ale chyba nie mam wyjścia. Uwielbiam ten dom i jego przestrzenie, ale nie dość, że będę w nim zagubiona, to na dodatek trochę boję się w nim sama mieszkać. Z chłopakami było inaczej. Bart miał broń, pewność siebie, a ja tylko panikę. Wiem, że teraz jestem łatwym celem. I jeszcze ten cholerny ogród, prawie dwa hektary, z lasem w tle. Chciałabyś mieszkać tam sama?

– No, nie wiem, chyba nie. Ale masz przecież alarm.

– No i co z tego? Zanim ktoś dojedzie, to nie tylko zdążą mnie zamordować, ale jeszcze poćwiartować i spalić w kominku. Zresztą mam daleko do miasta.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. To niby tylko sześć kilometrów do rogatek, dziesięć do szkoły Klary, ale dla małej to odcinek niemożliwy do samodzielnego przebycia. Wszędzie muszę ją wozić i trudno mi będzie znaleźć opiekunkę i sprzątaczkę.

– No, nareszcie mądrze mówisz. Już dawno powinnaś mieć kogoś do pomocy.

– Zawsze dawałam radę sama i lubiłam to, ale teraz nie ogarnę tego czasowo.

– Poczekaj, aż sprawdzimy w papierach, co jest grane. Zmieniając temat: powiedz, jak teściowie?

– Nijak. Zero kontaktu.

– Żartujesz?

– Nie. Nawet nie wiem, czy się cieszyć, czy ubolewać. Dobrze jest, jak jest.

– Na pogrzebie dali niezły pokaz. Akcja z komórką była niesamowita! Tak mi się chciało śmiać, że nie mogłam się opanować i musiałam się schować za Pawła.

– Widziałam. Też myślałam, że się osunę, ale chyba byłam w zbyt dużym szoku. Najlepiej podsumowała to Klara. Powiedziała, że to Jasiek popchnął dziadka za to, że był taki niemiły.

– No, nieźle.

Umawiam się z Agnieszką na telefon w przyszłym tygodniu i kontynuuję mozolną przeprawę przez kolejne urzędnicze procedury. Wreszcie umęczona wracam do domu, zrzucam sukienkę i zanurzam ciało w puchu dresowego kombinezonu. Opadam na tarasowe krzesło ze szklanką lodowatej wody w ręce i zbieram siły na odebranie Muchomorka i przywołanie pozorów dobrego nastroju. Czuję się fatalnie. Znowu boli mnie głowa, zupełnie nie mam apetytu i czuję się, jakby zaczęła mnie dopadać jelitówka. Może schudnę?

Wyłączona wcześniej komórka buczeniem informuje o kilku nieodebranych połączeniach, między innymi od teściów. Zastanawiam się, czy do nich oddzwonić czy nie. Rozważania przerywa telefon. Ukryty numer nie zachęca do podjęcia rozmowy, ale przypuszczając, że to

coś związanego z urzędowymi sprawami, niechętnie mówię:

– Halo.

– Cześć, Nina. To ja.

Uwielbiam takie „to ja”, nie dość, że zmusza do zabawy w detektywa, to nie ma w tym żadnej klasy.

– Jaki ja? – rzucam poirytowana.

– Krzysztof.

Jezu, jak mogłam nie rozpoznać męża Magdy.

– O, cześć! Rany, nie poznałam cię. Co słychać?

– To ja chciałem o to zapytać.

– Wszystko dobrze i nic nie jest dobrze. Stara bieda, choć w nowym wydaniu.

– Słuchaj, jestem na ulicy obok i mam trochę czasu. Może zrobiłabyś mi herbatkę?

– Jasne, przyjeżdżaj. Wstawiam wodę. Pa.

Naprawdę się cieszę, że Krzychu, mąż mojej najlepszej przyjaciółki, wpadnie do mnie na chwilę. Nie umiem obsłużyć cholernej centralki ogrodowego nawadniania, no i może jeśli pogadam z nim o firmie Bartka, jego męskie i trzeźwe spojrzenie podsunie mi jakieś rozwiązania. W pośpiechu zaczynam myć kompromitujące, od dwóch dni zalegające w zlewie kubki, jednak nim udaje mi się posprzątać i nim woda się zagotuje, czerwone audi Krzycha parkuje na podjeździe. Mokrymi rękoma otwieram drzwi i wpuszczam go do środka.

– Cześć, Nina. – Całuje mnie w policzek i zupełnie niepotrzebnie dodaje zniechęcony komplement: – Ładnie pachniesz.

– Dziękuję. Zaraz zrobię coś do picia. Na co masz ochotę: kawa, herbata, coś zimnego?

– Może być espresso i szklanka zimnej wody. Gazowana byłaby idealna.

– Mam gazowaną, ale w garażu. Zgrzewka jest po prawej stronie na półce. Możesz przynieść?

– Jasne.

W tym czasie wygrzebane z pozostałości po stypie małe ciasteczka z przyzwyczajenia misternie układam na talerzyku, a talerzyk na tacy z napojami.

– Idealna jak zwykle.

Nie wiem, czy komentarz dotyczy mnie czy tacy, ale jest miły. Wychodzimy na taras i siadamy w cieniu gałęzi kwitnącego pomarańczowo milinu. To jedyne w okolicy domu zacienione miejsce. Wkładam przeciwsłoneczne okulary i nalewam wody do szklanek.

– Częstuj się, proszę. – Podsuwam mu talerzyk ze słodyczami. – Przepraszam, ale nie mam nic więcej.

– Przestań, to i tak za dużo. Ty zawsze potrafisz wyczarować coś z niczego.

– Nie przesadzaj. Co słyhać? Co u Magdy? Nie rozmawiałam z nią od poniedziałku. Kiedy dzwonię, to ma wyłączony telefon.

– Wszystko OK, ale Magda, w przeciwieństwie do

ciebie, jest megaroztrzepana. – Czy te porównania powinny mnie niepokoić? Chyba nie. Krzysiek zazwyczaj jest bardzo słodki, a nawet przesłodzony. Walnęła gdzieś telefon, a ten się rozładował i od kilku dni nie może go znaleźć. Cała Magda.

– Jest trochę chaotyczna, ale uwielbiam ją za jej energię, humor, no i tak bardzo mi pomogła...

– Z tą twoją knajpą to był strzał w dziesiątkę. Nareszcie przestała się nudzić w chacie i ma zajęcie. Podejrzewam, że na dłuższą metę się tym znudzi i jak zwykle rzuci, ale na razie bawi się tym jak dziecko lalką.

– Cokolwiek by powiedzieć, dobrze jej to wychodzi, ma zdecydowanie lepsze pomysły i wyczucie niż ja. Uratowaliście mnie.

– No coś ty.

– Wiesz, że tak. Dobrze, że jesteście. A właśnie. Mam do ciebie prośbę. Czy możesz mi pokazać, jak się ustawia nawadnianie w ogrodzie? Z tego, co pamiętam, ten sam facet montował je również u was, a ja nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Jasne, nie ma sprawy. Jak będę wychodził, wszystko ci pokażę i zapiszę.

– Bardzo dziękuję...

– Nina, powiedz, jak sobie radzisz z resztą.

– W zasadzie jeszcze nie wiem, chyba sobie nie radzę. Prawdopodobnie udało mi się przez przypadek znaleźć opiekunkę dla małej, uporządkować jedną szafę,

ale na tym koniec. Trzymam się jakoś, ale dziś mam kiepski dzień. – Opowiadam mu o banku i moich obawach, być może o konieczności sprzedaży domu. Wysłuchuje mnie uważnie i mam wrażenie, że jest w stanie wnikać w moje problemy.

– Słuchaj, może moi prawnicy będą mogli ci pomóc. Mogę też pogadać z głównym księgowym, żeby przejrzał księgi firmy Bartka.

– Bardzo dziękuję, byłam już u Agi i ona zobowiązała się wszystkim zająć. Ale chętnie posłucham twoich rad, jak już będę wiedziała, na czym stoję.

– Nina, pamiętaj, że na mnie zawsze możesz liczyć.

– Dziękuję. – Jeszcze nie czuję podstępny i wzruszenie staje mi gulą w gardle. Dobrze mieć przyjaciół.

– Może byśmy wyskoczyli na wino?

– Na wino?

– No, na przykład do Młyna tu obok. Dziś wieczorem?

– A Magda da radę dojechać?

– Magda jest w Krakowie, a ja mam wolny wieczór.

– Nie mam co zrobić z małą. – Nie mam ochoty na wyjście do knajpy, ale na małą lampkę wina z kimś życzliwym, dlaczego nie?

– To może wpadnę do ciebie o dwudziestej. A tak przy okazji, chciałem ci powiedzieć, że pięknie wyglądasz i jesteś ponętna nawet bardziej niż zwykle.

Zapala mi się czerwona lampka i miga gwałtownie.

Choć jeszcze nie wierzę w to, co słyszę. Usiłuję opanować emocje i ostudzić entuzjazm Krzyśka, który zdaje się jednak nie dostrzegać mojego zmieszania.

– Daj spokój. Nie żartuj. Nie w głowie mi teraz ponętność.

– Może i nie, ale zobaczysz, że wcześniej, niż myślisz, zaczniesz ci brakować faceta. Ja chętnie zapełnię tę lukę.

– Zwariowałeś? Niczego mi nie brakuje! A co masz zamiar powiedzieć Madzi? Że bawisz się w towarzysza mojej niedoli?

– Magda nie musi o tym wiedzieć. Zaopiekuję się tobą i małą, mogę rozwiązać wszystkie twoje problemy. Już ci pożyczałem pieniądze, mogę wesprzeć cię jeszcze bardziej, nie będziesz musiała sprzedawać domu i zmieniać małej świata.

Jestem oszołomiona, zniesmaczona, czuję się osaczona i chce mi się rzygać. Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Mówię:

– Krzysiek, chyba masz słabszy dzień i nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Muszę się uporać ze wszystkim sama. Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. A teraz muszę cię przeprosić, Klara na mnie czeka, powinnam po nią pójść.

Wstajemy z drewnianych ogrodowych krzeseł i idziemy w kierunku drzwi. Miałabym ochotę wypchnąć z domu męża Magdy szybko i gwałtownie, ale muszę się

opanować. Podświadomie zaczynam się obawiać człowieka, o którym Bartek mówił: mój najlepszy kumpel.

– Cześć – mówię oficjalnie i cofam się pod ścianę.

Krzychu podchodzi do mnie blisko, zdecydowanie za blisko. Jednym ruchem przyciąga do siebie i wykorzystując moje zaskoczenie, usiłuje pocałować mnie w usta. W ostatniej chwili udaje mi się wyrwać na tyle, że zdeorientowany, boleśnie przyciskając mnie do siebie, całuje moją szyję. Próbuję go odepchnąć, ale szczęśliwie sam się wycofuje na bezpieczną dla mnie odległość.

– Pamiętaj. Mogę zastąpić ci faceta. Nie będziesz musiała nikogo szukać.

Odwraca się na pięcie i odchodzi. Wsiada do swojego czerwonego szpanerskiego wozu i po chwili sama nie wiem, czy to się wydarzyło naprawdę, czy tylko sobie imaginowałam. Wracam na taras i brudne naczynia uświadamiają mi, że ta rozmowa jednak się odbyła.

Jezu, co mam z tym zrobić? Facet składa niedwuznaczne propozycje i idzie sobie dalej jak gdyby nigdy nic, a ja zostaję i czuję się, jakby mnie zgwałcił. Nie wiem, jak mam się zachować. Jedyne, czego jestem pewna, to że powinnam go unikać. Co powiedzieć Magdzie? Czy w ogóle coś jej mówić? Co za skurwysyn! Jestem na niego wściekła. Jak można być takim gnojem i żerować na moim nieszczęściu? Uświadamiam sobie,

że podejrzenia co do romansów Krzyśka snute przez Magdę mają dość solidne podstawy. No i nadal nie wiem, jak obsłużyć system nawadniający ogród.

Wieczorem dzwoni Magda. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że wyrasta między nami mur, no, może ścianka. Głos ma dziwnie oficjalny i rozmowa jakoś się nie klei.

– Cześć, fajnie, że dzwonisz. Słyszałam, że gdzieś zapodziałaś telefon.

– Nic nie mów, wrzuciłam go do kosza na pranie i dopiero dziś znalazłam.

– Dobrze, że go nie wyprałaś.

– Właśnie.

Zapada krępujące – zwłaszcza przy zwyczajowej intensywności naszego paplania – milczenie, którego żadna z nas nie ma ochoty przerywać. Jezu, dlaczego tak się dzieje? O co chodzi?

– Wpadł dziś do mnie Krzysztof.

Słyszę, jak Magda głośno zasysa powietrze, i domyślam się, że to może być główna przyczyna naszej nierozmowy.

– Wiem. Mówił, że prosiłaś, żeby przyjechał. Miał ci w czymś pomóc czy coś takiego.

– W zasadzie to on zadzwonił, że jest w pobliżu i może wpaść. No więc wpadł.

– Aha.

Czuję, jak atmosfera nabrzmiewa nieufnością. Głupi fiut doprowadził do tego, że dwie przyjaciółki rozmawiają jak dalekie znajome, które po latach wpadły na siebie na ulicy. Masakra. Nie wiem, jak mam się zachować i co on jej powiedział. Magda kocha go bezgraniczną, ślepą miłością, która jest głucha na wszelkie podszepty znajomych o jego romansikach i zauroczeniach. Obawiam się, że teraz ja padłam jego ofiarą. Śmierć Bartka nie tylko odebrała mi życiową autonomię, ale również pozbawiła ochrony przed zakusami takich lowelasów. Boję się, że jak powiem jej prawdę prosto w nos, będzie usiłowała ją wyprzeć. Z drugiej strony, jest najbliższą mi osobą, która zasługuje na szczerość.

– Magda, naprawdę tak było. Ja nawet nie miałam jego numeru.

– I co, pomógł ci?

Wyraźnie słyszę ironię w jej głosie.

– W zasadzie nie.

– Nie umiał? Z czym miałaś problem?

– Nie potrafię zaprogramować nawadniania, a w ogrodzie przy tych temperaturach jest zdecydowanie za sucho.

– Przecież mamy taki sam system, to Krzychu nie mógł ci nastawić?

– Pewnie mógł, ale się zagadaliśmy. – Dopiero gdy

padają te słowa, uświadamiam sobie, jak to brzmi, i próbuję ratować sytuację. – Byłam dziś w banku, wyobraź sobie, że nasze firmowe konto jest prawie puste.

– Jaja sobie robisz. – Słyszę, jak uchodzi z niej powietrze i napięta atmosfera nieco się rozluźnia.

– Niestety nie. Rozmawiałam już z Agą, pomoże mi zorientować się w sytuacji, ale chyba jest katastrofalnie.

– Zobaczysz, będzie dobrze.

– Strasznie trudno mi w to uwierzyć. Chyba powinnam zacząć szukać innego domu.

– Nie przesadzaj.

– Cholera, Magda, nie przesadzam. Jestem realistką. A jak w knajpie?

– Szału nie ma. Ale jest lepiej, niż było. Wywaliłam twoich kucharzy i sama zabrałam się do gotowania. Okazało się, że ta twoja kelnerka, Marta, ma mgliste pojęcie o kuchni, ale szybko się uczy i jest w stanie mi pomóc. A nawet sama coś ugotować.

– Żartujesz? Marta?

– No. Mówię ci, nie poznasz jej. Aha, nie mówiłam ci, ale zupełnie zmieniliśmy menu. Nie umiałam ugotować tych wszystkich francuskich pitu-pitu, więc wróciłyśmy do polskich obiadków: kotleciki, zraziki, jak u babci.

– Naprawdę?

– Serio. I wyobraź sobie, że to powoli zaczyna się sprawdzać.

– Magda, bardzo, bardzo ci dziękuję i pamiętaj, proszę, że zawsze i w każdej sytuacji możesz na mnie liczyć, nigdy nie zrobię nic przeciwko tobie. – Usiłuję w zakamuflowany sposób powiedzieć, że nie jestem zainteresowana Krzychem.

– Wiem. Ale różnie bywa.

– Nie w moim wypadku. Staram się być szczerą i jeśli coś mówię, to nie dlatego, że tak wypada, tylko dlatego, że naprawdę tak myślę. Nie chcę, żeby ktoś czy coś nas poróżniło. Nie jestem zainteresowana ani nowymi przyjaźniami, ani nowymi związkami i mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Tak. Ale jak mi Krzychu rzucił, że do niego dzwoniłaś, to nie czułam się z tym najlepiej.

– Chyba oszalałaś. Nie jestem nim zainteresowana.

– To dobrze – mówi niezupełnie przekonana.

Rozłącza się chyba jednak trochę spokojniejsza. Mimo to czuję się jak ostatnia świnia i zastanawiam się, czy powinnam napomknąć o propozycji jej męża. Chyba nie, bo pewnie by mi nie uwierzyła. Mam tylko nadzieję, że ten odrzucony idiota nie będzie w zemście wymyślał jakichś dyrdymałów. Nie wyobrażam sobie wspólnych kolacyjek. Może z racji nieobecności Bartka przez jakiś czas uda mi się promować ideę babskich spotkań.

Z rezygnacją odkrywam na stacjonarnej sekretarce kilka wiadomości, co oznacza, że przede mną jeszcze parę rozmów telefonicznych. Zaczynam odsłuchiwać

wiadomości od akwizytorów, OBOP-u, mojej siostry, która znowu szlocha w słuchawkę, i ku swemu największemu zdziwieniu wysłuchuję trzech równie natarczywych wiadomości od Krzycha o mniej więcej podobnej treści – usiłuje wymusić, bym do niego zadzwoniła. Ogarnia mnie panika. Postanawiam nie odzywać się do nikogo i zająć Klarą.

Wyciągam ją niezadowoloną i zapiaszczoną z naszej ogrodowej piaskownicy i siłą zaganiam do kąpieli, która jest pierwsza na liście naszych wieczornych rytuałów. W końcu po marudzeniu przy kolacji i godzinie czytania jej ulubionej i niesamowicie głupiej książki o jeszcze głupszych wrózkach mam długo oczekiwany wieczór dla siebie i... nie wiem, co z nim począć. Usiłuję czytać, ale każda kolejna książka wydaje mi się albo banalna, albo nudna, albo zbyt poważna. Wiercę się i kręcę we własnym łóżku jak śrubka w kołku i wreszcie postanawiam obejrzeć któryś z moich wielokrotnie odtwarzanych, płytkich filmów o miłości. Dziś pada na *To tylko miłość*. Po półtorej godzinie kończy się większym niż zazwyczaj gejerem łez i smarkaniem w chusteczkę.

Zasypiam umęczona płaczem i budzę się wyrwana z ramion Morfeusza dzwonkiem zwiastującym nadejście esemesa. Nie wiem, jak to się stało, ale mam dziewięć nieprzeczytanych wiadomości. Dwie od ekskluzywnych

butików, które zapraszają na weekend obniżek, nie wiedząc, że już chyba nigdy ich nie odwiedzę, a H&M stanie się szczytem moich możliwości i... siedem z nieznanego numeru. Początkowo nie rozumiem ich treści, ale powoli dociera do mnie sens.

1. Śpisz? Nie udawaj, widzę, że w sypialni pali się światło.

2. Zadzwoń do mnie wreszcie. Mogę dać ci wszystko to, czego nie masz.

3. Pamiętasz? Przede mną miłość, a za mną coś, co się skończyło.

4. Zaopiekuję się tobą.

5. i 6. Przede mną miłość, a za mną coś, co się skończyło.

I najbardziej soczysty 7: Powiem Magdzie, jaka jesteś wspaniała.

Kurwa, kurwa, kurwa. Co mam z tym zrobić?! Krzychu jest chory. Wczoraj był pod moim domem i mnie obserwował. Zaczynam wpadać w panikę. Bartek dałby mu w mordę, ale ja? Może powinnam pokazać to Magdzie? Chyba tak. Tylko co on jej nagadał?

I znowu dzwonek esemesa: Miłego poranka.

W ciągu dnia otrzymuję jeszcze trzynaście takich wiadomości i pod wieczór dysponuję imponującym zbiorem dwudziestu jeden powitań, pozdrowień i komplementów. Nie odpowiadam na żaden z nich, ale myślę, że moje milczenie może go tylko rozdrażnić.

Brawo, jeszcze tego mi brakowało. Dzwonię do Agi i błagam, żeby przyjechała jak najszybciej. Zaczynam popadać w paranoję, że ktoś może mnie podsłuchiwać, i nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

Przestraszona Aga pojawia się po dłuższej chwili z siatką winogron i od progu pyta, co się stało.

– Cholera. Nie powinnam nikomu o tym mówić, ale nie wiem, co robić. Coś ci pokażę, ale musisz mi obiecać, a w zasadzie przysiąc, że nikomu nie powiesz, nawet Pawłowi.

– Nina, przerażasz mnie. O co chodzi?

Wyjmuję telefon i pokazuję jej moją kolekcję wiadomości. Początkowo wydaje się niespecjalnie poruszona, muszę wyraźnie jej naświetlić, co się dzieje.

– Nic nie rozumiesz?

– No, rozumiem. Masz wielbiciela. Od dawna to dostajesz?

– Od dzisiaj.

– I aż tyle.

– Tyle. A nie domyślasz się od kogo?

– Nie, a powinnam?

– Od Krzycha.

– Jezu, jakiego Krzycha?

– Halo! Męża Magdy. Kumasz już?

– Kurwa. – Elegancka Aga elegancko przeklina i najwyraźniej nareszcie do niej dociera.

- No właśnie, wielka spasiona kurwa.
- Magda wie?
- Zwariowałaś? Niby miałabym jej powiedzieć?
- Że jej facet cię podrywa?
- Chyba oszalałaś. Magda by mi nie uwierzyła.
- Przecież jesteście przyjaciółkami.
- A on jest jej mężem.

Opowiadam Agnieszce o wizycie Krzyśka i późniejszym telefonie Magdy. Jak na prawniczkę przystało, Aga rozbiera temat racjonalnie.

- Jesteś pewna, że to on?
- A niby kto?
- Nie wiem. Sprawdziłaś, czy to jego numer?
- Nie. Ale mógł kupić kartę gdziekolwiek.
- Dzwoniłaś na ten numer albo coś odpisałaś?
- Nie, no coś ty.
- To skurwiel.

– Właśnie. Cieszę się, że to ustaliłyśmy. Wiesz, że on musiał mnie obserwować?

– Najwyraźniej.

– To głupie, znamy się tyle lat, a zaczęłam się go bać. Zwyczajnie się bać, tak jakby był obcym facetem. – Zaczynam płakać. Czuję, że to wszystko spada na mnie jak jastrząb na zająca i że nie mam możliwości się wyrwać.

Aga jest poruszona. Radzi mi, żebym wynajęła

ochroniarza, mam włączać alarm i takie tam. Nie zmienia to faktu, że czuję cholerny niesmak.

– Słuchaj, możesz to zgłosić na policję.

– I co powiem Magdzie?

– Prawdę. Brałaś to pod uwagę?

– Wiesz, że to nie takie proste.

– Wiem. Dlatego udamy, że nie znamy twojego adoratora i razem napiszemy jedyne sms, jakiego do niego wyślesz. Wszystko zbierasz i zgrywasz, gromadzisz dowody. Jeśli dalej będzie się upierał, to coś wymyślimy, więc się nie martw, OK?

– OK.

Mozolnie wystukuję na białym iPhone'ie dyktowaną przez Agę wiadomość:

„Nie życzę sobie więcej wiadomości od pana, proszę zostawić mnie w spokoju”.

Aga wychodzi, a ja zostaję. Na logikę tak powinno być, ale wolałabym, żeby było odwrotnie.

Nie wiem, gdzie się zgubiły kolejne dni. Maciej przywiózł Ankę, zabrał rzeczy, zgromadziłam zatrważającą kolekcję sms-ów od Krzysztofa, nie posunęłam się do przodu z porządkami. Najważniejsze – Klara zaczyna żyć innym życiem.

Anka wprowadziła się z dwiema wielkimi walizkami, kartonem, dwoma laptopami i nową radosną energią do pokoju za ścianą małej. Od razu, leniwe baby, wymyśliły sposób komunikacji: pukają jak dziecięcy, a ja jestem bliska eksplozji. Anka zachłystuje się dużym miastem i centrami handlowymi, które są dla niej jak wisienki na urodzinowym torcie.

W ferworze porządków przewietrzyłam również, ku radości nowej lokatorki, własną szafę i teraz Ania chodzi podekscytowana po domu, prezentując kolejne zestawy ubrań.

Klara właśnie wybiega zaryczana ze swojego pokoju i burzy panujący spokój.

– Jezu, Klara, co się stało? – Od śmierci Bartka niepokój dopada mnie ze zdwojoną siłą, nie potrafię oswoić lęku.

– Bo, bo... – Mała zapowietrza się jak po maratońskim biegu i zaraz będzie miała bezdech – ...Jasiek mi się psoci.

Czuję na plecach mrowienie i nie do końca wierzę w to, co słyszę.

– Jak to Jasiek ci się psoci?

– No przecież sama mówiłaś. Schował mi miśka.

– Schował ci misia? – Mgliście przypominam sobie szpitalną opowieść o obecności chłopaków i czuję, jak

oczy wzbierają mi łzami. Nie mogę się rozkleić. Liczę do dziesięciu i z powrotem i wreszcie jak gdyby nigdy nic udaje mi się wykrztusić: – Którego?

Mam nadzieję, że nie Klotyldę...

Ulubiona maskotka małej, która od lat jeździ z nami na wszystkie wakacje i wypadki, jest zabierana do naszego... mojego łóżka, gdy jej właścicielka nie może zasnąć, od kilku dni stała się też istotnym elementem terapii. Po wypadku Klara zaczęła się moczyć w nocy. Nie robiłam z tego problemu. Po prostu kupiłam paczkę pampersów i tyle. Jednak dla niej samej nocne niepowodzenia stanowią wielki, wstydlivy problem. Ania nie może o niczym wiedzieć, więc co rano i co wieczór zakradam się do małej na instalację albo deinstalację jednorazówki. Psycholog, która pracuje z moją córką, zaproponowała, by wkręcić małą, że jeśli będzie trzymała w nocy Klotyldę za pluszową łapkę, to nie zrobi siku do łóżka. I faktycznie zaczęłyśmy stosować – z sukcesem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu – tę metodę, a maskotka stała się jeszcze istotniejszym elementem filozoficznej układanki.

– Klotyldę!

No to jest problem.

– Klara, nie płacz. Zastanów się, czy gdzieś z nią chodziłaś, może wczoraj ją gdzieś położyłaś?

– Nie, była w moim łóżku. – Cały czas towarzyszy nam zasmarkany szloch.

– No to musi tam być. – Odzyskuję równowagę i powraca racjonalność myślenia. – Chodź, sprawdzimy razem.

Pokój Klary wygląda jak pobożowisko. Splątana z piżamą i kocykiem pościel leży wśród zabawek na dywanie, w części zasłonięte okno i rozwłózione po podłodze brudne rzeczy dopełniają obrazu klęski i rozpaczu.

– Ależ masz tu bałagan, musisz posprzątać, zanim pójdziesz spać.

– Przecież szukałam Klotyldy – oświadcza oburzona, zupełnie jakby poszukiwania były jednoznaczne z wywalaniem wszystkiego z szaf.

Nie komentując dalej, zaczynam przebijać się przez bałagan ze skrupulatną systematycznością i wreszcie znajduję niepokornego miśka we wnętrzu poszewki kołdry.

– Bardzo proszę. – Z satysfakcją podaję Muchomorkowi zabawkę i z gulą w gardle dodaję: – Widzisz, spryciarz z tego Jaśka, wsadził Klotyldę w poszewkę, ale my jesteśmy sprytniejsze. Piąteczka.

Stukamy się dłońmi i uspokojona mała daje się wreszcie położyć do łóżka. Przytulam ją mocno i marzę o tym, by mnie też ktoś, to znaczy Bartek, a nie jakiś inny ktoś, objął ciepłymi ramionami. Nie dość, że robi mi się okropnie smutno, to czuję nie do końca uzasadniony niepokój zapowiadający katastrofę, jeszcze

nie wiem jaką. Wierci mi dziurę w brzuchu i nie pozwala zasnąć. Jak na ironię, znowu brzęczy telefon, informując, że wystarczy jedno słowo, a znikną moje kłopoty. Krzychu staje się coraz poważniejszym zagrożeniem, które spycha na dalszy plan najważniejsze sprawy, wymagające natychmiastowego działania.

Po niespokojnej nocy następuje jeszcze bardziej niespokojny poranek. Kawa wydaje się za mocna, żar z nieba nie do wytrzymania, marudzenie Klary nieznośne, a ukoronowaniem wszystkiego jest oficjalny telefon od Agi, która prosi o pilne spotkanie.

Targana emocjami wsiadam do samochodu i pierwsze, co robię, to przywalam w mur po prawej stronie bramy garażowej. Obrzydliwy zgrzyt metalu zapowiada rychłą wizytę w blacharni. Poza soczystym „cholera jasna” nie reaguję. Nawet nie wychodzę oglądać zniszczeń, stało się, więc i tak nie ma to już znaczenia.

Podminowana wchodzę do kancelarii i po chwili zapadam się w skórzanym, lekko wytartym, za to nadmiernie napastowanym jakąś śmierdzącą miksturą fotelu. Smród mebla nie pozwala skupić się na tym, co Agnieszka i towarzyszący jej księgowy usiłują mi powiedzieć.

Łysy facet z wianuszkami tłustych włosów nad uszami, w umazanych okularach, w garniturze z poprzedniej epoki i zdeptanych butach, właściciel

ponoć nieprzeciętnego mózgu, lecz bardzo przeciętnego image'u, rozkłada przede mną szereg dokumentów naznaczonych zapisanymi drobnym maczkiem adnotacjami, z których jak dla mnie niewiele wynika. Z zapalem usiłuje wytłumaczyć mi zawilóść cyfr ujętych w rzędy tabelki, sprawiając, że czuję się jak Żyd na tureckim kazaniu. Przerywam wreszcie tę tyradę i bezceremonialnie pytam o meritum.

– Z dokumentów wynika, że po śmierci pani męża ktoś skrupulatnie wyprowadził spore sumy pieniędzy i powystawiał faktury bez pokrycia.

– Czyli? – pytam pełna niepokoju.

– Firma jest na granicy bankructwa.

– Nie rozumiem. Przecież przynosiła ogromne dochody.

– Przynosiła, ale najwyraźniej przestała. Albo ktoś się o to postarał... Tak czy inaczej, sugerowałbym jej natychmiastowe zamknięcie, wyprzedanie maszyn, co pozwoli pani odzyskać przynajmniej część zainwestowanych pieniędzy i spłacić choć część zobowiązań. Co do ostatnich przelewów, to uważam, że koniecznie trzeba zawiadomić prokuraturę, ale to już działka pani mecenas. Z mojej strony to wszystko. Nie wiem, czy mogę być jeszcze w czymś pomocny. Jeśli nie, to przepraszę panie.

– Dziękuję, panie Waldemarze. Jest pan wolny.

Aga nawet nie spogląda na pochyloną postać, która

znika za szklanymi drzwiami. Całą uwagę skupia na mnie i poważnym głosem pyta:

– Słyszałaś?

Kiwam głową, co teoretycznie ma oznaczać „tak”, ale nie do końca jestem pewna, że usłyszałam to, co powinnam.

– A zrozumiałaś?

– Chyba tak... – Chowam twarz w dłoniach i nie mam siły nawet na płacz.

– Dobrze się czujesz?

Moje zachowanie najwyraźniej wyprowadza Agę z wyuczonego, profesjonalnego opanowania.

– Tak, tylko okazuje się, że jestem w czarnej dupie głębiej, niż przypuszczałam.

– Niestety. Słuchaj, tak jak obiecałam, pomogę ci ze wszystkim, oczywiście nie martw się o pieniądze, nie obciążę cię dodatkowymi kosztami, ale musimy postanowić, co dalej.

– Co mam robić?

– Nie wiem, to ty musisz zdecydować.

– A jakie mam wyjścia?

– Możesz, to znaczy powinnaś zakończyć działalność firmy Bartka, znaleźć złodzieja, który wykorzystał twoją nieobecność i słabość po wypadku i wyczyścił konta, ale pamiętaj, że to zajmie sporo czasu, który liczyłabym w latach.

– OK. To brzmi racjonalnie. Co dalej?

– Masz sprzęt, więc jeśli go nie sprzedasz, możesz kontynuować działalność na własny rachunek. Minusem są niespłacone zobowiązania Bartka, ale zobaczymy, co da się z tym zrobić. Mieliście rozdzielność majątkową?

– Nie, no coś ty.

– Fatalnie, ale jeszcze nie panikujmy. Zasadnicze pytanie brzmi, czy będziesz w stanie prowadzić działalność związaną z produkcją śrubek i nakrętek, czy się w tym odnajdziesz i będziesz miała z tego satysfakcję.

– Aga, nie o satysfakcję chodzi, tylko o pieniądze. Rozpaczliwie potrzebuję kasy, przecież nie mam z czego żyć.

– Kasa to jedno, ale jeśli nie będziesz czuła tego, czym się zajmujesz, to absolutnie nie masz szans na powodzenie.

– Wiem.

– A co z knajpą? Jesteś w stanie wyciągnąć z niej coś więcej?

– Usiłuję to zrobić od dwóch, trzech lat, bez większego sukcesu. Lokalizacja jest taka, że rzadko kto do nas trafia. Magda usiłowała reanimować i lekko zliftingować lokal, ale dochód z niego może być zaledwie dodatkiem do domowego budżetu. Poza tym, gdy myślę o kucharach, kelnerkach i zatrudnianiu ludzi, jestem chora.

– Więc może powinnaś zająć się czymś zupełnie

innym albo poszukać pracy.

– Czy ty się słyszysz? Jestem po czterdziestce i niby kto mnie zatrudni? A przede wszystkim, co miałabym robić? Zupełnie wypadłam z mojej branży, zresztą tam mogłabym zarobić grosze. Jezu, Aga, co mam robić?

– Cholera, nie wiem. Nie zazdroszczę ci. Naprawdę. Słuchaj, kasę mogę ci pożyczyć, to nie jest problem...

– Pożyczyć jest łatwo, ale przecież z czegoś będę musiała oddać. I tu pojawia się zasadnicze pytanie: z czego. Muszę jak najszybciej sprzedać chatę.

– Szczerze? Chyba powinnaś. Musisz tylko poczekać na zakończenie postępowania spadkowego, ale to nie powinno długo trwać. A tak przy okazji, wyobraź sobie, że dzwoniли do mnie wczoraj państwo Braun z pytaniem o testament. Zapomniałam ci powiedzieć.

– Żartujesz? – Jestem oburzona do żywego.

– Niestety nie. Powoływali się na paragrafy i tym podobne. Podejrzewam, że wesoły Wojtuś zrobił im pranie mózgu.

– Pewnie tak. Powinnam się czymś niepokoić?

– Nie, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Bartek lata temu złożył u mnie testament, sporządzony w obecności notariusza, i jasno z niego wynika, że wszystko przypada tobie i małej. Zresztą z tego, co pamiętam, działkę kupiliście na siebie jeszcze przed ślubem i wtedy też zaczęliście budować chatę, więc nic im do tego.

– Tak było. Aga, a masz pomysł, czym mogłabym się zająć?

– Raczej nie. Musiałybyśmy – jak miło słyszeć tę deklarację w liczbie mnogiej! – wymyślić coś, czego jeszcze nie ma. Tak byłoby najlepiej.

– Pamiętaj tylko, że nie mam kasy, żeby zainwestować.

– Jasne. Pamiętam. Ale przecież możesz znaleźć wspólnika. W zależności od tego, co by to było, może nawet ja mogłabym się zaangażować. Zawsze myślałam, żeby zbudować sobie drugi filar.

– Byłoby super.

Zapalam się do tego pomysłu i po powrocie do domu zaczynam intensywnie przeglądać Internet w poszukiwaniu inspiracji. Zdaję sobie sprawę, że tylko nieliczni mają to szczęście, żeby zawodowo zajmować się tym, co sprawia im radość, i postanawiam, że dołączę do ich grona za wszelką cenę... Zastanawiam się, co daje mi przyjemność. Oczywiście zakupy, ale na tym raczej nie zarobię. Ciuchy też są miłą podniętą, projektowanie, szycie to pestka, tylko jak je sprzedać? Takie małe ups. Ten sam problem wypływa przy pomysłach założenia wydawnictwa, małej domowej piekarni, ekologicznych drobiazgów do domu. Najśłabszym ogniwem jest pracownik, a zaraz potem kanał dystrybucji. Walczę z sobą przez kolejne dni. Kolejne pomysły, kalkulacje i śledzenie dziwnych branż skutecznie spędzają mi sen

z powiek. Nie potrafię się na nic zdecydować.

Tymczasem nadszedł pierwszy dzień września i Klara w białych kolanówkach i granatowej sukience, spod której wystaje sterylnie biały kołnierzyk koszulki, wyrusza do szkoły. Zapomniałam zawiadomić liceum Jaśka, że on już nie wróci do klasy. Z ciężkim sercem poprosiłam o spotkanie w gabinecie pani dyrektor i w obecności wychowawcy po raz kolejny zmusiłam się do oglądania tych samych dramatycznych obrazów prosto z Barcelony i opowiadania o tym, co się stało.

Kobiety są w szoku, ani jedna, ani druga nie potrafi ukryć wzruszenia i ukradkiem ocierają łzy. Przy okazji dowiaduję się o nadzwyczajnej wrażliwości i empatii mojego syna, o jego dżentelmeńskich gestach w stosunku do grona pedagogicznego itp. Myślałam, że tylko ja dostrzegam te niedzisiejsze cechy charakteru Jaśka, ale gdy dowiaduję się, że inni też byli ich świadomymi, ogarnia mnie obezwładniające wzruszenie. Nie mówimy nic więcej i po chwili ze spuszczoną głową schodzę stromymi schodami na parking.

Odpalam samochód i aż podskakuję ze strachu, gdy w głośniku auta odzywa się natarczywy głos mojej siostry. Podejrzewam, że szykuje się emocjonalna

demolka, i niestety się nie myślę.

– Cześć, siora, co słyszeć?

Jej radosne powitanie zupełnie nie wpasowuje się w mój nastrój.

– Cześć – mówię słabo.

– Co się dzieje?

– Nic. A co ma się dziać?

– No, nie wiem, ty mi powiedz, jesteś jakaś inna. Ryczałaś?

– A jaka mam być? Radosna?

– No, nie przesadzaj. – Bezczelna gówniara oderwana od realiów, przyzwyczajona do zasobnego portfela nieprzyzwoicie bogatego męża, usiłuje mnie pouczać. – Słuchaj, wybieramy się z Miśkiem do ciebie.

– Co? – Gwałtownie trzeźwieję i prostuję się w fotelu. Niewiele brakuje, żebym znowu przywaliła zderzakiem w coś twardego.

– Tak na kilka dni, trzy może cztery. Mamy bilety na koncert u was na stadionie i pomyślałam, że dawno się nie widziałyśmy, więc to może być znakomita okazja.

Ciekawe dla kogo. Spanikowana zastanawiam się, jak jej wybić z głowy ten poroniony pomysł. W tej chwili jest jedną z wielu osób, na których oglądanie nie mam najmniejszej ochoty. Z głupia frant pytam:

– A kim jest Misiek?

– No jak to? Gracjan. Moje słoneczko. Jest cudowny. I taki męski, nie to co Rychu.

– To ten twój masażysta?

– Nie, masażysta to już przeszłość, to mój fryzjer. Jest boski. Wiesz, jak zajebiecie strzyże? Jak przyjedziemy, to ci zrobi taką metamorfozę, że nikt cię nie pozna.

No, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

– Słuchaj, raczej się nie zobaczymy. Wyjeżdżam i prawdopodobnie przez najbliższe dni mnie nie będzie...

Rozgorączkowana Zośka przerywa mi w pół zdania.

– Siora, to nie problem. Zostaw nam klucze, to sami sobie poradzimy. Aha, jeszcze jedno, trochę mi głupio cię prosić, ale wiesz, jak jest... – Cholera, najwyraźniej nie wiem... – Możesz pożyczyć mi trochę kasy? Oddam ci w przyszłym miesiącu.

Zwariowałam. Nie wiem, czy ona jest tak głupia, czy tak bezczelna. Jej postawa do końca przywraca mi trzeźwość myśli i powoli dochodzę do wniosku, że więzy krwi to nie smycz i kaganiec, których szczerością i własną opinią nie da się zerwać. Nie dość, że nie pyta, co u mnie, jak sobie radzę, to jeszcze ma wobec mnie jakieś oczekiwania. I jak na życzenie pada:

– A tak przy okazji, jak sobie radzisz? Poznałaś już kogoś? Wiesz, z taką chatą raczej nie powinnaś mieć problemu.

Gwałtownie hamuję i zjeżdżam na pobocze. Wyłączam silnik i z trybu głośnomówiącego przechodzę na głośniczek komórki, dzięki czemu – jak mam

nadzieję – to, co mam do powiedzenia, zabrzmie poważnie i dosadnie. Nabieram powietrza w płuca i wypluwam pełne jadu słowa. Przerażające jest to, jak bardzo jestem świadoma ich znaczenia.

– Słuchaj, Zośka. Przemyślałam sobie wszystko i nie gniewaj się, ale proszę, nie dzwoń do mnie w najbliższym czasie. Nie widziałyśmy się przez kilka lat i niech tak pozostanie, OK? Przeżywam żałobę i nie jestem gotowa na spotkanie z twoim Dziubkiem...

– Miśkiem. Gracjan to Misiek, a nie Dziubek.

– OK, Misiek czy Dziubek, nieważne. Żyjesz na zupełnie innej orbicie niż ja i mamy raczej różne trajektorie lotu... – Nagle zdaję sobie sprawę, że po drugiej stronie panuje cisza spowodowana najprawdopodobniej kompletnym brakiem zrozumienia. Zmieniam więc taktykę i mówię drukowanymi literami: – Nie dzwoń.

Teraz to siostra zasysa powietrze, i to z taką siłą, że mam wrażenie, że wyrwie mi kolczyk z ucha, i dobitnie, niczym stemplem po znaczku, wali:

– Suka jesteś, wiesz? To ty do mnie nie dzwoń! – I nim zdążam jej przytaknąć, rozłącza się.

Stoję jeszcze przez chwilę na poboczu z głową opartą na kierownicy. Akurat wystarczy, by w pamięć mojego telefonu wbiły się dwa kolejne esemesy od Krzycha.

Kurwa, mam dość. Wrzucam wsteczny i gwałtownie zawracam. Niesiona złością, bezradnością i chyba

głupotą gnam prosto pod dom przyjaciółki. Z ulgą odnotowuję, że na podjeździe brakuje czerwonego samochodu i jeśli nie stoi w garażu, to mam szczęście nie spotkać Krzyśka. W tym samym momencie dostaję esemesa z pytaniem, które nie tylko ujawnia autora owego szeregu wiadomości, ale też przelewa u mnie czarę goryczy: „Co robisz pod moim domem? Pamiętaj, nie zepsuj tego!”.

Nie wiem, czy „psucie” jest celem mojej wizyty, ale z pewnością mam zamiar doprowadzić do konfrontacji i wreszcie się uwolnić. Z drugiej strony, zastanawiam się, skąd gnojek wie, że tu jestem. System monitoringu? Raczej nie śledzi na bieżąco kamerek. Dalece to wszystko odbiega od towarzyskich norm i konwenansów. Jestem tak wściekła, że gdybym była ziarenkiem kukurydzy, eksplodowałabym popcornem.

Po upalnych tygodniach i niemrawych nocnych deszczykach nareszcie lunęło. Gwałtownie i hałaśliwie. Drzewa, gałązki krzewów i kwiaty ociekają deszczem, który upstrzył kałużami chodniki i ulice. Usiłuję przedrzeć się przez ściany wody, wycieraczki nie nadążają za przyrodą i powoli zaczynam się czuć jak staruszek Mojżesz w obliczu Morza Czerwonego.

Dzień przybiera coraz bardziej upiorny charakter, a mój nastrój, adekwatnie do tego, co proponują chmury, pograża się w coraz głębszych szarościach. Tym mocniej i gwałtowniej, gdy uświadamiam sobie, że przed domem

Magdy będę musiała wysiąść z samochodu i wystawić na działanie żywiołu moje ulubione skórzane sandałki.

Wreszcie cała przemoczona, ze zrujnowaną fryzurą i sandałkami w ręku, docieram na wycieraczkę pod szklanym daszkiem i łomoczę do drzwi. Po chwili staje przede mną Magda i zdziwiona moją niezapowiedzianą wizytą blednie.

– Coś się stało?

– Chciałam z tobą porozmawiać.

Jej zagubienie zupełnie odbiera mi resztki pewności siebie. W salonie, zawsze tak perfekcyjnie wysprzątanym i czekającym na gościa, panuje mało przytulny bałagan. Po zaolejowanym parkiecie kulają się koty, właściwie tygrysy kurzu. Stolik kawowy, z którego gospodarze są tacy dumni (choć paskudny, marmurowy i w dodatku szary jak niepielęgnowana nagrobna płyta, za to ponoć po samej ambasadorowej jakiejś tam, co właśnie jest źródłem pewnej ich dumy), zaścielony jest gazetami, resztkami jedzenia, a na dywanie kłębią się zmiętolone chusteczki. Kuchnia pełna nieumytych naczyń wygląda równie przerażająco jak sama gospodyni, bez makijażu, w byle jakim dresie. Energicznie rozczochrana fryzura, która od dawna nie widziała ani szamponu, ani fryzjera, dopełnia rozpaczliwego obrazka. Gdyby nie misja, z jaką się tu pojawiłam, to niespodziewane odkrycie, że idealna Magda miesza w domu zgoła nieidealny porządek, nawet

by mnie ucieszyło.

Tymczasem nie wiem, jak zacząć rozmowę, i w zasadzie nie bardzo też wiem, co chcę osiągnąć. Raczej nie liczę na zrozumienie, choć byłoby to miłą niespodzianką, ani na to, że Magda wreszcie dostrzeże, że ma problem z Krzyśkiem. Po analizie wszystkich za i przeciw dochodzę do wniosku: jako jej najbliższa przyjaciółka, której ostatnio tyle pomogła, winna jej jestem uczciwość. Oczywiście powoduje mną również potężny egoizm w postaci strachu i bezradności wobec jej męża. Głowę mam pełną niespokojnych myśli i nie wiem, jak zacząć. Wreszcie ciszę przerywa Magda:

– Jezu, Nina, co się stało?

– Jesteś sama?

– Tak, wejdź, proszę.

– Magda, głupio mi, że przychodzę i zawracam ci głowę, ale chciałabym, żebyś coś zobaczyła.

Wyciągam z torebki komórkę i sama jestem zdziwiona, że nie muszę jej intensywnie szukać, kopiąc w markowym worku wypchanym niemarkowymi śmieciami, które z każdym dniem nabierają rangi coraz cenniejszych pamiątek z naszych wakacji. W miarę moich kolejnych ruchów Magda z niepokoju coraz bardziej sinieje i usiłuje ponaglić mnie wzrokiem, a mnie dla odmiany dopada irracjonalne, towarzyszące mi od kilku dni przeczucie, że zaraz stanie się coś złego, i nie mogę wykrztusić słowa. Ponownie usiłuję zebrać

myśli rozrzucone po bliskiej migreny głowie i niezdarnie zacząć.

– Magda, mam nadzieję, że to, co ci pokażę, w żaden sposób nie będzie rzutować na naszą znajomość. – Tu wbrew sobie robię przerwę, podczas której spanikowany mózg usiłuje dogonić walące serce. – Słuchaj...

– Nina, przestań wreszcie owijać w bawełnę i walnij z mostu tak prosto, jak tylko ty potrafisz. Nie wiem, czy to komplement, ale faktycznie przechodzę gładko do meritum:

– Od kilku dni jestem zarzucana esemesami.

– Jezu, ktoś ci grozi?

– Początkowo nie, ale chyba coraz bardziej usiłuje wymusić na mnie spotkanie.

– Wiem, pewnie gnoje chcą okupu! – Magda jak to Magda, błyskawicznie wyciąga błędne wnioski. – Zgłosiłaś to na policji?

– Jeszcze nie...

– Zwariowałaś? Z takimi sprawami trzeba od razu iść na policję. No, chyba nie masz zamiaru płacić – raczej stwierdza, niż pyta.

– To nie takie proste...

– To bardzo proste. Zaraz zadzwonię do Krzysia, on się zna na takich rzeczach.

Na hasło Krzysiu słabnę i dosłownie w ostatniej chwili udaje mi się wyrwać komórkę z jej dłoni.

– Magda, do cholery jasnej, posłuchaj!

Lekko nadęsana Madzia siada na podłokietniku fotela i rzuca:

– Mów.

– Od jakiegoś czasu dostaję esemesy od faceta.

– O.

– No właśnie: O, bardzo duże O, pan staje się coraz bardziej nachalny.

– No, to też powinnaś zgłosić.

Też bym chciała zastosować zero-jedynkowe rozwiązanie.

– Właśnie, tylko jest pewien problem.

– Miałaś kiedyś romans? – Magda wydaje się na nowo podekscytowana, co zdaje się przyćmiewać jej rozum.

– Chyba oszalałaś. Nie miałam romansu i nie zamierzam mieć! Nie szukam faceta! Rozumiesz? Wiadomości zaczęły przychodzić w dniu wizyty Krzyśka...

– Czy ty coś sugerujesz? – Moja wyrywna i przerywna przyjaciółka prostuje się i nabiera dystansu.

Obawiam się, że zaraz zaczniemy rozmawiać jak dwie obce sobie kobiety. Piekło i szatani!

– Nic nie sugeruję. Wyciągam wnioski i mam nadzieję, że pomożesz mi w ich ocenie. Krzysiek pojawił się u mnie z własnej inicjatywy, a nie po moim telefonie, tak jak usiłował ci to wytłumaczyć. Zaproponował mi pomoc, ale chyba w szerszym zakresie, niżbym mogła

przyjąć, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć. Zaraz po jego wyjściu przyszły pierwsze esemesy i tak jest od kilku dni, w tempie i liczbie narastającej, wprost proporcjonalnej do mojego zachwianego poczucia bezpieczeństwa. Ostatni pochodzi sprzed kilku minut: „Co robisz pod moim domem. Pamiętaj, nie zepsuj tego”.

Trzęsącą się ręką podaję jej telefon i podtykam pod nos rozświetlony na zielono ekranik. Magdzie resztki krwi odpływają z twarzy i zaczyna się zachowywać irracjonalnie.

– Zwariowałaś? Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że to Krzysztof?

– A kto? Pod czyją chatą stałam przed chwilą? Musi mnie obserwować, rozumiesz? Nie chciał, żebym się z tobą spotkała.

– A co jest między wami, że masz tego nie zepsuć? Spałaś z nim?

Oczywiście bzyknęłam się z jej starym, a teraz przyszłam jej to zakomunikować! Kretynizm.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Nie rozumiesz, że mam dosyć i dlatego do ciebie przyszłam?! – Bezwiednie podnoszę głos i prawie krzyczę.

– Przecież to nie jest jego numer telefonu.

– Magda, nie musi być! Nie zauważyłaś niczego dziwnego w jego zachowaniu?

– Nie, nic, tylko wspominał, że stale prosisz go

o pomoc. Zresztą często wpadał do was, do Bartka.

– No właśnie, do Bartka, a nie do mnie! Magda, ja go o nic nie proszę. Rozumiesz? On chyba zaczyna nami manipulować.

– Przecież prosiłaś o wyregulowanie pieca czy czegoś tam.

– Tryskaczy, ogrodowych trykaczy. Ale to tylko dlatego, że akurat przyszedł.

– Przeginasz! To mój mąż, nie zapominaj o tym. Zawsze cię rozumiałam i chętnie ci pomagałam, ale tym razem przeginasz.

– Magda, wiem, jak to wygląda, zresztą chyba nie tak, jak ty to widzisz, ale przyjaźnimy się tyle lat, że uznałam, że powinnaś wiedzieć. Dlatego nie zgłaszałam tego na policji, nie chcę wam zaszkodzić.

– Przeginasz. Nina, naprawdę cię pociepało. – Magda powtarza to jak mantrę. – Zgłaszaj to, gdzie chcesz, nas to nie dotyczy. Wiesz, znamy się tyle czasu... jesteś ostatnią osobą, którą o coś takiego bym podejrzewała. – Ostentacyjnie wstaje i patrzy mi prosto w oczy.

– Magda...

– Nie, nie przerywaj mi, proszę. Tyle ci mówiłam o naszych problemach i o Krzyśku w ogóle, że dopatrujesz się w tym czegoś, czego nie ma. To z pewnością nie mój mąż wysyła ci esemesy i raczej powinnaś gdzie indziej szukać źródła swoich kłopotów. Różnie nam się układa i wielokrotnie podejrzewałam go

o romans, ale ostatnio dużo rozmawialiśmy i jest między nami tak dobrze... Nie wierzę, że mój Krzysiek mógłby proponować romans mojej najlepszej przyjaciółce. To idiotyczne. Jak mogłaś tak pomyśleć?

Nie dość, że jestem zaszczuwana przez jakiegoś palanta, to na dodatek moja przyjaciółka widzi we mnie zdrajczynię.

– Boże, Magda, może się mylę, może to jakaś podpucha. Wierz mi, myślałam o tym bardzo intensywnie, analizowałam wszystko i już sama nie wiem. Uważałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Bardzo mi to ciążyło. Przepraszam, jeśli cię uraziłam, ale nie potrafiłam sama sobie z tym poradzić.

– Sorry. Ja też ci niestety nie pomogę. Nie tym razem. I mam nadzieję, że nie będziesz mieszać w to mojego męża – mówi grobowym głosem dotąd najbliższa mi osoba.

– Jasne.

Jestem załamana. Dlaczego takie rzeczy się dzieją? W niekontrolowany sposób przepływają przeze mnie obrazy ostatnich dni, które usiłuję poddać ponownej analizie. Może faktycznie coś mi się wydawało i, jak zwykle przewrażliwiona, wyciągam pochopne wnioski? Znając Magdę tyle lat, w zasadzie spodziewałam się takiej reakcji, ale mimo wszystko liczyłam na jakiś przebłysk zrozumienia z jej strony. No ale zrzuciłam z siebie, być może egoistycznie, bo prosto pod nogi

przyjaciółki, wielki ciężar... i niestety nie jest mi lżej. Nadal czuję się podle.

– Magda, mam prośbę, wiem, że chodzi tu o szczerść i zaufanie, ale proszę cię, nie mów nic Krzyśkowi, dobrze? Wiesz, jestem w kiepskiej formie i może niepotrzebnie z tym wyskoczyłam. Byłoby mi strasznie głupio, gdyby się dowiedział, że go podejrzewałam.

– Dobrze, nie ma sprawy.

Obie nie bardzo wiemy, jak teraz się zachować i co sobie powiedzieć. Magda uprzejmie, chyba aż nazbyt uprzejmie pyta, czy zaparzyć mi herbatę, i chociaż zaschło mi w gardle, wykręcam się koniecznością zawiezienia Klary na urodziny koleżanki. Muszę, obie musimy ochłonąć i przetrwać słowa, które padły.

Gdy tak tkwimy w zawieszeniu, nie wiedząc, czy się pożegnać, a w zasadzie jak to zrobić, by nie spalić za sobą mostów, dzwoni mój telefon. Magda, która nadal trzyma go w ręce, nieświadoma, że to nie jej komórka, wciska zieloną słuchawkę. Dźwięk ustawiony jest na tyle głośno, że wyraźnie słyszę głos Krzycha:

– I co, nie uwierzyła ci? Teraz już wiesz, że możesz liczyć tylko na mnie. Nic się nie bój, zaopiekuję się tobą i małą. Halo? Słyszysz, co mówię?

Ręka Magdy zaciśnięta na moim aparacie robi się sina, a poczerwieniałe knykcie sprawiają wrażenie, jakby miały przebić skórę. Zzieleniała twarz nie pozostawia

złudzeń: Magda doskonale wie, kto jest po drugiej stronie. Potrzebuje tylko krótkiej chwili, by przewartościować rzeczywistość, odnaleźć w sobie spokój i ostatecznie skonfrontować się w telefonicznej przestrzeni z mężem.

– Słyszę, co mówisz, aż nazbyt wyraźnie. Wyobraź sobie, że uwierzyła, po raz pierwszy uwierzyła. Ale do ciebie pewnie teraz z trudem dociera, że rozmawiasz z własną żoną, a nie z Niną. Skup się, kochanie. Jeśli pojawisz się w domu, wezwę policję, zrobię awanturę przy sąsiadach i ośmieszę cię przed całą dzielnicą. Tolerowałam twoje skoki w bok, ale tym razem przekroczyłeś wszelkie granice. Teraz możesz zrobić tylko jedno: wypierdalać z mojego życia.

Rozłącza się, gwałtownie wypuszczając z siebie powietrze, i oddaje mi telefon. Nic nie mówi, ale skinieniem ręki pokazuje, że mam iść za nią do kuchni. Zaparza dzban czarnej herbaty, nalewa dwa kieliszki brandy i zapada się w fotelu naprzeciwko mnie.

– Ja zwyczajnie nie chciałam widzieć jego zdrad. Jeśli wiesz, to musisz coś z tym zrobić, a ja tak bardzo się bałam zostać sama. Właściwie to i tak bez znaczenia, bo przecież nie można być bardziej samotnym niż w takim małżeństwie jak moje. Ale się popieprzyło...

– Na szczęście nie aż tak bardzo, bo nie udało mu się nas skłócić, a naprawdę był tego bliski.

– Nina, przepraszam, nie wiem, co mi odbiło, że tak

cię potraktowałam.

– Zdarza się.

– Ale między nami nie powinno. Wyobraź sobie, że on co chwilę dokądś wychodzi, wyjeżdża, nic mi nie mówi. Zaczęłam mieć obsesję na jego punkcie, a gdy ktoś usiłował mi coś sugerować, nie chciałam słuchać.

– Magda, tak bywa.

– Po prostu nie chciałam być sama. Boże, jakie to głupie. Wyszłam za niego, bo nie chciałam być sama. Nie był idealny, ale jako jedyny się mną zainteresował i myślałam, że po ślubie będzie nam lepiej niż przed. Oczywiście nie było. Nie chciałam być sama, więc robiłam, co sobie życzył, i udawałam, że nie dostrzegam tego, co chciał przede mną ukryć, byle tylko był obok mnie. A w końcu zostałam zupełnie sama, czego tak bardzo nie chciałam.

Nalewa sobie kolejną lampkę brandy, zupełnie jakby wierzyła, że odpowiedź tkwi na dnie butelki. Spoglądając na nią, obawiam się, że nie znajdzie tam żadnych wskazówek, a jutrzejszy kac kielkujący na dzisiejszym smutku całkiem ją wykończy. Usiłuję dotrzymać jej tempa, ale alkohol dziwnie mnie odrzuca i pozostaję przy jednym kieliszku. Postanawiam, że zostanę z Magdą na noc. Okazuje się, że niewielka butelka cardenal mendoza może stać się nowym fundamentem starej przyjaźni.

– Pamiętasz, jak pożyczałam od ciebie dzieci i szłam

z nimi do jego biura zaznaczyć teren? Niech widzą i myślą: żona, dzieci, taka doskonała rodzina. Myślałam, że to odstraszy potencjalne dziunie, ale nie ostraszałało – bełkocze coraz bardziej, coraz głębiej zapadając się w poduchy, na które klapnęła. Nie płacze, jest wściekła. Stała na granicy, którą tak bardzo obawiała się przekroczyć.

Wychodzę na palcach na korytarz i dzwonię do domu.

– Aniu, słuchaj, Magda niespodziewanie potrzebuje mojego wsparcia i muszę zostać z nią na noc. Poradzicie sobie same?

– Coś się stało?

– Problemy rodzinne. Daj mi, proszę, Klarę do telefonu.

Po chwili szumów i nawoływań słyszę w słuchawce głos córki.

– Cześć, słońce! Muszę dziś zostać u cioci Madzi i jej w czymś pomóc, nie wrócę na noc, ale Ania mocno cię przytuli. Możecie sobie obejrzeć bajkę u mnie w sypialni.

– Naprawdę? Super! A jak ci minął dzień? – zadaje swoje sakramentalne pytanie, bez którego nie może położyć się spać.

– Bardzo miło. A tobie?

– Też. A wiesz, dziś na matmie Michał przykleił gumę do warkocza Julki.

– No coś ty? I co, dało się ją odkleić?

– Nie, pani musiała jej trochę obciąć włosy i Julka strasznie płakała, bo teraz ma jeden warkocz krótszy. A potem płakał Michał, bo pani wpisała mu uwagę do dzienniczka i jutro musi przyjść do szkoły z rodzicami.

– O, to fatalnie. Może unikaj Michała, żeby tobie też nie zrobił jakiegoś głupiego kawału.

– No, on ma stale takie pomysły. Wczoraj przykleił Tomkowi, który z nim siedzi, wszystkie kredki do biurka i Tomek strasznie płakał, bo pani na niego strasznie krzyczała.

– To już jest bardzo niefajne.

– Wiem. Kocham cię, mam, pa, muszę kończyć, bo będziemy oglądać film. A mogę się nie kąpać?

– Nie, nie możesz! Chcesz być brudasem? Najpierw do wanny, potem film i koniecznie umyj włosy. Pa, buziaki.

Rozłączam się i ze zdziwieniem stwierdzam, że w czasie tej krótkiej rozmowy Magda zasnęła na kanapie. Przykrywam ją kocem, przynoszę z łazienki największą miskę, jaką udaje mi się znaleźć, i zaczynam się zastanawiać, gdzie sama mam się położyć. Ostatecznie wybór pada na pokój gościnny i wielkie wygodne łóżko, które wprost mnie zaprasza. W łazience, posiłkując się kosmetykami przyjaciółki, zmywam makijaż i smaruję twarz grubą warstwą tłustego kremu. Mimo fatalnego końca dnia czuję się wybornie. Jestem

tak przejęta tym, że wreszcie pozbyłam się Krzycha, że nie chce mi się spać, a z drugiej strony mam ochotę solidnie wypocząć. Zanurzam się w sztywno wykrochmalonej pościeli i budzę się, gdy jest zupełnie jasno. Zdezorientowana nie wiem, gdzie jestem, ale bezbłędnie rozpoznaję aromat mocnej kawy, który dociera do pokoju i zachęcająco wiruje nad łóżkiem.

W kuchni czeka na mnie zdumiewająco dobrze wyglądająca i sprawiająca wrażenie wypoczętej Magda.

– Cześć. Nareszcie wstałaś.

– Cześć. Która godzina?

– Ósma piętnaście.

Z przykrością konstatuuję, że w pewnym wieku granica spania do późna niebezpiecznie przesuwa się w stronę piątej rano, a nie jedenastej. No cóż. Dobrze, że bez pastylek udało mi się przespać noc.

– Jak się czujesz?

– Doskonale. Wiesz, chyba mi ulżyło, że przyłapałam go na gorącym uczynku. Już się nie wywinie. Przysłał mi esemesa, że to był taki dowcip. Niezły żart, co? To teraz zobaczy, jak się będzie śmiał!

– Jesteś zdecydowana.

– A co mam robić?! Jak długo można być tak głupim, żeby przebaczać? Jeśli nie będę szanować siebie, nikt nie będzie szanował mnie, więc koniec z udawaniem.

– I tak trzymaj. To co teraz?

– Idziemy do wróżki.

- Zwariowałaś?! Po co do wróżki? Nigdy nie byłam u wróżki!
- To najwyższy czas.
- Nieee, trochę się chyba boję, nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć, co ona ma do powiedzenia.
- Chcesz, chcesz. Dalej, zbieraj się i jedziemy.
- A jak powie coś złego?
- Nie powie, a nawet jeśli, to nie uwierzysz.
- No, nie wiem, czy to tak działa.
- Zadziała. Trzeba coś robić, przecież nie będziemy tu biadolić.
- OK.

Na dworze leje jeszcze bardziej, a wrażenie kataklizmu potęguje świszczący wiatr, który przygina do ziemi pełne bukiety różowych hortensji w ogrodzie. Zatrząskuję drzwi czerwonego jeepa Magdy i mam wrażenie, że dosłownie przyklejam się mokrą sukienką do skórzanego siedzenia. Nienawidzę skórzanego tapicerki, która latem bezlitośnie parzy moje zazwyczaj odziane w krótkie spodenki uda, a zimą, nim zacznie działać ogrzewanie foteli, nieprzyjemnie przeszywa chłodem.

Nim zdążymy odpalić samochód, komórka cicho brzęczy. Nie muszę zgadywać, co i od kogo dostałam. „I co? Nie uwierzyła ci?” A jakże. Jestem na granicy wytrzymałości i po raz pierwszy samodzielnie, wbrew

radom Agi, za to w towarzystwie Magdy, odpisuję krótko i na temat: „Odpierdol się!”. O dziwo, czuję się lepiej, ba, jestem dumna z siebie i postanawiam, że jeśli jeszcze kiedykolwiek dostanę tego typu wiadomość, pójdę na policję. Cieszę się, że Magda wie. Skowronki ćwierkają mi nad głową i unosząc w dzióbkach jedwabne wstążki, rozwijają świetlisty napis: po problemie, po problemie.

Nasza eskapada nie napawa mnie jednak optymizmem, ale może faktycznie należy to potraktować jako urozmaicenie dnia. I z takim nastawieniem daję się zawieźć do podejrzanego, szarego bloku na obrzeżach miasta.

Czteropiętrowy budynek bez windy niespecjalnie zaprasza wymalowaną brązową olejnicą klatką i smrodem kociego moczu. Metalowa balustrada z wąskimi prostymi tralkami i szpetnym zielonym linoleum, które nie zachęca do dotknięcia, wiedzie nas na trzecie piętro, do drzwi na wprost. Magda, która też jest tu po raz pierwszy, z wahaniem wyciąga rękę w kierunku dzwonka, lecz nim przyciska biały prostokąt, drzwi się otwierają i staje w nich około siedemdziesięcioletnia pani. Nim zdążę pomyśleć o jej nadprzyrodzonych zdolnościach, rozwiewa moje domysły, mówiąc:

– Słyszałam, jak panie idą. Zapraszam.

Oddycham z ulgą, że to jednak nie czary.

Ubrana w dobrze skrojone czarne spodnie i jeszcze

staranniej uszytą białą koszulową bluzkę gospodyni zaprasza nas ciepłym gestem do środka. Delikatny sznur pereł dodaje jej szyku i w zasadzie jest jedyną ozdobą, siwe włosy spięte w misterny kok budzą szacunek i przywodzą na myśl Mary Poppins. Spogląda na nas bystrymi oczami, które nie pasują do wiekowego ciała, podobnie jak nowoczesne mieszkanie do wróżki. Spodziewałam się ciemnych kotar, kryształowych kul, kotów i dymu świec, tymczasem znalazłyśmy się w przestronnym salonie z wielkim, włączonym na kanał informacyjny telewizorem na ścianie.

– Napiją się panie czegoś?

– Nie, dziękujemy, nie chciałybyśmy robić kłopotu.

– Żaden kłopot, ale domyślam się, że są panie przede wszystkim ciekawe tego, co mówią karty.

– Chyba tak.

– To która z pań pierwsza?

– Magda, ty mnie zaprosiłaś, więc idź.

Magda wychodzi z panią Marią do pokoju obok, a ja zostaję sam na sam z wielkim ekranem, przez który przewijają się kolejni dziennikarze, obrazy czołgów, ludzie w szpitalu, relacje sejmowe i wreszcie obraz trzęsienia ziemi na końcu świata. Nie potrafię skupić się na niczym, zastanawiając się, co tu robię.

Wreszcie, trochę niepewnym krokiem, choć radosna i uśmiechnięta, wychodzi Magda. Teraz ja. Wkraczam do niewielkiego pokoju, w którym znajduje się stare dębowe

biurko i regały z książkami. Poza tym jedynymi meblami są niewielki okrągły stolik, na którym pali się świeca, i dwa krzesła.

– Proszę, niech pani siada.

Niepewnie przysiadam na brzegu poduchy i w tej niewygodnej pozycji staram się utrzymać równowagę.

– Proszę usiąść wygodnie. – Odruchowo prostuję się na krześle i zamieram jak krokodyl czekający na ofiarę. – Co panią do mnie sprowadza?

– Moja przyjaciółka – odpowiadam szczerze. Nie zastanawiałam się, o co mogłabym zapytać.

– A co by pani chciała wiedzieć?

– W zasadzie, ostatnio...

– Nie, nie, proszę nic nie mówić, od mówienia jestem ja. Proszę mi podać datę swoich urodzin i rzucić kostką... Powiem pani, co widzę. Zgoda?

– OK.

Posłusznie rzucam kostką i podaję datę, która sprawnie, w zupełnie dla mnie niezrozumiały sposób, zostaje przeliczona.

– Pani cyfrą jest piątka. Proszę nakleić ją na drzwiach, a przyniesie pani pieniądze i powodzenie.

– Rozumiem. – Kurde, nic nie rozumiem.

Rozkłada przede mną karty i domyślam się, że stawia tarota.

– Ostatnio przeżyła pani ogromną stratę. To były dwie bliskie pani osoby.

– Mąż i syn.

– Proszę nic nie mówić. Widzę w kartach, że ma pani duże problemy finansowe, ale to minie. Przed panią nowe wyzwania, może nowa firma albo praca. Ma pani wokół siebie oddanych ludzi, choć jest także ktoś, kto nie życzy pani dobrze. To mężczyzna, ktoś z rodziny. – Szwagier. Na bank chodzi o Wojtka, myślę sobie w skrytości, że trafiła w punkt. – Widzę nową miłość i nowe dziecko, nie jedno... dwoje.

Wariatka. Jakie dzieci? Z kim? Jaka miłość? Słucham, w duchu ironicznie kręcąc głową, nawet z pewną dozą politowania dla starszej kobiety: żałuję, że dałam się namówić na tak głupie i szybkie wydanie stówy.

– Jeszcze raz zostanie pani wdową, ale nie nastąpi to prędko. Proszę pokazać lewą dłoń. O, będzie pani poważnie chorować, ale pokona chorobę i dożyje ponad osiemdziesięciu lat. Proszę uważać na kobiece sprawy. Ma pani problemy ze snem, ale to też minie. Boli panią prawe biodro i musi się pani zgłosić do lekarza, prawdopodobnie to nic groźnego.

Powoli przekłada i odkrywa kolejne karty, każe mi także wyciągnąć jedną z talii. Sięgam po tę na samym spodzie i pytam:

– A co z dzieckiem?

– Mała ma alergię, powinna pani uważać na to, co ona je, sugerowałabym ograniczenie nabiału.

– Klara w zasadzie nie pije mleka, nie je jogurtów ani serów.

– To dobrze, proszę jej nie zmuszać. Chce pani znać płeć kolejnych dzieci?

– Chyba nie. Zresztą nie będzie kolejnych dzieci.

– To czeka panią niespodzianka. I jeszcze jedna ważna rzecz. W sypialni ma pani lustro, proszę się go pozbyć.

– Nie mam lustra w sypialni.

– Jak to nie? Moim zdaniem jest tam lustro.

Po chwili przypominam sobie, że niewielkie lustro wkomponowane jest w białą toaletkę stojącą w narożniku pokoju.

– Kurczę, ma pani rację, mam toaletkę. Zapomniałam.

– To proszę zakryć albo usunąć, lustro przynosi nieszczęście. I proszę się tyle nie martwić, dużo dobrego przed panią.

Wychodzę skołowana i wściekła, że Magda tyle zdążyła jej nagadać i wmanewrować mnie w tę idiotyczną sytuację.

– Nie musiałś wyklepać jej wszystkiego – naskakuję na nią już na klatce.

– Oszalałaś? Nic jej nie powiedziałam, nawet o ciebie nie pytała. A co ci powiedziała?

– W zasadzie nic ciekawego. Że będę miała jeszcze dwoje dzieci. Czujesz to? Ja i kolejne ciążę? Z kim? A

tobie co wywróżyła?

– Dowiedziałam się, że mąż mnie zdradza...

– No, to już wiemy.

– Niby tak, ale usłyszeć coś takiego od zupełnie obcej osoby... to mimo wszystko wywołuje ciarki. Nie wiem, skąd ona to wszystko wie. Też mi powiedziała o dziecku. Wiesz, to by nawet było fajne.

Szczerze, z perspektywy mojego wieku nie jestem taka pewna.

– Aha, i jeszcze będę bogata. Wyobrażasz sobie? Założę z kimś firmę i odniosę sukces, więc, kochana... do roboty!

Nie wiem, czy wizyta u wróżki powinna się stać dla mnie jakimkolwiek kierunkowskazem, ale zasiała ziarno optymizmu, chyba nawet bardziej niż ponura pani psycholog z poważną miną i swoimi technikami, z których kazała mi wybrać jedną, podczas gdy nawet ich nazwy nic mi nie mówiły, a co dopiero same procedury.

Dotąd działałam w bólu, strachu i lekkim przytłoczeniu, które przytępiały racjonalną ocenę rzeczywistości i zdolność wyciągania prawidłowych wniosków. Teraz, niesiona wiarą, że dam radę, jadę do knajpy i postanawiam zabrać się do porządków. Ponowne poskładanie życia zawodowego, jeśli wegetację w podrzędnej knajpce można tak nazwać, może okazać

się trudne. Podświadomie przeczuwam, że rozdział szefowej kuchni Magda ma już za sobą i nie mogę obarczać jej tym obowiązkiem. Zresztą najwyższa pora spróbować się pozbierać.

W knajpie panuje chaos. Kelnerki, bez wsparcia Magdy, znowu nie nadążają z obsługą głodnych gości w zastraszającej liczbie dwóch par wciśniętych w najgłębsze zakamarki sali. Pozostałych osiem stolików jest pustych. Mimo niewielkiego ruchu, wygenerowanego przez dzieciaki bardziej zainteresowane kizaniem kolan pod stołem i kradnięciem pocałunków, wyraźnie sobie nie radzimy. Biorę sprawy w swoje ręce z mocnym postanowieniem, że od jutra zacznę szukać kucharza z prawdziwego zdarzenia. Rozglądam się po ponurych szarych ścianach i zastanawiam, jak je przemaalować, by wnosiły więcej optymizmu. Bartek nie chciał się zgodzić na radykalne zmiany, ale według mnie był to spory błąd, który nie pozwolił nam odciąć się od opinii poprzednich właścicieli. Przystępuję do rewolucji w stylu tych kuchennych oglądanych w telewizji i upatruję w tym działaniu jedynej szansy na wyjście z trudnej sytuacji.

Jest wpół do jedenastej, gdy wreszcie docieram do domu. Mimo zmęczenia czuję się silniejsza i odkrywam w sobie nowe pokłady energii. Całuję śpiącą Klarę w czołko, przykrywam wystający spod kołdry kuperek i opadam w szlafroku na kanapę. Po chwili dołącza do

mnie Anka. Otwieram butelkę czerwonego wina i nalewam po małej lampce cudownego, aromatycznego rubinowego płynu.

– No i jak tam? – zagajam. – Nie żałujesz przyjazdu do miasta?

– Nie. Oczywiście, że nie. Pani dom jest przepiękny.

– Nie tęsknisz?

– Trochę. Wie pani, jak to jest.

– Wiem najlepiej na świecie – mówię cicho i kulę się w sobie. Tak bardzo chciałabym opowiedzieć Bartkowi o tym, co się dzieje, chciałabym się z nim posprzeczać, poprzytulać, planować kolejne wyjazdy i nie martwić się rachunkami. Chciałabym pogłaskać Jaśka po głowie, zakraść się do jego sypialni i dać mu się objąć w kuchni. – A jak mała?

– W porządku. Odrabiamy razem lekcje, nawet dobrze jej idzie, tylko że znowu jest smutna.

– Obawiam się, że to normalne w naszej sytuacji.

– No tak, ale dzieci się z niej śmieją.

– Śmieją się? – Prawie krztuszę się winem, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa. – Jak to śmieją się? Dlaczego?

– Wołają na nią Marysia.

– Marysia?

– Sierotka Marysia – prawie szepcze Ania.

– Kurwa, żartujesz? Jak można być tak wrednym?!

Nie mogę uwierzyć, że dzieciaki potrafią być tak paskudnie złośliwe. Podejrzewam, że część z nich takie wartości i emocje wynosi z domu. Pewnie nie trzeba by długo szukać cwaniaczków, którzy się cieszą z naszego nieszczęścia. Masakra. Tylko co ja mam zrobić?

– Pójdę jutro do szkoły i porozmawiam z nauczycielką. Klara nie powinna o tym wiedzieć. Zostaniecie w domu. Jeśli nadal będzie łać, to wybierzecie się do palmiarni albo do kina, tam nie zmokniecie.

– OK, może to i dobry pomysł.

Jadę do szkoły w strugach deszczu, ponury ranek nie zapowiada dobrego dnia, a przeprawa w szkole może stać się jego ukoronowaniem. Wychowawczyni Klary czeka na dzieciaki w klasie, wielkimi nożyczkami zamasyżycie wycinając zwierzątka z kolorowego papieru. Pukam w futrynę i nie czekając na zaproszenie, wchodzę do sali.

– Dzień dobry. Mogę zabrać pani chwilę?

– Dzień dobry, pani Nino, oczywiście, proszę. Czy coś się stało?

– Niestety tak. Dzieciaki przezywają Klarę, śmieją się, że jest sierotką Marysią.

Strzelam z grubej rury. Drżący głos zdradza moje emocje, od których nie sposób uciec. Zmieszana nauczycielka blednie i z wyrazem niedowierzania drąży

temat.

– Pani Nino, nic nie wiedziałam. To się musi dziać na przerwach. Czy wie pani, kto to robi? Proszę się nie martwić. Zaraz porozmawiam z dziećmiakami i zrobię im porządną wykład. Niewiarygodne.

– Miałam nadzieję, że tak pani zareaguje. Klara została dziś w domu, może to ułatwi rozmowę z dziećmi. – Podaję jej rękę na pożegnanie. – Dziękuję za zrozumienie.

– Przecież to oczywiste. Gdyby coś jeszcze panią niepokoiło, proszę od razu do mnie dzwonić. Podawałam numer komórki na zebraniu, nie wiem, czy do pani dotarł.

– Tak. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Podniesiona na duchu wychodzę z sali i na korytarzu spotykam grzeczniutkie dzieci przyklejone do rodziców. Małe żabki, których nikt by nie podejrzewał o takie zachowanie. Część rodziców gorliwie przygląda się mojej twarzy, sukience, doszukując się znamion stanu, w jakim się znajduję. Usiłuję nikogo nie pominąć w porannym powitaniu i powoli opuszczam szkołę.

Wsiadam do samochodu i nie wiem, co dalej. Pewnie powinnam podjechać do Agi albo do banku, żeby sprawdzić, co się dzieje w sprawie moich finansów, tymczasem nogi same niosą mnie na cmentarz.

Stoję pod wielkim szarym parasolem, który nie daje schronienia przed strumieniami wody. Sukienka

przykleja się do łydek, a w plastikowych klapkach chlupocze. Łzy mieszają się z deszczem. Czuję się sponiewierana, bezsilna i zagubiona. Nie wiem, jak długo trwam w tym przykurczu. W końcu czuję, jak jakaś siła popycha mnie do samochodu i zmusza do powrotu do domu. Biorę gorący prysznic i wraz z cmentarnym błotem usuwuję z siebie zmęczenie.

Sięgam po telefon. Mam ochotę porozmawiać z kimkolwiek, no, może nie z dostawcą pizzy albo siostrą, ale z kimś, kto nie tylko zapyta, jak się czuję, lecz też powie coś o zwykłych codziennych sprawach. Zauważyłam, że ludzie, nawet bliscy, nie do końca wiedzą, jak się przy mnie zachować. Kurtuazyjnie pytają o samopoczucie, jak sobie radzę i takie tam, a przy tym unikają zwykłych przyziemnych tematów. Nagle okazuje się, że w zasadzie nie mają żadnych problemów, nikt nie wkurza się na szefa, nie narzeka na pracę, mężowie koleżanek nagle nie są kretynami, którzy potrafią tylko wylegiwać się na kanapie, a dzieciaki nie sprawiają żadnych kłopotów. Podejrzewam, że ich problemy wydają się im błahe w zestawieniu z moimi, więc milczą, jednocześnie izolując mnie od siebie. Przestałam być zapraszana na kolacyjki w domach, bo przecież jestem w żałobie i trudno się przy mnie śmiać. Albo może jestem nie do pary? Cholera, nie wiem. Wiem, że bardzo bym chciała usłyszeć coś więcej niż tylko: musisz być silna, dasz sobie radę, zobaczysz, będzie dobrze.

Chcę do normalności, która pozwoli odzyskać równowagę i wreszcie wyrwie z ręki trującą maść o nazwie „ból”, którą się nacieram, centymetr po centymetrze, noc po nocy.

Wybieram numer Magdy i po chwili słyszę:

– Słucham.

Włącza mi się czerwona lampka. Przecież wie, że to ja.

– Cześć, Magda. Co słychać, wszystko OK? Co robisz?

– OK. Wybieram się na zakupy do centrum.

Zakupy w wypadku Madzi to nie bułki i szynka, tylko raczej inne części zwierzęcia przerobione na buty i torebki, których najczęściej poszukiwałyśmy wspólnie. Tym razem Magda nie zaprasza mnie na penetrowanie butików.

– Fajnie. Szukasz czegoś konkretnego?

– Nie. Muszę kupić worki na śmieci.

– Worki na śmieci?

– No. W coś muszę gnojka spakować, trochę szkoda róż pod oknami, mogłyby się połamać, gdybym powyrzucała jego rzeczy.

Jednak rozmowa wyraźnie się nie klei.

– Jadę do knajpy i pomyślałam, że może byśmy zjadły razem lunch.

– Nie gniewaj się, ale raczej nie. Będę zajęta.

– Szkoda, ale rozumiem. Odezwij się, jak będziesz miała więcej czasu. Miłego dnia, pa.

– Pa.

I po rozmowie, mam nadzieję, że nie po przyjaźni. Czy Magda przemyślała w nocy swoje relacje z Krzysztofem i kolejny raz mu przebaczyła? Mam nadzieję, że się nie obraziła. Ponoć obrażony przyjaciel staje się naszym największym wrogiem, mam cichą nadzieję, że Magda nie dojdzie do takiego etapu naszej znajomości. Odbiera mi to chęć na cokolwiek. Jak zwykle w takich sytuacjach zaczynam odreagowywać stres, porządkując najbliższą przestrzeń, na którą tym razem niestety składają się blat i szuflady biurka. Przekopanie się przez papiery Bartka, moje porozwalane faktury, wycinki z gazet zajmuje mi sporo czasu. Z księgowego transu budzi mnie stuknięcie drzwi na dole. W pierwszym odruchu zamieram spanikowana, zastanawiając się kto to, jednak po chwili, słysząc radosny głos małej, wołam:

– Cześć, dziewczyny, jak było? Głodne?

Powoli schodzę po schodach i wpadam wprost na podekscytowaną Klarę.

– Mamo, mam, wiedziałaś, że w palmiarni jest wystawa kotów?

– Nie, naprawdę?

– Tak! Wiesz, były też takie maciupęńkie. – Rozkłada swoje małe rączki i nieporadnie usiłuje

określić wielkość kociaków. – Chciałabym mieć takiego.

– A co byś z nim robiła?

– Kochała.

Jak mogłam o tym nie pomyśleć? Trafiająca w sedno odpowiedź podkopuje moją niechęć do zwierzaków w domu, w szczególności do kotów chodzących po wszystkich meblach.

– Takie stwory muszą jeść, a potem robią śmierdzące kupy, kto miałby to sprzątać?

– Ania?

– Oczywiście. Ania nie marzy o niczym innym, jak tylko o sprzątaniu kuwety.

– Miałam koty w domu, to nie jest problem.

Truchleję, bo wizja kota cichutko niesiona na miękkich, włochatych łapkach niebezpiecznie zbliża się do naszego domu.

– Mamo, słyszysz?

– Słyszę, słońce, słyszę.

– Pojedźmy jeszcze raz zobaczyć te kotki. Proszę. – I tu mały szantaż: – Dawno razem nie wychodziłyśmy.

Nie licząc kina dwa dni temu, rzeczywiście dawno nie bywałyśmy. Poddaję się spanielowatym spojrzeniom dziewcząt i niechętnie biorę kluczyki do samochodu. To znaczy usiłuję wziąć, bo oczywiście nigdzie nie mogę ich znaleźć. Wszystkie rzucamy się na poszukiwania, a mieszkająca w tym domu najkrócej i tym samym najmniej znająca jego rytuały i tajemnice Ania usiłuje

dopytać małą:

– Klaro, gdzie mama trzyma kluczyki?

Mała na sekundę się zatrzymuje oszołomiona pytaniem, po czym poważnie komunikuje rzecz oczywistą:

– Wszędzie.

Niestety, to prawda. Kluczyki zazwyczaj mam w torebce, pod nią albo na niej, opcjonalnie mogą być w kieszeni kurtki, na parapecie w holu, na blacie w kuchni (zazwyczaj pod ściereczką), potrafię zawlec je również do łazienki na piętrze, sypialni albo garderoby. W końcu znajduję je w lodówce, zaplątane w plastikową siatkę z wędlinami, którą zaraz po przyjeździe do domu tam schowałam.

Zrobiło się późno i obawiam się, że palmiarnia może być już zamknięta.

Dwie godziny później, trzy mcchickeny dalej i kilka stów mniej wracamy do domu z białym wiklinowym transporterkiem, z którego nieustająco dobywa się rozpaczliwe miauczenie. Przeszczęśliwa Klara nie może się doczekać, kiedy wypuści maluchy. Cymbał i Ziuta, dwa brytyjczyki, nieświadome, że trafiły w małe, ale dobre i czułe ręce, piszczą tak, jakby w niewielkiej kobiałce unosił je w nieznanym kierunku niespokojny i wzburzony nurt rzeki. W domu uspokajają się tylko na moment, by osiągnąć odpowiedni poziom skupienia i oddać mocz na dopiero co kupioną cielęcą skórę

udającą dywan w salonie. Cudnie.

Klara po raz pierwszy od śmierci taty i brata przeżywa euforyczne chwile. Radośnie głaszcze przerażone kociaki i błaga, by mogły nocować u niej w pokoju.

Pachnie rosółem, jest spokojnie i gdyby nie braki w rodzinie, byłby to bajkowy wieczór w stylu vintage. Przypominają mi się imieninowe spotkania w domu rodzinnym, spędzane przy tradycyjnej sałatce warzywnej, bigosie, barszczu i opowieściach, co komu udało się „upolować”: a to papier toaletowy, a to rajstopy czy watę. W tle leciała *Lista przebojów Programu Trzeciego* prowadzona przez niezastąpionego Marka Niedźwieckiego. Zakradałam się za jeden z brązowych foteli, siadałam z oprawionym w sztywną niebieską okładkę pożółkłym zeszytem, przy głośniku wypasionego, wystanego przez ojca w kolejce kasprzaka, który zdetronizował niezmordowanego grundiga, i usiłowałam nieporadnie zapisywać kolejne pozycje na liście przebojów. Królowali Obywatel G.C., Kult, U2, Limahl i Basia, a wśród nich ja, gówniara, która nie tylko nie umiała poprawnie zapisać tytułów i wykonawców, ale nawet nie do końca rozumiała, o czym śpiewają. Ich zakamuflowane manifesty bardzo się różniły od tych, które sama wyczytywałam w popowych tekstach i usiłowałam wprowadzić w życie.

Z farbowanych pieluch szyłam sukienki i bluzki, wyróżniałam się samodzielnie robionymi swetrami, farbowałam domowym sposobem włosy i czułam się tak cudownie: wolna, a zarazem bezpieczna, z potężną siłą, która przeniesie góry i zmieni świat. Wraz ze śmiercią rodziców utraciłam to elementarne poczucie bezpieczeństwa, nieco zwietrzały zapach domu rodzinnego i świadomość, że są ludzie, którzy zawsze staną po mojej stronie.

Mam nadzieję, że mimo wszystko stworzę odartej z połowy tego szczęścia Klarze namiastkę takiego domu, którego najlepszymi ambasadorami są obecnie małe aksamitne kulki zagubione w wielkim salonie. Przestraszone, nieustannie syczą, zmieniając kryjówki, głośno sapią, nie piją, nie jedzą i sikają gdzie popadnie. Kuweta wyraźnie je odstręcza. Wreszcie, umęczone emocjami, nami i odebraniem od kocięj mamy, zasypiają przytulone do siebie w doniczce po uschniętej paproci. Znalezienie ich w tej kryjówce jest prawdziwym wyzwaniem. Są tak maleńkie, że z niewielkiego glinianego pojemnika nie wystają nawet koniuszki uszu. Klara, równie spanikowana Ania i ja udająca spokój, w poszukiwaniu kociaków przetrząsnęłyśmy dom od parteru po strych i z powrotem. Jeśli tak mają wyglądać kolejne dni z nowymi lokatorami, to już jestem wykończona.

Wreszcie udaje mi się wziąć gorącą kąpiel

w obłokach pary i aromatu lawendowego płynu. Czuję się wypoczęta i po raz pierwszy od wielu dni zrelaksowana. Suszę włosy i wychodząc z łazienki w delikatnym muślinowym szlafroku, wpadam na małą.

– Mamusiu, jak ślicznie wyglądasz!

– O, jesteś bardzo miła, dziękuję.

– Wychodzisz?

– Nie. – Patrzę oszołomiona na moje rozczulające dziecko.

– To dlaczego tak ładnie się ubrałaś?

Chyba zwariowałam. Jak to: ładnie?

– Klaro, to tylko szlafrok.

– Wyglądasz w nim jak księżniczka.

– Jesteś słodka.

Biorę małą na ręce, mocno całuję i przypominam sobie, jak wielki zachwyty budziły we mnie rozwieszona na wieszaku w łazience koronkowe, kolorowe, pełne falbanek i kokardek koszule ciotki Malwiny.

Klara zachowuje się jak nie moje dziecko. Bez marudzenia je kolację, kąpie się w ekspresowym tempie i po chwili, w zabawnej szarej piżamce z małym różowym króliczkiem na brzuszku, oświadcza, że jest gotowa do spania. Niepewne, co mają z sobą począć, kocięta zostają zaniezione przez dziewczyny do koszyka umieszczonego obok łóżka małej. Nie obawiam się, że może stać się coś złego, bo maleństwa nie będą w stanie wdrapać się choćby na pościel. Leżymy z Klarą

przytulone na łóżku i obserwujemy niepewne poczynania obwąchujących wszystko zwierzątek. W końcu gaszę światło, przemykam drzwi i cichutko wymykam się do salonu. Dziwnie ociężała zasiadam na kanapie i nim włączę telewizor, na górze zaczyna się regularna bitwa. Podejrzewam, że to gonitwa za kasztanami rozrzuconymi na dywaniku w żółte kwiaty. Po chwili słyszę zdecydowanie głośniejszy łomot i coś gwałtownie się rozsypuje po parkiecie. Wbiegam na górę i zastaję oszołomioną i wystraszoną córeczkę siedzącą pośrodku łóżeczka, a na dywanie pobojowisko z klocków Lego, które jeszcze kilka chwil temu było gigantycznym zamkiem królowej. Winowajców oczywiście nigdzie nie ma.

– Wiesz, mamó, chyba już nie chcę z nimi spać. – Klara jest wyraźnie porażona ogromem strat w jej mikroświecie.

– Ale zrobiły demolkę, co?

– No. Będę musiała wszystko budować od nowa.

– Chciałaś kociaki, to masz.

– I tak są słodkie.

– Prawda?

Wydłubuję maluchy spod łóżka i zanoszę do naszej przestronnej łazienki, gdzie będzie łatwiej je opanować. Kociaki składają się głównie z gwiazdzistych łapek, którymi energicznie przebierają, leżąc na moich kolanach.

Ich kupno było najlepszą z możliwych decyzji.

Dzwoni Aga. Prowadzimy banalną rozmowę, ale wyczuwam w jej głosie, że coś jest nie tak. Jej zaproszenie na jutrzejszy lunch tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że mam kolejny problem. Śpię niespokojnie, szarpana niepokojem.

No i się zaczęło. Wypuszczone z łazienki futrzaki, ku radości Klary, biegają po całym domu, wzbijając tumany kurzu. Wydawało mi się, że mam wysprzątaną dom, ale przy nich odkrywam coś zgoła innego. Odwożę córkę do szkoły i wracam do domu na małą kawę w ogrodzie. Jestem zestresowana tym, co ma mi do powiedzenia Agnieszka.

Dom pachnie praniem, z którym walczy niezastąpiona Ania. Rozwieszona na suszarce w ogrodzie poszwy i prześcieradła delikatnie poruszane wietrzykiem nasiąkają cudnym zapachem świeżego powietrza. Anka przysiada na leżaku i delektujemy się pierwszymi promykami słońca. Wbrew kalendarzowi jest nad wyraz ciepło i przyjemnie, a oszołomione tą pogodą rośliny nie wiedzą, czy wypuszczać pierwsze pąki, czy jeszcze się wstrzymać. Rozkosz gwałtownie przerywa odkrycie, że któraś z nas, nienawykłych do obecności kotów w domu, zostawiła otwarte drzwi tarasowe. Spanikowane biegniemy do mieszkania i nawołujemy maluchy, które jeszcze nigdy nie wykazały się dobrą wolą zareagowania

na jakąkolwiek próbę nawiązania kontaktu. Tak jest i tym razem. Spocone ze strachu przeszukujemy szafy, zaglądamy pod meble i w kąty, z których kociaki zazwyczaj wychodziły z pomponami kurzu na wąsach... niestety bez rezultatu. W końcu Ania znajduje w korytarzu Cymbała, wciśniętego w najciemniejszy kąt półki na buty, który wielkimi bursztynowymi oczami patrzy na nas oburzony, że przerywamy mu drzemkę. Niestety Ziuta zniknęła na dobre.

Pozostaje nam do przeszukania ogród i nadzieja, że mała nie związała za płot. Nie mam pojęcia, jak ją znaleźć wśród płataniny drzew, krzaków i kwiatów. Jak opętane miotamy się po rabatach, aż wreszcie słyszymy, co prawda nie wiadomo skąd dobiegające, ciche, przerażone miauczenie. Zamieramy, usiłując zlokalizować źródło pisku, który oczywiście w tym momencie cichnie. Jesteśmy już pewne, że kociak jest nieopodal. Pytanie tylko gdzie.

– Ania, nie mam pojęcia, gdzie mamy szukać smarkuli.

– Może jeszcze raz przejrzymy krzaki?

– Chyba nie mamy wyjścia. Gdzieś przecież musi być.

Słońce zaczyna świecić coraz mocniej i muszę założyć okulary przeciwsłoneczne. Biegnę po nie do mieszkania i wracając, spanikowanym wzrokiem ogarniam ogród. Nie wiem, czy mam omamy, czy dobrze

widzę, ale na najwyższej gałęzi tulipanowca kuli się Ziuta.

– Jezu, Ziuta siedzi na drzewie.

– Żartuje pani?

– Cholera, nie. Jak ją ściągniemy? Z drabiny raczej nie sięgniemy.

– Trzeba spróbować.

Ania biegnie do garażu, a ja tymczasem gadam jak najęta do spanikowanego kociaka. Tak jak podejrzewałam, drabina okazuje się minimalnie za krótka i choć kolejno obie na nią włączymy, z nadzieją, że któraś z nas jest odrobinę wyższa albo ma dłuższą rękę, nadal nie sięgamy. W końcu wpadam na szalony pomysł: wkładam najwyższe koturny i na chwiejnych nogach wchodzę na szczebelki. Trzęsie się drabina, ja na niej, a pod nią Ania. Wreszcie, naciągając się do granic możliwości, chwytam Ziutę i ściągam z drzewa. Szczęśliwie wracamy do domu z mocnym postanowieniem, że nie powiemy Klarze o niebezpiecznej przygodzie kotki. Mam ochotę na setkę, ale zamiast tego muszę biec na spotkanie z prawniczką...

Dopadam stolika spóźniona jakieś dziesięć minut i nareszcie odczuwam chwilową ulgę, że mogę spokojnie usiąść. Mina Agi zwiastuje, że ta błoga chwila zaraz zostanie zburzona. I rzeczywiście. Dowiaduję się, że jestem w patowej sytuacji i nie mam co liczyć na

pieniądze z firmy Bartka.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Ktoś żerował na waszym nieszczęściu i wyprowadził resztę pieniędzy z firmy, która i tak była w nie najlepszej kondycji. Musisz liczyć tylko i wyłącznie na swoje dochody.

– To ostateczna analiza?

– Niestety tak. Wymyśliłaś, co będziesz robić?

– Nie do końca.

– A co z domem?

– Muszę go sprzedać, co?

– Raczej tak. Ja na twoim miejscu bym tak zrobiła.

Wracam do domu załamana. Spoglądam na ogród, ściany, meble i w zasadzie zaczynam się z nimi żegnać. Okropne uczucie. Ogarnia mnie melancholia. Nigdy nie sprzedawałam domu i nie wiem, jak się do tego zabrać. Nigdy nie sprzedawałam wspomnień. Boję się zobaczyć własną ofertę w sieci. Wystawić na pastwę publicznego osądu moje najbardziej intymne przestrzenie.

Kolejne dni upływają na trudnym planowaniu zmian. Ania, mimo młodego wieku, okazuje się nieoceniona w porządkowaniu domu polegającym na segregowaniu przeszłości i przyszłości. Niespodziewanie wielki dom mam spakować w kilka pudeł, a następnie spróbować upchnąć je w niewielkim mieszkaniu. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo przywiązałam się do kawałków drewna i skrawków materiału, które tworzą wygodne

kanapy i praktyczne regały.

Telefon dzwoni coraz rzadziej i coraz bardziej się upewniam, że dla większości znajomych stałam się potencjalnym towarzyskim problemem. Podejrzewam, że nie odzywają się do mnie w obawie, że będę potrzebowała ich pomocy albo poproszę o jakąś przysługę. Zostaje mi tylko zabiegana Aga, prawie cotygodniowe telefony Fernandy i sporadyczne kontakty z dalszymi, choć do niedawna bliskimi znajomymi, no i Magda, która podobnie jak ja usiłuje przewartościować swoje życie.

Dużym wsparciem okazuje się przypadkowo poznana pani Jola z biura nieruchomości, która nie tylko zaangażowała się w sprzedaż domu, ale również z oddaniem podsuwa coraz to nowe oferty mieszkań, które mogłyby się stać moim miejscem na ziemi. Niestety, żadne z nich nim nie jest i coraz bardziej się obawiam, że nie będzie.

Tymczasem ze skrzynki na listy wyjmuję kolejne rachunki, monity tych niezapłaconych i zupełnie nie wiem, skąd wziąć kasę na spłacenie narastających zaległości. Duże nadzieje pokładałam w sprzedaży samochodu Bartka, który jednak okazał się własnością firmy leasingowej i po rozwiązaniu umowy w zasadzie nic mi nie zostało. Nadal nie mam pieniędzy z ubezpieczenia na życie Bartka, tradycyjnie ubezpieczyciel mnoży bezsensowne zapytania o kolejne

dokumenty i potwierdzenia, których zdobycie, zwłaszcza za granicą, zajmuje sporo czasu i wymaga zachodu. Kolejną bolączką jest wysokość kredytu na dom, a co za tym idzie – comiesięcznych rat, których nie jestem w stanie spłacać. Rozmowy z bankiem prowadzą tylko do odsuwania problemu w czasie. Muszę się zabrać do zarabiania pieniędzy, które stają się solą życia.

Robię kolejny bilans i jednocześnie usiłuję określić, jak powinno wyglądać nasze nowe mieszkanie. Dochodzę do wniosku, że nie dam się zamknąć w bloku i powinnam zrobić wszystko, by ulokować nas w jakimś szeregowcu albo bliźniaku na obrzeżach miasta. Myśl o kawałku ogrodu, dużym tarasowym oknie i świadomość, że nareszcie wiem, czego chcę, sprawia mi nieomal przyjemność. Odpalam Internet i po chwili mam przed sobą kilka ofert, które mogłyby się wpisać w obszar moich zainteresowań. Mały ogród równa się niewielki trawnik i niewiele chwastów, czemu będę w stanie podołać. Obawiam się trochę remontu starego mieszkania, więc kolejny raz zmieniam kierunek poszukiwań, tym razem przeglądając oferty nowych mieszkań z ogrodem, jednak wszystkie są poza moim finansowym zasięgiem.

Muszę poczekać na pieniądze ze sprzedaży domu, więc znowu przerzucam się na inny tor, tym razem dywagując, jak powinno wyglądać moje nowe gniazdko. Z pewnością musi być zupełnie inne niż dom budowany

z Bartkiem, tak by stało się początkiem nowego życia, a nie reliktem starego. Nowoczesne, kanciaste meble i przestrzenie wykończone surowym betonem, szkłem i blachą zastąpią ciepłe drewniane, bielone wnętrza, pełne puchu, poduch i łagodnie powyginanych mebli. Marzenia. Boże, łapię się na tym, że po raz pierwszy od śmierci chłopaków o czymś marzę. Rozmyślenia przerywa mi telefon od pośredniczki.

– Dzień dobry, pani Nino.

– Witam, pani Jolu.

– Chyba mam dobrą wiadomość.

– Tak?

– Mam kupca na pani dom. Pan jest zachwycony okolicą i wykończeniem wnętrza, chciałby jak najszybciej obejrzeć mieszkanie. Kiedy możemy się zobaczyć?

Serce bije mi jak oszalałe. To się dzieje naprawdę. Już. Teraz. Podświadomie miałam nadzieję, że jednak, zgodnie z sugestiami pośredniczki, potrwa to kilka miesięcy i pozwoli mi bardziej oswoić się z tą myślą.

– A kiedy by państwo chcieli podjechać?

– Może za godzinę? Mieszkają w innym mieście, więc zależy im na czasie.

– Dobrze, zapraszam, tylko proszę uprzedzić klienta, że nie spodziewałam się wizyty i mam w domu bałagan.

– Proszę się nie martwić.

Klik. I cisza.

Po chwili oszołomienia zrywam się z kanapy

i wrzeszczę do Ani, że mamy trzy minuty na ogarnięcie chaty. W zasadzie nie ma dramatu, ale bawiące się kociaki wyprodukowały nowe tumany kurzu zmieszane z ich sierścią w kątach salonu, co wymaga wyciągnięcia odkurzacza ze schowka. Do tego szklanki na blacie, porzucone papcie Klary na schodach i codzienne drobiazgi rozsiane tu i ówdzie.

Po niecałych czterdziestu minutach, gdy spocona wtaczam się do łazienki z nadzieją, że zdołam powrócić do wizerunku spokojnej, opanowanej kobiety z klasą, brzęczy dzwonek. Zamieram. Udaje mi się zrzucić dresowe spodnie, krzyczę, by Anka otworzyła, powoli, bardzo powoli, drzwi. Spryskuję się perfumami, gdy słyszę w holu obce głosy. Nie sądzę, by zapach był wystarczającym narzędziem w budowaniu wizerunku cool babki, ale na nic innego nie mam już czasu.

W holu stoi poważna pani Jola w rogowych oprawkach na nosie, które nadają jej twarzy nieprzystępny wyraz. Obok niej, emanujący nieprzyjemną pewnością siebie, przyczał się facet w średnim wieku, który nerwowo taksuje każdą pionową i poziomą powierzchnię. Lekko nalana, toporna, szara twarz, z podkrążonymi sino oczami, pod którymi skóra przypomina mosznę, nie wyraża żadnych emocji, a energiczne ruchy żujących gumę szczęk nie ustają ani na chwilę. Spektakularnym odzieżowym hitem jest tandetna ni to kurtka, ni to flauszowa granatowa

marynarka z wyhaftowanym logo Ferrari na plecach i lewym rękawie, ze ściągaczem ozdobionym dla odmiany hasłem Mercedes-Benz, znaczkiem BMW po drodze, brakuje tylko logo McDonald'sa, ale jej właściciel i tak wydaje się z niej bardzo dumny.

Facet zachowuje się, jakby mnie nie było. W mokrych butach chodzi po całym domu, bez pytania o pozwolenie otwiera kolejne drzwi, łącznie z tymi od szaf, pociera ręką ściany, wychodzi do ogrodu, który obojętnie przemierza w strugach deszczu, by wreszcie wnieść do salonu wodę i błoto.

– To ile chcecie?

Kolejny raz otwiera drzwi garderoby, które, jakby wyczuwając nowego pana, jęczą i w żaden sposób nie chcą się poddać, zaledwie się uchylając i ukazując tylko skrawek wnętrza pełnego płaszczy i kurtek.

– O, proszę! Ta zawiasa nie działa! – stwierdza niczym wiejski głupek.

Zamieram. Nie wierzę w to, co słyszę, i czuję się tak, jakbym miała oddać ukochane dziecko kanibalowi. Pośredniczka wymienia sumę i po sekundzie ciszy pada nieoczekiwanie:

– OK, biorę.

– Słucham? – Lekko oszołomiona chcę się upewnić. Jak to: biorę? Tak po prostu?

– Nie słyszała pani? Kupuję.

– O, to świetnie. – Udaje mi się wykrztusić tylko

tyle, bo zalewa mnie fala gorąca, przez co czuję się jeszcze gorzej.

– Ile czasu pani potrzebuje na zabranie gratów? – Bardziej przedmiotowo nie mogłam być potraktowana.

– A kiedy by państwo chcieli się wprowadzić? – włącza się pani Jola. – Standardowo, po podpisaniu umowy i wpłaceniu zaliczki, sprzedający ma od miesiąca do trzech na przeprowadzkę.

– Niech pani nie żartuje. Nie mam czasu na takie bzdury. Umowę możemy spisać już, z płatnością też nie ma problemu, chciałbym tu zamieszkać w przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu? – Panikę wyraźnie słychać nie tylko w moim głosie, również widać gołym okiem, że jestem w stanie przedzawałowym. Czuję, jak krew spływa mi do pięt, a skóra na czubku głowy cierpnie i zupełnie idiotycznie wypalam: – Ale przecież ja muszę kupić mieszkanie. – Jakby to kogoś obchodziło. Pani Jola karci mnie wzrokiem, a arogancki facet stwierdza autorytatywnie:

– No to ma pani pecha.

Co za bezczelny gnojek. Najchętniej powiedziałabym, żeby spierdalał, że nic mu nie sprzedam, ale rozum szepcze, że mam podkulić ogon i pokornie zgodzić się na wszystko, co proponuje. Jestem zdruzgotana. Godzinę po wyjściu potencjalnego kupca dzwoni pośredniczka z informacją, że pojutrze możemy

finalizować transakcję.

– Pani Jolu, bardzo dziękuję za pomoc, proszę jednak powiedzieć, czy taki pośpiech jest konieczny?

– Pani Nino, takie nieruchomości zazwyczaj sprzedaje się kilka miesięcy, nawet rok. – Głosem władczym, niczym ksiądz na kazaniu, usiłuje mi tłumaczyć realia rynku. – Ma pani ogromne szczęście, że ten klient szuka domu od dość dawna i jest nieco zniecierpliwiony. Pani mieszkanie mu odpowiada, kładzie gotówkę na stół, czego jeszcze wymagać?

– Wiem, tylko że ja jeszcze nie znalazłam nic dla siebie.

– Proszę się nie martwić, coś znajdziemy, a taka okazja może się pani ponownie nie trafić.

Postanawiam jeszcze tego wieczoru powiedzieć Klarze o sprzedaży domu. Mimo że tłumaczę jej, że kotom będzie lepiej w mniejszym domu, co mała przyjmuje z pełnym zrozumieniem, i tak jest markotna.

Chciałabym się z kimś naradzić, ale nie bardzo wiem z kim. Tak strasznie brakuje mi Bartka, jego opanowania i racjonalizmu. Czuję się słaba i wyczerpana. Biorę laptopa do sypialni, moszczę stos poduch, w które po chwili zapadam się z laptopem na kolanach, i ponownie przeglądam oferty szeregowców. Nawet wino przestało mi smakować.

Poranek jak zwykle nadchodzi nagle i niespodziewanie. Przyciśnięta laptopem nie mam ochoty się pozbierać. Nadal czuję się kiepsko i mam poczucie, że powinnam pójść do lekarza. Tyle emocji i stresów, ile ostatnio zaliczyłam, musi się odbić na zdrowiu i z pewnością zmierzam w kierunku anemii.

Wybieram numer Magdy, by podzielić się z nią nowiną o przeprowadzce.

– Udało mi się sprzedać dom.

– Żartujesz?

– Jeszcze w to nie wierzę, ale pojawił się kupiec i mamy podpisać umowę.

– Gratulacje. Trzymaj kciuki, bo ja jestem następna w kolejce.

– Chcesz się pozbyć waszego pięknego domu?

– To tylko ściany i meble. Życia bym za nie nie oddała. Nie chcę mieć niczego, co będzie mi przypominało Krzycha.

– Rozumiem.

– Muszę zacząć od nowa. Możemy się rozglądać za domami albo mieszkaniami niedaleko od siebie.

– Byłoby super, tylko że ja muszę się w zasadzie już wyprowadzić, więc wybór będę miała ograniczony. Muszę szybko podjąć decyzję, bądźmy w kontakcie.

Z braku pomysłu na poranek robię zakupy w pobliskim Lidlu i przy okazji postanawiam wstąpić do poradni, choć na myśl o tłumie kaszlących

i smarkających ludzi mnie odrzuca. Tym razem czeka mnie miłe zaskoczenie, bo okazuje się, że nie ma kolejki i za chwilę mogę wejść do gabinetu, żeby spotkać się z lekarką, która zajmuje się naszą rodziną od lat.

Jestem panikarą i hipochondryczką, więc trochę się niepokoję. Jeśli się okaże, że jestem poważnie chora, co się stanie z Klarą? Uświadamiam sobie, że ona ma tylko mnie.

Pani doktor na wieść o ostatnich wydarzeniach sprawia wrażenie oszołomionej, widzę, że usiłuje zachować pozory spokoju, ale jest roztrzęsiona.

– Pani Nino, to normalne, że w takich okolicznościach jest pani zmęczona i nie czuje się najlepiej. Myślę, że nic złego się nie dzieje, ale na wszelki wypadek wypiszę pani skierowanie na badanie krwi i zobaczymy, co dalej.

Rozmawiamy o Klarze, jej pani psycholog i o tym, że wszystko musimy poskładać na nowo. Przy tej kobiecie nie tylko czuję się bezpiecznie, ale też nastraja mnie ona bardzo pozytywnie. Wychodzę podbudowana i ruszam do pracy.

No i tu się dzieje. Totalny chaos. Warzywa nieobrane, w garach gotuje się woda, zupełnie jakbyśmy miały odebrać poród, a nie przygotować dwie zupy, na barze brudne kubki. Obraz nędzy i rozpacz.

– Boże, co to ma być?

– Pani Nino, jest problem, nie dojechały warzywa.

– Jak to nie dojechały? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłyście?

– Jakoś nie pomyślałyśmy.

– Musicie myśleć, tyle razy prosiłam, że jeśli dzieje się coś takiego, dzwońcie od razu. Przecież zaraz otwieramy, a nie mamy co dać gościom do jedzenia, jeśli jacyś w ogóle się pojawią.

Wszystko przebiega setny raz tak samo, takie same nieszczęścia nas dotykają, a jakoś nikt nie wyciąga z nich wniosków. W końcu jadę z Martą na pobliski rynek, kupujemy potrzebne produkty i dwie godziny później, wśród zapachów czosnku, rozmarynu i kolendry, jesteśmy gotowe na przyjęcie pierwszych gości.

Zaklinam czas i zawieram układ ze Stwórcą, że jeśli ześle mi klientów, to coś tam dla Niego zrobię, i z lękiem spoglądam na lekki deszczyk za oknem, który może zniechęcić ludzi. Podsumowanie wczorajszego dnia na kasie fiskalnej to katastrofa, obrót wygenerowany trzema parami rąk, które miały akurat dyżur, nie pozwala nawet na pokrycie dziennych kosztów, nie mówiąc o zysku. Każdy kolejny dzień napawa mnie coraz większym niepokojem, a świadomość, że i tak jest lepiej, niż było, co oznacza tylko mniejszą stratę, a nie dochód, absolutnie nie jest pocieszająca. Wiem, że z tego chleba nie będzie. Boże, muszę wpaść na jakiś intratny pomysł.

Po telefonie pośredniczki pełna obaw wychodzę jej na spotkanie i jedziemy obejrzeć wyszukane przez nią mieszkanie w szeregowcu, na drugim końcu miasta, w zasadzie na peryferiach.

Wąskie osiedlowe uliczki z lat osiemdziesiątych prowadzą nas labiryntem na ulicę Miłą, prosto przed obłąający zielony segment z rozwalającym się, pomalowanym na czarno drewnianym płotem. Nie wygląda to zachęcająco, ale postanawiam być twarda, a świadomość mojej finansowej sytuacji pcha mnie przed równie czarne drzwi. Otwiera nam młoda kobieta, która przyjaznym gestem zaprasza do nieprzyjaznego wnętrza. Prosto z ciasnego korytarza trafiam do wyłożonej seledynowym, praktycznym linoleum kuchni, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt. Biała kuchenka rozpycha się wśród niedomykających się żółtych szafek, których zwieńczeniem są paskudne wielkie czarne kule uchwyty. Lodówka wydobywa z siebie charkot przypominający raczej odgłosy konania, a nie schładzania świeżych produktów.

Nie muszę oglądać więcej, by wiedzieć, że to miejsce nie dla mnie. Nawet po generalnym remoncie, który wymagałby wymiany okien i podłóg, pewnie także rur, nowych kafli i mebli, pieca, elewacji i tak dalej, nie chciałabym tu mieszkać. Po obejrzeniu ponurego salonu, dwóch maleńkich, zalatujących naftaliną sypialni i łazienki w stylu szaletu miejskiego, która różni się od

niego tylko tym, że na brązowe kafle ktoś szalony ponaklejał setki różowych różyczek, wychodzimy.

– Pani Jolu, to był koszmar.

– Na zdjęciach wyglądało zachęcająco, cena też wydawała się atrakcyjna.

– Cena jest adekwatna do całości, przecież w remont musiałabym włożyć majątek, a na to ani mnie nie stać, ani nie mam czasu. Szukamy czegoś innego, OK?

– Wie pani co? To może od razu pojedziemy na nowo wybudowane osiedle w zachodniej części miasta. Inwestycję prowadzi mój znajomy, więc gwarantuję, że nie powinno być żadnych problemów. Mają szeregowce, bliźniaki i minibloki z sześcioma mieszkaniami, może uda mi się wynegocjować dobrą cenę. Co pani na to?

Niechętnie się zgadzam. Dotychczasowe oferty pani Joli były rozczarowujące i zupełnie nie rozumiem, jak przy takich rozbieżnościach między potrzebami klienta a jej propozycjami udało się sprzedać mój dom.

Po zmarnowaniu znakomitej części dnia w korkach, tym dłuższych, że mały deszczyk od razu paraliżuje mniej wprawnych kierowców i sprawia, że piesi są bardziej nerwowi i zdesperowani, by przedostać się na drugą stronę ulicy, docieramy na gigantyczny plac budowy. Jest chłodno, mokro i zupełnie nie mam ochoty wystawiać moich markowych szpilek na działanie błota zmieszanego z cementowym pyłem.

– To tutaj? – pytam niepewnie, pełna obaw, że znowu

tracimy czas.

– Tak. – Pani Jola, niezrażona moją miną, wyskakuje z samochodu i oczekuje, że podążę za nią. – Zbyszek ma tu biuro, zobaczymy, czy jest na miejscu.

Drobię za nią slalomem między kałużami, zastanawiając się, czy zamsz, którym są pokryte buty, da się wyczyścić. Wreszcie docieramy do przestronnego szklanego baraku z dumnym czerwonym napisem BIURA na brudnej frontowej szybie. Chudy pan Zbyszek, w czerwonym garniturze i zielonej koszuli w wielkie czarne grochy, bardziej przypomina kredkę z piórnika Klary niż poważnego dewelopera. Wylewnie wita się z panią Jolą, wyraźnie podekscytowany jej widokiem, mnie niemal nie zauważa. Mam wrażenie, że tych dwoje łączą nie tylko interesy.

– Przyprowadziłam ci moją ulubioną klientkę, panią Ninę. – Stara gadka, która chyba jednak działa na pana Zbyszka. – Nie powinnam tego mówić, ale właśnie straciła męża i syna, musi wyprowadzić się z domu i szukamy dla niej czegoś w przyzwoitej cenie. Masz coś wolnego?

Zbyszek współczującym okiem zaledwie na mnie zerka, skupiony na pośredniczce.

– Dla ciebie wszystko.

Zaprasza szerokim gestem do biura i nie pytając nas o preferencje, wydaje krótkie polecenie sekretarce:

– Pani Angeliko, trzy kawy i wodę proszę.

Rozsiadamy się wygodnie w skórzanych fotelach prosto z Ikei i już po chwili mamy przed sobą plany osiedla Botanicznego.

– Mam wolne mieszkanie trzypokojowe, sześćdziesiąt osiem metrów, na parterze, z możliwością wyjścia do wspólnego ogrodu...

Nie chcę mieszkania wielkości mojego salonu, smutnych trzech pokoi, wspólnego ogrodu i sąsiadów nad i obok siebie. Zdecydowanie, nim dojdziemy do szczegółów oferty, przerywam:

– Szukam raczej szeregowca albo niewielkiego bliźniaka. Potrzebuję przede wszystkim ciszy, małego ogrodu i garażu. Mam małą córkę, więc to by było optymalne rozwiązanie.

Hej, skąd nagle tak dokładnie wiem, jakie są moje potrzeby? Oby tak dalej. Pan Zbyszek milczy przez chwilę, niepewnie wiercąc się w fotelu.

– W zasadzie z gotowych inwestycji mam tylko jedną wolną, właściwie zarezerwowaną połówkę bliźniaka, no chyba że ma pani czas, to za pół roku oddajemy do użytku kolejną część osiedla i będę mógł zaproponować pani coś więcej.

– Obawiam się, że nie mam czasu.

– Rezerwacja była do wczoraj, więc w sumie jest nieaktualna. Mogę pani pokazać to mieszkanie, ale sprzedam, że to trochę na uboczu. Ostatni budynek na ulicy.

To mówiąc, rozkłada strasznie wielką płachtę z planami osiedla, a zaraz po niej plany konkretnych mieszkań. Długo wertuje papiery i wreszcie kładzie przed nami rzuty wspomnianego mieszkania. Sto sześćdziesiąt metrów kwadratowych podzielonych na dwie kondygnacje, trzy sypialnie na górze, w tym jedna całkiem spora, z łazienką, pewnie małżeńską, z goryczą dodaję w myślach, dwie mniejsze, duża łazienka. Na parterze kuchnia, jadalnia i salon, do tego garaż z pomieszczeniem gospodarczym. Duże panoramiczne okna. Choć niechętnie, muszę przyznać, że wygląda to interesująco.

Po wyczerpującym omówieniu szczegółów, z których wynika, że mogę wyburzyć ścianki działowe na dole i tym samym uzyskać sporą otwartą przestrzeń, wybieramy się całą trójką na wizję lokalną. Zmoknięci, bo rozpadało się na dobre, upychamy się w moim samochodzie i ponownie klucząc w labiryncie uliczek, docieramy przed ciemnoszary, wykończony bielą okien i podbitki nowoczesny budynek, który może się okazać moim docelowym miejscem na ziemi.

Ponieważ ta część bliźniaka kończy szereg domów przy ulicy, przylega do niej większy niż u sąsiadów kawałek ogrodu, a raczej tego, co kiedyś może stać się ogrodem. Po dwóch niewysokich schodkach wchodzimy do pachnącego wilgocią i świeżą farbą wnętrza ujarzmionego systemem ścianek działowych i schodów.

Echo niesie nasze kroki i nasila głosy, zwłaszcza pana Zbyszka, który z podziwu godną systematycznością, z fachowymi szczegółami omawia każdy detal. Im bardziej zagłębiamy się w możliwości technicznych rozwiązań, mimo że całkowicie się wyłączyłam i nie słucham, tym bardziej podoba mi się to miejsce. Szczególnego uroku domowi przydają panoramiczne okna, które powiększają przestrzeń o las rozciągający się prawie za płotem. Mam wrażenie, że negocjuję raczej cenę owego lasu niż samego domu.

Liczę pomieszczenia, moja sypialnia, pokój Klary, miejsce dla Anki, duży garaż, z miejscem na kosiarkę, sanki i zaprawy, i wiem, że chcę tu mieszkać. Dzięki pani Joli, a może obietnicy, że w przyszłym tygodniu dzwoni się z panem Zbyszkiem i umówi na kawę, cena jest bardzo przyzwoita. Usiłuję na szybko dodać w głowie cyfry, za którymi kryją się kafle, podłogi i meble, ale proces matematyczny wyraźnie mnie przerasta i dają sobie spokój.

Czuję podniecenie i przypływ nowej energii, która pozwala projektować kolejne dni i tygodnie. Podrzucam panią Jolę do biura, gnam do pracy, odbieram Klarę ze szkoły i dopadam domu, który przestaje być MOIM domem. I co najdziwniejsze – przestaję odczuwać żal, a cieszę się na zmianę!

Zwierzam się dziewczynom z planów, pokazuję projekt, pozwalając Klarze wybrać pokój, który stanie się

jej nowym gniazdkiem, roztaczam wizję, co i jak urządzimy, i jest mi naprawdę dobrze. Nie myślę o pracy, głuchych telefonach, które nieustannie mnie nękają, o braku środków do życia. Czuję euforię i wzbierającą siłę, która pozwoli mi żyć dalej.

Pozostaję w tej błogiej radości aż do późnego wieczora, gdy wyjmuję z torebki komórkę, która co rusz błyskając, wysyła sygnał, że znowu są nieprzeczytane wiadomości. Od czasu esemesowej afery z Krzyśkiem na widok pulsującego światełka mój żołądek wykonuje salta, a serce przyspiesza.

Tym razem ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu odkrywam wiadomość od pani doktor z prośbą o pilny kontakt. Ma już moje wyniki.

Czytam ponownie tych kilka słów i świat się zawiesza. Z pewnością nie chce się ze mną spotkać, żeby pogratulować mi znakomych wyników, z czego wnioskuję, że badania wypadły bardzo źle i mam poważny problem. Rak. Z pewnością mam raka. Ostatnio stale boli mnie głowa i jest mi niedobrze. Rak mózgu? Oponiak? Oby nie glejak! Trzęsę się cała i życie ponownie staje mi przed oczami. Miałam jeszcze tyle do zrobienia. Kto wychowa Klarę? Boże! Kto się nią zajmie? Co z domem, mieszkaniem? A chemia? Jak przetrwam chemię... Siedzę oniemiała na łóżku i nie mam siły włożyć piżamy. O prysznicu nie ma mowy.

Nieudolnie usiłuję pozbierać myśli, ponownie

analizując wiadomość. Nie ma w niej nic o raku, to może coś zupełnie innego, na przykład nadciśnienie, przecież też jest groźne. Jezu, może grozi mi wylew? Nie wiem, co gorsze. Nie chcę być sparaliżowana. A może zwyczajnie mam tylko anemię? No tak, ale wtedy lekarka by nie wysyłała esemesa.

Nie śpię całą noc. Rano, blada, słaniająca się z nerwów i zmęczenia, jako pierwsza pacjentka pojawiam się przed drzwiami poradni. Pani doktor jeszcze nie ma. Nie potrafię usiedzieć na krzeselku, więc nerwowo chodzę tam i z powrotem po całej poczekalni. Znajoma recepcjonistka wyczuwa moje napięcie, więc zaprasza mnie do gabinetu, gdzie jeszcze dłuższą chwilę czekam na lekarkę. Wreszcie pojawia się w drzwiach i zaprasza mnie na krzeselko przed biurkiem.

– Witam, pani Nino, mam wyniki.

– Tak, wiem, dostałam esemesa. Czy jestem poważnie chora? Nie spałam całą noc. Coś groźnego, tak?

Wodospad słów zalewa przestrzeń między nami, nie pozwalając dojść lekarce do głosu.

– Nie, to nic groźnego, ale proszę usiąść.

Posłusznie siadam na białym krzeselku i z napięciem wpatruję się w jej twarz.

– Nic groźnego? To dlaczego chciała się pani ze mną

spotkać? – Czuję, że zbliżam się do granicy furii i zaraz eksploduję. Nim osiągnę punkt wybuchu, nakręcanie emocjonalnej sprężyny przerywa lekarka:

– Jest pani w ciąży.

Cisza. Nie jestem pewna, czy coś usłyszałam. Nie jestem pewna, czy to usłyszałam. Co to znaczy: w ciąży? To niemożliwe.

– Słucham?

– Jest pani w ciąży, gratuluje.

– Ale to niemożliwe. – Usiłuję zaprzeczyć rzeczywistości, zaczarować ją inaczej.

– Jednak możliwe. To prawdopodobnie dziesiąty tydzień. Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Proszę się zastanowić.

– Pani doktor, od lat biorę pigułki i nigdy o nich nie zapominam.

– A nie była pani ostatnio chora? Nie miała gorączki? Może brała pani antybiotyk?

Zastanawiam się i nie przychodzi mi do głowy żadne racjonalne wytłumaczenie.

Nie jestem w stanie przeanalizować ostatniego tygodnia, a co dopiero kwartału. Faktycznie, okres miałam na długo przed wakacjami, a potem ta kwestia zupełnie mnie nie zaprzętała. Niespokojne myśli kłębią mi się w głowie, a grunt usuwa się spod stóp. Takie dziecko to pogrobowiec? Jak ja je wychowam? A co

z naszym nowym domem? Czy się zmieścimy? Jedyne, o czym zawsze marzyłam, to mieć dzieci. Tak bardzo chciałam kochać. Rano odprowadzać je do szkoły, robić zakupy, gotować i pracować. Patrzeć, jak rosną, dokazują i przyprowadzają do domu pierwsze miłości. Wspierać je i obserwować, jak dojrzewają, bo to przecież tylko ten jeden raz. Być świadkiem pierwszych kroków, słów i uniesień. I mieć obok siebie męża, z którym będę mogła dzielić te radości. A teraz? Jestem sama. Dzieci to jedyne, co mamy na całe życie. Klara jest mała, powinnam poświęcić jej każdą minutę, a nie zajmować się pracą zawodową, o noworodku nie wspominając... Wychodzę z poradni zdruzgotana. Nawet choroba wydawała mi się mniejszym dopustem bożym.

Wlokę się do domu. Cholerna wróżka, po co do niej polazłam? Swoją drogą, skąd wiedziała? Usiłuję sobie przypomnieć, co jeszcze mówiła. W nagłym olśnieniu przypominam sobie, że pani Krystyna wspominała o dwójce dzieci. Czyli co, bliźniaki?! Mam nadzieję, że choć w tej kwestii się pomyliła. Boże, co ja zrobię z dwójką małych dzieci? Wchodzę do sypialni, rzucam się na łóżko i płaczę. Tylko tego mi potrzeba. Jak piłka odbita od ściany wyskakuje nagła myśl. Jakies dwa miesiące temu byłam u stomatologa, który zapisał mi dosyć silny antybiotyk. Czy to możliwe, że właśnie on zniwelował działanie antykoncepcji? Boże.

Zapadam w niespokojny sen, targana gwałtownymi

myślami, że jestem skończona i nie dam sobie rady. Spocona budzę się w środku nocy i tłukę po domu jak potępieniec. Wszystko jest nie tak, jak być powinno. Jestem głodna, lecz gdy otwieram lodówkę, nie mam na nic ochoty. Jednocześnie analizuję, jak ostatnio się odżywiałam, i z trwogą konstatuje, że w ostatnich tygodniach wypiałam, najpierw za sprawą radosnych wakacji, później z powodu depresji, sporo alkoholu.

Dla odmiany włącza mi się inny kanał paraliżującego strachu: czy dziecko będzie zdrowe. Podświadomie wyczuwam, że to skrajna paranoja, ale niestety nie potrafię się od niej uwolnić.

Poranek zastaje mnie zwiniętą w kulę na kanapie. Budzę się odrętwiała i zmarznięta. Czerwony polarowy koc leży na dywanie. Nie mam ochoty wstać. Nie mam ochoty na kawę. Chcę nie istnieć. Dlaczego Bartek mi to zrobił? Dlaczego odszedł? Mimo usilnych starań nie potrafię opanować lęku, który muszę przestać leczyć zapisanymi przez psychiatrę pastylkami. Jak bez nich przetrwam?

Mam wrażenie, że jedynym lekarstwem jest zatracenie się w pracy, remoncie i przeprowadzce. Około dziewiątej zrywam Anię z łóżka i niemal zmuszam do pakowania. Ponieważ wszystkie ciuchy muszę przejrzeć sama, jej zlecam spakowanie księgozbioru, który w ciągu dwudziestu lat rozrósł się do kilku tysięcy woluminów. Czytanie było naszą pasją, którą udało się zarazić Jaśka,

a na którą Klara jest tak bardzo oporna. Do kosza idą sterty czasopism, cała fantastyka, nie mylić z fantasy, co dla Ani nie stanowi żadnej różnicy. Bez żalu rozstaję się z zawartością szopki pełnej kabli, elementów dawno zepsutych żelazek czy odkurzaczy. Porządkuję odziedziczone po dziadku filatelistyczne zbiory Jaśka, które po wystawieniu na aukcji okazują się całkiem sporym i odczuwalnym zastrzykiem gotówki.

Niestety największym wyzwaniem jest pokój Klary, która kocha wszystkie, nawet te najbardziej wytarte czy tandetne maskotki. Praktycznie po całym dniu negocjacji nie udaje się nic wyrzucić. Będę musiała odwołać się do innych argumentów, a myśl o tym, że przecież w czasie przeprowadzki może coś zaginąć, wydaje się zbawienna.

Załoga w pracy jest przestraszona, widząc, że wprost tryskam energią, i niechętnie poddaje się procederowi sprzątnania, składania i szorowania.

Wieczorem opadam na kanapę obok Klary z grubą książeczką o wrózkach, której historyjki doprowadzają mnie do szału. Na myśl o tym, że kolejny raz będę musiała pochylać się nad tekturowymi kartami z pytaniem: a gdzie jest kotek?, a jak robi piesek?, jestem bliska omdlenia. Kontemplowanie wspomnień narodzin dzieci i szczęśliwych chwil we czwórkę, które stały się limitowaną i skończoną litanią, przerywa łomot przy drzwiach wejściowych. Okazuje się, że mamy gościa.

Rozrywką wieczoru staje się wizyta kolegi Ani, mam nadzieję, że nie narzeczonego, który wygląda tak, jakby nieładne i nieszczególnie sympatyczne dziecko właśnie przepoczwarzało się w niesympatycznego, brzydkiego mężczyznę. Ania unosi się nad ziemią i z obłędem w oczach zaparza kawę w moich najlepszych filiżankach dla siebie i przyszłego mechanika samochodowego. Przez chwilę się zastanawiam, jak jego sękaty i toporne palce, zakończone nieprzyjemnie poodzieranymi czarnymi paznokciami, poradzą sobie z delikatnym, porcelanowym uszkiem rodowej zastawy. Mimo lekkiego przerażenia ewentualnym mariażem chce mi się śmiać. Ciekawe, czy brat Ani na widok nowego członka rodziny ubawi się równie mocno jak ja. Oby tylko nie zaszła w ciążę! Tfu, tfu.

Gdy gasną ostatnie światła w domu, zbieram się na odwagę i staję przed lustrem. Stres sprawił, że zrzuciłam nawet najbardziej odporne kilogramy, jednak po bliższej analizie dochodzę do smutnego wniosku, że delikatnie zaczyna być widoczny brzuszec. Myśl o ciąży i jednoczesny strach nabrzmiewają tak bardzo, że nie potrafię ich w sobie stłumić i mimo nieprzyzwoicie późnej pory postanawiam zadzwonić do Magdy. Odbiera po dwóch sygnałach i zmęczonym głosem niezbyt zachęcająco pyta:

– Tak?

– Cześć, Magda, to ja.

– Cześć. Co słyhać?

Czuję, że jak małej dziewczynce zaczyna mi się trząść broda.

– Nic, wszystko OK.

– To dobrze.

– W zasadzie nie wszystko. Siedzisz?

– Siedzę. Coś się stało?

– No, stało się. – Biorę głęboki oddech i wyrzucam w ciemną nocną przestrzeń: – Jestem w ciąży.

– Co?

– Jestem w ciąży.

– Z kim?

– Jak to z kim? – Co za durne pytanie, jak ona w ogóle może mieć wątpliwości. Przecież jest moją najlepszą przyjaciółką.

– No z kim?

– Z Bartkiem, to chyba oczywiste.

– Ale jak? Jesteś pewna, że z nim?

– Magda, co ty sugerujesz? – Czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość.

– Wiesz, po tej akcji z telefonami i w ogóle... Żartuję! Żartuję!

– Żałuję, że cokolwiek ci powiedziałam. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami i komu jak komu, ale tobie nie będę musiała nic tłumaczyć, a ty sobie robisz jaja.

– Wyluzuj. A jak to znosisz?

- Co: ciążę czy świadomość, że jestem w ciąży?
- I to, i to.
- Nie najgorzej, ale pewnie będzie fatalnie, a co do drugiego... tragicznie.
- Może przy dziecku nie będziesz tyle myśleć o przeszłości.
- Raczej tylko o niej będę myśleć. Jak sobie dam radę?
- Jak zwykle doskonale.
- Boże, jaka jestem w tym wszystkim zagubiona. A co u ciebie?
- Dobrze.
- Tylko dobrze?
- A co byś chciała usłyszeć?
- Co porabiasz albo co robiłaś, jak w domu, zwyczajnie...
- Nic ciekawego. To, co zwykle, pakowałam Krzyśka. Swoją drogą zastanawiam się, gdzie nocuje, skoro nie w domu.
- Pewnie u jakiejś panny, przestań to roztrząsać, to już nie twój problem.
- Muszę wiedzieć. Wynajęłam detektywa i wszystko mu udowodnię! Zostawię mu tylko piękne wspomnienia, choć oczywiście dysków ze zdjęciami nie oddam.
- Magda, wyluzuj, to nie ma sensu.
- Ma, Nina, ma sens! I proszę, nie mów mi, co mam

zrobić! Muszę to rozegrać sama i nikogo nie proszę o rady.

– OK, OK nie chciałam cię urazić. Zdzwonimy się jutro, pa.

Chyba po raz pierwszy w życiu się pokłóciłyśmy, i to o faceta, nawet nie wspólnego faceta, choć trudno właściwie nazwać to kłótnią. Rozmawiałyśmy jak dwie zupełnie obce osoby. I to chyba jest gorsze, niż gdybyśmy poszarpały się na amen. Każdy z nas ma w sobie okruczeństwo i trochę złości, teraz już wiem, jak ona smakuje. Skrajne doświadczenia obnażają nas najbardziej, więc rozstajemy się w lekkim neglizżu z nadzieją, że kolejne dni złagodzą emocje i pozwolą na nowo o wszystkim rozmawiać.

Ogarnia mnie cisza. Słychać tylko tykanie zegara i delikatny szum liści poruszanych nocnym wietrzykiem. Gdzieś daleko szczeka pies. Do pokoju dociera spóźniony zapach maciejki, którą wysiałam wiosną pod sypialnianym oknem. Spokój przerywają delikatne pstryknięcia naprężającego się drewna sufitowych belek. Pamiętam, jak pierwszej nocy spędzonej w nowym domu bardzo się bałam tych odgłosów. Mam wrażenie, że słyszę delikatne skrzypnięcie drewnianej podłogi.

– Klara?

Wołam zdziwiona, bo mała raczej nie snuje się nocą po domu.

– Nie, to ja – lekko spłoszonym głosem odpowiada

Ania.

– Jeszcze nie śpisz? – Pytam niby spokojnie, ale z bijącym sercem zastanawiam się, czy słyszała moją rozmowę z Magdą.

– Jakoś nie mogę zasnąć.

– Martwisz się czymś?

– Tak się zastanawiam nad Tomkiem.

– Tak? – Zachęcająco włączam się do jej rozmyślań z nadzieją, że nie będę musiała wyrazić opinii na temat młodzieńca.

– Co pani o nim myśli?

Jezu, co mam myśleć? Koleś wygląda jak chłop, którego gdy się wpuści do biura, to wypije atrament. Wspinam się na nierówne i strome szczyty dyplomacji.

– A tobie się podoba?

– Właściwie sama nie wiem, chyba już nie. – Ania jest markotna i lekko zmieszana.

– A co ci się w nim nie podoba?

– Jest jakiś taki... mało skomplikowany.

– Chyba raczej prosty jak zupa w proszku. – Nie mogę się powstrzymać od małej uszczypliwości. Z rozbawieniem obserwuję, jak z młodej uchodzi powietrze, a na jej twarzy maluje się ulga.

– Też pani to zauważyła?

– No. – Mam ochotę nieco się z nią podrażnić i z poważną miną drążyć: – Ale wiesz, może ma inne zalety,

nie trzeba być profesorem, żeby być interesującym człowiekiem.

– Problem polega na tym, że on chyba wcale nie jest interesujący. To znaczy ma kompletny odpał na punkcie samochodów i niestety tylko o tym potrafi gadać.

– No to po problemie.

– A jak będzie dzwonił?

– To nie odbieraj. Zero kontaktu to najlepsza metoda na takie typy i chyba nie warto zapraszać ich od razu do domu, co?

– Wiem, przepraszam, nie powinnam.

– Nic się nie stało, ale masz małą nauczkę.

– Chyba tak.

Zawijam się szczelniej w pluszowy koc i mimo zmartwień zaczynam osiągać stan błogości, gdy nagle odzywa się moja wchodząca w romansowe życie lokatorka:

– Słyszałam pani rozmowę, to znaczy nie podsłuchiwałam, ale mówiła pani tak głośno, że coś do mnie dotarło.

Robi mi się gorąco. Już wiem, co usłyszała, i chyba właśnie nadszedł moment, by zebrać się na odwagę i głośno powtórzyć to raz jeszcze:

– Pewnie usłyszałaś, że jestem w ciąży.

– Yhm.

– Nie mówiłam o tym wcześniej, bo sama dopiero co się dowiedziałam i jestem trochę zaskoczona.

– Nie planowała pani tego? – pyta młoda z rozbijającą szczerością.

– Nie.

Już widzę, jak w jej głowie krzyczą migające neonami hasła o nieodpowiedzialności, jak to się mogło stać itd. Więc nim wybrzmia w przestrzeni salonu, uprzedzam jej wåtpliwoći, okraszając dydaktycznym smrodkiem niuansie intymnego życia z mężem.

– Brałam pigułki.

– I zapomniała pani o jakiejś?

– Nie, nie zapomniałam, ale stomatolog zapisał mi silny antybiotyk, który zniwelował działanie antykoncepcji, o czym nie wiedziałam, i... stało się. Więc uważaj, kochana, w przyszłości, bo widzisz, co się może stać.

– Chyba się pani niespecjalnie cieszy – stwierdza niedający się ukryć fakt.

– Raczej się martwię.

– Razem damy sobie radę, zajmowałam się już małymi dziećmi, więc mogę pani pomóc.

Tak bardzo potrzebowałam tych słów. Szukałam ich z dala od domu i nie znalazłam. Po raz pierwszy przytulam Anię do siebie i szepczę jej do ucha „dziękuję”. Wychodzimy na taras, gdzie rześkie powietrze przesycone zapachem jabłek z pobliskiego sadu i rosy trawnika utula nas do snu. Zmęczone jak koty po polowaniu na mysz i prześladowane przez komary

wracamy do domu. Ania wędruje do swojego pokoju, natomiast ja postanawiam jeszcze chwilę pogapić się w telewizor.

Znowu budzę się na kanapie. Początkowo nie wiem, gdzie jestem, i potrzebuję dłuższej chwili na odnalezienie się w czasoprzestrzeni. Fatalną stroną sytuacji jest to, że jestem cała ścierpnięta i połamana, a dobrą – że jestem już ubrana. Teoretycznie. Czuję się okropnie z powiekami oklejonymi wczorajszym makijażem, rozczochranymi włosami i w dresie. Kąpiel przynosi ukojenie ciała, umysł zaczyna jednak pracować na coraz większych obrotach, tak że po chwili ciało wpada w niespokojny rezonans stresu.

Myśląc o małym bąblu i o tym, że pokocham go najbardziej na świecie, nieoczekiwanie dla samej siebie powtarzam jak mantrę: przede mną miłość, a za mną coś, co się skończyło.

Nagle uświadamiam sobie, że powinnam nowiną podzielić się z Klarą. Nie wiem, jak mała zareaguje na wiadomość o tym, że nasza rodzina niespodziewanie się powiększy. Z pewnością nowy, mały człowiek zburzy spokój i harmonię, którą tak misternie budowałyśmy przez ostatnie tygodnie.

Wieczorem, zaraz po przeczytaniu kolejnej bajeczki, przytulam wmontowaną w stertę poduszek i poduszczek córeczkę, nabieram tchu i zdobywam się na pierwsze

zapowiadające wielkie zmiany słowa:

– Klaro, muszę ci coś powiedzieć.

– Tak? – Mała się ożywia i spogląda na mnie z wyczekiwaniem.

– Od jakiegoś czasu mam pewną tajemnicę...

– Ty masz tajemnicę? – Klara najwyraźniej jest zdziwiona, że dorośli również mają swoje sekrety, które w jej mniemaniu są domeną małych dziewczynek z warkoczykami i kiteczkami.

– Tak, mam. – Wbrew sobie mówię to prawie z dumą, zupełnie jakbym była zadowolona z tego, że nie mówię uczciwie wszystkim wokół, co naprawdę myślę. – I chciałam się z tobą nią podzielić. Jesteś już całkiem dużą dziewczynką, więc myślę, że zrozumiesz i dochowasz tajemnicy.

Buduję wokół nas magiczną, tylko nam dostępną aurę, żeby mała poczuła się doceniona i wyjątkowa.

– Naprawdę powiesz mi, jaki masz sekret?

– Tak. Posłuchaj, za kilka miesięcy urodzę małego dzidziusia, który będzie twoją maleńką siostrzyczką albo braciszkiem. Będziemy się nim razem zajmować. Co ty na to?

Klara jest oszołomiona. Siedzi sztywno na łóżku i niemal widzę, jak trybiki w jej główce nieudolnie usiłują się zazębić. Po chwili jej bródka zaczyna się trząść, a oczy robią się wilgotne.

– Ja nie chcę żadnej siostry ani brata! Nie chcę, żebyś

miała dziecko! Chcę tylko Jaśka, to jest mój brat! Musisz mieć to dziecko?

Obrażona odsuwa się tak daleko, jak na to pozwala materac, a gdy wyciągam rękę, zdecydowanie protestuje i krzyczy:

– Nie dotykaj mnie! Nie lubię cię!

– Klaro, wiem, że jesteś zaskoczona, ja też się nie spodziewałam, że dołączy do nas małe dziecko, ale... teraz powiem ci drugą część sekretu... ten dzidzius jest prezentem od taty i Jaśka. Oni chcą, żebyśmy były szczęśliwe i żeby w naszym domu coś się zmieniło. Trudno to zrozumieć, ale tak jest.

Dostrzegam niewielką zmianę w postawie Klary, która minimalnie przesuwa się w moją stronę i przestaje płakać. Skupiona słucha, co mam do powiedzenia, z pieczołowitością układając obok siebie każde wypowiedane przeze mnie słowo. Wiem, że mały błąd, jedna źle sprecyzowana myśl może na zawsze zburzyć naszą relację z człowieczkiem, który jest w moim brzuchu.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna, tak samo jak tego, że Kocham cię najbardziej na świecie. Jesteś dla mnie tak ważna, że dzielę się z tobą wszystkim, również moją tajemnicą.

– Myślisz, że Jasiek się nie obrazi, jak będziemy mieć dzidziusia?

Przytulam ją mocno i szepczę w małe, ciepłutkie

uszko:

– Jasiek chce, żebyś miała rodzeństwo. Nie może być obok nas, ale...

Czuję, jak słowa zaczynają więznąć mi w krtani i rozmywać się w emocjach. Jestem bliska płaczu, na który teraz nie mogę sobie pozwolić, dlatego zmieniam tor rozmowy i zaczynam ulubioną wyliczankę, zapożyczoną z jednej z książeczek.

– Kocham cię najbardziej na świecie!

– Ja ciebie bardziej.

– Nieprawda, ja cię kocham jak stąd do Księżycy.

– A ja jak stąd do Księżycy i z powrotem.

– Kocham cię jak czekoladę!

– A ja jak czekoladę i żelki!

– Jak kawę z mlekiem!

– A ja jak kawę z mlekiem i czekoladę!

– Ha, mam cię, wygrałam!

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie piłaś kawy, hi, hi.

– Piłam, ale była ohydna!

– A widzisz?

Nie ma to jak zdrowo posprzeczać się przed spaniem! Przytulam zwiniętą w rogalik córeczkę, głaszczę ją po pleckach i czekam na jej miarowy oddech zapowiadający głęboki sen.

Z poczuciem dobrze spełnionej misji schodzę do

kuchni i nalewam do szklanki zimnej gazowanej wody, do której dodaję kilka kropli cytryny. Siadam na kanapie w salonie i zastanawiam się, co by powiedział Bartek na wiadomość o tym, że będzie miał kolejne dziecko. Czy byłby szczęśliwy? A Jasiek? Czy dla niego byłby to pełen obciach? Stara matka z wózkiem. W opinii nastolatka pewnie nie powinnam już uprawiać seksu, a nie dość, że to robiłam, to jeszcze nie potrafiłam się zabezpieczyć! Nie mówiąc o tym, że gdyby kumple zobaczyli go z niemowlakiem, pewnie by się śmiali, że to jego. A może zwyczajnie jestem głupia, tak sobie myśląc, bo przecież Jasiek był taki niedzisiejszy.

Nie potrafię cieszyć się życiem, które w sobie noszę. Nic nie jest stanie zrekompensować straty, która tak boleśnie przewierca mózg, serce, wspomnienia i marzenia.

Rano zaglądam do kalendarza i skóra mi cierpnie. Dziś są urodziny teścia i wypada zadzwonić. A może nie? Niestety tak. Postanawiam najgorszy moment dnia mieć za sobą i wybieram numer domowy państwa Braun.

– Dzień dobry, tu Nina.

– Dzień dobry. – Ospały głos teścia wyraźnie wskazuje na to, że przerwałam mu przedpołudniową drzemkę.

– Chciałam złożyć teściowi życzenia urodzinowe.

– Pamiętałaś? – pyta z naiwnością dziecka, błędnie

zakładając, że o wszystkich wcześniejszych rocznicach pamiętał Bartek.

– Oczywiście. – Nigdy nie wiem, czego powinnam mu życzyć, bo od pieniędzy po świetne samopoczucie ma wszystko. – Przede wszystkim życzę zdrowia, spełnienia najskrytszych marzeń i dużo, dużo szczęścia.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że pamiętasz o dzisiejszej kolacji, oczekujemy ciebie i Klary o osiemnastej.

W panice zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście powinnam o tym pamiętać, skoro od tygodni nie rozmawialiśmy.

– Raczej nie, bo jakoś nie przypominam sobie, żeby teściowie mnie zapraszali.

– No jak to? – Oburzenie wyraźnie otrzeźwia starszego pana. – Wysłaliśmy ci esemesa!

– Esemesa? To chyba mi umknął. Może to nie był mój numer... – Usiłuję w delikatny sposób dociec, co się stało. Zresztą uwielbiam zaproszenia z dnia na dzień i podążające krok za nimi przekonanie, że nie mam innych planów. No cóż.

– Na numer Bartka, przecież twojego nie mamy.

Żołądek zaciska mi się w bolesny supeł.

– Bartka? Przecież nie korzystam z telefonu Bartka, a mój numer muszą teściowie mieć, bo przecież kilka razy dzwoniłście do mnie, chociażby w Barcelonie.

– Nie mów mi, proszę, co powinniśmy mieć, a czego nie, dobrze? Czekamy wieczorem, bądź punktualna. –

Klik.

Nie wiem, czy mam iść. Ze względu na małą pewnie tak. Raz do roku można. Jednak na myśl o ekscytującym wieczorze mam dreszcze.

Mimo wysiłków z trudem udaje mi się wbić w jedną z małych czarnych rezydujących w obszernej garderobie. Wyglądam w niej dość ponuro i nawet zabawne, zgrabne czarne szpilki w białe grochy nie są w stanie dodać szyku stylizacji. Brak nastroju unosi się wokół mnie, a niesforne, wciąż opadające włosy tylko kumulują irytację.

Zaopatrzona w kwiaty i pełną ponurych kombatanckich wspomnień wojenną książkę, z ciepłą rączką Klary w dłoni stoję przed udekorowanymi wiankiem ze sztucznych kwiatów czarnymi drzwiami rodzinnego domu Bartka.

Biorę głęboki oddech i wyciągam rękę w kierunku dzwonka. Nim uda mi się nacisnąć czerwony przycisk, drzwi z impetem się otwierają i staje w nich Sabrina, narzeczona Wojtka. Mimo makijażu rodem z Las Vegas, czerwonej lateksowej mikrosukienki, niebotycznych czerwonych szpilek i długich, równie krwistych paznokci przywodzących na myśl gaśnicę jest najmilszą z osób w tym domu.

– Cześć, widziałam, że idziecie. – Roztaczając wokół ciężką woń perfum, cmoka nas czerwonymi ustami w policzki i wpuszcza do mieszkania. – Cześć, maleńka,

kto cię tak ładnie uczesał?

Mała uwielbia tandetną Sabrinę za jej otwartość i zainteresowanie jej dziecięcymi sprawami. Po chwili obie znikają w salonie, a ja nieporadnie witam się z resztą rodziny i wręczam prezent. Nie rozumiem fascynacji teścia wojennymi historiami, ale skoro sprawia mu to przyjemność, to mnie również cieszy, że trafiłam z upominkiem.

Zasiadamy do stołu tradycyjnie oferującego kotlety schabowe, smutne, zapiekane buraczki i rozgotowane ziemniaki obficie posypane grubo siekaną pietruszką.

– Czym chata bogata, częstujcie się, proszę – zachęca teściowa bez entuzjazmu.

Jeśli menu miałyby być odbiciem ich statusu majątkowego, to powinniśmy się raczej spotkać w kawalerce z końca lat pięćdziesiątych na ósmym piętrze bloku, a nie w luksusowej willi w najdroższej dzielnicy miasta.

– Mamo, nie jestem głodna – jak zwykle marudzi Klara, szeptem usiłując uzyskać dyspensę od obiadu. – Muszę jeść?

– Musisz! – syczę przez zęby i promiennie uśmiecham się do małej Sandry.

– Wiecie, mam taki kłopot. – Na szczęście teściowa zdaje się nie dostrzegać naszej cichej wymiany zdań. – Jutro przychodzą profesor Nowacki z żoną, rektor Woliński z żoną i proboszcz... – mam ochotę zapytać,

czy też z żoną, ale pokornie milczę, czekając, do czego zmierza pani Aleksandra – ...muszę podać coś wyjątkowego. Myślałam o jagnięcinie, sałacie z cykorii i zupie rakowej, ale nie wiem, czy to dobry zestaw.

Ni to pytanie, ni to stwierdzenie zostaje zawieszona nad nami niczym siekiera nad leżącą na pieńku szyją koguta. Wszyscy, pewnie mądrzejsi ode mnie, milczą, więc nie wiem, co mnie napadło, ale biorę temat w swoje ręce i pytam:

– A może bezpieczniej będzie podać schab?

– Schab, może jeszcze powiesz, że kotlety? Chyba nie sądzisz, że coś takiego podam gościom.

– Nam teściowa podała – napieram z uporem na betonową ścianę.

– Wy to co innego. Trudno, żebym dla was piekła jagnię.

Oczywiście, gdzieżbym śmiała oczekiwać czegoś ambitniejszego. Nie wiem, czy można podać coś bardziej trywialnego niż to, co jest na stole, ale przecież nie jestem proboszczem ani profesorową. Wyłączam się i biernie przysłuchuję rozmowie przy stole. Wojtek z zaangażowaniem wypytuje rodziców o każdy detal przewijających się opowieści i sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy faktycznie jest takim plotkarzem, czy też podlizującym się rodzicom aktorem.

Po godzinie udaje nam się zdiagnozować kilka chorób, omówić dwa rozwody w sąsiedztwie, w tym

jeden ze zdradą w tle, i w chwili, gdy płynnie zmierzamy w kierunku deserów i – mam nadzieję – ku końcowi spotkania, Wojtek kładzie wisienkę na torcie.

– Nino, doprowadziłaś do końca sprawę spadkową?

– Słucham? – Beza zalana miodem i słodkim kremem miękko przykleja się do podniebienia, sprawiając, że nie jestem w stanie wykrztusić nic więcej.

– No, masz już podział majątku?

– A co to ciebie obchodzi?

– Właśnie, że obchodzi, bo rodzicom należy się zachówek. Poza tym przez lata was sponsorowali.

– Chyba żartujesz?

– Nie, mówię jak najbardziej poważnie. Liczyliśmy z rodzicami, że sama wyjdiesz z propozycją rozwiązania problemu.

Zasycha mi w gardle.

– Nie mam żadnego problemu z testamentem i co za tym idzie, dziedziczeniem. Poza tym nasz majątek to nasza sprawa. A tak przy okazji, nikt, ani ty, ani teściowie, przez minione tygodnie nie zainteresowaliście się, jak sobie radzimy i czy czegoś nam nie potrzeba, a teraz wyjeżdżasz z pieniędzmi? Zapamiętaj sobie, że jeśli będę mieć jakiegokolwiek pieniądze po Bartku, wszystko dostaną dzieci, nie wy.

– Chyba dziecko – poprawia mnie teść z wyraźną irytacją.

– A właśnie, że dzieci. Jestem w ciąży.

Zapada cisza. Nikt się nie spodziewał takiego strzału.

– Jak to w ciąży? – Pierwsza dochodzi do siebie teściowa.

– Zwyczajnie.

– Dopiero co umarł twój mąż, a ty już będziesz miała dziecko z innym? – Wojtek nie daje za wygraną.

– Nie twój interes, z kim jestem w ciąży, ale skoro tak cię to interesuje, to wiedz, że z Bartkiem.

– Ciekawe.

– Otóż to, ciekawe.

Uciekaj, syczy moja podświadomość, więc odsuwam krzesło i powoli się podnoszę. Czuję na sobie skanujące spojrzenia państwa Braun.

Wstaję od stołu zastawionego domowymi babkami i plackami, które wyszły spod ręki teściowej, i po krótkim pożegnaniu zmierzam do drzwi. Klara człapie za mną, nie rozumiejąc, dlaczego wychodzimy w połowie imprezy. W progu zatrzymuje mnie Wojciech, mówiąc prosto do ucha:

– Nie powinnaś denerwować rodziców, co ty sobie wyobrażasz?

– Słucham?

– To słuchaj: zapłacisz to, co nasze.

– Wojtek, daj jej spokój.

Nieoczekiwanie w drzwiach kuchni pojawia się Sabrina. Mruga do mnie i ciągnie za rękaw swego wieloletniego konkubenta do salonu. Ciekawe, że taki

mezaliansik nikomu nie staje ością w gardle.

Zdegustowana jadę do domu. Jesteśmy tak głodne i w kiepskim nastroju, że dajemy się przytulić ciepłemu okienku McDonalda. Nic nie pobije aromatu pełnego zielonej sałaty mcchickena i aksamitnego sosu.

– Nareszcie coś porządnego, no nie, mamó?

Powinam się wstydzić, bo mcchicken nijak się ma do domowych wywarów i bulionów, ale od czasu do czasu nic nie sprawia nam takiej przyjemności jak właśnie on. Siedzimy milczące w ciepłym samochodzie, udając, że wszystko jest OK. Mała z apetytem zjada swoją bułkę, a moja po pierwszych rozkosznych kęsach coraz bardziej staje mi w gardle. Czuję się tak bardzo osamotniona i bezradna. Nie potrafię spojrzeć przyszłości w oczy, nie umiem wyobrazić sobie siebie za rok... Babcia mówiła, że to, co się rozkraczy na drodze, będzie moje, więc w okrutnej przenikającej każdą komórkę ciała niepewności czekam niespokojnie na to, co przyniesie los. Jednego jestem pewna: muszę jak najszybciej sfinalizować sprzedaż domu i oddać się pracy. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tylko ona daje mi poczucie jako takiego bezpieczeństwa.

Jak zwykle rozmyślenia przerywa wścibiśki dźwięk telefonu. Niechętnie wciskam guzik zestawu głośnomówiącego i po chwili przestrzeń i ciszę demoluje zasapany głos Marty.

– Halo, szefowa?

– Cześć, Marto, coś się stało? – Telefon o tak późnej porze niezmiennie budzi niepokój.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Właśnie miałam kłaść małą spać. Co się dzieje?

– Możemy się zobaczyć?

– Co się stało?

Zaczynam panikować, a przed oczami przemykają obrazy przeciekającego i zalewającego restaurację bojlera, pożar w kuchni, zepsuta lodówka...

– Dostałam propozycję pracy i chciałam porozmawiać.

Ciężka ulga opada mi na ramiona i zciekawiona, wysuwając pyszczek, nadstawia uszu.

– Teraz? Jest późno.

– Wiem, ale zależy mi na rozmowie.

– Dobrze, przyjadę.

Wbrew sobie, zasadom i rozumowi godzę się na rozstawianie po kątach przez kelnerkę i grzecznie, zamiast do domu, jadę ze śpiącą na tylnym siedzeniu Klarą do knajpy. Parkuję w przestronnym garażu, który pełni zarazem funkcję magazynu, zostawiam otwarte drzwi samochodu, żeby mała po przebudzeniu nie zaczęła panikować, i niechętnie wchodzę do przyciemnionej głównej sali, gdzie z wypiekami na twarzy i roziskrzonymi oczami czeka Marta.

– Cześć.

– Dzień dobry.

Siadamy przy najbliższym stoliku, jednak z dala od baru, przy którym zawisła reszta personelu. Wiedząc dokładnie, jakie będą kolejne etapy rozmowy i jej finał, z nieznacznym zainteresowaniem zastanawiam się, jak Marta to rozegra. Już po pierwszym zdaniu wiem, że podążamy banalną, dobrze mi znaną ścieżką zwykłych negocjacji.

– Dostałam propozycję pracy i jestem ciekawa, co pani na to.

– A jaką propozycję? – Znudzona zadaję zmierzające donikąd pytanie.

– Wyższa podstawa, czterdzieści procent od obrotu i od razu umowa na czas nieokreślony.

Patrzy wyzywająco prosto w moje oczy i tym samym sprawia, że dotychczas uśpione „złe” budzi się we mnie, przeciąga i z rozkoszą mruczy. Każdym nerwem zmęczonego ciała czuję nadchodzącą chwilę rozładowania napięcia, które narastało we mnie przez cały dzień.

– Byłabyś niemądra, gdybyś nie przyjęła tej oferty. Od kiedy zaczynasz nową pracę?

Patrzy na mnie oszołomiona, bo chyba nie tego się spodziewała, raczej liczyła na podwyżkę i poczucie niezbędności w tym miejscu. Lecz z niewielkiego doświadczenia wiem, że taki negocjujący czy niezadowolony pracownik wcześniej czy później odejdzie i nie ma co o niego walczyć.

– A może pani zaproponuje mi lepsze warunki?

– Marto, nie jestem w stanie dać ci tyle, co nowy pracodawca, więc powinnaś skorzystać z jego oferty. Proszę, napisz od razu wypowiedzenie, możemy to załatwić za porozumieniem stron, tak żebyś już nie musiała tu przychodzić. OK?

– Skoro tak pani uważa.

Obrażona odwraca się na pięcie i idzie na zaplecze. Podchodzę do reszty pracowników i ogłaszam nowinę. Stoją zaskoczeni i wyraźnie skonfundowani, nie wiedzą, jak się zachować. Podążam śladem Marty i pod pozorem troski, by czegoś nie zapomniała, pilnuję, aby nie zabrała czegoś „na pamiątkę”. Postanawiam martwić się szukaniem nowego pracownika od jutra.

Późną nocą docieram do domu i wykończona padam na łóżko. Jednak emocje odżywają na nowo i szarpią mną na wszystkie strony. Nie potrafię zasnąć. Na poły bezsenna noc pozwala mi przemyśleć całe życie. W oderwaniu od dotychczasowych nieszczęść konstruktywnie planuję najbliższe dni. Od jutra zabieram się do wykańczania nowego domu. Nareszcie wiem, jak będzie wyglądać. Ciepłe drewniane podłogi, białe ściany wykończone lamperiami, dużo kryształu w lampach i pluszu na kanapach, biała kuchnia z wielkim staromodnym zlewem wtulonym w pobielone blaty. O dziwo, udaje mi się wykrzesać z siebie ekscytację i radość z tego, że po raz pierwszy będę mogła urządzić

dom dokładnie tak, jak mam ochotę, bez negocjowania z nikim struktur, kolorów i kształtów. Sama jestem zdumiona stanem, w jakim się znalazłam.

Otrzeźwienie, niczym zimny prysznic, przychodzi o poranku wraz z wczesnym telefonem, który odbieram zaspana i niespecjalnie świadoma czasu i przestrzeni.

– Szefowa, możemy się spotkać – słyszę męski głos, którego w żaden sposób nie mogę przyporządkować do znajomej twarzy.

– ?

– Halo, szefowa?

– Przepraszam, ale nie wiem, z kim rozmawiam.

– Zdzichu Kluska.

– Nadal nie kojarzę.

– No, grób mieliśmy robić!

– Aha!

Dopada mnie przerażające uczucie falującej i usuwającej się spod nóg ziemi. Nie wiem, jak mogłam być tak szczęśliwa, urządzając nowy dom, ciesząc się planowaniem życia. Czuję się winna, jak mała dziewczynka, którą ktoś przyłapał na wstrętnym kłamstwie, z tą różnicą, że próbowałam oszukać samą siebie.

Przygnębiona spotykam się z panem Kluską godzinę później i w przeciwieństwie do łatwości i szybkości podejmowanych decyzji dotyczących domu, podłogi i szaf, nie potrafię zdecydować się na kawałek kamienia, który ma upamiętniać najbliższe mi osoby. Nie wiem, co by się Bartkowi podobało: tabliczka, krzyż czy wymyślny dziwoląg. To trochę jak kupowanie drogiego garnituru obcemu, którego widziało się tylko na zdjęciu, bez wiedzy o jego wzroście, wymiarach i upodobaniach.

Oczywiście nic mi się nie podoba i wracam do pustego punktu wyjścia. Przypominam sobie naszą ostatnią wycieczkę w góry i wrażenie, jakie zrobił na nas stary cmentarz z ruinami kościoła w Proszówce. Na wpół zdemolowane nagrobki, splądrowane katakumby, zarośnięte bluszczem i chwastami tablice. Krążyliśmy po tej małej wiejskiej nekropolii, robiąc dziesiątki zdjęć, które teraz odnajduję w komórce. W końcu pokazuję kamieniarzowi klasyczną bryłę nagrobka, z gotyckimi napisami, zwieńczoną krzyżem, i dochodzę do wniosku, że to jedyny słuszny wybór czegoś, pod czym mogę się podpisać, a po odchowaniu dzieci spocząć.

Wracam zmęczona do domu, gdzie już na mnie czeka nowobogacki dziwoląg w jeszcze dziwniejszej, wyzywająco niebieskiej skórzanej kurtce. W naszych relacjach nie ma czasu na dzień dobry i takie tam. Zamaszysty i wiecznie żujący gumę jegomość od razu przechodzi do rzeczy:

- Kiedy się pani wyprowadzi?
- A kiedy muszę?
- Tak jak powiedziałem: jak najszybciej.
- Czyli?
- W poniedziałek chciałbym się wprowadzić.
- Dobrze.

Nie wiem, kto jest bardziej zaskoczony moim brakiem oporu. Widzę, jak schodzi z niego powietrze i nie wie, co ma dalej robić. Przejmuję inicjatywę i oficjalnym tonem pytam:

- To wszystko?
- Taaa, chyba tak.

Ładuje się do mieszkania w mokrych buciorach, zupełnie jakby już było jego, czym wywołuje we mnie wściekłość i sprawia, że biorę go za kark.

- Halo, co pan robi?
- No, idę zobaczyć...

– Nie zapraszałam pana. To jeszcze mój dom i obcych nie wpuszczam, więc będę zobowiązana, jeśli pan sobie pójdzie.

- Dobra, dobra, co się pani tak rzuca?

– Nie rzucam się, to pan zachowuje się tak, jakby był u siebie, a jeszcze pan nie jest! Wpłyną pieniądze na konto, to sobie pan wejdzie, jak mnie już tu nie będzie. Rozumiemy się?

Okazuje się, że moje zdecydowanie i asertywność

robią na nim wyraźne wrażenie i chyba budzą szacunek. Po krótkim pożegnaniu i zapowiedzi, że w poniedziałek ma mnie tu nie być, wycofuje się do furtki, a mnie ogarnia panika. Mam sześć dwudziestoczterogodzinnych dni. Co z tego, że kupiłam nowe mieszkanie, skoro są w nim tylko byle jakie kaloryfery i betonowe ściany. Dzwonię do mojego ulubionego stolarza, pana Stanisława, i jęczę w słuchawkę. Jak zwykle mogę na niego liczyć i umawiamy się na pierwsze prace następnego dnia.

To jest ten dzień. O ósmej rano zaczynam prace wykończeniowe nowego domu.

Około jedenastej trzydzieści, gdy nadal tkwię samotnie wśród gołych ścian, a umówiona ekipa budowlana, polecona przez dewelopera, nie dość, że się nie pojawiła, to jeszcze nie odbiera moich coraz bardziej natarcywych telefonów, uświadamiam sobie, że to jednak nie TEN dzień. Niestety, nie mam czasu na kolejne nie te dni. Sfrustrowana dzwonię do pana Stanisława, człowieka starej daty z przedwojennymi zasadami, i błagam o pomoc. Nie do końca wiem, jak ekipa stolarska poradzi sobie ze wszystkim, ale to jedyna szansa na wprowadzenie się w jako tako wykończone betonowe przestrzenie za kilka dni.

Następnego dnia bladym świtem pod mój kawałek świata przy ulicy Malinowej podjeżdża zdezelowany samochód dostawczy ekipy budowlanej. Jej szef Sylwester, według dowodu osobistego Sylwester (trzeba przyznać, że rodzice mieli wyjątkowy polot), w bliżej nieokreślonym wieku z twarzą naznaczoną licznymi bruzdami i zmarszczkami, pełen energii zapowiada dzień pełen pracy i wysiłku.

– Szefowa się nie martwi. Zrobimy wszystko jak trza!

Niestety zamiast młotka i kielni w rękach pojawiają się upačkane co najmniej miesięcznym nalotem z fusów kubki, w które jeden z młodszych stolarzy nasypuje potężne ilości mielonej kawy. Niezmordowany w entuzjazmie, nucący pod nosem Sylwek włącza stare radio, z metalowym wieszakiem zamiast anteny, z którego płyną skoczne dźwięki disco polo i pełne głębokich przemyśleń i refleksji teksty: *...do ciebie iść, tylko ty tak wiele znaczysz, przy tobie śnię, latałem za tobą jak debil, wkradasz się w myśli moje* i... nie daję rady. Postanawiam uciec. Kątem oka z przerażeniem zauważam, że szef, co drugi ząb wystąpi, podłączywszy do prądu elektroniczną miarkę z poziomica, która upstrzyła szare ściany licznymi kolorowymi, wielokrotnie krzyżującymi się liniami, toczy nierówną walkę z matematyką na poziomie podstawowym, konsultując kolejne wymiary i odległości z kimś po drugiej stronie aparatu telefonicznego. Muszę stąd uciec!

Co prawda zaczynamy od położenia podłóg w całym domu, co stolarzom nie powinno nastreczyć problemów, ale i tak jestem pełna obaw. Szerokim łukiem omijam kafle, rezygnując z nich nawet w łazience. W pośpiechu wybieram dostępną od ręki armaturę łazienkową, wygodną wolno stojącą wannę i tapety do pokoi Klary i Ani. Postanawiam dopiero po narodzinach malca

przerobić garaż na pokój gościnny, teraz nie mam na to czasu i pieniędzy. Największy kłopot mamy z drzwiami, na które musimy czekać jakieś pięć, sześć tygodni, i z meblami kuchennymi. Powinnam robić je na zamówienie i na wymiar, ale na to też nie mam czasu.

Klara jest przygnębiona koniecznością przeprowadzki i nie może się pogodzić z opuszczeniem ukochanego pokoju. Negocjuję z nią nieustannie, starając się ją przekupić pozorną możliwością zaprojektowania swojego gniazdka. Jedyne, co robi na niej wrażenie, to własna łazienka i garderoba, bo przecież tylko gwiazdy mają garderobę, więc mała usiłuje czuć się jak księżniczka. Również koty wyczuwają napiętą atmosferę i w przeczuciu nadchodzących zmian co rusz znikają w różnych kątach i zakamarkach, przyprawiając nas o stres.

Niestety przeprowadzka nie jest moim jedynym zmartwieniem. Zaraz po odejściu Marty dowiaduję się, że dopiero co przyjęta do pracy kelnerka jest w ciąży, a ponieważ w naszym kraju ciąża jest ciężką chorobą, kładzie mi na biurku zwolnienie lekarskie. Szczęśliwie jest na tyle głupia, że nie zajrzała wcześniej do umowy o pracę na okres próbny, która kończy się za trzy dni i którą z pewnością bym przedłużyła na dwa lata. Gdy to odkrywam, oddycham z ulgą, że nie będę musiała płacić za jej chorobowe i urlop.

– Wiesz, Kasiu, umowa kończy ci się za trzy dni, więc świadectwo pracy prześlę pocztą.

– Jak to, kończy się umowa? Przecież właśnie ją podpisałyśmy, miała być na dwa lata. – Robi się kredowobiała i zaczynam się obawiać, że straci przytomność.

– Owszem, ale dopiero ta po okresie próbnym, którą mam dla ciebie przygotowaną i miałam nadzieję podpisać z tobą w piątek.

– A nie możemy podpisać jej dzisiaj? – pyta naiwnie, licząc na cud.

– Wiesz, choćbym nie wiem jak chciała, to jesteś na zwolnieniu, więc masz stwierdzoną niezdolność do wykonywania pracy i nie mogę wtedy podpisać z tobą żadnej umowy.

– To zostanę bez niczego...

– Nic nie mogę na to poradzić.

– Wie pani, że pójdę z tym do inspekcji pracy?

– Spodziewam się. Jeśli masz czas, oczywiście tak zrób, ale gwarantuję ci, że usłyszysz od nich to samo.

Też jestem mamą i zatrudniając dziewczyny, liczę się z ich ciążami i chorującymi dziećmi, jednak zachodzenie w ciążę kilka dni po podpisaniu umowy o pracę jest dla mnie dalece niemoralne i czuję się oszukana. Nasze genialne państwo w obliczu braku pieniędzy na wszystko wydłużyło urlop macierzyński z trzech miesięcy do roku, obciążając pracodawcę

koniecznością wypłacenia rekompensaty za urlop, do którego pracownik nabiera uprawnień, nie świadcząc pracy, a przebywając na urlopie. Paranoja: urlop pracuje na urlop. Rekordzistka, tym razem kucharka, w dniu podpisania umowy na czas nieokreślony o godzinie dziesiątej rano, już o siedemnastej położyła mi na biurku zwolnienie z powodu ciąży. Tak po prostu, zamiast do Żabki, wstąpiła do ginekologa...

Dni mam wypełnione pakowaniem kolejnych kartonów, składaniem rzeczy i przesłuchiowaniem kolejnych kandydatek do pracy. Wieczorami przeglądam sterty CV i nadal nie mogę przyzwyczaić się do głupot, które ludzie w nich wypisują. Usiłuję przywyknąć do zdjęć z imprez i w strojach kąpielowych załączanych z nadzieją, że rekrutację przeprowadza napalony facet. Niepodzielnie w rubryce języki króluje „polski biegle w mowie i piśmie”, co z racji tego, że jest to język ojczysty i jedyny, jaki kandydatki znają, brzmi kuriozalnie.

Porządkuję ostatnie drobiazgi i przy okazji w jednym z upchniętych w najdalszym zakamarku strychu pudeł odkrywam niemal pięćdziesięcioletnią, starą kolejkę Bartka i pierwsze poobłukiwane od licznych crash testów resoraki Jaśka. Karton, opisany ręką męża jako prezent na osiemnaste urodziny naszego syna, burzy wypracowywany długimi tygodniami, przy wsparciu

leków i psychologa, pozorny spokój. Zatraciwszy poczucie rzeczywistości, rozdrapuję przeszywający ból. Czuję się dokładnie tak samo jak w chwili wyrzucania szczoteczki do zębów moich najbliższych, którym już nigdy nie będzie dane z nich skorzystać. Ogołocony z kawałków taniego plastiku kubek boleśnie uświadamia, jak bardzo skurczyła się moja rodzina. Odruchowo głaszczę coraz bardziej wypukły brzuch i obezwładniona wspomnieniami zamieram na dłuższą chwilę.

Dzień przed wyprawą, w samo południe, odbieram telefon od Magdy. Zastanawiam się, czy dalej będziemy roztrząsać, czy znowu jesteśmy dobrymi przyjaciółkami. Leniwie zmieniam pozycję w fotelu, co powoduje, że moje myśli zmieniają kierunek i wędrują w stronę nieodkurzonych pajęczyn, które niczym kleszcze uczepliły się narożnika pokoju i firany, nadając im włochaty charakter. Raptownie uświadamiam sobie, że w obecnej sytuacji nie mają one najmniejszego znaczenia, bo zostały sprzedane wraz z domem. Poczucie satysfakcji, że w całym tym nieszczęściu potrafię dostrzec rzeczy w nowej perspektywie, napawa mnie dumą. Zamyślona i skupiona na banalnych drobiazgach, nieco odruchowo i automatycznie mówię:

– Cześć, Magda.

– To ja, cześć.

Mam wrażenie, że moja przyjaciółka jest lekko zakręcona, pozbawiona zdolności kojarzenia i łączenia

w większe struktury podstawowych danych.

– Wiem, że to ty. Co słychać?

– Możemy pogadać?

– Jasne, właśnie zrobiłam sobie kawę, mam czas. – Spoglądam na osamotnioną czarną kawę i mikroskopijny kawałek czekolady na spodeczku – niewiarygodne, do jakich rozmiarów skurczył się mój dotychczasowy high life. – Dawaj, co się dzieje?

– A mogę do ciebie wlecieć?

– Pewnie, za ile będziesz?

– Już. Stoję pod twoim domem.

O rany, najwyraźniej musiało się coś stać. Wstaję stłamszona z fotela, bez makijażu i rozczochrana wyglądam jak nieopierzona nastolatka, niestety worki pod oczami i zmarszczki wskazują raczej na steraną życiem i zaniedbaną, choć nadal z potencjałem, starą babę.

Otwieram drzwi i witam się ze stojącą w nich Magdą, która wygląda jeszcze gorzej niż ja. Zapadłe oczy tonące w plamach sinych okręgów patrzą na mnie czujnie. Zmęczenie uwydatniło kanciaste rysy twarzy, a wygnieciony, dawno nieprany dres, mocno skropiony ciężkimi perfumami, odbiera resztki klasy, z której Magda zawsze była tak dumna.

Zastanawiam się, co usłyszę. Jednocześnie uświadamiam sobie, jak wielką władzę daje znajomość tajemnic, oczywiście cudzych, nie własnych, te ostatnie

mogą być tylko naszym największym przekleństwem...

Magda wchodzi do salonu i opada na fotel, w którym przed chwilą rozkoszowałam się ciszą. Przez dłuższą chwilę siedzimy w niezręcznym milczeniu. Gdzie się podziała moja asertywność? Prawdopodobnie jest tuż obok, wygodnie wtulona w poduszki kanapy, i śpi. Żołądek zaciska mi się w bolesny supeł w obawie przed tym, co usłyszę.

– Wiesz, że mnie zdradza?

Nie wiem, czy pyta, czy stwierdza fakt, ale i tak czuję, jak ziemia zaczyna falować pod stopami, i zastanawiam się, co jeszcze tu padnie.

– Wiem. To już ustaliłyśmy, to raczej nic nowego.

– Niby nie, tylko że teraz nie mogę udawać, że nic nie widzę, bo będzie miał z tą laską dziecko.

– Słucham? Znasz ją?

– Nie, podobno jakaś gówniara, kelnerka czy barmanka. Wróżka najwyraźniej się nie pomyliła, będzie dziecko, tylko nie ze mną! Dopiero co poroniłam, a on będzie miał dziecko!

– Byłaś w ciąży? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A co miałam mówić? To był dopiero drugi miesiąc, chciałam mieć pewność.

– Boże, Magda, tak mi przykro.

– Chyba tak miało być, może to i dobrze.

– No co ty mówisz... Nic nie jest dobrze. Skąd wiesz o tamtym dziecku?

– Wyobraź sobie, że w dzisiejszej poczcie znalazła się koperta adresowana do Krzycha. Wyglądała trochę podejrzanie, była grubsza niż inne. Myśląc, że to rachunki czy reklama, otworzyłam ją i na blat w kuchni wypadł test ciążowy.

– Ohyda! Ktoś przecież na niego nasikał.

– No, nie wiedziałam, jak to chwycić. W końcu przez papierowy ręcznik złapałam za końcówkę i wsunęłam do koperty, w której znalazłam serduszek z tekstem: *Gratuluję! Będziesz TATA!*

– Nie.

– A jednak.

– Krzychu już wie?

– Mam nadzieję, że tak. Wysłałam mu kurierem do biura wiadomość w postaci pudełka z listem, serduszkami i testem w środku. Już widzę minę sekretarki, która otworzy przesyłkę.

– Kurde, szkoda, że nie możemy tego zobaczyć.

– Warte wszystkich pieniędzy.

– Wiesz, od kogo to dostał?

– Oczywiście na kopercie nie było adresu nadawcy, więc chyba od kelnereczki.

Powoli kiwa głową i choć razem usiłujemy się śmiać z wizji głupiej miny Krzycha, wiem, że mam przed sobą emocjonalnego trupa po pierwszej sekcji.

– Zawsze go broniłaś i udawałaś ślepa. Dlaczego mnie nie słuchałaś?

– A nie będziesz myśleć o mnie źle?
– Nie, no coś ty.
– Myślałam, że mi zazdrościsz.
– Zwariowałaś?
– No, wiem, byłam głupia, ale zazdrość przyćmiła mi rozsądek.

– I to wielokrotnie. Nie jestem nikim zainteresowana, a zwłaszcza mężami koleżanek.

– Myślałam, że nam zazdrościsz, bo mamy siebie, a ty jesteś sama.

– Magda, to, co mi się przydarzyło, nie zmienia mojej oceny innych i nie kielkuje złością czy zazdrością wobec szczęśliwych związków.

– Teraz wiem.

– No i chwała Panu. Lepiej późno niż wcale.

– Yhm.

– Ale muszę to powiedzieć. Było mi strasznie przykro, że po tylu latach znajomości nie miałaś do mnie zaufania i mnie nie słuchałaś. Czułam się okropnie.

– Przepraszam.

– Zdarza się. My, baby, musimy się trzymać razem i mam nadzieję, że nigdy żaden facet nie stanie między nami, a tym bardziej twój mąż. OK?

– OK.

Zaczyna się fala krótkich głębokich oddechów, które zapowiadają nadchodzący szloch, i mam nadzieję, że

Magda się opanuje. Nigdy nie wiem, co mam zrobić w obliczu cudzych łez. Nie do końca radzę sobie nawet z własnymi. Niespodziewanie czuję, że mój brzuch się napina i wypycha od środka. Początkowo myślę, że to jakieś zagubione i niespodziewane wzdęcie, ale już po chwili przypominam sobie to dobrze znane uczucie. Maleństwo usiłuje po raz pierwszy mnie kopnąć i tym samym przypomnieć o swoim istnieniu. Straciwszy nieco wątek, ponawiam pytanie:

– Magda, powiedz szczerze, dlaczego wcześniej nie chciałaś widzieć jego zrad. Może by do tego nie doszło?

– Zawsze wydawało mi się, że rywalizacja nadaje życiu rumieniec, więc starałam się być dla niego atrakcyjna.

– Myślałam, że dla siebie.

– Po części też, ale wiesz, jaka to satysfakcja wygrywać z małolatami? Włosy, ciało, ciuchy, klasa kontra młodość, świeżość i głupota.

– No to chyba zostałam znokautowana, a co więcej, przegrałam cały mecz.

– Przez całe życie chowałam się za uprzejmym tolerowaniem jego wyskoków, wygłaszając banalne i trywialne opinie na temat zrad i romansów w bok. A teraz nie wiem, co robić.

– Masz jasną sytuację o tyle, że on wie, że ty wiesz, i pewnie czeka na twój ruch. Ty rozdajesz karty.

– Yhm. Wczoraj niby się wysypał, przepraszał

i usiłował mi wmówić, że to nic takiego. Pewnie jeszcze nie wiedział o dziecku, o tej pieczętce, którą przystawił tej dziewczynie i sobie na całe życie.

Magda ciężko opada na kanapę i z włochatego koca rzuconego na poduchy odrywa poskręcane kolorowe nitki. Pozornie skupiona na wełnianym materiale, toczy nierówną walkę z emocjami, które w końcu biorą górę i doprowadzają moją przyjaciółkę do pierwszych łez.

– Powiedział mi, że mam się nie przejmować, że jestem dla niego najważniejsza, że to tylko taki alkoholowy wyskok i że jego uczucia do mnie się nie zmieniły.

– To super, z pewnością spłynął na ciebie opar spokoju.

Usiłuję ironizować, ale po raz pierwszy moja błyskotliwa koleżanka nie łapie żartów.

– Bynajmniej. Kazałam mu kolejny raz wypierdalać!

– I co, wypierdalał?

– Niechętnie, w zasadzie wystawiłam go za drzwi. Był tak zdziwiony, że nawet nie musiałam go mocno wypychać.

– Grzeczna dziewczynka.

Magda wyraźnie się ożywia i z satysfakcją dodaje:

– Wiesz, jakie to miłe uczucie? Zupełnie jakbym wywaliła z domu starą kanapę.

– A tak naprawdę jak sobie z tym radzisz?

– Świetnie, nareszcie czuję się wolna. Nie zdawałam

sobie sprawy, że lęk przed samotnością tak mnie stłamsi. Nie wiem, jak poradzę sobie z codziennością, pieniędzmi, domem i tak dalej, ale z pewnością zacznę wszystko od nowa, i to na moich warunkach.

– To mamy wspólny mianownik.

Na planowaniu przyszłości schodzą nam kolejne godziny. Robi się coraz ciemniej za sprawą nadciągających burzowych chmur. Wreszcie lekko chwiejnym krokiem Magda podąża do wyjścia.

Lunął deszcz, ze złością uderzając o szyby i zbijając płatki rosnących na rabacie kwiatów. Momentalnie na chodniku pojawiły się stadka kałuż z malującymi się na powierzchni ulotnymi kółkami. Żegnając Magdę w otwartych drzwiach, wygłaszam słowa otuchy, których sama się chwytam jak tonący brzytwy. W sumie egoistycznie się cieszę, że jesteśmy we dwójkę na tym samym zakręcie, bo dzięki temu będzie łatwiej pokonać drogę przed nami. Magda wsiada do mokrej taksówki. Zamykam drzwi i ogarnia mnie melancholia. Wiem, że muszę znaleźć w sobie marzenie, tylko po to, by je wreszcie zrealizować. Wszystko ma swoje przeciwieństwo, trzeba tylko nieszczęście przekuć w szczęście i odnaleźć w tym moc do działania. Ciekawe, jaki załazek dobra skrył się w śmierci najbliższych i tęsknocie za nimi.

Leniwy nudny wieczór, ostatni w tym domu, brnie

przed siebie powoli i koślawo jak żebrak stukający w szyby samochodów na ruchliwym skrzyżowaniu. Nie potrafię zasnąć, kolekcjonując każdą minutę i wspomnienie z tego miejsca. Przypominam sobie wszystkie etapy budowy, wykańczania każdego pomieszczenia, pierwszą błękitną tapetę w samolociki w pokoju Jaśka, narodziny Klary i przywiezienie jej do domu w szarym puchowym nosidełku.

A jednak wreszcie ból przyćmiewa radość z przenosin do nowego mieszkania. Po raz ostatni obchodzę dom, żegnam się z ogrodem, dotykam każdej rośliny i po raz setny sprawdzam, czy wszystko zabrałyśmy.

Poranek nadchodzi wyjątkowo rześki i objawia się dwiema czarnymi ciężarówkami gotowymi zająć się naszymi sprzętami. Około południa zabezpieczone kilometrami folii bąbelkowej i papieru meble kompletują się na dwóch dużych pakach samochodów i niczym w pogrzebowym orszaku przewozimy je pod nowy adres. Wiem, że po opuszczeniu domu nic już nie będzie smakowało tak samo, a kolejny rozdział zamknie się za mną na zawsze.

Na ulicy Malinowej wita nas głównie wielka brzoza, która teraz wygląda oszałamiająco pięknie, a jesienią zapewne doprowadzi nas do szału, siejąc po trawniku tysiące drobnych liści. Klara po dziecięcemu nie może oprzeć się podekscytowaniu zmieszanemu ze strachem.

Nieustannie pyta, czy Jasiek i tata wiedzą, że będziemy tu mieszkać, czy Jasiek nadal będzie robił jej psikusy i chował rzeczy, czy nie ma tu duchów i wreszcie... ku mojej radości i uldze – czy będzie miała nowe koleżanki. Trochę jej nie słucham, tępo przytakując lub zaprzeczając. Sama odczuwam przygnębiającą obawę, czy damy radę utrzymać ten dom i czy znajdziemy w nim szczęście i kojący spokój. Usiłuję wyrzucić złe myśli i spojrzeć na wszystko od dobrej strony.

Wieczorem nadal zajmujemy się z Anią przepychaniem szafek z kąta w kąt, oglądaniem kanap z różnych, krzyżujących się perspektyw i próbą upchnięcia wszystkich naczyń w niespodziewanie małej kuchni. Okazuje się, że nawet przestrzeń jest wględna.

Nie pamiętam, o czym śnię. Budzę się w nieznannej ciszy nieznanego, pachnącego świeżą farbą domu. Jasne, pobielane dębowe podłogi, ściany wykończone lamperiami, panoramiczne okna, o których zawsze marzyłam, cieszą mnie o wiele bardziej, niż się spodziewałam. To pierwsze wnętrze, które zaprojektowałam. Czuję wyrzuty sumienia, bo radość i zadowolenie nie powinny mi się przydarzać. A jednak. Życie może być piękne i nieść zapowiedź czegoś dobrego. Cieszę się jak dziecko, choć wiem, że jestem dopiero w połowie drogi do stabilizacji.

Usiłuję napić się kawy, ale błądzę po kuchni

w poszukiwaniu filiżanki, cukru i czegoś słodkiego. Siadam na kanapie i kontempluję na razie obcy, a już mój na zawsze, widok za oknem. Małe, byle jakie iglaki domagają się natychmiastowego wykopania i zastąpienia czymś bardziej zachwycającym i oryginalnym. Wysokie drewniane płoty postawione przez sąsiadów szczelnie otaczają niewielką działkę i choć znacznie ograniczają perspektywę, dają bezpieczne poczucie intymności. Tylko z jednej strony rozpościera się zachwycający widok na las, który wieczorną porą stanie się zapewne źródłem moich lęków i strachu.

Zaczynam otrząsać się z marazmu i odczuwać rozkosz. Głaszcząc coraz bardziej wystający spod koszulki brzuch, schowana pod puchatym kocem, rozpisuję na kolejne ściśle zaplanowane działania najbliższe dni. Po raz pierwszy od śmierci Bartka czuję, że dam radę, że samotność mnie nie ogranicza, choć nadal jest moją najokrutniejszą towarzyszką. Inwestycja w dom i spłata zaległych rachunków niestety pochłonęła prawie wszystkie fundusze pochodzące ze sprzedaży starego domu. I choć unoszę się przez chwilę nad powierzchnią ziemi, wiem, że zmartwienia nie pozwolą o sobie zapomnieć i niebawem zgaszą optymizm.

O dziewiątej niespodziewanie dołącza do mnie Magda w sukience równie wymiętej jak wczorajszy dres. Po raz pierwszy z zacięciem obchodzi kolejne pokoje i widzę, że obok podziwu dla mnie budzi się

w niej jakaś nowa iskra.

– Wiesz, postanowiłam, że muszę się wyprowadzić, i tak sobie myślę, czy nie mogłybyśmy rozejrzeć się za czymś dla mnie gdzieś tu niedaleko. Muszę to zrobić jak najszybciej.

– Wywaliłaś Krzycha, więc masz całą chatę dla siebie, chyba nie musisz się spieszyć.

– I tu się mylisz. Okazuje się, że skoro mamy wspólnotę majątkową, mój jurny mąż może w każdej chwili wejść do domu, a ja nie mam prawa zmienić zamków albo go nie wpuścić.

– Naprawdę?

– Niestety. Dwie godziny temu wparował do domu jak gdyby nigdy nic. Zjadł obiad, który sobie przygotowałam, zostawił stertę brudnych naczyń w zlewie i górę śmierdzących po treningu ubrań pod pralką. Nie odezwał się do mnie ani słowem i wyszedł.

– Nieźle.

– Nie? Tym bardziej że wcześniej posprzątałam. Podejrzewam, że takich wlotów i wylotów będę zaliczała kilka w tygodniu, a nie jestem na nie przygotowana. Nie mogę patrzeć na gnoja.

– To faktycznie nieciekawie. Ale przecież masz jeszcze mieszkanie w centrum...

– Tak, tylko że ono jest wynajmowane.

– To wypowiedz umowę i się przeprowadź.

– Niestety też jest wspólne, więc scenariusz się

powtórzy, tylko pod innym adresem.

– A masz kasę na coś nowego?

– Jak tylko powiedział mi o zdradzie, wyczyściłam prawie do zera nasze konto. Mam kasę nie tylko na nowy kąt, ale też na rozpoczęcie czegoś od nowa.

– Niezła jesteś. Ale czego?

– Myślę o jakiejś firmie, żeby być niezależna.

– Aha.

– Może o knajpie, takiej jak twoja...

– Chyba ci rozum odebrało! To była najgorsza decyzja w moim życiu! Całkowita pomyłka!

– Przesadzasz.

– Nie przesadzam! Nieustające problemy z personelem, klientami, marne dochody, kupa roboty, pełna dyspozycyjność, nocne imprezy, siedmiodniowy tydzień pracy... mam mówić dalej?

– Chyba nie.

– Właśnie.

Nalewam do porcelanowych filiżanek parującą matę limona, z nadzieją, że ta egzotyczna herbata pobudzi moje ciało skuteczniej niż kawa. Stawiam napor przed Magdą na nowej drewnianej ławie, konstatuując, że jest nieco zbyt niska w zestawieniu z szerokimi, miękkimi kanapami. Przez chwilę moje myśli krążą wokół niej, analizuję możliwość zmiany nóg stołu albo nieznacznego obniżenia kanap, co pewnie będzie trudniejsze. Jak przez mgłę docierają do mnie słowa Magdy o tym, że może

założymy jakąś spółkę.

– Możemy, oczywiście. Nie ukrywam, że od dłuższego czasu szukam nowego pomysłu na życie zawodowe, tylko pytanie zasadnicze, co miałybyśmy robić.

– Jeszcze nie wiem. Coś się wymyśli.

Obawiam się, że niestety nie będzie to takie proste, ale może się nam poszczęści i wpadniemy na jakiś olśniewający pomysł, który w następstwie swej wyjątkowości wygeneruje spore zyski.

Kolejne dni pełne są niespodzianek w postaci niepodłączonej rury pralki odprowadzającej wodę, która zalała pralnię, fantazyjnie przeciekając i zdobiąc nieregularnymi plamami sufit kuchni, zatrzaśnięciem się Ani w garażu na pół dnia, bo któremuś z robotników przydała się klamka, czego wcześniej nie zauważyłyśmy, efektownej, pełnej iskier eksplozji żarówki w pokoju Klary, co wysadziło korki przed domem, a ostatecznie okazało się pomyłką elektryków w podłączeniu siły i uziemienia.

Miałam nadzieję, że zmiana miejsca zamieszkania, obniżenie kosztów i spłacenie większej części zobowiązań automatycznie rozproszy również pomniejszych problemy. Tymczasem okazuje się, że Klara boi się zostać sama na noc w swoim pokoju, koty znaczą nowe miejsce intensywną siatką siknięć po kątach, za nic

mając kuwetę, a Ania się martwi, że jej ulubione i do niedawna pobliskie sklepy są teraz dokładnie na drugim końcu miasta. Jedyłą zadowoloną osobą, jeśli o zadowoleniu w ogóle może być mowa, jestem ja. Odległość do restauracji zmniejszyła się do banalnych dwóch kilometrów, co pozwala, ku rozpaczy załogi, na moje niezliczone wizyty w ciągu dnia. Odkryłam urok jeżdżenia do pracy na rowerze i długich spacerów z dziewczynami po lesie, który niestety napawa mnie też coraz większym lękiem. Zmusiłam Anię do noszenia w kieszeni sporego pojemnika gazu pieprzowego i zamykania drzwi wejściowych na klucz.

Mimo wszystko coraz częściej nachodzą mnie chwile refleksji i marzeń, które sprawiają, że czuję się lekka jak bąbelki w szampanie. Potrafię czerpać radość z każdego drobiazgu, a wizyty na cmentarzu stają się nieco rzadsze, choć nie mniej bolesne niż przed tygodniami. Wiezorami robię na drutach śmieszne małe czapeczki i sweterki, a w chwilach szczególnego wyciszenia haftuję rozpoczęty przed laty obrus.

Doceniam ciszę mieszkania na obrzeżach osiedla, zwłaszcza wieczorem, gdy jedynym dźwiękiem jest grzechot kostek lodu tańczących w szklance z sokiem.

Na początku grudnia moja ciąża staje się coraz bardziej widoczna i nabrzmiewający brzuch zaczyna powoli mi przeszkadzać. Męczę się coraz szybciej, a dotychczasowe krótkie okresy odpoczynku wydłużają

się do nieznośnych kwadransów, przechodzących w godziny nieświadomego posypiania. Układając się pod kocem, przypominam sobie bezcenne chwile z Bartkiem, który mimo moich dwóch ciąż nie mógł pojąć cudu rośnięcia naszego potomstwa wewnątrz kobiecego ciała. Tak bardzo brakuje mi ciepła jego dłoni, która usiłowała wyczuć nieśmiałe ruchy dziecka, troski o to, czy jest mi wygodnie, czy nie jestem zmęczona i niczego mi nie brakuje. Tym razem, niczym opuszczona przez kochankę samotna matka, muszę podołać wszystkim zachciankom sama. W zasadzie nie wolno mi ich mieć.

W poniedziałek, gdy wracam po kolejnej niezapowiedzianej wizycie w restauracji, przed furtką spotykam młodą, zgrabną blondynkę, której opięty płaszcz podkreśla nienaganną figurę, a misternie splecione włosy przywodzą na myśl nastolatkę. Dłonie, kurczowo zaciśnięte na uchwycie wózka, są nienaturalnie blade, co najprawdopodobniej jest objawem sporego zdenerwowania ich właścicielki, bo mimo grudniowej pory jest zdumiewająco ciepło. W wózku siedzi małeńka dziewczynka, miniatuurka matki, która gwałtownie i nerwowo wciska guzik dzwonka przy bramie. Tłuste nóżki małej, naznaczone licznymi dołeczkami, wyraźnie widocznymi mimo ciepłych rajstopek, wystają spod puchowej kurteczki, a ich gwałtowne ruchy zdradzają spore zniecierpliwienie.

Niezgrabnie zsiadam z roweru i zaintrygowana powoli podchodzę do nieznajomych, które w pierwszej chwili sprawiały wrażenie żebrzących, a teraz... sama nie wiem.

– W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, szukam pani Niny Braun.

– To ja. O co chodzi?

Powoli grzebiąc w torebce, znajduję klucz do furki i niezdarnie usiłuję nim trafić w mały otwór, skupiając całą uwagę na nieznajomych.

– Jestem Joanna, sekretarka pani męża, a to Marianna, jego córka. – Blondynka uporczywie wpatruje się w mój wystający brzuch i mam wrażenie, że rozmawia raczej z nim, a nie ze mną.

– Słucham?

– Jestem Joanna, a to jest moja córka... i Bartosza, Marianna.

– To jakaś pomyłka. – Czuję, jak resztki krwi odpływają mi z twarzy, i muszę mocno złapać się siatki ogrodzenia, by nie upaść.

– Dobrze się pani czuje?

Kurwa, jak mam się czuć?!

– Tak. Nie. Sama nie wiem.

– OK.

Piękność nie wydaje się szczególnie zainteresowana moim samopoczuciem, pochyla się za to z troską nad wózkiem z Marianną. Przyglądam się małej uważnie i z

przerażeniem odkrywam w jej rysach coś znajomego, co znam z twarzy Jaśka, Bartka i Klary. Te same kocie, niemal czarne oczy i brwi wygięte w regularne, wysoko uniesione łuki, które sprawiają, że oczy wydają się jeszcze większe. Czy to przypadek? Chyba nie powinnam mieć złudzeń. Ale to niemożliwe, by mój kochający, dający liczne dowody przywiązania mąż miał romans, a tym bardziej dziecko!

– Jest pani pewna, że ojcem jest Bartek, to znaczy mój mąż?

– Za kogo pani mnie ma? – Blondynka wydaje się dotknięta do żywego i sztywnieje jeszcze bardziej.

Nie czekając na zaproszenie, zdecydowanym ruchem pcha wózek w światło furtki i podąża za mną do domu.

– Po prostu wydaje mi się to niewiarygodne.

– A nie powinno.

– ???

– Nie jestem pierwszą, którą pani mąż był zainteresowany.

– Dlaczego pani przyszła? – Usiłuję gwałtownie zmienić temat, analizę sytuacji przeprowadzę, gdy zostanę sama.

– Od jakiegoś czasu przestałam otrzymywać przelewy, a muszę z czegoś żyć.

– Tak? – mówię niepewnie, choć wiem, w którą stronę zmierza ta rozmowa.

– Bartek nie żyje, ale małej należy się zachówek

i alimenty.

– Słucham?

– Myślę, że doskonale pani rozumie, w czym rzecz. To jest mój numer telefonu. Skontaktuję się w przyszłym tygodniu.

Wstaje, poprawia małej kozaczki na wiecznie kopiących nóżkach i powoli, z gracją wychodzi. Dodatkowe kilogramy i szok sprawiają, że nie potrafię za nią nadążyć.

Boże. Miałam wyjść na prostą, miało być ciężko, ale nie tak stromo. Miałam wszystko zaplanowane, a tu... znowu ruina i zgliszcza. Jak on mógł to zrobić? Jak długo mnie okłamywał? Jak mogłam nic nie zauważyć? Zawsze myślałam o sobie, że jestem taka bystra i przewidująca. Zatrudniłam detektywa! Jak mogłam dać się tak zwieść?

Zamykam drzwi na klucz i mój wzrok pada na złotą bransoletkę splątaną z paskiem zegarka na lewym nadgarstku. Zrywam ją gwałtownym ruchem i ciskam na podłogę. Jak mogłam być taka głupia, tak naiwna, żeby myśleć, że to prezent dla mnie?! Osuwam się po ścianie, opadam na podłogę i trzęsę jak osika na wietrze. Złość i bezradność sprawiają, że nie potrafię nawet płakać.

Podziękowania

Pragnę podziękować Wydawcy za to, że umożliwił mi spełnienie pisarskich marzeń.